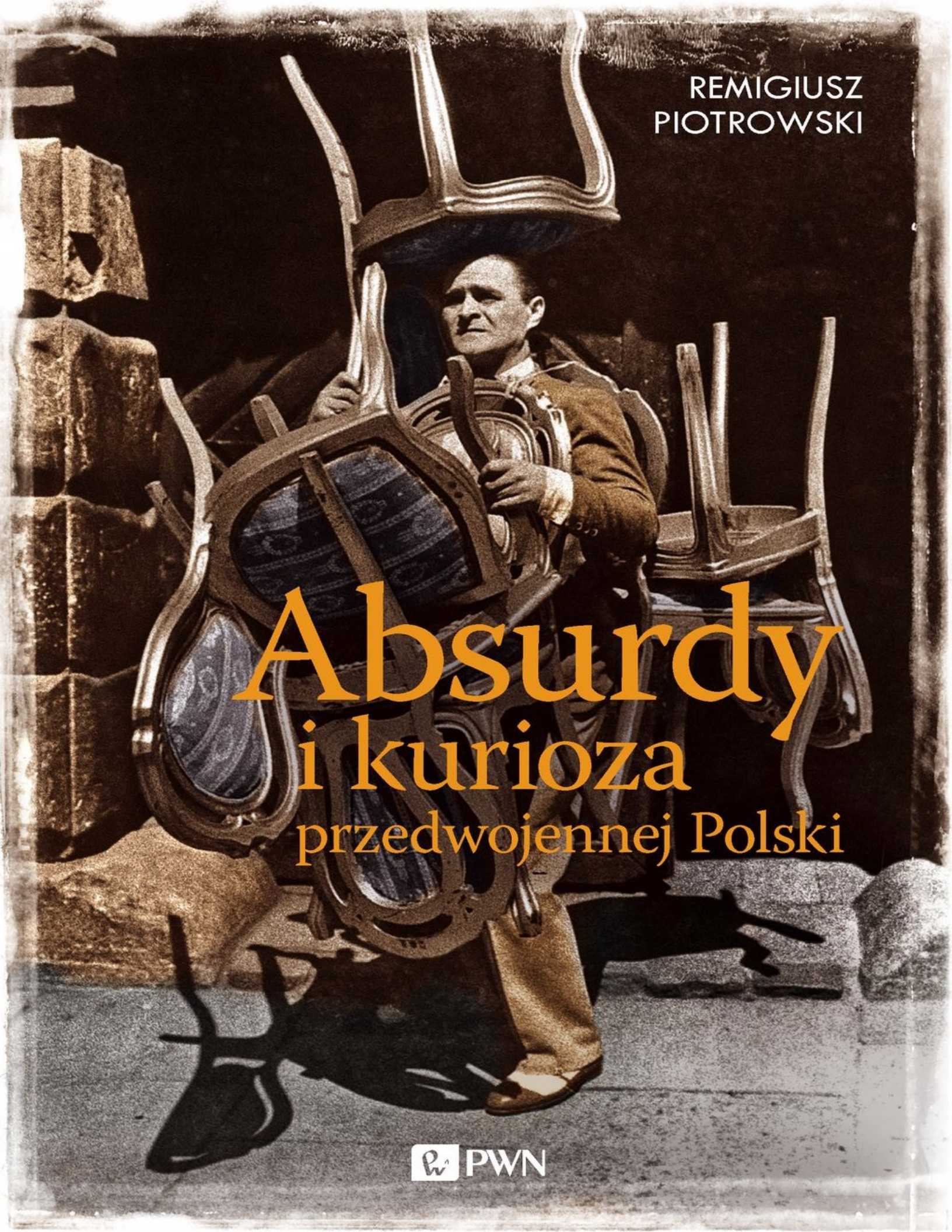
REMIGIUSZ
PIOTROWSKI
Absurdy
i kurioza
przedwojennej Polski
PWN

REMIGIUSZ PIOTROWSKI

Absurdy i kurioza przedwojennej Polski

PWN

Copyright © for the text by Remigiusz Piotrowski, 2016
Copyright © by Wydawnictwo Naukowe PWN, 2016

Wydawnictwo Naukowe PWN
ul. Gottlieba Daimlera 2
02-460 Warszawa
tel. 22 695 45 55
www.pwn.pl

Wydawca: Dąbrówka Mirońska
Redaktor inicjujący: Marcin Kicki
Redakcja: Olga Gorczyca-Popławska
Korekta: Joanna Morawska, Elwira Wyszyńska
Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN
Fotoedycja: Barbara Chmielarska-Łoś
Produkcja: Mariola Iwona Keppel
Skład wersji elektronicznej na zlecenie Wydawnictwa Naukowego PWN:
Michał Nakoneczny / 88em.eu

eBook został przygotowany na podstawie wydania papierowego z 2016 r., (wyd. I)
Warszawa 2016

ISBN: 978-83-01-18903-7

SPIS TREŚCI

Od autora

MOSTEK CIELĘCY RAZ
MAGICZNE MIĘDZYWOJNIE
LEKARZE, PACJENCI I ZNACHORZY
MANEWRY MIŁOSNE
SŁABA PŁEĆ
ZWYCZAJE
PRASA
ROZMAITE INTERESA
RÓŻNE OBLICZA NĘDZY
CUKIER KRZEPI, RADION SAM PIERZE…
ZAWODY ZAPOMNIANE
WYNALAZKI
WYCINKI KULTURALNE
NA BAKIER Z PRAWEM
KANCIARZE I HOCHSZTAPLERZY
KLASA POLITYCZNA
ROZPORZĄDZENIA, PRAWA, USTAWY
W OPARACH ABSURDU… NIEDORZECZNOŚCI, EKSCENTRYCY, DZIWY
SAMOBÓJCY, SENSACJE, ZAPOMNIANE AFERY
Z FARTEM
W POZNANIU, WARSZAWIE, ŁODZI I NA KRESACH
AJ WAJ!
W WOLNYM CZASIE

Zamiast zakończenia

Źródła
Źródła zdjęć
Przypisy

Dnia 28-go lutego 1938 r. od godz. 18-tej (6-tej) urządzam
WIEPRZOBICIE Z DANCINGIEM,
na które to uprzejmie zaprasza
L. Zamlewski
gospodarz „Pod Basztą”.

„Gazeta Szamotulska”, nr 24 z 26.02.1938, s. 4.

OD AUTORA

Niniejsza książka nie aspiruje do miana pracy naukowej i z pewnością nie należy w niej szukać odpowiedzi na pytanie: „Jaka naprawdę była Druga Rzeczpospolita?”.

Absurdy i kurioza przedwojennej Polski to osnuta wokół kuriozalnych sytuacji i dziwnych zdarzeń subiektywna księga przypadków osobliwych. A chociaż brakuje w niej dogłębnych analiz zjawisk społecznych, politycznych czy gospodarczych, liczę, że dzięki lekturze nadarzy się okazja, by spojrzeć na dwudziestolecie międzywojenne z nieco innego punktu widzenia.

Opowieść – częstokroć przedstawiana anegdotycznie, inkrustowana tekstami wspomnień, a nade wszystko oparta na nieznanych i zapomnianych materiałach prasowych z lat dwudziestych i trzydziestych – ma w założeniu sprawić uciechę tym wszystkim, którzy smakują w purnonsensie i niedorzecznościach życia codziennego, którzy na przeszłość patrzą z szacunkiem, lecz także dystansem, którzy swoje wyobrażenia o „epoce skoku cywilizacyjnego”[1] są gotowi skonfrontować z wiedzą niepochodzącą z podręczników akademickich.

Jeśli zaś przypadkiem odarłem przedwojenną Polskę z blasku, proszę wybaczyć, nie to było moim celem. Nigdy też nie przyszłoby mi do głowy kwestionować dokonania II RP, a tym bardziej oceniać ją wyłącznie przez pryzmat niedorzeczności, bezeceństw i śmieszności codzienności.

Mam zatem nadzieję, że – o ile chropowatość stylu nie zatrze istoty przedstawionych wydarzeń – ta niezobowiązująca historia

o popularnonaukowym charakterze, pełna podejrzanych indywiduów, uzdrawiających na odległość znachorów, pozbawionych talentu pisarzy, niezdarnych przestępców, roznamiętnionych w biurokratyzmie urzędników i szalonych wynalazców, sprawi państwu przyjemność, a przy okazji zdoła odsłonić choćby drobną część prawdy o dwudziestoleciu międzywojennym.

* * *

ROZDZIAŁ I
MOSTEK CIELĘCY RAZ

P i j a n y z d e m o l o w a ł r e s t a u r a c j ę a t r z e ź w i u c i e k l i n i e p ł a c ą c

Do restauracji Borucha Kutnera przy ul. Freta nr 15 przyszedł jakiś podchmielony osobnik i zażądał od właściciela postawienia wódki. Gdy kelner odmówił, wówczas osobnik rzucił się na niego, począł bić, a następnie porwawszy stolik zaczął demolować lokal. Siedzących przy stoliku kilku mężczyzn korzystając z zamieszania opuściło lokal nie płacąc.

Na wszczęty przez kelnerkę alarm przybył policjant, który awanturnika obezwładnił i przeprowadził do komisariatu[2].

* * *

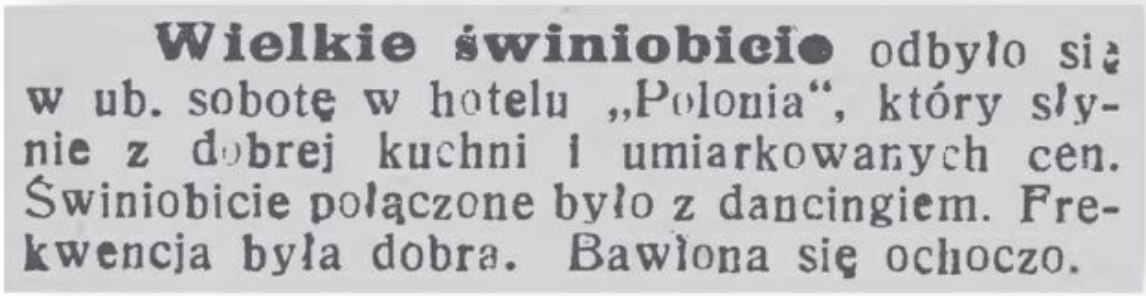

Wielkie świniobicie odbyło się w ub. sobotę w hotelu „Polonia", który słynie z dobrej kuchni i umiarkowanych cen. Świniobicie połączone było z dancingiem. Frekwencja była dobra. Bawiona się ochoczo.

„Frekwencja była dobra" i „bawiono się ochoczo"..., czyli świniobicie z dancingiem. „Gazeta Sępoleńska", rok 1938.

ROBAK W ZUPIE

Na kulinarnej mapie przedwojennej Polski, a zwłaszcza Warszawy, nie brakuje miejsc, gdzie nawet najwybredniejszy smakosz rozpłynie się nad kulinarną maestrią serwowanych potraw. Któż temu zaprzeczy? Restauracja U Wróbla słynie z flaków, a najlepszą dziczyzną chwali się Pod Bachusem. Hotel Europejski i mieszcząca się w nim restauracja podaje wyszukaną kuchnię francuską, Simon i Stecki słynie z pasztetu z zająca, a Sielanka z raków w śmietanie.

Bon appétit, Warszawo! I nie tylko Warszawo, bo na wykwintne lokale można było w tamtym czasie natrafić we Lwowie, Wilnie, Poznaniu, Łodzi i Krakowie. Jedyna w swoim rodzaju jest chociażby restauracja prowadzona przez Stanisława Wierzbickiego w Radomiu. Zamawia się tam często nie z karty, ale z… głowy. I ponoć – a zapewniał o tym bodaj największy obok Franciszka Fiszera i Bolesława Leśmiana smakosz II RP, aktor Władysław Walter – każde wymyślone przez gościa danie zawsze trafia na talerz. Ot, magicy.

O kulinarno-towarzyskich wizytówkach przedwojennej Polski, Małej Ziemiańskiej, Adrii czy łódzkiej Tivoli, napisano dotąd wiele, niemniej nie da się ukryć, że kameralne restauracje i kawiarnie, goszczące w swych progach elity, ukazują jedynie część prawdy o gastronomicznej sferze życia przedwojennej Polski.

Nie znajdziesz tam chociażby karalucha, stworzenia niezbyt miłego człowiekowi, a w sprawach szeroko pojętej sztuki kulinarnej międzywojnia odgrywającego, jak się okazuje, rolę bez wątpienia kluczową. Brzydki szkodnik potrafi zrobić restauracji taką reklamę, że właściciel nierzadko w ciągu tygodnia jest zmuszony zwinąć interes. Niewiele brakowało, aby ofiarą afery robakowej padł lokal przy ulicy Marszałkowskiej, do którego pewnego dnia zawitał urzędnik starostwa powiatowego w Warszawie, pan Jan Jasiński. Proszę sobie wyobrazić – ów jegomość pałaszuje ze smakiem znakomicie wypieczone mięsko

i wszystko zapewne skończyłoby się szczęśliwie, gdyby w fasce z chrzanem nie zauważył wielkiego karalucha. Taki widok musi się spotkać z ostrym sprzeciwem klienta, bo chociaż panu urzędnikowi godzi się zalewać robaka, zjadać go to już zupełnie co innego. Na nic zdadzą się tłumaczenia właściciela restauracji, na nic zrzucanie winy na dostawcę chrzanu – Jasiński wzywa policję, a funkcjonariusz spisuje protokół o przykrej treści.

Zaniedbał sprawę pan restaurator. Zaniedbał i będzie się ze swych uchybień gęsto tłumaczył w sądzie grodzkim. Nie on jeden zresztą, bo insekty zadomawiają się w wielu przedwojennych piekarniach i restauracjach. Dość powiedzieć, że dwaj studenci Uniwersytetu Warszawskiego właśnie do takich miejsc skierują swe kroki w pierwszej połowie lat trzydziestych w poszukiwaniu owadów niezbędnych do przeprowadzenia eksperymentów naukowych. Panowie dobiją targu z kucharzem jednej z warszawskich restauracji, który pięknie odkarmione karaluchy odsprzeda im w cenie piętnastu groszy za sztukę. Zresztą podobnej transakcji mają okazję dokonać studenci w pewnej piekarni. Zatrudniony tam piekarz najpierw przyznaje, że owszem, karaluchów u niego dostatek i chętnie je odsprzeda, ale potem – w obawie, że ma do czynienia z inspekcją sanitarną – wycofuje się z biznesu i wyprasza młodzieńców za drzwi.

Z tymi grasującymi po restauracjach insektami to niekiedy dziwna sprawa, a wina nie zawsze leży po stronie właściciela. Zdarza się i tak, że karaluchy pojawiają się w dość tajemniczych okolicznościach i to pomimo wysiłków personelu pragnącego utrzymać lokal w należytej czystości. O tym, że w biznesie gastronomicznym wszystkie ciosy są dozwolone, boleśnie przekona się pani Janina Goszczyńska, właścicielka restauracji na rogu ulic Kopernika i Tamki, lokalu znajdującego się w sąsiedztwie areny walk zapaśniczych i przez publikę tychże niezwykle cenionego. Ponieważ interes idzie pani Goszczyńskiej znakomicie, szybko znajdą się tacy, którzy zechcą zająć jej miejsce, a przedtem doprowadzić nieszczęsną kobietę do ruiny. W lokalu coraz częściej pojawiają się nigdy dotąd niewidziani

goście, a każdy z nich narzeka a to na prusaka w bigosie, a to na karalucha w grochówce. Cóż z tego, że robaczek okazuje się jedynie ciemno przysmażoną słoniną, skoro w związku z licznymi zgłoszeniami w restauracji co rusz zjawia się policja, a zrozpaczona pani Goszczyńska składa niekończące się wyjaśnienia, coraz bardziej pogrążając się w oczach klientów.

KLIENT AWANTURUJĄCY SIĘ

Zapewne pamiętają państwo słynną scenę z kultowej komedii Stanisława Barei *Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz*? Tę, w której dyrekcja sklepu spożywczego umieszcza na tablicy fotografię „klienta awanturującego się”? Otóż, *nihil novi*, bo już w dwudziestoleciu międzywojennym lokale gastronomiczne w podobny sposób radzą sobie z niesforną klientelą.

Nader często zdarza się bowiem tak, że jegomość zamawia kolację, pałaszuje ją ze smakiem, lecz gdy przychodzi do uregulowania rachunku, zaczyna narzekać na karaluchy pływające w zupie, na nieświeże pieczywo, na szczury biegające po podłodze, a niekiedy korzystając z nieuwagi personelu, podrywa się z krzesła i wybiega przez drzwi, pozostawiwszy kelnera bez pieniędzy, w związku z czym biedak jest zmuszony zapłacić za posiłek darmozjada z własnej kieszeni. Inni z kolei po wypiciu kilku głębszych są gotowi góry przenosić, co zwykle kończy się nieprzyjemną awanturą, a to nie przynosi restauracji pożądanego rozgłosu.

Ponieważ utarczki z takimi klientami spędzają restauratorom sen z powiek, w połowie lat trzydziestych ktoś wpadnie na pomysł stworzenia czarnej listy, swoistej ściągi dla kelnerów zawierającej rejestr osób sprawiających kłopoty w lokalach gastronomicznych. „Przy każdem nazwisku będzie zamieszczona fotografia darmozjada. Albumy mają być sporządzone w porozumieniu z władzami”[3] – informuje prasa.

Czy na podobnej liście umieszczono fotografię słynącego z osobliwego poczucia humoru Romana Jasińskiego, tego nie wiem. Przypuszczam, że nie, bo dowcip znanego pianisty może

i był nieco abstrakcyjny, ale nie miał w sobie ani krzty impertynencji. Opowiadano przed wojną, jak to Jasiński wpadł pewnego dnia do restauracji Simona i Steckiego, połknął ze smakiem sztukę mięsa, popił szklanką piwa, aż wreszcie syty i zadowolony poprosił o rachunek.

Kelner z uśmiechem na twarzy oznajmił: „Należy się pięć złotych i czterdzieści groszy", na co Jasiński kiwnął głową ze zrozumieniem, po czym wyjął z portfela… pięć plasterków salami, cztery plasterki kiełbasy polędwicowej i z pietyzmem ułożył te garmażeryjne banknoty obok talerzyka. Nie zapomniał nawet o napiwku dla kelnera w postaci plasterka kiszki pasztetowej. O tym, czy personel lokalu docenił żart, kroniki milczą.

Na Jasińskiego nie sposób się obrazić, co innego na Stanisława „Cata" Mackiewicza. Tego w Warszawie nie lubi żaden właściciel restauracji, bo choć pisarz należy bez wątpienia do grona osób słynących z zamiłowania do dobrej kuchni, nawykłemu do kresowych zwyczajów literatowi nikt tu nie może wybaczyć nieustannych narzekań na kuchnię serwowaną w Kongresówce i tego, że podczas przeglądania karty gość ze wschodu Polski okazuje swą niechęć nadzwyczaj ostentacyjnie. Irytuje Mackiewicz stołecznych restauratorów, irytuje, bo nie potrafi pojąć, że Warszawa rządzi się własnymi zwyczajami kulinarnymi i na przykład do zamówionej przez klienta wódki nie podaje się tutaj gratis całego słoika ogórków kiszonych.

Na żarty Jasińskiego przymyka się oko, a i malkontenta Mackiewicza zbyć można pobłażliwym uśmieszkiem, gorzej gdy klient zapomina o podstawowych zasadach savoir-vivre'u i przeszkadza w zabawie pozostałym gościom. Legendarny kierownik Adrii, Franciszek Moszkowicz, ma sprawdzone metody na klientów przekraczających granicę dobrych manier. Jedną z nich jest prywatna winda, oddana do dyspozycji kierownika, do której to pod byle pretekstem zwabia Moszkowicz największych awanturników. Kiedy gagatek trafi do środka, już głowa w tym pikolaków zatrudnionych w lokalu, aby

resztę nocy hultaj spędził w windzie, kursując między parterem a szóstym piętrem. Inny fortel pana Moszkowicza polega na wysmarowaniu musztardą stołka barowego, na którym siedzi hucpiarz. „Przepraszam, ale zdaje się, że się pan dziedzic sfajdał”[4] – szepce dyskretnie Moszkowicz, a potem patrzy z rozbawieniem, jak awanturnik uchodzi z lokalu w niesławie.

Przedwojennym restauratorom sen z powiek spędzają nie tylko darmozjady, awanturnicy, oszuści bez grosza przy duszy czy nieuczciwi konkurenci gotowi podrzucić kilka tłustych karaluszków, bywa niekiedy i tak, że zawodzą ich ci najbardziej zaufani – kelnerzy i kucharze.

W 1934 roku dochodzi w Warszawie do nietypowego strajku zainicjowanego przez czterystu czterdziestu kucharzy. Proszę sobie wyobrazić, jaka to siła, proszę sobie wyobrazić, iluż Bogu ducha winnych mężów wskutek awantury wszczętej przez mistrzów rondla zostaje zmuszonych do stołowania się w zaciszu domowym i przeżuwania twardych jak kamień kotletów. Na nic apele restauratorów, na nic prośby klientów, sprawa okazuje się poważna, a uparci szefowie kuchni domagają się ośmiogodzinnego dnia pracy, dwutygodniowych urlopów i podwyżek (odpowiednio: dla kucharzy pracujących w kabaretach i na dancingach – 150 złotych tygodniowo; dla zatrudnionych restauracjach i klubach pierwszej klasy – 100 złotych tygodniowo; w dla gotujących w lokalach mniej prestiżowych – 80 lub 60 złotych). Ponieważ właściciele restauracji ani myślą godzić się na warunki przedstawione przez „komitet”, dochodzi do strajku, a przy tym do szeregu zabawnych sytuacji. Na przykład 13 czerwca kucharze wpadają do lokalu przy Bagateli 10 i porywają kuchmistrza Jackowskiego, który wbrew nakazowi ogółu nie zamierzał zdjąć fartucha i wesprzeć swoją skromną osobą strajkującej komitywy.

A jakże to tak, łamistrajku, kiedy oni przelewają krew i zupę, kiedy walczą o lepsze jutro, ty za nic mając honor szefa kuchni, wciąż wydajesz kelnerowi kolejnego *de volaille’a*? Na porwaniu wspomnianego kuchmistrza nie zakończy się warszawska

awantura, bo następnego dnia bojówka utworzona ze strajkujących kucharzy wyrzuca kelnerów z restauracji Herbsta przy ulicy Moniuszki, a innego łamistrajka zatrudnionego w Bristolu siłą odprowadza do domu, grożąc przy tym porachowaniem kości. O tym, czy kucharze byli uzbrojeni w chochle i rondle, prasa milczy, zdaje się jednak, że strajkujący odnieśli pewien sukces, bo pod koniec czerwca gazety poinformują czytelników, że właściciele dwudziestu pięciu mniejszych restauracji zgodzili się na stawiane warunki, a kucharze wrócili do pracy.

ZAKLĘTE REWIRY

Jeśli przyjdzie komuś do głowy narzekać na poziom obsługi w wielkomiejskich restauracjach, niechaj dla porównania wybierze się do lokalu znajdującego się na peryferiach metropolii, najlepiej zlokalizowanego w sąsiedztwie letnisk lub pensjonatów, odwiedzanych ochoczo przez mieszkańców miast w niedziele i dni wolne od pracy.

Jedną z takich prowincjonalnych restauracji, mieszczącą się w podwarszawskiej miejscowości letniskowej, odwiedza latem 1936 roku dziennikarz „ABC: Nowiny Codzienne”, a wizyta ta zarówno panu redaktorowi, jak i czytelnikom gazety zapisze się w pamięci na długo.

Do wnętrza lokalu mieszczącego się w próchniejącej drewnianej budzie prowadzi droga przez nadgryzioną zębem czasu i potwornie skrzypiącą werandę, na której gości oczekuje, głośno przy tym ujadając, zapchlony kundel. Dalej jest niestety tylko gorzej. Kelner w osobie rozczochranego wyrostka robi dobrą minę do złej gry, wita gości szerokim uśmiechem, po czym odkurza zasypane okruchami stoły rękawem podartej koszuli. Klienci siadają na chyboczących się krzesłach, zastanawiając się, czy to aby nie pułapka i czy sfatygowany mebel zdoła utrzymać ciężar dorosłego człowieka. Póki krzesło całe, zapytamy kelnera: „Cóż można tu zjeść?”.

„Mamy wszystko”, odpowiada wyrostek, ale pod słowem „wszystko” kryją się niepierwszej świeżości bigos, sucha kiełbasa, jajecznica i salceson. Nieco większy wybór oferuje bufet (nieśmiertelny sznycel po wiedeńsku, kanapki ze śledziem, misa czereśni, nad którą fruwa chmara much), jednak także to nie wzbudza zaufania, i to nie tylko smakoszy przywykłych do kulinarnego wykwintu Simona i Steckiego.

Ci, którzy rezygnują z obiadu, zadowalają się napojami, a z myślą o spragnionych właściciel restauracji trzyma beczkę z piwem, butelkę wódki, oferuje również mocną herbatę (najpewniej na sodzie) i lemoniadę o mdłym smaku landrynek, a na domiar złego obrzydliwie przy tym ciepłą. Dzieci kusi zaś starymi waflami i wspomnianymi czereśniami robaczywkami.

Entourage’u prowincjonalnego lokalu, w którym gorszy od proponowanego menu jest chyba tylko nieznośny zapach spalenizny, dopełnia rzężąca płyta gramofonowa wydobywająca z siebie chrobot jakiegoś starego szlagieru, a choć nic tu nie jest na swoim miejscu, a sam widok serwowanego jedzenia co wrażliwszych przyprawia o mdłości – do lokalu walą tłumy, wszakże to jedyne w okolicy miejsce, gdzie można coś zjeść i wypić. Niedzielnemu turyście po uczcie w takiej, pożal się Boże, restauracji zostaje ból żołądka i pusty portfel. Ceny są tu bowiem odwrotnie proporcjonalne do doznań smakowych.

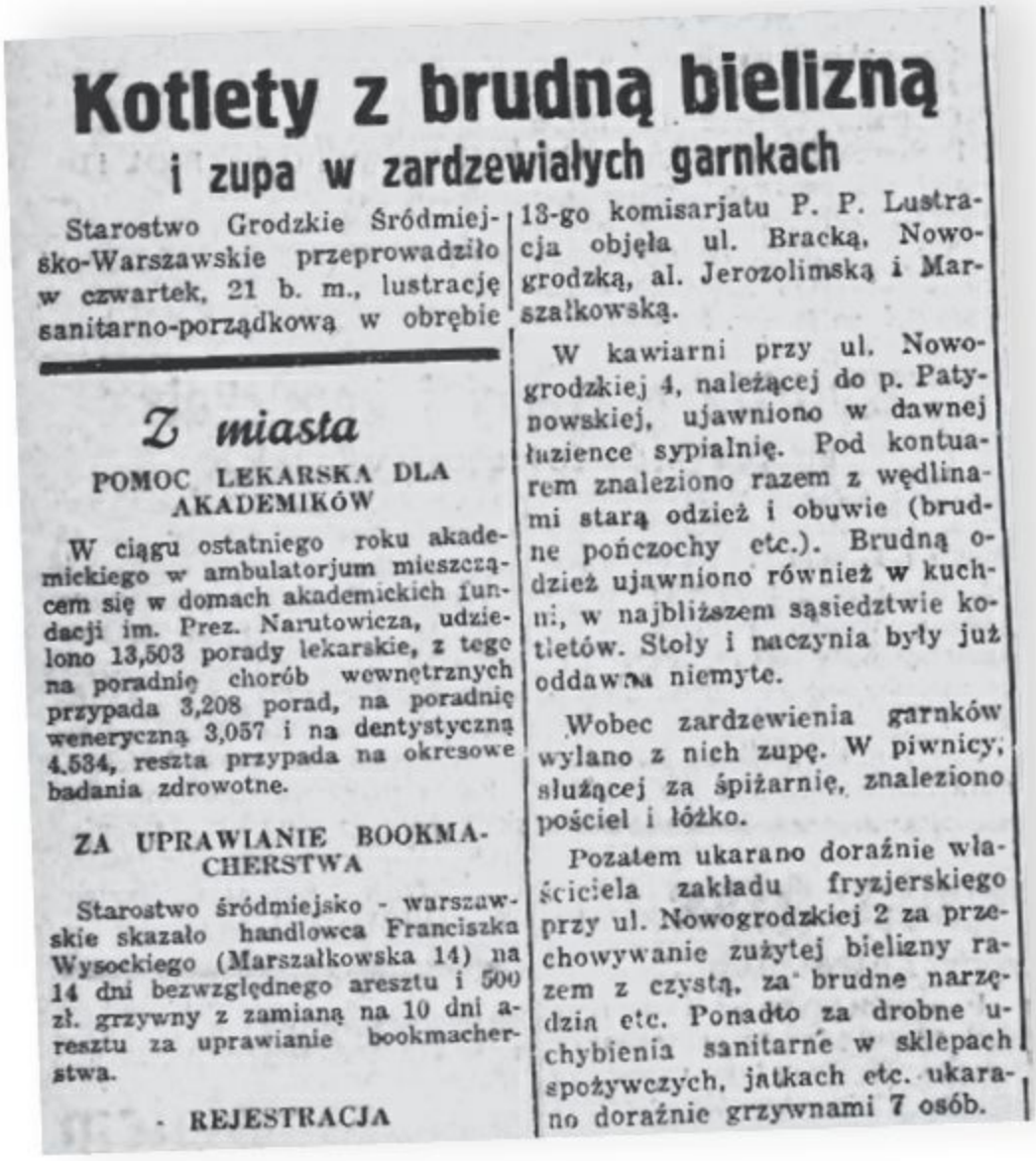

Kotlety z brudną bielizną
i zupa w zardzewiałych garnkach

Starostwo Grodzkie Śródmiejsko-Warszawskie przeprowadziło w czwartek, 21 b. m., lustrację sanitarno-porządkową w obrębie 13-go komisarjatu P. P. Lustracja objęła ul. Bracką, Nowogrodzką, al. Jerozolimską i Marszałkowską.

W kawiarni przy ul. Nowogrodzkiej 4, należącej do p. Patynowskiej, ujawniono w dawnej łazience sypialnię. Pod kontuarem znaleziono razem z wędlinami starą odzież i obuwie (brudne pończochy etc.). Brudną odzież ujawniono również w kuchni, w najbliższem sąsiedztwie kotletów. Stoły i naczynia były już oddawna niemyte.

Wobec zardzewienia garnków wylano z nich zupę. W piwnicy, służącej za śpiżarnię, znaleziono pościel i łóżko.

Pozatem ukarano doraźnie właściciela zakładu fryzjerskiego przy ul. Nowogrodzkiej 2 za przechowywanie zużytej bielizny razem z czystą, za brudne narzędzia etc. Ponadto za drobne uchybienia sanitarne w sklepach spożywczych, jatkach etc. ukarano doraźnie grzywnami 7 osób.

Z miasta

POMOC LEKARSKA DLA AKADEMIKÓW

W ciągu ostatniego roku akademickiego w ambulatorjum mieszczącem się w domach akademickich fundacji im. Prez. Narutowicza, udzielono 13,503 porady lekarskie, z tego na poradnię chorób wewnętrznych przypada 3,208 porad, na poradnię weneryczną 3,057 i na dentystyczną 4,534, reszta przypada na okresowe badania zdrowotne.

ZA UPRAWIANIE BOOKMACHERSTWA

Starostwo śródmiejsko - warszawskie skazało handlowca Franciszka Wysockiego (Marszałkowska 14) na 14 dni bezwzględnego aresztu i 500 zł. grzywny z zamianą na 10 dni aresztu za uprawianie bookmacherstwa.

REJESTRACJA

W przedwojennej Warszawie skosztujemy nie tylko wyśmienitych potraw serwowanych w wykwintnych restauracjach, ale i… zupy z zardzewiałego garnka. „ABC: Nowiny Codzienne” z 1935 roku.

W przedwojennej Polsce podobnych lokali spotkamy setki, co nie znaczy, że władze przymykają oko na restauracje uchybiające podstawowym zasadom higieny, w miarę bowiem możliwości i ograniczonych środków lokale gastronomiczne poddaje się wyrywkowym „lustracjom sanitarno-porządkowym". Niektórych właścicieli urzędnicy zdołają nawet pociągnąć do odpowiedzialności, tak jak panią Patypowską, zarządczynię warszawskiej kawiarni przy ulicy Nowogrodzkiej 4, której nie przeszkadza, że w jednej z łazienek znajdujących się w jej lokalu urządzono sypialnię, że pod kontuarem obok wędlin i kotletów leżą ubrania, brudne buty i damskie pończochy, że zupę gotuje się w starych zardzewiałych garnkach, a w spiżarni stoi łóżko przykryte pościelą niepierwszej świeżości. Tego, kto z kim i za ile tu sypiał, urzędnicy nie dochodzą, ale pani Patypowska może być pewna, że odpowiedni protokół zostanie spisany, to zaś z pewnością nie przysporzy jej sławy.

Cóż jednak, że mnożą się kontrole, a ministrowie wydają kolejne rozporządzenia. Dopóki wśród ludzi nie brakuje entuzjastów takich miejsc, dopóty jak Druga Rzeczpospolita długa i szeroka będą się one miały dobrze. Szczególnym powodzeniem cieszą się knajpy ulokowane w ubogich dzielnicach, po wejściu do których gościa (jeśliś swój) witają oblicza groźne, acz wesołe, sterane życiem, upstrzone bliznami, pamiątkami awanturniczej i nie tak odległej przeszłości. Nie spotkasz tu ani Boya-Żeleńskiego, ani Tuwima (prędzej Władysława Broniewskiego, ale ten to egzemplarz kliniczny), nie uświadczysz gwiazd kina i tak zwanych elit, poznasz natomiast kwiat pobliskich ulic, mieszkańców zakazanych rewirów, lokatorów suteren i ruder zapomnianych przez Pana Boga, a jeśli masz szczęście, to i słynnych apaszów, królów lokalnego *unterweltu*.

Znamienne jest, zauważy jeden z ówczesnych warszawskich dziennikarzy, że niemal w każdej z tych knajp (zwykle nazywają się: Pod Kogutem, Pod Dzwonem, Pod Jeleniem) rządy sprawuje jakowaś matrona w osobie zaokrąglonej na twarzy pani Marysi

lub Hanki, która każdego klienta zna osobiście, potrafi z uśmiechem przyjąć najordynarniejszy dowcip, a ponadto zawsze pamięta, komu i czego nalać do szklanki lub kieliszka.

Nikt Pod Kogutem czy Pod Pijanym Marynarzem nie narzeka na starą kiełbasę, na brud, okruchy na stole i odór stęchlizny, wszyscy też gwiżdżą sobie na doniesienia prasy o podrabianym piwie, zresztą kufelek kosztuje tu zaledwie trzydzieści groszy, a po kilku głębszych każda szklanica smakuje równie źle.

A jeśli komuś nie po drodze i karczmę Pod Fartuszkiem woli ominąć szerokim łukiem, niech chociaż zajdzie do przedwojennej cukierni mieszczącej się na prowincji. Cukierniami przedsiębiorstwa te są wyłącznie z nazwy, w istocie bowiem to sklepy spożywcze przemianowane podstępem na cukiernie, aby właściciel mógł handlować kilka godzin dłużej. Większością tych trefnych cukierni zarządzają Żydzi, a dostać tu można poza przepisową porcją lodów – zeszyt, śledzia, mąkę, latarkę elektryczną, papierosy, a nawet naftę.

Trudno się dziwić Żydom, że zmieniają szyldy, skoro lokale gastronomiczne lub takowe imitujące otwiera się w dwudziestoleciu międzywojennym, oficjalnie lub nieoficjalnie, także w rozmaitych gmachach użyteczności publicznej, a nawet w budynkach instytucji państwowych. W warszawskim sądzie przy ulicy Nowowiejskiej, oprócz cieszących się powszechnym szacunkiem sędziów Czarneckiego i Podgórskiego, kluczową rolę odgrywa pewne małżeństwo – on piastuje tu funkcję woźnego, ona zaś kucharki przyrządzającej obiady dla pracowników. Za cichym przyzwoleniem sądu kucharka częstuje obiadami także petentów, a w związku z tym dochodzi do absurdalnych sytuacji – gdy bowiem po sali roznosi się zapach kapuśniaku, sędzia zarządza przerwę w rozprawie i wszyscy zgromadzeni udają się na posiłek.

O CHLEBIE, MIĘSIE, SŁODYCZACH I POLSKIM EKSPORCIE

Walczą o klienta lokale gastronomiczne, walczą wszelkimi dostępnymi środkami również piekarnie, a bój to zawsze zażarty,

podczas którego nikt nie bierze jeńców. Nie sposób dziś stwierdzić, na ile prawdziwe były doniesienia prasy o rywalizacji piekarni żydowskich z chrześcijańskimi, coś jednak musiało być na rzeczy, bo nader często słyszy się w latach trzydziestych, że na przykład osobnik nasłany przez Żyda zakupił pieczywo u chrześcijanina z piekarni przy Freta 31, a potem rozpuścił plotkę o odnalezionym w nim karaluchu. I mniejsza o to, że po chwili okaże się, iż to nie karalucha, a rodzynkę odkryto w pieczywie – wieść obiega okolicę, postawiony pod ścianą właściciel piekarni musi się tłumaczyć, przepraszać, a niekiedy i słono płacić takiemu gagatkowi za milczenie.

Gwoli ścisłości należy dodać, że istotnie ówczesne piekarnie miewają poważne kłopoty z utrzymaniem należytej czystości, a w 1934 roku odpowiednie służby przeprowadzą w Warszawie w związku z tym specjalne dochodzenie. Nielegalnie założone piekarnie i niechlujni piekarze wpadają w jego skutek w tarapaty, trudno jednak znaleźć cokolwiek na ich obronę, lista zaniedbań jest bowiem długa.

W piekarni Salomona Sztucynera przy ulicy Siedleckiej 50 z kotła używanego do wyrabiania ciasta urzędnicy wyławiają… garderobę, a w należącej do Kazimierza Chudzińskiego piekarni przy ulicy Bugaj 7 pracownicy mają w zwyczaju ucinać sobie drzemkę na workach z mąką i to w samej bieliźnie. Z kolei przy ulicy Długiej 12 w piekarni Klemensa Lade ciasto trzymają w brudnych koszach. W sumie wskutek przeprowadzonych inspekcji na czarnej liście wyląduje dwanaście nazwisk, lecz powinno ich być znacznie więcej. Dwa lata później oddział aprowizacyjny Komisariatu Rządu powtórzy, jak to się zwykło wówczas mówić, „lustrację sanitarną”, teraz obierając za cel piekarnie mieszczące się na peryferiach miasta. I tym razem w protokole inspektorzy zanotują wiele nazwisk, między innymi właściciela piekarni przy ulicy Głogowej 26, gdzie do wypieku pieczywa stosuje się zakazaną sól bydlęcą i brudną wodę ze studni, czy właściciela piekarni przy ulicy Grochowskiej 29, którego zakład opanował rój stonóg i gdzie upieczony chleb

stygnie na brudnym podwórzu, w bezpośrednim sąsiedztwie stajni.

O jakości chleba spożywanego przez mieszkańców przedwojennej stolicy najlepiej świadczy informacja, że jedynie dziewięćdziesiąt dziewięć warszawskich piekarni z ogólnej liczby trzystu czterdziestu spełnia wymogi sanitarne i – co za tym idzie – otrzymuje zgodę na kontynuowanie działalności. Nic zatem dziwnego, że działający w stolicy związek robotników spożywczych opracuje wkrótce „dziesięć przykazań o higjenie", które nakazuje się właścicielom firm umieścić w każdej piekarni. „Dekalog piekarza" wspomina o regularnym czyszczeniu podłóg, myciu rąk i noszeniu fartucha, przypomina również piekarzom: „nie spluwaj na podłogę; we wszystkich pomieszczeniach winny być spluwaczki z wodą, codziennie opróżniane i myte"[5].

Z piekarzami i ich niesubordynacją problem mają nie tylko w stolicy. Cóż z tego, że piekarze warszawscy spluwają na podłogę, skoro ich koledzy z Wielkopolski wypiekają chleb z dodatkiem… arszeniku. Fakt, nie wszyscy, ale jedna piekarnia w Grodzisku należąca do pana Tietzmana czyniła to ponad wszelką wątpliwość. Ponoć to w wyniku tragicznej pomyłki do mąki wsypano tam trutkę na szczury, w każdym razie w efekcie dodania trującej „przyprawy" jedna osoba umrze, a kilkadziesiąt innych ulegnie poważnemu zatruciu.

Względy sanitarno-higieniczne i liczne zaniedbania na tym polu powodują, że urzędnicy mają szerokie pole do popisu. Śmieszny wydaje się dzisiaj chociażby ogłoszony na początku października 1931 roku zakaz handlu w jednym miejscu zarówno mięsem surowym, jak i wędlinami, wówczas jednak uważano, że ze względów sanitarnych taką sprzedaż należy rozdzielić, a przy okazji wydano zakaz załatwiania rachunków w miejscu sprzedaży, a więc przyjmowania pieniędzy i wydawania reszty. Wszystko po to, aby nie powtórzyła się sytuacja z roku 1930, kiedy to dwaj bracia rzeźnicy zajmujący się dostawą mięsa dla wojska zatruli około trzystu osób z dwóch jednostek wojskowych mieszczących się na Pomorzu. Uwierzą

państwo albo i nie, ale handlarze ci poczęstowali naszych żołnierzy zepsutym mięsem oraz wędlinami, z których część wyrobiono ponoć z padliny, zdaje się w myśl zasady, że żołnierz nie grymasi, żołnierz zje wszystko, co mu się poda.

Nielegalnie działające piekarnie i masarnie to jedynie czubek góry lodowej, w dwudziestoleciu międzywojennym powstaje bowiem wiele innych spożywczych niezarejestrowanych przedsiębiorstw produkujących wątpliwej jakości artykuły. Należą do nich producenci podrabianych słodyczy, często wytwarzanych w domowych warunkach urągających wszelkim zasadom higieny. Czekolady i cukierki pakuje się tam w podrabiane etykiety i sprzedaje po cenach niższych niż w sklepach. W mieszkaniu Hersza Safra przy Bonifraterskiej 27 wyrabia się czekoladę Noblesse obliż, Zelik Tekel z ulicy Nowowiniarskiej 16 słynie z irysów Piwonia, z kolei Szymon Libowski po odkupieniu spalonej fabryki przy ulicy Ogrodowej 9 produkuje czekoladę Sułtańską oraz chałwę Stambully.

Producenci domowych słodyczy, które w pierwszej połowie lat trzydziestych zalewają polski rynek, mieli może i słodką karierę, ale koniec całkiem gorzki, bo na trop wielu takich cwaniaczków wpadną w swoim czasie władze, które wydadzą wojnę także prywatnym przedsiębiorcom (w pojęciu przedsiębiorca mieści się także pojedynczy handlarz i wytwórca) produkującym lód do celów spożywczych. „Cóż złego może być w takim lodzie?”, zapytają państwo. Otóż nierzadko pochodzi z zanieczyszczonych źródeł, na przykład z brudnych sadzawek i stawów, a w związku z tym jego spożywanie grozi epidemią czerwonki i duru brzusznego. By temu zapobiec, w 1934 roku władze ogłaszają rozporządzenie ministra opieki społecznej o barwieniu lodu sztucznego. Brzmi zabawnie, niemniej zamysł ustawodawcy wydaje się niepozbawiony sensu, tym bardziej że użyty do tego celu barwnik nie zmieniał ponoć smaku lodu, nie zawierał też żadnych składników szkodliwych dla zdrowia, a miał w założeniu ministerstwa pomóc konsumentom odróżniać czysty lód od brudnego. A zatem kolorowy lód górą.

Pomimo wszystkich tych problemów polska żywność cieszy się powodzeniem za granicami kraju, z rzadka jedynie wywołując międzynarodowy skandalik, do czego niestety dochodzi na początku stycznia 1929 roku. A wszystko to za sprawą eksportu siedmiu wagonów polskiego masła do Anglii. Zdawałoby się, że tak poważna transakcja (o wartości czterystu czterdziestu tysięcy złotych) zostanie przez stronę polską potraktowana z należytą starannością, niestety nad Tamizą okazuje się, że nie prawdziwym polskim masłem uraczyli Anglików nasi przodkowie, ale wyprodukowanym przez warszawski syndykat maślany niepierwszej świeżości wyrobem margarynopodobnym, zawierającym ponoć jakieś substancje szkodliwe dla zdrowia. Anglik może i miewa osobliwe zwyczaje żywieniowe, ale cuchnącego masła ani myśli tknąć, na domiar złego sprawa przykuwa uwagę angielskiej Izby Gmin, co z pewnością nie zjednało nam sympatii, tym bardziej że kilka miesięcy wcześniej wysłaliśmy Anglikom skrzynie ze zgniłymi jajami, Duńczykom – wątłe gęsi, a Niemcom i Czechom – chore świnie. Zwykle odpowiedzialność za podobne uchybienia ze strony polskiej spoczywa na tworzonych *ad hoc* syndykatach, których członków prasa nie bez powodu nazywa „pomysłowymi aferzystami”, i to oni przede wszystkim przyczyniają się do tego, że za granicą mówi się od czasu do czasu o „polskim zgniłym eksporcie”.

* * *

ROZDZIAŁ II
MAGICZNE MIĘDZYWOJNIE

C z y p a n (i) w i d z i a ł (a) d u c h a ?

W. Panie Redaktorze!

W odpowiedzi na ankietę przesyłam opis zjawisk jakie miały miejsce w mojej rodzinie. […]

31 września żona moja zawołała mnie tajemniczo do spiżarni mówiąc: „W spiżarni, jak u zegarmistrza”!

Wszedłem tam i oniemiałem z podziwu! Kilkanaście niewidzialnych zegarków „szło” równocześnie na wielu punktach spiżarni, głosy niezwykle subtelne i miłe, w różnych tonach, robyły wrażenie świergotu miniaturowych ptasząt.

Redakcja odpowiada: *Opowieść nadzwyczaj dziwna, ale literatura medjalna zna podobne fakty zagadkowych, a zupełnie bezsensownych szmerów. Tłumaczyć to zjawisko, jeżeli nie było tylko subiektywnem, nie było tylko halucynacją słuchową, nie próbujemy. Jeśli było realnem, byłoby przykładem medjumicznych stuków*[6].

* * *

ZA JEDNĄ ZŁOTÓWKĘ POZNASZ PRZYSZŁOŚĆ

Istotnie, droga redakcjo, zna literatura podobne fakty bezsensownych szmerów…

Spacerując po osobliwych zakątkach przedwojennej Polski, nie sposób nie zajrzeć za kulisy sfery magicznej, wszakże stanowi ona nieodłączny element międzywojennego krajobrazu,

a z usług wróżek i hipnotyzerów korzysta nie tylko tak zwana ciemnota, lecz także najświatlejsi obywatele II RP na czele z Piłsudskim. Na darmo upomina ksiądz z ambony, że to występek przeciw Bogu, rozumowi i społeczeństwu – Polskę zalewa fala zawodowych wróżbitów, okultystów, mediów, prestidigitatorów, trefnych psychoanalityków, magów i hipnotyzerów. Uciec przed nimi nie sposób.

W Warszawie na rogu ulic Nowowiejskiej i Śniadeckich, w kamienicy na trzecim piętrze przyjmuje klientów znana warszawska sybilla Mira W. Nie lubi, gdy nazywa się ją wróżką, swój dar traktuje jako powołanie. A że zarabia na powołaniu, to i cóż z tego, wszak trzeba z czegoś żyć. „Leczę duszę i prostuję ścieżki", mówi o swoim posłannictwie, a dom jej, nazywany przez niektórych „ortopedycznym zakładem dla dusz", odwiedzają między innymi elity intelektualne stolicy, wśród których sporą grupę stanowią literaci.

Chociaż wróżbitka to ucieleśnienie łagodności, niech tylko ktoś pozwoli sobie na niewybredny żart na temat jej kapłaństwa. W takim przypadku, nie przebierając w słowach, wyprasza Mira W. impertynenta za drzwi i rzuca pod jego adresem kilka siarczystych obelg. Pozostałych, po poczęstunku składającym się z kiepskiej kawy i tanich ciastek, zaprasza zaś do stołu. Zajmuje zatem gość miejsce naprzeciw wróżki, kobieta chwyta go delikatnie za opuszki palców i spoglądając prosto w oczy, zalewa potokiem słów. Nietrudno ulec jej czarowi, nawet jeśli klient przejawiał z początku pewną dozę sceptycyzmu.

Wykorzystywany przez wróżkę tak zwany system małej astrologii, ten sam, z którego czerpią uliczne baby wróżbiarki czy „aparaty magiczne" w lunaparkach[7], opiera się na zasadzie, że każdy dzień w roku podlega działaniom planety, to zaś niesie za sobą pewne właściwości i definiuje przyszłość.

W drugiej połowie lat dwudziestych prasa donosi: „Rozspirytyzowana i rozmedjumizowana Warszawa szaleje"[8]. Szaleje i traci głowę. Prawda, trafiają się sceptycy, zdarzy się chociażby, że grupa przyjaciół uda się do wróżki, a gdy po

„odprawieniu czarów” kobieta zażąda zapłaty, roześmiani panowie zapytają: „A to nie umiałaś sobie wywróżyć, że ci nie zapłacimy?”. Dla większości jednak zainteresowanych spotkanie z „kapłanem przyszłości” urasta do rangi ważnego ceremoniału. Policji i urzędów boją się te dziwy, z dziennikarzami rozmawiają niechętnie. „Przeważnie chodzi o sprawy miłosne i kradzieże domowe”, tłumaczy wróżka, która w drodze wyjątku zgodziła się porozmawiać z dziennikarzem (oczywiście nie za darmo). Każda z nich zapewnia, że nie jest oszustką, że pobierała nauki od hinduskich joginów, że studiowała kabałę i astrologię, a wiedzę na temat chiromancji zasięga od najlepszych w tym fachu. Każda wróży z kart, z magicznej kuli, z dłoni lub snów. I skubie jeleni…

„Nie wszyscy wiedzą o tym, że stolica nasza, eksportuje jednak na cały świat astrologów, media spirytystyczne i cudotwórców. […] W każdej kamienicy urzęduje jakiś grafomano-astrolog i wyciąga od kucharek ostatnie grosze […]. Gorzej, że wysoko postawione osoby również każą sobie robić horoskopy. I na losy państwa wpływ wywiera ni mniej ni więcej tylko jakiś «rak», który wlazł na «panny», lub «ryba», która sama żywcem wlazła na «wagę». Stąd pewnie tyle mamy w polityce upartych «baranów» i tak często zdarzają się «byki»”[9], napisze z przekąsem w *Kronikach tygodniowych* Antoni Słonimski.

Jeden z najsłynniejszych jasnowidzów II RP, Stefan Ossowiecki, na zdjęciu w swoim mieszkaniu. Z jego usług korzystali inteligenci, artyści, wojskowi, a nawet polscy politycy. Warszawa, 1932 rok.

Ponoć Witold Grabowski, piastujący urząd ministra sprawiedliwości, osobiście uczestniczy w drugiej połowie lat trzydziestych w seansach spirytystycznych prowadzonych przez najsłynniejszego jasnowidza II RP, Stefana Ossowieckiego, a odbywających się u samego marszałka Rydza-Śmigłego. W to, że słynny chiromanta zdołał podczas jednego z takich spotkań przywołać ducha Józefa Piłsudskiego, zgromadzeni nie mają powodu wątpić przede wszystkim dlatego, że Marszałek, za pośrednictwem jasnowidza, zwymyśla w żołnierskich słowach Rydza-Śmigłego. A i sam Piłsudski, jako się rzekło, przejawiał za życia słabość do sfery magicznej, zresztą to na jego żądanie wezwano Stefana Ossowieckiego na miejsce zabójstwa wachmistrza Stanisława Korzymy pełniącego służbę w Belwederze, zamordowanego w nadzwyczaj tajemniczych okolicznościach. Jasnowidz co prawda odnajdzie kule i łuski, lecz zagadki zbrodni rozwikłać ostatecznie nie zdoła.

CZEKA PANA WIELKI MAJĄTEK

Na wróżki i jasnowidzów natknąć się można w międzywojniu niemal na każdym kroku, swoją działalność prowadzą w dużych miastach i na prowincji, najpopularniejsi spośród nich ogłaszają się nawet w prasie, i to zarówno w „Ikacu”, jak i prawicowo-radykalnym „ABC”.

Na łamach tej drugiej gazety reklamuje się w 1936 roku jeden z najsłynniejszych jasnowidzów-grafologów – Womouth, Mistrz Międzynarodowego Instytutu Wiedzy Tajemnej. Mister Womouth jest posiadaczem jedynego na kuli ziemskiej kamienia promieniującego fluidami astralnymi, dzięki któremu jasnowidz w trakcie transu może zgłębić wszelkie tajemnice teraźniejszości i przyszłości. Jeśli zatem szukają państwo miłości, pragną rzucić nałóg, wygrać na loterii lub zwyczajnie chcieliby dowiedzieć się, co przyniesie jutro – piszcie do jasnowidza Womoutha (Kraków, ulica Piłsudskiego 21). Proszę jedynie pamiętać o dołączeniu informacji o dacie urodzin i stanie cywilnym, ponadto należy

włożyć do koperty pukiel swoich włosów i jedną złotówkę. Na list zwrotny można liczyć w ciągu czterech dni roboczych.

Moda na odkrywanie przyszłości ogarnia całą Polskę, dość powiedzieć, że bestsellerem księgarni i antykwariatów mieszczących się w Warszawie na ulicy Świętokrzyskiej staje się w tym czasie książka pod tytułem *Tajemnica czarnej i białej magii*, a nie mniejszą popularnością niż utwory Dołęgi-Mostowicza czy Rodziewiczówny cieszą się senniki. Warto dodać, że na seanse telepatyczne, podczas których młody, a już znany w Polsce Władzio Żwirlicz zgaduje, co też szanowny pan ukrył w kieszeni, walą tłumy, podobnie zresztą jak na występy Jadwigi Domańskiej, słynącej z kontaktów z zaświatami, ba, z samym nawet duchem Juliusza Słowackiego. Nierzadko podczas tychże seansów spirytystycznych ludzie za pośrednictwem jasnowidzów kontaktują się z zaświatami, skąd czerpią wiedzę na temat giełdy, walut, wyników sportowych i przyszłości rządu.

Ciekawym indywiduum wśród spirytusów jest, znany zwłaszcza mieszkańcom północnej części Warszawy, Jakób Kaszemacher posługujący się pseudonimem Mister Dżek. Jasnowidz chełpi się tym, że to on wywróżył Rooseveltowi przed laty fotel prezydenta USA. Jak na ironię nie zdoła jednak przewidzieć, że opuści go żona, a na domiar złego wyprze się wiary przodków. Ponieważ pan Kaszemacher dba o reputację, postanawia porwać żonę, przewozi ją taksówką do rabinatu i tam zmusza biedaczkę do nawrócenia, wskutek czego w 1934 roku zasiądzie na ławie oskarżonych. W trakcie rozprawy publiczność zostanie zaznajomiona z pikantnymi szczegółami z życia Mister Dżeka, dowie się między innymi o jego skłonnościach do obnażania się w miejscach publicznych, czym nasz bohater niespecjalnie się przejmie, co więcej, należycie wykorzysta rozgłos związany z procesem.

Na dobrą reklamę może liczyć również Jarosz Karten, słynny – jak rozpowiada w Toruniu jego impresario – „grafolog i jasnowidz”, który przybywa do Polski na gościnne występy w połowie stycznia 1930 roku. O jego kompetencjach

poświadczają prezentowane wycinki prasowe, z których wynika, że nawet sam prezydent Rzeczpospolitej ceni i szanuje zdolności wiedeńczyka wychowanego na Węgrzech. Specjalnością pana Kartena są tak zwane transy kataleptyczne, podczas których odkrywa tajemnice przeszłości i przyszłości.

Przedstawienie przebiega według następującego scenariusza: jasnowidz staje przed lustrem, natęża wzrok, a potem zapada w sen (impresario roztropnie podsuwa mu w tym momencie leżankę). Po chwili mężczyzną poczynają wstrząsać drgawki i w taki sposób wprowadzony w trans pan Karten odpowiada na pytania publiczności – a to o romans pewnej ekspedientki, a to o kradzież cennego zegarka, a to wreszcie o stan zdrowia dżentelmena w okularach.

Śniący na jawie (czy też jawiący we śnie) mistrz ceremonii oznajmia bełkotliwym głosem: „Widzę cienie – teraz żebro! – Koniec płuc? – serce dobre – wytężona praca! – Lat 22 temu śmierć najbliższych – Jest Pan zdrów! Czeka pana wielki majątek!”[10].

Oczywiście za przyjemność zgłębiania tajemnic jutra pan Karten każe sobie słono płacić, a że wśród jego klientów znajdą się tacy, którzy poczują się oszukani, jasnowidz będzie miał okazję odwiedzić stołeczny posterunek policji.

Jeśli państwa wiara w jasnowidzów słabnie, śpieszę donieść, że nie wszyscy obdarzeni darem odkrywania tajemnic przyszłości to wątpliwej reputacji naciągacze. We wsi Miedżna na Lubelszczyźnie okolicznym chłopom wróży z dłoni dwudziestodwuletnia Maria Kosiorek. Dziewczyna cieszy się sympatią mieszkańców wsi, sympatią w pełni zasłużoną, jest bowiem jedną z nielicznych w przedwojennej Polsce wróżek, która za swoje usługi nigdy nie inkasuje zapłaty.

Pod koniec kwietnia 1927 roku panna Kosiorek oświadczy rodzinie, że miała widzenie i jest jej pisana śmierć. Tym razem nikt w wiosce nie da wiary jej słowom, a ludzie ponurą przepowiednię będą sobie tłumaczyć zmęczeniem dziewczyny. Miny zrzedną im jednak już dwa dni później, w środowe

popołudnie, gdy panna Kosiorek poślizgnie się, a upadając, rozbije głowę o próg chałupy. Po upływie kolejnych dwóch godzin od wypadku spełni się czarne proroctwo.

Własną śmierć przepowie również pewien artysta cyrkowy, niejaki pan Kowalski, który – jak można domniemywać – również para się w wolnych chwilach jasnowidztwem. Cieszący się dobrym zdrowiem mężczyzna oznajmia pewnego dnia dyrektorowi cyrku, a dzieje się to w 1933 roku, że zrywa kontrakt i wyrusza do rodzinnego Gniezna, aby tam spędzić ostatnie chwile życia. Po dotarciu do Gniezna artysta sprasza swoich znajomych do eleganckiej restauracji, a podczas kolacji wyznaje, że lada dzień umrze, wieczerza jest w związku z tym swoistym pożegnaniem z przyjaciółmi. Następnie udaje się do zakładu pogrzebowego, zamawia trumnę, a gdy składzik tychże dostarczy ją już do mieszkania, cyrkowiec spowiada się księdzu, bierze gorącą kąpiel, wkłada najlepsze ubranie i… kładzie się w trumnie. Chwilę później, a byli ponoć na to świadkowie, jest już martwy. Tego, w jaki sposób cyrkowiec przepowiedział swoją śmierć, ani policja, ani nikt z jego bliskich nie zdołają ustalić.

Prosty lud dopóty ufa wróżbicie, dopóki ma dowód na jego magiczne talenty. Gdy jednak jasnowidz się myli, niech nie liczy na pobłażliwość. Pewien mieszkaniec podkrakowskiej wsi zwróci się w 1934 roku do znanego warszawskiego chiromanty-astrologa Chaima Szyllera-Szkolnika o pomoc w wygraniu w Loterii Państwowej. Ten weźmie za usługę dwadzieścia złotych i poleci panu Janowi Abratowskiemu kupić los w pewnej żydowskiej kolekturze w Krakowie, która, jak wynika z układu gwiazd, zapewni mu trzysta tysięcy złotych wygranej.

Zupełnie niespodziewanie dla Abratowskiego, a i dla nas, gwiazdy tym razem jednak się mylą i mieszkaniec wsi musi się pogodzić ze stratą stu czterdziestu złotych (sto dwadzieścia złotych za los, dwadzieścia za poradę astrologa). Zgłasza się więc na policję i oskarża (to już bezczelność!) słynnego Szyllera-Szkolnika o oszustwo. Uwierzą państwo czy nie, policja wszczęła w tej sprawie dochodzenie.

W protokole stróżów prawa znajdzie się również nazwisko jasnowidza mieszkającego w Skoroszach. Władysław Bierzwiński cieszy się opinią szanowanego chiromanty, nic zatem dziwnego, że w 1938 roku z jego usług postanowi skorzystać urzędnik, pan Adam Waśniewski. Okradziony przez złodziei mężczyzna wierzy, że znany Mistrz Wiedzy Tajemnej zdoła ustalić nazwiska sprawców, płaci mu więc osiemdziesiąt złotych, a potem zaprasza do swojego mieszkania. Jasnowidz pojawia się z czarnym kotem na rękach, żąda, aby przed lustrem gospodarz zapalił dwie świece, w tym też miejscu stawia sympatycznego czworonoga, a panu Waśniewskiemu zaleca chwycić zwierzę za czarny ogon. Coś jednak idzie niezgodnie z planem, bo kot dostaje nagle napadu szału, rzuca się na gospodarza, dotkliwie go przy tym raniąc, a potem ucieka z mieszkania, co zresztą po chwili czyni także sam magik. A że osiemdziesiąt złotych to nie byle jaki pieniądz, pan Waśniewski upomni się o swoje w komisariacie miejscowej policji.

Wróżbita o podejrzanej reputacji to jednak nie to samo, co wykwalifikowany hipnotyzer, z czym z pewnością zgodziliby się mieszkańcy Ostrowa Wielkopolskiego, którzy w marcu 1933 roku zachwycają się zdolnościami profesora Mefisto. Magik, jasnowidz i hipnotyzer w jednej osobie przybywa do miasta i raczy szanownych ostrowian wielogodzinnymi występami w kinoteatrze Corso. Nikt tu jednak czasu nie liczy, bo profesor Mefisto to szarlatan całkiem czarujący – a to wyciągnie z pustego pudełeczka jakąś piękną błyskotkę, a to opowie uroczą anegdotkę o tym, jak to kiedyś na targu w Aleksandrowie rozbijał pewnej handlarce jajka, a potem z pokruszonych skorupek wyjmował pięciozłotówki (baba tak się tym przejęła, że zwinęła interes i w kącie poczęła rozbijać o bruk wszystkie swoje jaja – niestety bez powodzenia). Jakby komuś było mało, ponoć całkiem udane próby przeprowadza profesor Mefisto z hipnotyzowaniem ludzi i… kur. Gęś, jak twierdzi hipnotyzer, wprowadzić w trans znacznie trudniej, ale i temu podoła nasz słynny kuglarz, na sam koniec rozwikła zaś jeszcze tajemnicę morderczyni Gorgonowej.

Niczego sobie repertuar, niczego sobie…

NA SABACIE

A co powiedzą państwo na najprawdziwszy sabat astrologów przy ulicy Brackiej w Warszawie?

Po wejściu do budynku nic nie zwiastuje, że oto mamy do czynienia z czymś zupełnie nie z tego świata; zwyczajnie – szatnia, zdawkowe uprzejmości przy papierosowym dymku, plotki o ostatnich wygłupach Wieniawy. Znacznie ciekawiej zaczyna się robić za kolejnymi drzwiami prowadzącymi do przestronnej sali otoczonej rzędami krzeseł, na której środku stoi tablica z dziwacznymi znakami wyrysowanymi kredą. I chociaż sympozjum odbywa się pod przykrywką zebrania towarzystwa miłośników wiedzy i przyrody, tutaj wprost czuć działanie sił nadprzyrodzonych.

Pierwszy z prelegentów, jeden z największych w Polsce entuzjastów astrologii – Jan Starża-Dzierzbicki – opowiada zgromadzonym gościom, o jakiej porze dnia najlepiej ubijać interesy, a o jakiej związać się świętym węzłem małżeńskim. Na życzenie uczestników sabatu stawia też pan astrolog horoskopy, z czego – nawiasem mówiąc – korzystają także ponoć przedstawiciele elit politycznych. Nikt z zebranych nie ma wątpliwości, ze Starża-Dzierzbicki wie, co mówi, nikt nie wątpi, że horoskop to tak naprawdę wielka mapa nieba, na której każdy człowiek w zależności od daty urodzenia ma swoje miejsce i swój określony z góry los.

Po odczycie prezesa Polskiego Towarzystwa Astrologicznego do głosu dochodzą następni magowie, przemawia między innymi tajemniczy gość w purpurowym chitonie i czerwonych sandałach uchylający rąbka tajemnicy na temat zjawisk metapsychicznych na dworze króla angielskiego. Starża-Dzierzbicki z uznaniem kiwa głową, szepcąc pod nosem: „Tak, tak, oni właśnie w ten sposób utrzymują swe imperium”. Przed końcem spotkania prowadzący zachęci jeszcze publiczność do zakupu kalendarza wydanego przez „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, a potem

uczestnicy sabatu wrócą się do domów, bynajmniej nie na miotłach, a całkiem zwyczajnie – pieszo, ewentualnie dorożką.

Warto wspomnieć, że pan Jan Starża-Dzierzbicki prowadzi w tygodniku „Świat" rubrykę zatytułowaną *Co przyniesie nadchodzący tydzień*? Rzecz jest wyśmienita, dlatego pozwolę sobie przytoczyć z niej jeden fragment zawierający przepowiednię na środę 7 sierpnia 1935 roku: „Południe zapowiada się pomyślnie, obiecując nam rozbudzenie wrażliwości, przeżycia psychiczne lun, zainteresowania artystyczne. Okres ten nadaje się do załatwiania spraw mających pozostać w ukryciu lub związanych z morzem, płynami, narkotykami, żeglugą, marynarką albo muzyką"[11]. A że o wypadkach przyłapania kogokolwiek 7 sierpnia na gorącym uczynku podczas „załatwiania spraw mających pozostać w ukryciu" prasa milczy, sądzę, że pan Starża-Dzierzbicki nie minął się z prawdą.

Kiedy połkniemy bakcyla, warto wybrać się również na wieczory eksperymentalne doktora Radwana, reklamowane hasłem: „Sugestia na jawie!", a organizowane w mieszczącym się w stolicy Towarzystwie Higienicznym, gdzie zwykle zbierają się miłośnicy jasnowidzenia, telepatii i autosugestii. W ciemnym pomieszczeniu (wszystkie okna zasłonięte) niewyraźne światełko kinkietu owiniętego różową bibułą oświetla podniecone twarze przybyłych. Tym razem mamy okazję przekonać się o sile oddziaływania płyt gramofonowych zwanych regeneracyjnymi. Doktor Radwan zapewnia, że za ich sprawą uleczył już rozmaite przypadki epilepsji, nerwicy, bezsenności i przemęczenia. Zapytają państwo, jak to działa? Otóż pan Radwan włącza sprzęt grający, nakazuje ochotnikowi skupić wzrok na ciemnej ścianie i wsłuchać się w głos wydobywający się z gramofonu: „[…] wyobraź sobie, że musisz prędko iść po schodach, gdy doliczę do 5, będziesz szybko oddychał i twoje serce będzie bić coraz prędzej! coraz prędzej!"[12].

Dźwięk pierwszej płyty milknie po kilku minutach, teraz przychodzi czas na płytę numer dwa. Ta uspokaja, zachęca do

relaksu… Dowodem koronnym na zbawienne działanie hipnotyzującego gramofonu staje się pomiar pulsu ochotnika – przed rozpoczęciem koncertu puls naszego pacjenta wynosił 76 uderzeń na minutę, płyta numer jeden przyspieszyła go do 84 uderzeń na minutę, a płyta numer dwa zwolniła do 68 uderzeń na minutę. Wszelkie wątpliwości rozwiewa jeden z uczestników pokazu, dowodząc, że i jemu cudowne płyty doktora Radwana polepszyły jakość życia, a ponoć trafiali się i tacy, którzy pod ich wpływem potrafili przewidzieć przyszłość.

Nie wiem jak państwo, ale ja już kupiłem.

CUDA, PIENIĄDZE I CIEMNOTA LUDZKA

Na Kresach lud pobożniejszy niż w Warszawie, zatem Stwórca raczy cudami hojniej. Taki na przykład stary obraz przedstawiający Chrystusa, a znajdujący się w cerkwi w Glinianach pod Lwowem, w jakiś cudowny sposób samoczynnie, bez pomocy nikogo spośród żywych odnowi się w 1936 roku, ściągając do świątyni rzesze wiernych oraz nawróconych, a nawet, o czym przekonują mieszkańcy okolicy, uzdrawiając co poniektórych ciężej chorych.

Są na świecie rzeczy, które nie śniły się filozofom, ale w tych przedwojennych cerkwiach, zwłaszcza na Kresach, podobne cuda w latach trzydziestych zdarzają się zbyt często. W samym tylko 1927 roku przypadków odnawiania się obrazów prawosławnych odnotowano na całym Wołyniu co najmniej kilka, między innymi w Równem, Korcu czy we wsi Bilowo. Okoliczny lud nie odważy się zignorować doniesień o cudzie, solidarnie więc pielgrzymuje do miejsc, w których stare obrazy nabierają nagle świeżych barw, szczodrze przy tym obdarzając złotówkami właścicieli dzieł sztuki.

Zdaje się zresztą, że to one, to jest te złotówki, stanowią klucz do rozwikłania wielkiej tajemnicy. Właściciele cudownych obrazów z biedaków w ciągu kilku zaledwie dni stają się bogaczami, na nic zdają się w tym przypadku ostrzeżenia

urzędników, prasy, a nawet duchownych, na nic zdają się dochodzenia prowadzone przez policję.

Interes cudami kwitnie w najlepsze. W 1933 roku na Wołyniu zjawia się przybysz ze Stanów Zjednoczonych. Pan Jan Muraszko obwołuje się prorokiem nawiedzonym przez Ducha Świętego, na dowód zaś boskiej proweniencji mężczyzny jego prawa ręka, panna Olga Kirylczukówna, opowiada ludziom o widzeniach doznawanych podczas „stanów kataleptycznych". Oboje dość szybko zyskują posłuch wśród sporej grupy mieszkańców tej części Polski, zresztą trudno się temu dziwić, wszak przybysze raczą wiernych dość osobliwym rodzajem przedstawień.

A wygląda to tak, że pogrążona w modłach pani Olga zdejmuje odzienie i kładzie się na łożu, a w tym czasie prorok brzytwą wycina kawałki jej skóry. Spływającą z ciała kobiety krew pan Muraszko miesza z wodą święconą, a potem specyfik ten sprzedaje w zalakowanych butelkach, zapewniając klientów, że to najlepszy lek na wszelkie dolegliwości. Zdarza się, że w trakcie jednego takiego seansu prorok zada Kirylczukównie aż dwadzieścia sześć ran, co na szczęście nie umknie uwadze miejscowej policji, a prorok mimo protestów swoich wyznawców trafi do aresztu.

Ciemnota nie jest bynajmniej domeną Kresów, bo do irracjonalnych zachowań wywołanych wiarą w zabobon i czarną magię dochodzi w tym czasie w całej Polsce. Wielką histerię w Ciężkowicach pod Łodzią wywołają w 1929 roku narodziny dziecka bez oczu i nosa. Chłopi, święcie przekonani, że sprowadzi ono na wieś nieszczęście, zjawiają się pod domem nieszczęsnej matki i żądają wydania ciała zmarłego dziecka. Następnie porywają zwłoki do lasu, gdzie po naradzie ze znachorami zapada decyzja o spaleniu ich na stosie, czemu swoją drogą zapobiegną w ostatniej chwili stróżowie porządku. Przy okazji tej historii pragnę zwrócić uwagę na językową wrażliwość ówczesnej prasy, która chore dziecko nazwała… potworkiem.

I jeszcze słowo o ciemnocie, tym razem na przykładzie nie jasnowidza czy hipnotyzera, ale działającego na Lubelszczyźnie

w drugiej połowie lat dwudziestych samozwańczego kaznodziei w osobie siedemnastoletniego analfabety, niejakiego Michałka. Coś się w głowie Michałka pewnego ranka tak poprzewracało, że młodzieniec – natchniony ponoć przez słowo boże – postanowił nauczać. Chodzi więc od wsi do wsi Michałek, głosząc swoje kazania wątpliwej jakości teologicznej, a że ludziska znudzeni prozą codzienności lubią takie hece, po okolicy zaczynają krążyć plotki o cudownych uzdrowieniach, magicznej zdolności odczyniania uroków i poświacie unoszącej się nad głową Michałka. Prorok Michałek oprócz wygłaszania kazań sprzedaje swoje fotografie (złotówka za sztukę), oczywiście mogą państwo również wrzucić parę groszy do puszki. Interes kwitnie, analfabeta zarabia na swym powołaniu ponoć sto złotych dziennie, chociaż – jak przekonuje sam Michałek – wcale nie o pieniądze tu chodzi.

Z dna głupoty i ciemnoty.

Już od dłuższego czasu dochodziły do Warszawy słuchy, że w Lubelszczyźnie, we wsi Michałowie, pojawił się jakiś samorodny kaznodzieja w osobie siedemnastoletniego chłopca — analfabety, rywnego Michałkiem, który rzekome z nakazu wewnętrznego wyglasza nauki do ludu i zagrzewa go do kajania się za grzechy.

Wiadomość ta zainteresowała kilku dziennikarzy i zwolenników nauk tajemnych, którzy, nie ufając słychu plotkom, udali się do Michałowa, aby rzecz całą zbadać na miejscu.

Sprawozdania ich są wręcz rewelacyjne.

Okazuje się bowiem, że do Michałowa zdążają z całego kraju tysiączne tłumy pątników, którzy z zapartym oddechem słuchają kazań Michałka. Są nawet już tacy, którzy uwierzyli przez niego cudownie uleczeni i którzy widzieli świątość, unoszącą się nad jego głową.

W rzeczywistości jednak kazania Michałka są *stekiem bałamutstw i plątaniny zdań, podsłuchanych w kościele*, powtórzonych oczywiście bez sensu.

Oto próbka takiego kazania:

„Ciemność i trudność stało się na tej drodze i myśmy wyszli w te maszyny i prosimy Pana Jezusa, aby od nas odpędził ogniu... Pan Jezus posłała będzie... będzie... wytrwał natchnienie do tego ludu bałamuctwa, a Pan Jezus cierpi... bałamuctwo... wy mówicie, że to nic nie jest, a w co wy będziemy wierzyć — tylko w Jezusa. Wy nie wierzycie w Boga, a Michałka nazywacie, że jest prosty, ale ten Michałek się wpewnił i nie nawet z niemowlict, zaadresi do księży, ale on miłuje Pana Jezusa, by wszyscy podali łapę i prosili o przebaczenie"...

Na występy Michałka możnaby patrzeć z podziwem, gdyby towarzyszyła im karlitwa wiara, która niejednokrotnie obiera sobie za swoje naczynie prostaczków, ale w tym wypadku nadzieje te czynią z *ordynarną spekulacją na uczuciach religijnych ludu.*

Michałko.

Michałek bowiem, obok wygłaszania kazań, trudni się także *sprzedażą swoich fotografij* (po złotówce za sztukę), co, jak stwierdzają wiarygodne osoby, *przynosi mu około 100 zł. dziennie*, nie licząc ofiar, składanych do puszki.

Nie bez znaczenia jest także fakt, że Michałka otoczyły swoją opieką typy najciemniejszych demagogów, w rodzaju *b. posła Ludwicha z partji ks. Okonia*, które cały ruch, zapoczątkowany przez tego wiejskiego wyrostka-sprytniarza, starają się sklerować na swoje partyjne koryto.

Gdy się o tem wszystkiem słyszy i czyta, przerażenie pogrosta ogarnia człowieka, że coś podobnego jest możliwe w XX wieku i w kraju, mającym pewne pretensje do kultury i postępu. Bo oto ponieśmo wszystko, co się robi dla uświadomienia ludu, ponieśmo miljardów, wydawanych na oświatę, są jeszcze u nas całe połacie kraju, będące niejako *rezerwuarami ciemnoty*, i to nie gdzieś na dalekich kresach, w Pińszczyźnie, ale pod bokiem Warszawy i Lwowa.

Należy do nich w pierwszym rzędzie Lubelszczyzna (mówimy o wsi tylko!). Stamtąd brał mandaty dla siebie i swoich kamratów celowany ks. Okoń, stamtąd pochodził ów poseł, który się wsławił kradzieżą płaterów na bankiecie w Sejmie, tam usadowili się, jak w twierdzy, emporowcy, będący, jak wiadomo, skapcytarną bolszewizmu, tam kościół narodowy znalazł najzaciklejszych wyznawców, tam wreszcie demagogja najbardziej wyuzdana i bezczelna mogła liczyć zawsze na poklask i posłuch.

Michałek nie jest więc czemś przypadkowem w Lubelszczyźnie, a specjalnie w Zamojszczyźnie, jak nie są niemi chorobotwórcze bakterje na chore bardziem i zawszonem. Do najzawziętszych reflekxyj pobudza jednak to, że cały Lubelszczyznę (mówimy tylko o wsiiii) *starcia na nogi sprytny smyk wiejski, analfabeta, i bierze ją w swoje władztwo duchowe*, a równocześnie dziedziczki ludzi najlepszych, najwznioślejszych, a co najważniejsza, bezinteresownych, którzy tylko dla idei starają się wejść w lud i

Na Lubelszczyźnie w drugiej połowie lat dwudziestych krążą plotki o cudownych uzdrowieniach, magicznej zdolności odczyniania uroków i poświacie unoszącej się nad głową siedemnastoletniego kaznodziei analfabety, niejakiego Michałka. „Ilustrowany Kuryer Codzienny” z 1928 roku.

Nie wiem jak państwo, ale ja w tym całym kaznodziejstwie Michałka wyczuwam niezły szwindel. To już lepiej (i zapewne taniej) zostać czcicielem Rudej Krowy, bo i taka sekta powstaje około 1930 roku w Warszawie, a konkretnie w tej części miasta, gdzie najłatwiej spotkać jegomości w chałatach. Nie wiadomo, czy zdarzyło się to na Gęsiej, czy też na Franciszkańskiej, w każdym razie jeden z poważanych świętych mężów ogłasza pewnego dnia powstanie sekty głoszącej, że naród żydowski wtedy dopiero zazna szczęścia, gdy… uda się odnaleźć rudą jałówkę bez skazy (to znaczy bez żadnych innych kolorowych plam na skórze; włosków innej barwy może być na zwierzęciu nie więcej niż 999). To oczywiście w pewien sposób łączy się z wierzeniami Żydów, ale w tym konkretnym wypadku wydaje się interpretacją nieco na wyrost.

Jaki święty Graal, taka historia, w tym przypadku nie ma niestety co liczyć na mrożące krew w żyłach pościgi w katakumbach, chociaż trafią się sceny opływające krwią, bo czciciele rudej krowy pod przywództwem Mendelego Bal-Tszuwa, prowodyra całej hecy, zdemolują pewnego zimowego dnia dom gminy wyznaniowej w Warszawie, za co zresztą parol zagnie na nich polska policja.

Na marginesie warto wspomnieć, że powstanie osobliwej sekty i jej zamiłowanie do bydła postanowi wykorzystać kilku nieuczciwych Żydów, którzy – to już prawdziwa podłość – sprzedadzą panu Mendele stare krowy przemalowane na rudo. Zdarzy się nawet, że jedna z nich wyda mu się ową niezbędną do zbawienia Izraelitów, ale wnet spadnie z nieba deszcz i biedną jałówkę, ku rozpaczy jej nowego właściciela, obmyje z farby.

DUCHY, BIAŁE DAMY, NAWIEDZONE DOMY

Z dziwnymi przypadkami z pogranicza magii i zjawisk paranormalnych obcują ludzie w dwudziestoleciu międzywojennym niemal na co dzień. A to panu Mieczysławowi Tyszkiewiczowi z Borysławia ukaże się przy kolacji zmarły brat, a to pewna pani mieszkająca w Wieliczce zobaczy swego

sowieckiego szwagra przebywającego od lat w niewoli, a to w końcu mieszkance Jarosławia przeszkodzi w lekturze ulubionej książki jakieś widziadło.

„Ilustrowany Kuryer Codzienny” przedstawia na swych łamach najciekawsze przypadki, a na każdy taki nawiedzony list odpowiada w imieniu redakcji zawodowy jasnowidz. Kiedy więc pani Helena spod Krakowa opowie za pośrednictwem gazety o rozmaitych znakach, które ukazały się jej tuż przed śmiercią męża, „Ikac” nie ma wątpliwości, że: „Po wyższe fakty, opisane z taką szczerością, wskazują, że autorka posiada bardzo wrażliwy ustrój psychiczny, który uzdalnia ją do telepatii, do wyczuwania i widzenia zdarzeń przyszłych i posiada, względnie posiadała kiedyś, w dużym stopniu właściwości medjum fizykalnego: ruchy piszącego spodeczka i wyciśnięcia znaku na fotografii świadczyłyby o tem”[13].

Należy bowiem zaznaczyć, że duchy i „białe damy” nie są domeną wyłącznie opuszczonych zamków czy starych ruin, objawiają się również w nowocześnie urządzonych domach nierzadko mieszczących się w centrach polskich miast.

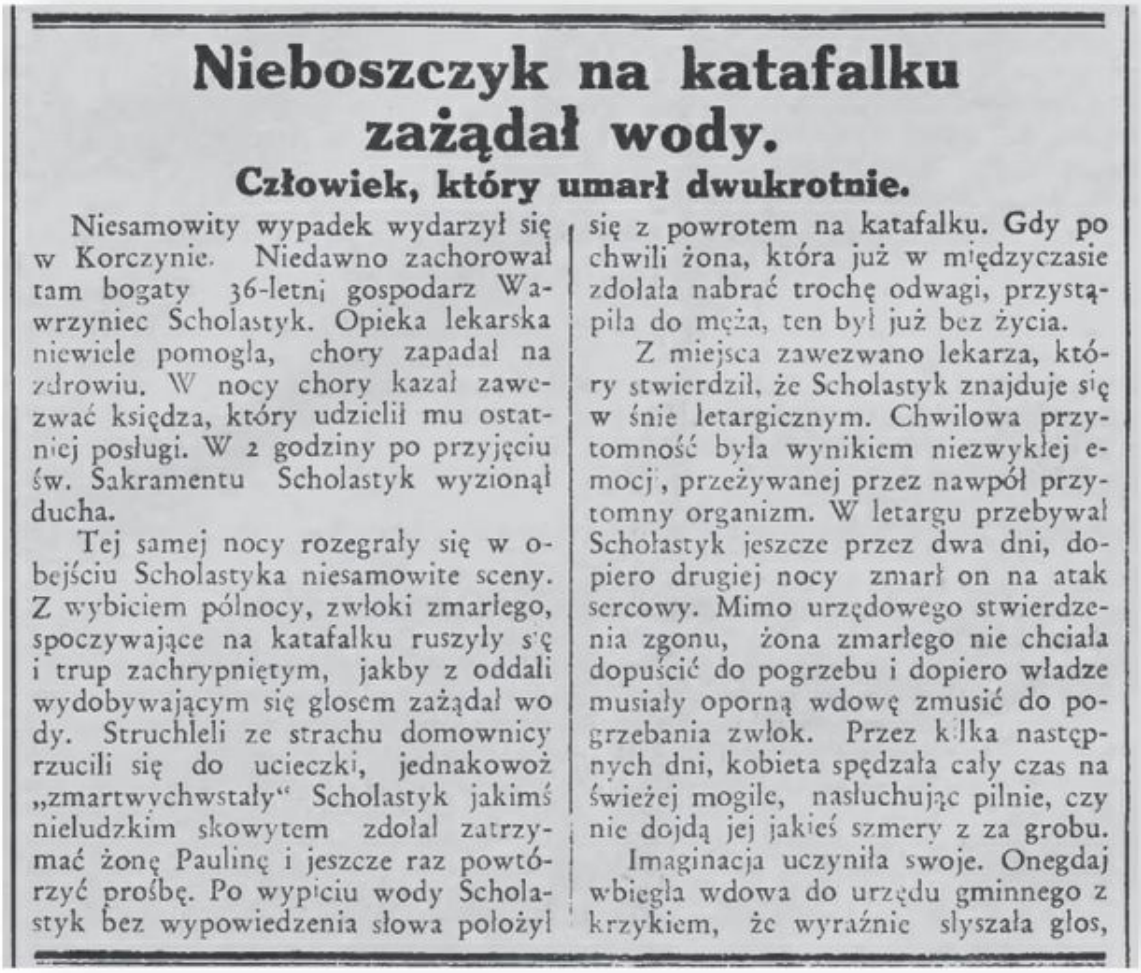

Nieboszczyk na katafalku zażądał wody.

Człowiek, który umarł dwukrotnie.

Niesamowity wypadek wydarzył się w Korczynie. Niedawno zachorował tam bogaty 36-letni gospodarz Wawrzyniec Scholastyk. Opieka lekarska niewiele pomogła, chory zapadał na zdrowiu. W nocy chory kazał zawezwać księdza, który udzielił mu ostatniej posługi. W 2 godziny po przyjęciu św. Sakramentu Scholastyk wyzionął ducha.

Tej samej nocy rozegrały się w obejściu Scholastyka niesamowite sceny. Z wybiciem północy, zwłoki zmarłego, spoczywające na katafalku ruszyły się i trup zachrypniętym, jakby z oddali wydobywającym się głosem zażądał wody. Struchleli ze strachu domownicy rzucili się do ucieczki, jednakowoż „zmartwychwstały" Scholastyk jakimś nieludzkim skowytem zdołał zatrzymać żonę Paulinę i jeszcze raz powtórzyć prośbę. Po wypiciu wody Scholastyk bez wypowiedzenia słowa położył się z powrotem na katafalku. Gdy po chwili żona, która już w międzyczasie zdołała nabrać trochę odwagi, przystąpiła do męża, ten był już bez życia.

Z miejsca zawezwano lekarza, który stwierdził, że Scholastyk znajduje się w śnie letargicznym. Chwilowa przytomność była wynikiem niezwykłej emocji, przeżywanej przez nawpół przytomny organizm. W letargu przebywał Scholastyk jeszcze przez dwa dni, dopiero drugiej nocy zmarł on na atak sercowy. Mimo urzędowego stwierdzenia zgonu, żona zmarłego nie chciała dopuścić do pogrzebu i dopiero władze musiały oporną wdowę zmusić do pogrzebania zwłok. Przez kilka następnych dni, kobieta spędzała cały czas na świeżej mogile, nasłuchując pilnie, czy nie dojdą jej jakieś szmery z za grobu.

Imaginacja uczyniła swoje. Onegdaj wbiegła wdowa do urzędu gminnego z krzykiem, że wyraźnie słyszała głos,

Nieboszczyk na katafalku zażądał wody… Czyli dwudziestolecie międzywojenne pełne cudów… „Gazeta Lwowska" z 1932 roku.

O jednym z takich nawiedzonych domów nieopodal placu Unii Lubelskiej w Warszawie wspomni prasa w marcu 1936 roku. W nocy słychać tam stukot maszyny, w salonie ukazuje się domownikom cień rozwścieczonej małpy, niewidzialny kij wali o podłogę, w niewyjaśnionych okolicznościach w drobny mak rozpada się porcelanowa zastawa, książki spadają z regałów, a na domiar złego poruszają się tapczany. Na darmo ksiądz odprawia egzorcyzmy, na darmo policja wszczyna śledztwo. W domu wciąż słychać łkania i jęki kobiety, raz na jakiś czas trzęsie się podłoga, a domownicy drżą ze strachu. Prasa, zazwyczaj powątpiewająca w tego typu doniesienia, tym razem stanie, przynajmniej z początku, po stronie mieszkańców, twierdząc: „Jedną z hipotez co do domów nawiedzonych jest, że przedmioty zachowują jakgdyby odbicie wypadków w których zasięgu się znalazły, na zasadzie promieniowania ciał: i w pewnych warunkach tak nagrane rzeczy mogą jakgdyby wyzwolić spowrotem utrwalone w nich obrazy czy dźwięki, zwłaszcza w obecności medjów”[14].

W Warszawie nawiedzonych domów jest wiele, ale i Łódź nie zamierza pozostawać pod tym względem w tyle i na początku 1933 roku żyje historią nawiedzonego domu przy ulicy Goplańskiej, zamieszkanego przez szesnastoletnią Stasię Bogaczyk z rodziną. Po Łodzi krąży plotka, że to diablica odpowiedzialna na sprowadzenie duchów do miasta włókniarzy, ale trudno w to uwierzyć, bo gdzieżby taka delikatna dziewczynka wchodziła w konszachty z siłami nieczystymi. Faktem jest wszakże, że w domu dochodzi do serii niewyjaśnionych wypadków – a to stuka coś w łóżku Stasi, a to spadnie ze stołu trzykilogramowy lichtarz, a to w końcu ojciec dziewczyny dostanie w środku nocy ziemniakiem. I to prosto w twarz! Agentka Scully i agent specjalny Mulder z filmu *Z Archiwum X*, gdyby rzecz wydarzyła się kilkadziesiąt lat później, z pewnością rzuciliby okiem, ale w pierwszej połowie lat trzydziestych Bogaczykowie są zdani na policję i miejscowych jasnowidzów. A ci nie zdołają ustalić przyczyny zagadkowych

szmerów, stuków, zdarzeń. Mija tydzień, potem kolejny, zjawiska paranormalne przy Goplańskiej przybierają na sile – tańczą teraz nie tylko ziemniaki i lichtarz, lecz także węgiel; tańczą talerze i obrazy na ścianie. Cóż zrobić, żyć trzeba dalej, choćby i w nawiedzonym lokum, dlatego domownicy przyzwyczajają się do przedziwnych harców przedmiotów codziennego użytku, a dzięki Stasi nauczą się z czasem również komunikować z duchami.

Oczywiście zdarza się i tak, że przyczyna pojawienia się istot z zaświatów bywa całkiem prozaiczna. W maju 1928 roku w Krakowie głośno jest o sprawie cmentarza podgórskiego, na którym ukazuje się duch białej damy. Wiadomość lotem ptaka obiega Polskę i już w stronę grodu Kraka zmierzają gromady ludzi pragnących na własne oczy przyjrzeć się tajemniczej zjawie. Ci, którzy ją zobaczyli, opowiadali potem o wysokiej kobiecie w białej szacie przechadzającej się z pieskiem na rękach po cmentarnym murze i wzywającej do żalu za grzechy. Jakież musiało być rozczarowanie gawiedzi oczarowanej czarami, gdy policja dowiedziała się o podziemnym przejściu, które okazało się bazą wypadową żartownisia. Posterunkowi zdołają nawet sławnego ducha zobaczyć, niestety biała dama okaże się nadzwyczaj szybkonogim dziwem i w trakcie pościgu zostawi stróżów prawa daleko w tyle.

Ma też przedwojenna Polska swych pogromców duchów, którzy interesują się zjawiskami paranormalnymi, śledzą doniesienia na ich temat, a gdy coś ich szczególnie zaciekawi, pojawiają się na miejscu, aby zbadać sprawę osobiście. Tę trzyosobową grupę tworzą hrabia Bogdan Roniker, reżyser Piekarski i kapitan Kuzmin-Karajew. Panowie zdołają rozwikłać zagadkę nawiedzonego domu przy ulicy Bagatela 1 w Warszawie, na którego ścianach pojawiają się od czasu do czasu dziwne światełka przyprawiające lokatorów o dreszcze. Pogromcom duchów wystarczy zaledwie jedna noc spędzona w mieszkaniu, aby dowieść, że tym razem mamy do czynienia nie z żadnymi duchami, ale z najzwyklejszymi prawami fizyki.

„Czy pan nigdy nie pomyślał o tem – pytają gospodarza – że tramwaj, który przechodzi tędy co 15 minut wieczorem, rzuca światło przez oszkloną bramę, że ono odbija się w tamtem oknie, o, widzi pan? i że załamane promienie wędrują po pańskiej ścianie, dopóki ich nie przetnie ten występ muru?”[15]

Otóż pan gospodarz nie pomyślał o tem, grunt jednak, że sprawa się wyjaśniła i mieszkać można dalej.

SZKOŁA MAGII

A skoro mowa o magii, duchach i czarach, warto wspomnieć w tym miejscu i o zawodowych iluzjonistach. Tacy może i nie dysponują darem sybilli Miry W., ale refleksu pozazdrościłby im niejeden sportowiec. W 1936 roku w Komisariacie Rządu składa podanie o zgodę na utworzenie w stolicy szkoły magików i fakirów pan Rubin Purzyc. Program tych osobliwych studiów obejmuje stworzenie dwóch kursów – fachowego i dżentelmeńskiego.

W przypadku pierwszego dwuletniego kursu adepci mają się zapoznać z sekretnymi tajnikami wyciągania królików z cylindra, połykania monet, robienia omletów z jajek zawiniętych w chusteczkę, leżenia na gwoździach i szkle, a egzamin końcowy przewiduje przebicie się mieczem. Z kolei znacznie krótszy, bo jedynie trzymiesięczny kurs dżentelmeński ma się skupiać na rozrywkach salonowych, a zatem obejmować naukę sztuczek karcianych, zamieniania szklanki atramentu na lemoniadę czy wyciągania monet z nosa.

Nie jest to zatem Szkoła Magii i Czarodziejstwa w Hogwarcie, niemniej Komisariat Rządu podchodzi do sprawy poważnie i odsyła petenta do Ministerstwa Oświaty, organu uprawnionego do wydawania koncesji szkolnych.

O uniwersytecie pana Purzyca i jego studentach nic więcej nie słyszałem, natknąłem się natomiast na interesującą wzmiankę o Mojżeszu Konie, znanym warszawskim fakirze i hipnotyzerze. Magik ten reklamuje w stolicy swoje elaboraty, które każdego bez wyjątku nauczą czarnej magii. To nie są żadne głupie figle, to

nie jest kpina, jeśli życzą sobie państwo w wolnej chwili wywołać ducha lub demona, odgadnąć cudze myśli, zadawać rany na odległość lub stać się niewidzialnym, proszę koniecznie zakupić dziełko pana Kona (za jedyne dwa złote siedemdziesiąt groszy).

Oskarżony, o zgrozo, o oszustwo żydowski hipnotyzer stanie co prawda w 1937 roku przed obliczem sądu, niemniej sędzia umorzy sprawę. A może to nie siła argumentów, ale czarna magia uratowała wtedy pana Mojżesza?

CO MÓWI KSZTAŁT DŁONI?

Przedwojenna prasa stroi sobie niekiedy żarty z wróżbitów i hipnotyzerów, co jednak nie przeszkadza jej publikować artykułów, w których dowodzi się na przykład, że z dłoni człowieka można wyczytać jego los lub cechy charakteru.

„Nowiny Codzienne" sugerują czytelnikom, aby unikać ludzi o palcach ściętych na końcu, którzy bywają co prawda genialnymi kupcami i biznesmenami, ale przejawiają słabość do pychy, na domiar złego bywają wulgarni. Gładkie, piękne dłonie należą zazwyczaj do artystów i dyplomatów (zapewne dlatego, że niewiele pracują), wskazują też na bystrość intelektu, dobrą intuicję i bujną fantazję. Dłonie krótkie o grubych palach charakteryzują ludzi lojalnych o umyśle ścisłym, metodycznym. Istotna jest również barwa skóry na dłoniach – żółtawa znamionuje intelektualistów, czerwona – osoby namiętne, a blada – materialistów.

Autor artykułu dowodzi również, że linia życia (to ta, która otacza wzgórek przy wielkim palcu) nie odnosi się – jak przekonują niektórzy chiromanci – do długości życia, lecz jego jakości. A zatem jeśli jest równa i wyraźna – oznacza to pomyślność, jeśli przerywana – zwiastuje częste choroby i liczne przykrości.

W całej tej hecy z dłońmi nie może być nic szczególnie nadzwyczajnego, skoro pewien Francuz, mający zresztą grono zwolenników także w kraju nad Wisłą, będzie w latach trzydziestych określać temperament i charakter człowieka po…

sposobie zdzierania się podeszwy butów. Zdarta tylko na brzegach od strony zewnętrznej oznacza jego zdaniem człowieka pełnego fantazji, sterana od strony wewnętrznej – marzyciela, zdarta równomiernie na całej powierzchni – jegomościa sumiennego i energicznego. Dodam jedynie, bo i tu można by długo wymieniać, że poczciwca charakteryzowały podeszwy o startej części środkowej i tylnej, a człowieka o bogatym intelekcie – obtarte noski.

Kolejna metoda klasyfikuje ludzi w zależności od ich… upodobań smakowych. I tutaj na wstępie pragnę ostrzec panie – wystrzegajcie się mężczyzn przejawiających słabość do słodyczy, bo to ludzie okrutni, bezwzględni, a do tego zakamuflowani wrogowie kobiet. Jeśli więc wasz przyjaciel, o którym dotąd ciepło myślałyście, zajada się eklerkami – uwaga, czas zerwać znajomość, pókiście całe i zdrowe! Nieco inaczej wygląda sprawa z kobietami smakoszkami słodyczy. One zazwyczaj charakteryzują się subtelnością i pogodą ducha, a jeśli w dodatku lubią owoce smażone w cukrze – wyrafinowaniem.

Osobny temat to słodzenie herbaty, są bowiem w latach trzydziestych osoby, które uważają, że jeśli kobieta nie słodzi tego napoju, jest osobą kochaną, kiedy jednak łyżeczki z cukrem poskąpi sobie mężczyzna, oznacza to człowieka podstępnego. Jeśli z kolei słodzi nadmiernie, jest szczególnie gotowy do poświęceń. Panie powinny ufać zwłaszcza tym panom, którzy lubią sól i słone potrawy, to bowiem wedle tej świetnej metody poznawczej oznacza wyjątkowego konesera płci pięknej, doskonałego i godnego zaufania kochanka. Potrawy kwaśne to domena rozgadanych kobiet histeryczek i panów obdarzonych doskonałym poczuciem humoru. A jeśli ktoś z państwa trafi na smakosza tego, co gorzkie – nie rezygnujcie z tej znajomości, ziarnkiem gorczycy może się zachwycać tylko poeta, człowiek o bujnej wyobraźni i wyrafinowanym guście.

PRZESĄDY

Cóż z tego, że nauka upomina i przestrzega, cóż, że ludzie coraz lepiej wykształceni i światlejsi, gdy wciąż – zresztą nie tylko na prowincji, lecz także w dużych miastach – wiecznie żywe przesądy odgrywają w ich życiu ważną rolę, zarówno na co dzień, jak i od święta. O zabobonach przedwojennej Polski można by powiedzieć, że głupie toto i niepoważne, że osobliwe i znamionujące zacofanie, a jednak jaka w nich musi tkwić siła, skoro ulega im tak wielu.

A ulegają im chociażby kobiety w przedwojennej Polsce mające w zwyczaju zapalać w domu trzy świece. A nuż ich brak lub nieodpowiednia liczba nie spodoba się Panu Bogu. O feralności nieszczęsnej trzynastki i dzisiaj przypomina się nadspodziewanie często, ale w dwudziestoleciu międzywojennym na zabobon ten natrafiamy niemal stale, i to zarówno wśród szarych obywateli, jak i… przedstawicieli władz.

O sile tego przesądu świadczy między innymi zabawna sytuacja z Łodzi. W 1923 roku, kiedy komunikacja tramwajowa rozwija się w najlepsze i po mieście kursuje już dwanaście linii, przychodzi czas na trzynastkę. Ale Łódź ma świeżo w pamięci to, co zdarzyło się w Warszawie po wprowadzeniu linii numer 13 (ponoć pierwszego dnia feralny tramwaj uśmiercił cztery osoby). Ostatecznie więc w Łodzi zrezygnują z trzynastki, w jej miejsce wprowadzając od razu czternastkę.

Przesądni bywają politycy, sportowcy, hazardziści, a nawet właściciele sklepów. W Krakowie mieści się pewien salon mody, którego właścicielka, nim wyjdzie na spotkanie klientki, rzuca za siebie szpilką lub kulką z chleba. O stukaniu w niemalowane drewno czy chuchaniu w pieniądze wspominać nie trzeba, bo to rzecz znana i dzisiaj. Chucha się zresztą wówczas również w przedmioty, chociażby w gustowne kapelusze, aby dobrze się sprzedawały, ale na nic to chuchanie, gdy zostawi się w którymś szpilkę, wszakże na to tylko czyha pan pech.

Warto w tym kontekście wspomnieć o żydowskich kupcach, bo to naród szczególnie podatny na przesądy. Taki przed pracą zawsze zapyta przypadkowego przechodnia, koniecznie

chrześcijanina, gdzie znajdzie ulicę dajmy na Piotrkowską i bynajmniej nie dlatego, że się zgubił, ale ponieważ przynosi to ponoć szczęście w interesach.

O spotkaniu kominiarza znamionującego powodzenie słyszy się i dziś, ale trzeba pamiętać, że w latach dwudziestych szczęście w takim przypadku zależało również od tego, czy możemy chwycić się za guzik oraz czy w zasięgu naszego wzroku znajdują się żołnierz i biały koń. Jeśli wszystkie powyższe warunki są spełnione – bogactwo gwarantowane.

O czarnym kocie też można by nie wspominać, bo z jego siły sprawczej (zwłaszcza gdy przebiegnie nam złośliwiec drogę) zdaje sobie sprawę nawet dziecko, ale w dwudziestoleciu sprawa się komplikuje – jedni, podobnie jak dziś, uważają, że czarny kot przynosi pecha, inni, że szczęście. Na wszelki wypadek radzę, jak i radzono wówczas, pogłaskać takiego kociaka lewą dłonią. Wtedy nie tylko pech nam nie grozi, lecz także możemy spodziewać się od losu miłego prezentu. W Zwierzyńcu pod Krakowem ukuje się natomiast inny zwyczaj i tam niech nas nie zdziwi nigdy, że po zachodzie słońca baba nie zechce sprzedać mleka i jaj, bo taką transakcją może się narazić na prawdziwą katastrofę (czytaj: krowa przestanie dawać mleko, a kury wyniosą się do sąsiada).

Zaskakująco skomplikowanie przedstawia się również sprawa ze szczurami, dlatego w tej kwestii zdaję się na opinię pewnej sympatycznej pani z Suchej, która przekonuje w 1928 roku, że: „Gdy w domu dużo szczurów, trzeba iść na jarmark zrana, do nikogo nic nie mówiąc, kupić powróz, nie targując się, wrócić z nim do domu, także do nikogo nie odzywając się, wszystkie kąty wymieść tym powrozem potem wyjść prędko, rzucić powróz na krzyżową drogę, a kto ten powróz weźmie, wszystkie szczury do niego się wyprowadzą”[16]. A zatem zysk podwójny, bo i szczury wypędzimy, i na dodatek pogrążymy niemiłego sąsiada.

* * *

ROZDZIAŁ III
LEKARZE, PACJENCI I ZNACHORZY

Tajemnica 13 par uszu ludzkich wyjaśniła się.

Uszy z gumy dla celów ortopedycznych

Łódź, 31 maja. (2.). W sensacyjnej i zapowiadającej się niezwykle tajemniczo sprawie 13 par uszu ludzkich, które znaleziono na torze kolejowym niedaleko stacji Ujazd, zaszedł dzisiaj wieczorem niespodziewany, niemniej sensacyjny zwrot.

Dopiero obecnie bowiem okazało się, że uszy, które znaleziono są z gumy i zostały zgubione prawdopodobnie przez jakiegoś lekarza. Uszy te służą do celów ortopedycznych.

Jeden okaz tego rodzaju uszu pokazano Waszemu korespondentowi, który stwierdził, że ucho to jest tak łudząco podobne do prawdziwego ucha ludzkiego, że naprawdę nie trudno w pierwszej chwili sądzić, że ma się do czynienia z prawdziwemi uszami[17].

* * *

W SZPITALU

Z niedorzecznościami służby zdrowia zmagają się Polacy na długo przed powstaniem Narodowego Funduszu Zdrowia czy objęciem urzędów przez ujmujących ministrów III RP. Już bowiem w dwudziestoleciu międzywojennym udowadniają nasi przodkowie, że działanie służby zdrowia można zorganizować

tak, aby wywołać i zdziwienie, i śmiech, a nierzadko także przerażenie.

Co nieco wiedzą na ten temat w Czeladzi, gdzie kierownictwo miejscowego szpitala wpada w drugiej połowie lat trzydziestych na pomysł iście genialny. Odtąd, o czym informują szpitalni decydenci, odwiedziny chorych będą płatne. Cóż, że to wbrew rozsądkowi i obowiązującemu prawu, jeśli zachorowała ci babka, stryjek lub brat, a pragnąłbyś odwiedzić ich w szpitalu, licz się z wydatkiem rzędu pięćdziesięciu groszy. A trzeba dodać, że szpital w Czeladzi to państwowa placówka przeznaczona dla najuboższych.

O bezduszności panującej w czeladzkim szpitalu świadczy tragiczny przypadek ubogiego robotnika Józefa Flaka, któremu na początku 1936 roku nie pozwolono odwiedzić ciężko chorej żony, nie pozwolono tylko dlatego, że biedakowi zabrakło dwudziestu groszy. Na nic zdadzą się błagania i łzy. Żona pana Flaka odchodzi z tego świata bez pożegnania z mężem, umierając akurat wówczas, gdy nieszczęsny robotnik szuka po mieście znajomych gotowych pożyczyć mu brakującą kwotę.

Kierownictwo szpitala, niewzruszone przypadkiem biedaka, tłumaczy tymczasem przedstawicielom prasy, że opłaty uiszczane przez osoby odwiedzające chorych zamierza przeznaczyć na zakup niezbędnego sprzętu medycznego. A zatem po trupach do celu…

Czymże są jednak zwyczaje panujące w czeladzkiej placówce wobec warunków, w jakich pacjenci próbują dojść do zdrowia w szpitalu w Grudziądzu. Przedstawicielom magistratu – właścicielowi szpitala, nie przeszkadza chociażby to, że placówka znajduje się w bezpośrednim sąsiedztwie kostnicy, a w przeprowadzanych w niej sekcjach zwłok nierzadko uczestniczą asystenci lekarzy szpitalnych, zatrudnieni na co dzień na oddziale chirurgicznym i położniczym.

Nie do śmiechu będzie zwłaszcza kobietom ciężarnym, bo chociaż szpital posiada oddział położniczy, nie dysponuje salą porodową, a cierpiące kobiety nierzadko są umieszczane

w ubikacjach lub nieogrzewanych pomieszczeniach z nieszczelnymi oknami. Jeśli to dla państwa wciąż mało, śpieszę donieść, że szpital ma w zanadrzu jeszcze kilka niespodzianek. Warto wspomnieć chociażby o sali operacyjnej mieszczącej się między ustępem a salami, w których przebywają chorzy na tyfus i gruźlicę. Interesujące rozwiązanie stosuje się tu także przy wydawaniu posiłków – serwuje się je bowiem w… łazience, która na ten czas staje się stołówką, w pozostałych godzinach służy jako łaźnia dla nowo przybyłych pacjentów. Owszem, zdarzy się, że personel zbuntuje się przeciwko absurdalnym rozwiązaniom i warunkom pracy urągającym podstawowym zasadom higieny, z reguły nie przynosi to jednak skutku, co gorsza w trakcie strajków obowiązek opieki nad pacjentami spada na barki studentki medycyny pełniącej wtenczas rolę chirurga, internisty i położnej.

Jedyną osobą, która chwali sobie warunki panujące w szpitalu, jest pan kierownik, zresztą trudno się temu dziwić, w swoim gustownie urządzonym gabinecie ma on bowiem do dyspozycji wszelkie wygody, a w niedziele sprasza tu nawet żeński personel i urządza kameralne koncerty gramofonowe. Tak naprawdę pana kierownika irytują wyłącznie dobywające się nocą zza ściany wrzaski rodzących kobiet, jak na jego gust odrobinę za głośne. Skarży się pan kierownik, że nie może się przez to porządnie wyspać.

LEKARZ PRZESZKODĄ MAŁŻEŃSTWA

Poradnia przedślubna w Łodzi to miejsce, o którym słyszało wielu mieszkańców, ale gdy zapytać któregoś z nich o adres instytucji, każdy jeden spuści głowę, uśmiechnie się pod nosem i oznajmi: „Niech pan zapyta kogo innego”. W 1932 roku poradnię odwiedzają w sumie sto sześćdziesiąt dwie osoby (głównie między trzydziestym a czterdziestym rokiem życia), a liczba ta z pewnością byłaby większa, gdyby nie obawa łodzian przed kompromitacją. Z tego, że lekarzy obowiązuje tutaj ścisła tajemnica lekarska, zdaje sobie sprawę w tym czasie niewielu.

Tych zaś, którzy ostatecznie zdecydują się przestąpić próg tej instytucji, dzieli się na dwie grupy. Jedni odwiedzają placówkę z własnej woli, głównie po to, aby przed zawarciem związku małżeńskiego przekonać się, czy przypadkiem przyszła małżonka lub przyszły małżonek nie cierpią na chorobę weneryczną. Inni (ci o bardziej skomplikowanej przeszłości) są do takiej wizyty zobligowani przez prawo, gdyż bez zezwolenia lekarskiego nie mogą wziąć ślubu. „Często zdarzało się, iż lekarz nie mógł stanowczo stwierdzić, czy dany pacjent może się ożenić. Wówczas odraczano badanie, poddawano daną osobę obserwacji lekarskiej. Wypadków takich było w roku ubiegłym 38”[18], donosi jedna z łódzkich gazet w 1933 roku.

PRZYPADKI OSOBLIWE

Przedwojenni lekarze z pewnością nie narzekają na nudę, a pacjent jak to pacjent, zawsze gotów czymś zaskoczyć.

Pod koniec 1929 roku zjawia się w jednym z łódzkich szpitali młoda kobieta zmagająca się z potwornym bólem brzucha. Prześwietlenie wykaże, że w żołądku mieszkanki Zgierza znajduje się ponad dwieście gwoździ, a pani Marianna Borysiakowa dopiero po długich namowach wyjawi, że połykała żelastwo w akcie desperacji wywołanym licznymi zdradami swego wiarołomnego męża. Podobny przypadek, tym razem ze szpitala w Lublinie, odnotują kroniki w 1935 roku, gdzie chirurg usunie z żołądka dziecka osiemdziesiąt dziewięć śrubek i gwoździ, połkniętych przez chłopca w okresie niemowlęcym. Nie zawodzą polskich lekarzy również artyści cyrkowi – zawodowi połykacze wytrychów, gwoździ, szpad, kluczy i zegarków. Wielu spośród nich ląduje w sali operacyjnej zaraz po zakończonym występie.

Co ludzie połykają.

14 szpad na raz w żołądku. — Żywy gazometr. — Żołądek schowkiem wytrychów.

Kraków, 27 czerwca.

Ludzki żołądek, który w normalnych warunkach jest przystosowany do przyjmowania mięsnych i zwierzęcych pokarmów, a byle nieodpowiedni pokarm sprowadza w nim mniej lub więcej przykre zaburzenia, w pewnych wypadkach potrafi stać się całkiem **niesamowitym zbiornikiem najrozmaitszych rzeczy i przedmiotów,** które z odżywianiem doprawdy nic nie mają wspólnego. Czego ludzie, naturalnie niektórzy ludzie, nie połykają? — W cyrku, któryśmy niedawno widzieli w Krakowie, produkowali się **połykacze ognia.** Trudno przypuścić, ażeby ogień należał do smacznych potraw, choćby nie wiem jakich kolorowych ludzi. Niejednokrotnie produkują się też na estradach połykacze noży, widelców i szpad. Taka żywa pochwa na szpady, najsłynniejsza w swoim rodzaju, to jest **Chevalier Cliquot,** obecnie właściciel agentury artystycznej w Manchesterze, a przed paru laty jeszcze renomowany połykacz szpad. **Cliquot był w stanie połknąć naraz 14 ostrych szpad.** Nikt nie prześcignął jeszcze Cliquota w jego sztuce. Innym jego trickiem było **połykanie zagarka z łańcuszkiem,** przyczem koniec łańcuszka trzymał w zębach. Gdy się przyłożyło ucho do jego żołądka, słyszało się **wyraźnie tykanie zegarka.** Nowicjuszom, którzy go próbowali naśladować, radził Cliquot, ażeby nie zapominali razem z zegarkiem połknąć i kluczyka do zegarka, celem nakręcenia go na wypadek, gdyby nie mogli na czas zegarka wyciągnąć.

Cała sztuka takiego połykacza polega na tem, ażeby tak manewrować, **by tylko tępa strona szpady dotykała gardzieli,** bo w przeciwnym razie rozcięcie przełyku mogłoby

A potem dziwić się, że lekarze mają pełne ręce roboty… „Ilustrowany Kuryer Codzienny” z 1927 roku.

Wszystko to jednak nic wobec przypadku, który wydarzy się w Wielospecjalistycznym Szpitalu imienia Ignacego Mościckiego w Łodzi[19], dokąd pewnego dnia zostanie przewieziony nieznany z nazwiska dziewiętnastolatek. Tym razem aparat rentgenowski okaże się całkowicie zbędny, lekarzowi wystarczy bowiem własne oko, aby skonstatować, że na członku nieszczęśnika zacisnął się kątownik z żelaznej rury gazowej. Wszelki komentarz wydaje się zbędny… Młodość ma swoje prawa, a że wybranki serca nie było akurat w okolicy, jegomość postanowił zaspokoić potrzeby za pomocą wielce w tym kontekście osobliwego przyrządu. Tego, że zostanie zakładnikiem żelaznej kochanki, młodzieniec widać nie przewidział.

Ten przypadek oczywiście wykracza poza kompetencje chirurga, na szczęście nieopodal szpitala znajduje się warsztat ślusarski i tam też chłopaka w asyście personelu szpitalnego przetransportowano. Ślusarz, który zdaje się niejedno w życiu już widział, nie zastanawiając się długo, przystępuje do roboty i po kilku godzinach wyswobadza nieszczęśnika z żelaznego uścisku. Wszystko zakończy się zatem szczęśliwie, niemniej zdesperowany młodzieniec jeszcze długo będzie wysłuchiwał złośliwych uwag pracowników szpitala, skwapliwie wyliczających w jego obecności bezpieczniejsze sposoby na rozładowanie tego rodzaju napięcia.

BŁĄD W SZTUCE

Prowadzona na prowincji praktyka lekarska to pasmo wyrzeczeń i nieustannych zmagań z przeciwnościami losu. Majętniejsi mieszkańcy w przypadku choroby decydują się na wyjazd do najbliższego miasta, z kolei biedota odwiedza zazwyczaj lekarza dopiero wówczas, gdy ze stanem zdrowia chorego jest już bardzo źle. Ci ostatni nie mają też zwykle złamanego grosza na opłacenie wizyty i proponują lekarzowi wynagrodzenie w postaci jaj, masła lub mleka. Na domiar złego na wsi lekarze zmagają się z konkurencją w postaci znachorów, owczarzy i bab

odżegnujących uroki. Zamiast lekarstw indywidua te proponują kuracje za pomocą ziół, okadzenia i zaklęć.

W dużych miastach sytuacja przedstawia się zgoła inaczej. Tutaj nie znachor stanowi problem, ale ogromna konkurencja. W Łodzi w połowie lat dwudziestych, aby zapewnić pracę większości lekarzy, jak grzyby po deszczu powstają lecznice. A ponieważ każda taka placówka zdrowia jest zobligowana do zaoferowania usług specjalistów ze wszystkich dziedzin – lekarze specjaliści godzinami na próżno wyczekują w swych gabinetach na pojawienie się pacjenta. Jest ich po prostu zbyt wielu. Sytuacja łódzkich medyków nie poprawi się także kilka lat później, na przykład w pierwszej połowie lat trzydziestych z pięciuset lekarzy mieszkających w Łodzi tylko trzynaście procent prowadzi prywatną praktykę, natomiast aż czterdzieści procent zatrudnionych przez Kasę Chorych pracuje godzinę lub dwie dziennie, co odbija się rzecz jasna na wysokości ich pensji.

Jakby tego było mało, reputację całemu środowisku medycznemu psują oszuści oferujący wątpliwej jakości usługi, narażający zdrowie pacjentów i z reguły nieźle się przy tym obławiający. Warto w tym kontekście wspomnieć o panu Władysławie Muszyńskim, który pewnego dnia postanawia otworzyć w Bydgoszczy przy ulicy Długiej laboratorium techniczno-dentystyczne. Pan Muszyński o stomatologii ma pojęcie mgliste, niemniej brak umiejętności kompensuje sobie zapałem, zwłaszcza gdy do jego gabinetu trafi ktoś ze złotym zębem. Właśnie na posiadaczach koronek ze szlachetnego kruszcu zrobi Muszyński interes życia, wpierw wmawiając pacjentom, że ich złote zęby wymagają przeróbki, a potem sprzedając podstępem zdobyte koronki jednemu z bydgoskich zegarmistrzów. Oszust trafi za kratki dopiero w lutym 1936 roku.

Nie zdołałem ustalić, czy imć Władysław Muszyński i pan Wiktor Muszyński są spokrewnieni. Nie jest to wykluczone, zważywszy, że i drugi z wymienionych zapisze się w historii wyjątkowo wyrafinowanym oszustwem. Pan Wiktor – dysponujący dyplomem skradzionym pewnej lekarce – wdziewa

babskie ciuchy i wciela się w postać doktorowej Natalii Dobek-Hruzewiczowej, stając się jej całkiem udaną podróbką w męskim, skrzętnie zakamuflowanym wcieleniu. O doktorowej Dobek, która będzie się chwalić pacjentom ukończeniem Sorbony, usłyszą w okolicach Radomia, w powiecie węgrowskim i w Krasnobrodzie, niestety jej praktyka lekarska przyniesie pacjentom wiele cierpienia, w tym także jedną tragedię, czemu nietrudno się dziwić ze względu na brak kwalifikacji „doktorowej".

Oszustwo Muszyńskiego vel pani Dobek wychodzi na jaw w dość zabawnych okolicznościach, mianowicie po suto zakrapianej biesiadzie gagatek w damskim przebraniu uda się na dworzec kolejowy, a tam zajdzie do męskiej ubikacji. Ktoś to zauważy, zaalarmuje policję, która podda podejrzaną osóbkę szczegółowej rewizji i tym samym odkryje sekret. Nie jestem pewny, czy Muszyński praktykę lekarską prowadził dalej w więzieniu, w każdym razie sąd umieścił go tam na cztery lata.

A jeśli już mowa o błędach w sztuce lekarskiej, te przytrafiają się oczywiście i zawodowcom. Nie sposób nie przytoczyć w tym miejscu mrożącej krew w żyłach historii tragicznej pomyłki, do jakiej dochodzi w jednym ze szpitali zachodniej Polski w pierwszej połowie lat trzydziestych.

Pewien robotnik, pacjent szpitala miejskiego, zmaga się tam z nietypowym i trzeba przyznać dość wstydliwym schorzeniem, mianowicie człowiek ten w chwilach intymnego uniesienia odczuwa nieznośne bóle w krzyżu, a ponieważ żadne lekarstwa nie przynoszą ulgi, a stan chorego wyraźnie się pogarsza, konsylium lekarskie decyduje się na zabieg szczególnie dla mężczyzny bolesny.

Pogodzony z losem pacjent oczekuje cierpliwie na wykonanie zabiegu, traf jednak chce, że do tego samego szpitala trafia w tym czasie mężczyzna noszący identyczne nazwisko, a w wyniku nieporozumienia pomiędzy lekarzem i pielęgniarką, to właśnie on ląduje na stole operacyjnym. Kiedy mężczyzna odzyskuje przytomność i konstatuje, że lekarze przez pomyłkę pozbawili go

męskości, wpada w rozpacz. Wszelkie słowa są w tej sytuacji zbędne, każdy z panów potrafi sobie wyobrazić rozmiary tej tragedii. Po jakimś czasie sprawa trafi do sądu, a sędzia rozpatrujący ten przykry przypadek będzie zachodzić w głowę, jakąż to sumę w ramach odszkodowania zasądzić na rzecz pokrzywdzonego.

Żadna kwota, dowodzi przytomnie sędzia, nie zrekompensuje przecież takiej straty. Nie zrekompensuje jej również słowo „przepraszam", zresztą to często nie chce przejść przez gardło lekarza, bo zdaje się, że i z kulturą osobistą części środowiska lekarskiego – święcie przekonanego, że nie tabakiera dla nosa, a nos dla tabakiery – nie jest w tamtym czasie najlepiej. Wynika z tego wiele nieporozumień, w 1937 roku głośno jest w Warszawie chociażby o przypadku spoliczkowania pacjenta Ubezpieczalni Społecznej przy ulicy Jagiellońskiej przez pana doktora, który w dodatku zwymyślał chorego od bydlaków i to tylko dlatego, że rzeczony pacjent odważył się wejść do gabinetu bez kolejki.

Przedwojenna służba zdrowia ma zatem kilka grzechów na sumieniu, a do czarnej listy należałoby dopisać pokątne świadczenie usług lekarskich zakazanych przez prawo. Dotyczy to zwłaszcza aborcji i istniejącego w związku z jej zakazem czarnego rynku, na którym wielu cwaniaków zbija majątek. Oczywiście takiej działalności żaden z panów doktorów nie prowadzi oficjalnie, niemniej plotka krążąca po Łodzi w tamtych latach głosiła, że jeden z łódzkich lekarzy reklamował swoje usługi sparafrazowanym hasłem kolektury Loterii Państwowej: „Chcesz skrobanki – wstąp na chwilę", a jego warszawski kolega ogłaszał się nawet na łamach „Kuriera Czerwonego" – „Porady dla kobiet, ciąża, przedślubne operacje… Ordynuje całą dobę"[20].

Jakiego rodzaju „przedślubne operacje" miał na myśli pan doktor, domyślić się nietrudno.

BÓL ZĘBA I GŁOWY

Narzeka się w przedwojennej Polsce na służbę zdrowia, a bodaj największych kłopotów przysparza w tym kontekście opieka dentystyczna. Państwowe Ubezpieczalnie, oferujące usługi w zakresie stomatologii, przedstawiają sobą obraz nędzy i rozpaczy, czego dowodzą oficjalne warszawskie dane statystyczne z 1936 roku: ponad pięć tysięcy założonych plomb, prawie osiemnaście tysięcy leczeń ropotoku, sto czterdzieści jeden tysięcy znieczuleń i grubo ponad milion usuniętych zębów.

Kto zatem trafia do gabinetu państwowego stomatologa, ten może mieć przekonanie graniczące z pewnością, że skończy się na bolesnym wyrywaniu, bo z powodu braku odpowiednich środków lekarze dentyści zatrudnieni w tych placówkach nawet w najprostszych przypadkach uciekają się do usunięcia zęba.

Krąży na ten temat w Polsce masa dowcipów:

– Bij go w zęby!

– Kiedy ich nie ma…

– A dlaczego nie ma?

– Leczył się w ubezpieczalni!

NAUKA, CO SIĘ ZOWIE

Polscy stomatolodzy mają ograniczone pole manewru, na szczęście z pomocą śpieszy im nauka. Z pewnością niemałe zdziwienie pojawia się na twarzach polskich dentystów w pierwszej połowie 1932 roku, gdy do ich skrzynek pocztowych trafia wielce osobliwa ankieta. Z czyjego polecenia i kto ją przeprowadził, nie sposób niestety ustalić, zadowolić musimy się zatem jej treścią, ta zaś – mówiąc najogólniej – przedstawia związek zachodzący między uzębieniem człowieka a jego charakterem.

Opublikowane w ankiecie wyniki stanowią dla niektórych spore zaskoczenie, wynika z nich bowiem na przykład, że komu zęby przednie górne wystają nad dolnymi ten… chciwy, kłótliwy i chytry. A zatem lepiej zostać posiadaczem kłów dolnych ostro zakończonych, bo te charakteryzują człowieka wyjątkowo uduchowionego. Jeśli zaś zauważą państwo u kogoś krzywe zęby

górnej szczęki, radzę uciekać, gdzie pieprz rośnie, bo takie uzębienie jest zwykle domeną ludzi o morderczych instynktach.

Rzekną państwo: „Bujda na resorach”. Być może, ale zagadnienie uzębienia poważnie traktuje się w tym czasie nie tylko w Polsce, dość powiedzieć, że w Rosji Sowieckiej pewien kryminolog napisze książkę, w której przedstawi typy uzębienia najczęściej spotykane u przestępców.

Naukowcy lub ci, którzy pragną za nich uchodzić, nie zasypiają gruszek w popiele i wciąż zgłębiają tajemnice życia, śmierci, ludzkich charakterów i ułomności. W pierwszej połowie lat trzydziestych ktoś rzekomo zajmujący się naukami medycznymi ogłasza, że źródeł skąpstwa i przesadnej zazdrości należy szukać w ludzkiej fizjologii. Za powód skąpstwa uważa ów jegomość gorączkę nieżytową, na przykład kiszki lub żołądka, a chorego zaleca w związku z tym leczyć ze sknerstwa za pomocą ekstraktu z żółtek. Kogel-mogel na nic zda się jednak w przypadku chorobliwej zazdrości, z niej bowiem wyleczyć mogą wyłącznie specjalne pigułki.

Warto w tym miejscu wspomnieć i o cudownej metodzie doktora Fela, który śpieszy na ratunek cierpiącym na bezsenność: „Sam obarczony bezsennością – pisze p. dr F. – jeszcze nigdy leku nasennego nie zażyłem, posługując się zawsze jednym z powyższej wymienionych sposobów. Zwykle recytuję: Kochanowskiego *Kiedy ranne wstają zorze*; Mickiewicza *Powrót taty*, *Alpuhara*, ustępy z *Pana Tadeusza*; Goethego *Erlkönig*, *Der Sänger*; ustępy z *Fausta*, Uhlanda *Des Sängers Fluch*; *Gaudeamus igitur* i wiele innych”[21].

Złośliwcy z „Wiadomości Literackich” proponowali, aby do listy pan doktor Fela raczył dopisać *Mahabharatę*. Rzecz jasna w całości.

KOGUTEK NA BÓL GŁOWY

Kilka słów należy poświęcić także sklepom, które – jak mawia się w dwudziestoleciu międzywojennym – sprzedają zdrowie. W dużych miastach, a i mniejszych miejscowościach na aptekę

natknąć się nietrudno, a że w takich miejscach nęci klientów widok dziesiątek buteleczek, słoiczków i pudełeczek z pigułkami, interes kręci się aż miło.

O lekarstwach przepisywanych przez lekarzy wspominać nie będę, bo to rzecz niezbyt zajmująca. Warto natomiast napisać o całej masie tak zwanych leków profilaktycznych, działających doraźnie na różnego rodzaju objawy chorobowe.

Wielkim powodzeniem cieszą się w przedwojennej Polsce aspiryna, chinina, a zwłaszcza tabletki ślazowe na gardło. Starzy kupują je z byle powodu, dzieci symulują kaszel, bo pastylki smakują jak słodkie cukierki. Jeśli kogoś kłuje w boku, niezbędna okaże się terpentyna zwana francuską. Baby smarują tym specyfikiem obolałe części ciała swoich małżonków.

Handel aptekarski, jak i dziś, ulega modzie i rozmaitym trendom. Raz remedium na wszelkie bolączki świata stanowi jod, innym razem jest nim wyciąg z czosnku. Tęgie panie, które ani myślą przejść na dietę (na poranną gimnastykę z reguły nie mają zaś czasu), swoją szansę na pozbycie się kilku zbędnych kilogramów upatrują w preparatach odchudzających. Te, zwłaszcza zagraniczne, są drogie, kosztują w 1934 roku około siedmiu złotych, któż jednak wolałby katorgę diety, skoro podobny skutek można osiągnąć, połknąwszy pastylkę. Niesłabnącym powodzeniem (to skutek napomnień babć pamiętających czasy cesarza Wilhelma II) cieszą się zioła. Ponoć na nerwy najlepszy jest kwiat lipy, a na bolące dziąsła – rumianek. Największym jednak hitem – medykamentem nad medykamenty – są w przedwojennej Polsce proszki na ból głowy. Popularny kogutek i jego podróbki są spożywane w naszym kraju w ilościach wręcz niewyobrażalnych.

Branża apteczna nie ma zatem powodów do narzekań, ale nie jest monopolistą, zwłaszcza w dziedzinie cudów. A te gwarantują ogłaszający się w prasie wynalazcy i uzdrowiciele.

Cierpiącym na głuchotę jedna z firm mająca swe siedziby w Poznaniu, Wrocławiu i Toruniu proponuje w drugiej połowie lat dwudziestych cudowne kapsułki ze złota, które po

odpowiednim umiejscowieniu w uchu – jak przekonują producenci – przywracają słuch.

O skuteczności preparatu zaświadczali ponoć specjaliści, ale my jesteśmy głusi na podobne doniesienia, bo jeśli cud ma być prawdziwy, to bez udziału podejrzanych akcesoriów. Co innego cudowna metoda leczenia głodem znanego w Warszawie doktora Suworina. Człowiek ten podróżuje po Polsce, sprzedaje broszury i wygłasza odczyty, w których przekonuje sceptyków do zbawiennych właściwości głodówki. Proponowana przez doktora kuracja trwa kilkanaście dni, w jej trakcie pacjent przyjmuje dziennie jedynie szklankę wody z sokiem cytrynowym. Słono za wiarę w cudowną dietę doktora Suworina przyjdzie zapłacić pod koniec 1935 roku pewnemu buchalterowi z Kobrynia, który dwunastego dnia głodówki straci przytomność i pomimo pomocy lekarskiej wyzionie ducha.

ZNACHOR

W połowie lat dwudziestych w Polsce pracuje około sześciu tysięcy lekarzy, ale czymże jest sześć tysięcy wykwalifikowanych specjalistów wobec niezliczonej rzeszy uzdrowicieli rekompensujących sobie brak dyplomu zapałem i wiedzą tajemną. Temat wiejskiej medycyny rodem ze średniowiecza, temat znachorów i ciemnoty ludzkiej przewija się przez całe dwudziestolecie międzywojenne, stając się pożywką dla prasy, bywa nawet, że inspiracją dla pisarzy i filmowców. Postać profesora Rafała Wilczura, czyli znachora z powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza, w którą w filmie z 1937 roku wciela się słynny Kazimierz Junosza-Stępowski, nieobytych z tematem z pewnością może wprowadzić w błąd, w rzeczywistości jest bowiem znachor przede wszystkim (choć oczywiście nie zawsze) uosobieniem zabobonu i zacofania.

Taki przekonuje, że o chorobach wie niemal wszystko. Żaden z lekarzy z dyplomem w kieszeni nie zdoła zdiagnozować „wewnętrznego zropienia w okolicy kości pacierzowej”, bo i żaden o takiej przypadłości nigdy nie słyszał. A znachor nie

dość, że słyszał, ma w dodatku wiedzę o tym, jak taką chorobę wyleczyć. A to zaproponuje olejek, a to naelektryzowaną promieniami wodę z kranu, a to herbatkę z ziółek, a gdy pacjent nie może stawić się osobiście, i na to znajdzie się rada, są bowiem specjaliści gotowi uzdrawiać na odległość za pomocą „kosmiczno-magnetyczno-elektrycznej” terapii.

W dużych miastach, gdzie poza lekarzami prym wciąż wiodą akuszerki i felczerzy, znachorów spotyka się rzadko. Ich miejsce jest na zapadłej prowincji, tam gdzie lud prosty, przesądny i nieufny wobec jegomości w białych kitlach. W takiej na przykład wsi Zabiele Dolne (powiat radomski), gdzie w połowie stycznia 1931 roku gremium złożone z wiejskich bab orzeknie, że za dolegliwościami skarżącego się na ból brzucha pana Marcina Kopieckiego stoi tkwiąca w kiszce ość.

Wnet po zdiagnozowaniu choroby wiejskie konsylium zaleca choremu stosować okadzania brzucha dymem z palonego jęczmienia, a następnie serwuje nieszczęśnikowi dwudniową dietę polegającą na spożywaniu dużej ilości bardzo słonych śledzi. Niestety, zaproponowana kuracja nie przynosi oczekiwanego skutku, Kopiecki ma tylko bardziej okopconą skórę, a poza tym męczy go okropne pragnienie, brzuch jednak jak bolał, tak boli nadal. Sprowadzony z sąsiedniej wioski niejaki Jakób Kowalik, który podczas wojny japońskiej służył jako sanitariusz w armii rosyjskiej, stwierdza, że cierpiącemu należy postawić bańki na brzuchu, a ponieważ we wsi nikt nie posiada niezbędnych naczyń, do wyciągnięcia choroby stosuje Kowalik kilkulitrowy gliniany garnek. I to jednak nie przyniesie ukojenia, więcej nawet, Kopiecki w trakcie tej kuracji dostanie takich bólów, że rozbije w napadzie szału garnek w drobny mak, a potem rzuci się z pięściami na Bogu ducha winne konsylium, co z kolei utwierdzi baby w przekonaniu, że to jednak nie ość, ale jakieś biesy zawładnęły duszą znajomka. Biedny Kopiecki wycierpiałby zapewne jeszcze niejedną mękę z rąk przyjaciół, gdyby nie oświecony proboszcz. Ten dopiero zdoła przekonać

wieś, że chorego należy niezwłocznie przetransportować do najbliższego miasta i oddać pod opiekę prawdziwych lekarzy.

Brzemienne w skutkach okażą się również porady pewnej obeznanej z czarami baby ze wsi Broszków w powiecie siedleckim. Kiedy jedno z dzieci zamożnego gospodarza jesienią 1930 roku poważnie zapadnie na zdrowiu, głowa rodziny, zamiast udać się do miasta i zasięgnąć porady lekarza, zaufa miejscowej znachorce. Kobieta wpierw odradzi gospodarzowi wizytę u medyka, a następnie zapewni go, że gdy dziecku zrobi się kołtun na głowie, choroba ustąpi. Po kilku dniach stan zdrowia dziecka ulega pogorszeniu i być może chłop wreszcie poszedłby po rozum do głowy i skonsultował się z lekarzem, gdyby nie kolejne odwiedziny znachorki. Tym razem baba poradzi gospodarzowi, aby schwytał bociana, następnie spalił w ogniu dwa jego pióra, a okadzone dymem dziecko na pewno wyzdrowieje. Ani znachorka, ani naiwny mężczyzna nie przewidzą jednak, że złapany w potrzask bocian podczas oskubywania go z piór wpadnie w amok i w zamieszaniu wydziobie oko drugiemu, dotychczas zdrowemu dziecku gospodarza.

Nie słyszałem o tym, aby znachorka pojawiła się w domu gospodarza po raz trzeci. W ręce ludzi lepiej takiej nie oddawać, bo ci gotowi sami wymierzyć sprawiedliwość, do czego dojdzie w połowie lat trzydziestych we wsi Połoczany w gminie winieckiej. Miejscowy znachor Adam Michniewicz długo leczył tam ziołami okolicznych mieszkańców, a że w wyniku przepisywanej przez niego kuracji kilka osób poważnie zapadło na zdrowiu, rozwścieczony tłum, pragnąc zemścić się na szarlatanie, zmusił go do wypicia dużej ilości serwowanego przezeń wywaru, przez co omal nie wyprawił go na tamten świat.

W tej okolicy panu Michniewiczowi nikt nigdy już nie zaufa, ale niech spróbuje w rejonie Częstochowy, gdzie wiara w cudowne zdolności znachorów wciąż jest w tym czasie silna. Z ludzkiej ciemnoty korzysta tam między innymi mleczarka

Anna Nalewajko handlująca napojami miłosnymi. Kilka takich butelczyn (dziesięć złotych za sztukę) wystarczy jej zdaniem, aby rozkochać w sobie każdego mężczyznę, a żeby uwiarygodnić cudowne działanie wynalazku, posunie się do podstępu i jednej ze swych klientek podstawi opłaconego wcześniej dżentelmena. Ten wypije miłosny napar, wyzna pani Franciszce miłość, lecz kilka dni później prawda wyjdzie na jaw i okaże się, że Nalewajko nabijała ludzi w butelkę.

Jakkolwiek miłosny napój mleczarki to bujda, można się nim raczyć chociażby ze względu na walory smakowe. Gorzej, gdy taki napój szkodzi, jak herbatka z oleandra, którą miejscowe baby przepisują pewnej mieszkance okolic Płocka zmagającej się z chorobą. Pani Adamska po wypiciu „leczniczego" wywaru dostanie potwornych boleści, a życie zachowa jedynie dzięki szybkiej reakcji sprowadzonych lekarzy.

Napary z węży sporządza z kolei w niewielkiej wsi Grelin w województwie lubelskim pani Marianna Kulikowa. Jeden z chłopów po kuracji zaserwowanej przez znachorkę omal nie wyzionął ducha, w okolicy chodzą zresztą słuchy, że kilka osób tyle szczęścia, co gospodarz Kowalczyk, nie miało i ci są już po imieniu ze świętym Piotrem. Sprawie pani Kulikowej, którą prasa nazywa wiedźmą, przyjrzy się wiosną 1933 roku policja, wtedy też w jej chacie stróże prawa podczas przeprowadzonej rewizji odnajdą woreczki z ziołami, dziwne kamienie i kości małych zwierząt, głównie żab i nietoperzy. Z tych ostatnich właśnie sporządza znachorka specjalne wywary miłosne.

Za kratki powinien trafić również znachor ze wsi Koźminek pod Kaliszem, który w listopadzie 1931 roku przekona niejakiego pana Olejczaka, że jego syna, cierpiącego na dolegliwe bóle brzucha, opętał diabeł, a jedyną receptę na wypędzenie szatana z ciała chłopca stanowią okłady z nafty. Stary Olejczak uwierzy w banialuki znachora, na domiar złego w trakcie przygotowań osobliwego lekarstwa nieopatrznie zaprószy ogień w chałupie. Pożar strawi część gospodarstwa, jednak znachor także na to znajdzie wytłumaczenie i przekona ogłupiałego mężczyznę, że za

jego nieszczęściem stoi owładnięty siłami nieczystymi syn. Idąc za radą szalonego znachora, ojciec spierze potomka do nieprzytomności.

Wszystkie te osobliwe indywidua bledną wobec gwiazdy pierwszej wielkości, czyli pani Galewskiej, oficjalnie włościanki w Sucharzewie, a prywatnie najsłynniejszej bodaj znachorki w Wielkopolsce. Kobieta przyjmuje ludzi codziennie między czwartą a ósmą rano, w tym bowiem czasie wpada w rodzaj transu, podczas którego uzdrawia, niosąc pomoc pozbawionym nadziei. A jeśliś zmożony chorobą do tego stopnia, że nie zdołasz dotrzeć do jej mieszkania, nic straconego, bo pani Galewska posiada ten rzadki rodzaj mocy, który działa również na odległość. Oczywiście tylko wtedy, gdy zapłacisz.

Cieszy się ta siedemdziesięcioletnia baba niesłychaną wręcz popularnością, ściągają do niej ludzie z całej Wielkopolski, bynajmniej nie tylko chłopi i biedota, wśród stojących przed jej drzwiami w długiej kolejce spotkamy również przedstawicieli tak zwanej inteligencji. Nie trudno się dziwić ich entuzjazmowi, wszakże jak przekonuje każdy w tej okolicy, nie ma takiej choroby na świecie, której znachorka nie dałaby rady – obłąkanie, trąd czy nowotwór, na panią Galewską i jej ziółka nie ma mocnych, niektórzy bajają, że i z epidemią czerwonki zdołałaby sobie poradzić.

O skali przedsięwzięcia prowadzonego przez panią Galewską najlepiej świadczy to, że kobieta zatrudnia aż trzech aptekarzy, którzy specjalnie dla niej przyrządzają maści, ziółka, herbatki, wywary i to nie tylko z traw, korzeni i liści, lecz także z owadów. Galewska zna setki przepisów, wszystkie je też swym wynajętym na wyłączność aptekarzom dyktuje z pamięci. Sama pisać i czytać nie potrafi.

* * *

ROZDZIAŁ IV
MANEWRY MIŁOSNE

U c i e k l i n a d a c h p r z e d ż o n a m i

N i e z w y k ł a e p o p e a w a r s z a w s k i c h p i j a k ó w

Dom przy ulicy Smoczej 8 był w dniu wczorajszym terenem niecodziennego zajścia.

Dwaj mieszkańcy tej kamienicy wrócili wieczorem do domu po pijackiej libacji. Gdy stanęli przed swemi żonami, te urządziły im wielką awanturę.

Pijacy w panicznym strachu pobiegli aż na dach pięciopiętrowej kamienicy, w której mieszkali. Napróżno lokatorzy domu prosili ich by opuścili tę niebezpieczną kryjówkę. Pijacy ani myśleli zejść drżąc przed żonami. W końcu zaalarmowano policję.

Jednak na widok przedstawicieli władz pijacy również nie chcieli zejść. Wobec tego wezwano straż ogniową, która przesłała na miejsce drabinę motorową. Kiedy strażacy poczęli się wspinać na dach, jeden z pijaków zbiegł przez oficynę, niestrzeżoną przez policjantów.

Drugi, Kazimierz Zacierka, zniesiony został przez strażaka i oddany w ręce policji. Zacierkę osadzono w komisarjacie[22].

* * *

ZBRODNIA NA TLE MIŁOSNYM

Ileż to razy słyszy się w przedwojennej Polsce o takich historiach...

Janina Kobusowa, ekspedientka sklepu przy ulicy Leszno 121, wpada w oko panu Janowi, sęk w tym, że o ich romansie dowiaduje się jego żona i wieczorem organizuje w bramie, nieopodal sklepu, zasadzkę na kochankę. A potem to już jak w filmie Quentina Tarantino – pani Kunegunda, żona pana Jana, zrywa z głowy pani Janiny kapelusz i wali ją młotkiem. Ranna kobieta trafia do szpitala, na szczęście obrażenia okazują się niegroźne.

Zapytają państwo, czy było warto? Otóż zdaniem pani Kobusowej owszem. „Chłop jest ładny, więc warto się o niego pobić. Mam i tak za dużo krwi, nic mi nie szkodzi, że ta wiedźma trochę mi jej upuściła”[23] – stwierdza poszkodowana.

Bohaterowie awantur na tle miłosnym, nieschodzący z pierwszych stron brukowców, dysponują zwykle arsenałem charakterystycznym dla tego typu spraw. Należy do niego, jeśli ktoś sentymentalny – rewolwer, należą do niego, jeśli ktoś wyrafinowany – trucizna i żrący kwas. Najbardziej bezpośredni sięgają zaś po noże i siekiery, dostarczając prasie sensacji, a ludziom niezdrowej rozrywki.

Na Marymoncie lud gniewny, ale szczery. Dziś się bije, jutro pije. I kocha bezwarunkowo. Mąż pani Marii Kowalewskiej to alkoholik, który nie tylko przepija zasiłek, lecz także ma czelność żądać od małżonki pieniędzy na wódkę. A gdy ta odmawia, mężczyzna chwyta figurkę gipsową Wenus i rzuca się na kobietę. Dla bohaterki tej greckiej tragedii, pani Kowalewskiej, to nie pierwszyzna – swoje wycierpi, w kącie się wypłacze, lecz przyjdzie pora na zemstę. Kiedy mąż zapada w sen, kobieta rani brutala ostrzem siekierki w policzek.

Zaskakuje w tej historii z początku 1934 roku zwłaszcza jej epilog. Podczas rozprawy sądowej małżonkowie zapewniają sędziego o wzajemnej miłości. „A ta sprawa z Wenus i siekierką, czy to także nic takiego?” – zapyta ironicznie sędzia. „Ot, zwykła małżeńska sprzeczka” – wyjaśniają Kowalewscy zgodnie.

A zatem nic nadzwyczajnego, panie sędzio. Na Marymoncie normalna rzecz. Zresztą i na Chłodnej lud równie niepamiętliwy.

Co prawda pani Franciszka w przypływie desperacji strzeli tam do ukochanego z rewolweru, raniąc go przy tym dotkliwie, niemniej i ci kochankowie będą zapewniać pana sędziego, że cała sprawa to zwykłe nieporozumienie. Nawiasem mówiąc, pani Franciszka złościła się na pana Zygmunta nie bez powodu, bo ten w przeszłości aż pięciokrotnie przekładał termin ich ślubu, a przecież każdy ma granice cierpliwości.

Strzelają do ukochanych nie tylko panie. Weźmy chociażby takiego mecenasa sztuki, który podczas pobytu w jednej z warszawskich galerii skonstatuje z przerażeniem, że namalowany przez pewnego artystę kobiecy akt przedstawia, o zgrozo, wizerunek jego żony. Wkrótce prawda wychodzi na jaw, okazuje się bowiem, że kilka tygodni wcześniej, gdy w stolicy bawiła żona pana mecenasa, istotnie poznała jakiegoś malarza i jak dowiedział się pan mecenas, zgodziła się mu pozować w stroju Ewy. Doprowadzony do wściekłości małżonek nie puści płazem takiej zniewagi i dokona krwawej zemsty.

Jeżeli w tym przypadku będzie się mówić o zbrodni w afekcie, cóż dopiero powiedzieć o sprawie pewnego gospodarza z Laszek Murowanych pod Lwowem, którego w połowie listopada 1928 roku otruje własna żona. Do popełnienia tej potwornej zbrodni popchnęła nieszczęsną kobietę miłość do… kury. Tak, tak, nie przesłyszeli się państwo. Miała bowiem pani Anna Tutakowa swoją ulubioną kurkę. Pocieszna to była ptaszyna, dbała o nią Aniulka i często ze swą skrzydlatą przyjaciółką gawędziła, urozmaicając sobie prozę nudnej codzienności na prowincji. I tak było aż do dnia, kiedy mąż – mimo sprzeciwu żony – zarżnął kurkę na rosół. Pani Tutakowa zapała wskutek tego wydarzenia taką żądzą odwetu, że nawet małżeńska przysięga nie zdoła zapobiec katastrofie.

MANEWRY MIŁOSNE

Na uczucie nigdy nie jest za późno, zdaje się, że właśnie z tego założenia wychodzi na przełomie 1930 i 1931 roku pewien Żyd. Sprawa nie jest banalna, bo pan Srul – mieszkający w Turczynie

na Wołyniu – ma na karku przeszło siedemdziesiąt trzy wiosny i w tym właśnie czasie obchodzi wraz z małżonką złote gody. Na uroczystości zjawia się cała rodzina naszego bohatera, zjawia się również urocza sąsiadka, osiemdziesięcioletnia pani Sura.

Krew nie woda, cóż począć, gdy sąsiadka wpadnie w oko starcowi, a ten kilka dni później postanowi… rozwieść się z żoną i poślubić nową wybrankę. Na nic zdadzą się w tym wypadku upomnienia rabina, że to za późno, że nie wypada, że zbłaźni się pan Srul przed całym miasteczkiem. „A niech gadają” – odpowiada uparcie Żyd, więc i rabin da w końcu za wygraną, niestety gdy pan Srul i pani Sura pojawią się w rabinacie, aby sformalizować związek, do kontrofensywy przejdzie rodzina starca, niemal siłą zmuszając go do kapitulacji.

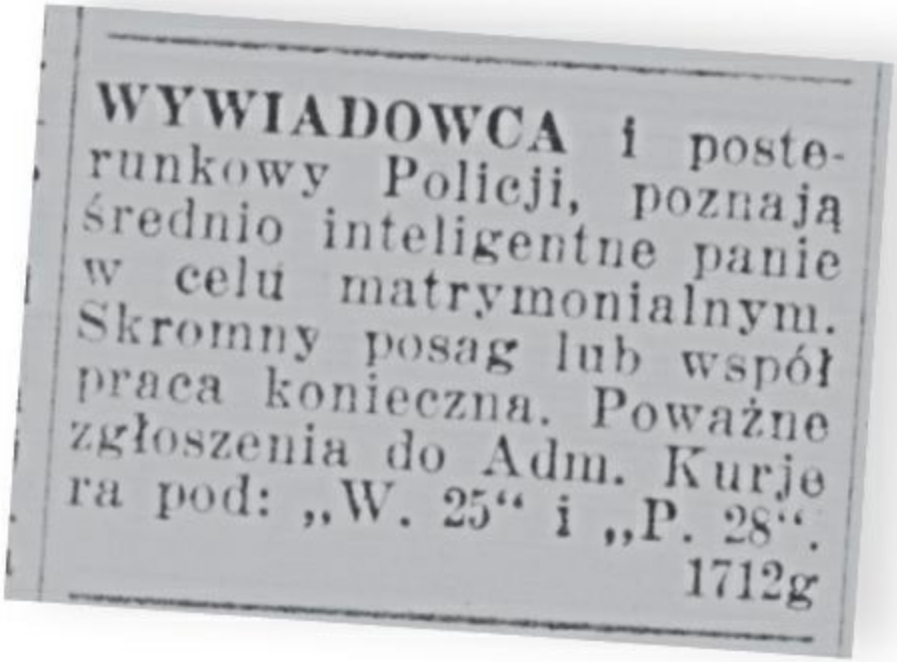

WYWIADOWCA i poste-
runkowy Policji, poznają
średnio inteligentne panie
w celu matrymonialnym.
Skromny posag lub współ
praca konieczna. Poważne
zgłoszenia do Adm. Kurje
ra pod: „W. 25“ i „P. 28“.
1712g

Chciałoby się rzec: szczerość nade wszystko. Ogłoszenie matrymonialne z „Ilustrowanego Kuryera Codziennego”, rok 1927.

W miłości często trzeba obejść się smakiem, coś niecoś na ten temat wie także pan Gałka z Łodzi. Wnet po wyjeździe z domu żony zachodzi w głowę łódzki donżuan, w jaki sposób sprowadzić do mieszkania kochankę, sprowadzić tak, aby czujne sąsiadki (odpowiednio przez małżonkę poinstruowane) nie wyniuchały zdrady. Głowę ma pan Gałka nie od parady, dlatego wpadnie w końcu na pomysł tyleż odważny, co absurdalny. Za pośrednictwem przyjaciela namówi kochankę, aby ta zgodziła się zamknąć w drewnianej skrzyni, skrzynię zaś wierny kompan naszego bohatera wyprawi do mieszkania pana Gałki drogą pocztową. Diabeł tkwi w szczegółach, dlatego panowie drobiazgowo obmyślą swój plan, a na drewnianej skrzyni poza adresem znajdzie się również adnotacja informująca przewoźnika, że zawartość przesyłki jest szklana i dlatego należy obchodzić się z nią ze szczególną delikatnością. Niestety, na dworcu nieuważni pracownicy poczty skrzynię upuszczą, ta rozpadnie się na kawałki, a oczom zaskoczonych gapiów ukaże się zawstydzona panna Barbara z Łęczycy.

Grunt to dobry pomysł – pomyślał zapewne pan Gałka, a z pewnością tę samą maksymę wyznaje pan Sulikowski, który opuszczony przez kochankę postanawia odszukać ją za pomocą oryginalnego fortelu. A któż, jeśli nie policja, zna się lepiej na wytropieniu tych, którzy odszukani wcale być nie zamierzają. Udaje się więc pan Sulikowski do komisariatu i składa skargę na swoją przyjaciółkę, pannę Walentynę, oskarżając ją o kradzież. Niezawodni stróże porządku zdołają wytropić dziewczynę, jakież jest jednak ich zdziwienie, kiedy pan Sulikowski wkrótce wycofuje skargę, tłumacząc funkcjonariuszom, że zaszła pomyłka.

Z flirtem nie ma żartów, flirt może doprowadzić do zguby. Boleśnie przekona się o tym panna Stanisława Śmielińska, pracownica hotelu Pod Globusem, która zawróci w głowie aż dwunastu kawalerom. Każdy z nich gotów dla niej zabić i przychylić jej nieba, każdy z bukietem kwiatów, więcej nawet – każdy pragnie się żenić. Gdyby panna Stasia miała na głowie

dwóch, może trzech amantów, zdołałaby sobie poradzić, ale dwunastu – temu nie podołałaby żadna.

Długo namyśla się panna Stasia, długo kombinuje, z którym kawalerem będzie jej najlepiej, wreszcie, w akcie desperacji, rzuca się pod tramwaj linii 11 przy ulicy Towarowej (szczęście, że nie była to dwunastka), niemniej ani ta próba samobójcza, ani kolejna (Śmielińska wypija truciznę) nie wybawią dziewczyny z opresji, bo życie, jak owych dwunastu kochanków, czepia się jej złośliwie. Warto przy okazji przytoczyć również fragment napisanego przez nią listu pożegnalnego, a jeśli ktoś z państwa uroni łezkę nad nieszczęściem panny Stasi, nie będę szydził. „Mam ich dwunastu: Franka, dwóch Zbyszków, Kazika, Józefa, Stanisława, Ludwika, Lucjana, Jurka i Jakuba, lecz nie wiem, którego wybrać, przeto schodzę z tego świata”[24].

Swoją drogą mogło być z tej hecy jeszcze większe nieszczęście, dziękować Bogu, że panowie nie wiedzieli o sobie nawzajem, nietrudno się domyślić, do jakiej awantury by doszło, gdyby cała dwunastka spotkała się pewnego ranka na udeptanej ziemi. Podczas podobnych pojedynków trup ścieli się gęsto, a pokrwawione członki fruwają w powietrzu. Zdarzy się na przykład w Legionowie w 1936 roku, że podczas bójki dwóch dżentelmenów konkurujących o względy pewnej panny jeden drugiemu odetnie nożem czubek nosa. „Teraz nie będziesz się jej podobał” – rzuci z satysfakcją zwycięzca.

Wracając zaś do pięknej Stasi, to oczywiście do podobnych scysji na tle miłosnym dochodzi w przedwojennej Polsce wielokrotnie. O pladze samobójstw będzie okazja przeczytać w innym miejscu naszej opowieści, póki co pozwolę sobie przytoczyć jeszcze jeden tragiczny przypadek, do którego dochodzi w małym miasteczku pod Beresteczkiem na Wołyniu w 1930 roku. Dwóch bogatych Żydów żyje tam w zgodzie, można być rzec, absolutnej. Panowie prowadzą wspólny interes, razem znoszą wszelkie utrapienia dnia codziennego i w gruncie rzeczy są nierozłączni. Traf jednak chce, że jeden z nich po wielu latach zakocha się w pewnej dziewczynie i postanowi na nowo, już

z ową niewiastą przy boku, ułożyć sobie życie. W tym nowym rozdziale nie ma niestety miejsca na kolegę, który, zdaje się, pała do niego znacznie gorętszym uczuciem, niż przewidują to relacje przyjacielskie. Z tego też powodu udaje się nieszczęśnik do miejscowego tartaku, podkłada głowę pod piłę elektryczną i w ten sposób kończy swój żywot. Aż dziw bierze, że żaden z naszych scenarzystów nie zaczerpnął z tej historii, wszak jest w niej wszystko, czego wymaga się od zacnego telewizyjnego tasiemca – przyjaźń, wielkie interesy i takież pieniądze, do tego dwóch Żydów (jeden o skłonnościach homoseksualnych), zdrada, miłość i w końcu samobójcza śmierć w tartaku.

Prawdziwy spektakl zazdrości i to spektakl *sensu stricto* zaprezentuje szanownej publiczności w 1938 roku w Worochocie pewna elegancka dama. Rzecz wydarzy się podczas amatorskiego przedstawienia i sprawi obecnym wielką uciechę, bo czyż można się nie uśmiechnąć, gdy w trakcie pierwszego aktu aktor całuje aktorkę, a na ten widok żona wskakuje na scenę, policzkuje męża, a Boga ducha winną aktorkę zrzuca ze sceny? Chwilę potem kurtyna zapada, a zazdrosna dama przy burzy oklasków opuszcza widownię.

Przedwojenna Polska obfituje w podobne przypadki. Zazwyczaj nie kończy się jedynie na siniakach i śmiechu rozbawionych świadków, a zbrodnia na tle miłosnym staje się jedną z głównych pożywek dla prasy. Nie ma tygodnia, aby gazety nie informowały o zazdrosnej kochance strzelającej do niewiernego kochanka lub mężu szlachtującym wiarołomną małżonkę.

Tak daleko, a więc do próby zabójstwa, nie posunie się właściciel zakładów piekarskich, który w 1934 roku owszem przyłapie *in flagranti* swoją żonę i ekspedienta zatrudnionego w firmie, ale miast mordować, postanowi gagatka pozbawić środków do życia. Wyrzucony z roboty mężczyzna swoich praw będzie dochodzić w sądzie, żądając przy okazji wynagrodzenia za trzymiesięczny okres wypowiedzenia i zaległy urlop. Pierwsza instancja przyzna mu rację, ale znieważony majster wniesie

skargę kasacyjną, dzięki czemu nadarzy się okazja do wysłuchania szalenie interesującego wywodu adwokata reprezentującego jego interesy, pana Hofmokla.

„W jednej z moich książek przyrównałem niesłuszne wyroki do grzechów i podzieliłem je na «główne», «przeciw Duchowi Świętemu» i «O pomstę do Boga wołające». Do tych ostatnich zaliczam wyrok, który mam dziś honor zwalczać, bowiem majster P. nie tylko nie był zobowiązany do wypowiedzenia pracy na 3 miesiące z góry, ale raczej miał prawo z góry z 3-go piętra zrzucić amanta. Stosunki płci jeszcze się tak dalece nie zmodernizowały, aby Sądy miały za przyprawianie rogów wyznaczać premje!”[25].

Chociaż tym razem sąd przychyli się do wniosku adwokata Hofmokla, nie da się ukryć, że owa „modernizacja stosunków płci” postępuje w tym czasie w zawrotnym tempie. Kto by na przykład pomyślał, że już w latach trzydziestych przyjdzie mężczyźnie skarżyć żonę o alimenty. Jeszcze kilkanaście lat wcześniej byłoby to nie do pomyślenia, jednak w roku 1936 rzadko, bo rzadko, ale trafi się taki przypadek. Przykładem niech będzie sprawa pana Zygmunta Kotuniaka, który żeni się z kobietą dwanaście lat od siebie starszą i znacznie zamożniejszą. Żeni się, dodajmy, przede wszystkim dlatego, ażeby zdobyć środki na ukończenie studiów. Pani Lucyna przejrzy podstęp, a domyślając się, że mąż porzuci ją zaraz po otrzymaniu dyplomu, pocznie mu przeszkadzać w nauce i to na tyle skutecznie, że biedaczek postrada na pewien czas zmysły. A ponieważ Kotuniak w wyniku choroby nie zdoła ukończyć studiów, zażąda zadośćuczynienia w postaci siedemdziesięciu pięciu złotych miesięcznie.

Czymże jest jednak drobne kłamstewko naszego studenta, gdy porówna się je do tego, którego dopuści się Abraham Kagan. Komiwojażer zatrudniony przez pewną firmę załatwia interesy w różnych zakątkach kraju, a ponieważ przejawia słabość do płci pięknej, żeni się, i to aż ośmiokrotnie. Żadna z kobiet nie wie rzecz jasna o pozostałych, ten kilka dni spędza z jedną żoną,

następnie przenosi się do kolejnej, a że spełnia wszystkie małżeńskie obowiązki, w sumie przychodzi na świat aż czterdzieścioro dwoje dzieci. Długo jeszcze cieszyłby się pan Kagan tym nadzwyczaj urozmaiconym życiem małżeńskim, gdyby na trop jego oszustwa nie wpadła jedna z żon. Jesienią 1934 roku pod rabinatem warszawskim dzieją się w związku z tym sceny iście dantejskie, skrzyknięte żony żądają od rabinatu pociągnięcia pana Kagana do odpowiedzialności, ten zaś w samą porę zapada się pod ziemię.

Gwoli ścisłości dodam jedynie, że panu Kaganowi daleko do rekordu, bo czymże jest osiem ślubów przy… czterdziestu. A właśnie co najmniej tyle razy przysięgę małżeńską składał łódzki komiwojażer, pan Uszer Wolff Goldman.

JEGO EMINENCJA OD ROZWODÓW

A jeśli uczucie zgasło i nie ma nadziei na ponowne wzniecenie żaru miłości, pomocą służy działający w Warszawie w połowie lat trzydziestych „Jego Eminencja Metropolity Efezu, Brazylii, wyspy Kitris i innych egzotycznych wysp z przyległościami”, czyli pan Marcin Faron, założyciel samozwańczej metropolii specjalizującej się w… rozwodach. Ci, którym sprzykrzyły się obowiązki małżeńskie, którzy pragną uwolnić się od przykrej przysięgi i rozpocząć nowe życie bez zobowiązań, udają się do niewielkiego, acz pięknie urządzonego lokalu przy ulicy Miedzianej.

„Biskup” Faron i jego pracownicy nie prowadzą rzecz jasna działalności *pro bono*, tłumaczy się więc interesantom, że do załatwienia sprawy niezbędne będzie zebranie się sądu kościelnego, a to wiąże się niestety z kosztami. Któż jednak przejmowałby się wydatkiem rzędu tysiąca złotych, gdy chodzi o wolność? A zatem płacą panie i panowie, licząc, że dzięki panu Faronowi wszystkie formalności zostaną załatwione, a ich małżeństwo wkrótce stanie się jedynie odległym wspomnieniem.

Niestety, polskie władze może i bywają względem rozmaitych sekt nazbyt tolerancyjne, ale wszystko ma swe granice, dlatego

wydawane przez pana Farona zaświadczenia nie są, o czym klienci boleśnie przekonują się już po kilku dniach, warte funta kłaków, a zasądzone przez „biskupa” z Miedzianej i suto opłacane rozwody w świetle obowiązujących przepisów okazują się nieważne.

Liczba rozwodów w przedwojennej Polsce rośnie z roku na rok, co, jak twierdzono, ma wiele wspólnego z rozluźnieniem się obyczajów i „zmianą poglądów na problem naszego życia rodzinnego”[26]. Opinię publiczną zachodniej Polski szokuje zwłaszcza Toruń, w którym w 1929 roku dochodzi do rozwiązania… dwudziestu dwóch małżeństw (prasa pisała, że szczególnie feralny pod tym względem okazał się marzec, gdy rozwiedziono aż siedem par).

Gdy jedni pragną rozwodu, inni uczynią wszystko, aby mu zapobiec. W Czeladzi w roku 1937 głośno było o przypadku mężczyzny, męża właścicielki sklepu z galanterią, który dowiedziawszy się o zamiarach znudzonej wspólnym życiem małżonki, zorganizuje strajk okupacyjny w swoim mieszkaniu. W ramach protestu mężczyzna nie wyjdzie z domu przez wiele dni, co więcej, zabarykaduje drzwi i nikogo, w tym żony, nie wpuści do środka, a ponieważ wkrótce skończą się desperatowi skromne zapasy, strajk okupacyjny przekształci się z czasem również w strajk głodowy. O tym, czy właścicielka sklepu z galanterią ugięła się pod naporem akcji protestacyjnej małżonka, nic pewnego nie słyszałem.

Rekordzistą rozwodowym przedwojennej Polski jest, zdaje się, pan Abram Flejszer, który w trakcie czternastu lat pożycia ze swoją małżonką Gitlą rozwiedzie się z nią aż czterokrotnie. Po każdym z takich rozwodów panu Flejszerowi robi się jednak tęskno za cierpliwą kobietą i cóż, że aż cztery rozwody, skoro i pięć ślubów mają na swym koncie Flejszerowie. Ostatnia z tych uroczystości odbędzie się w 1934 roku w mieszkaniu pana Abrama. Widać rabinat stracił do niego cierpliwość.

CENNE WSKAZÓWKI DLA NIEUŚWIADOMIONYCH

Miłość od dawna przestała stanowić tabu, nic przeto dziwnego, że relacje damsko-męskie zajmują w dwudziestoleciu międzywojennym wiele tęgich głów – powstają na ten temat książki, broszury i artykuły w prasie codziennej. Nigdzie nie znajdą państwo tylu mądrości, nigdzie nie uświadczą tylu praktycznych porad, ilu przysporzy lektura tych jakże oryginalnych dziełek.

Matrymonialne

SZUKAM żony mającej dn
że ładne włosy „Wróg mo
dy" Biuro ogłoszeń Sienna
12.
579ig

Ogłoszenie matrymonialne opublikowane w „Ilustrowanym Kuryerze Codziennym” w 1927 roku.

Jedno z nich nosi tytuł *Jak wyjść zamąż lub ożenić się i być szczęśliwym w związku małżeńskim*, a jego autor już we wstępie dowodzi, że „stan bezżenny" wpływa zgubnie na intelekt kobiet. A zatem hańba ci, dziewczyno, jeśli pragniesz zachować dziewictwo, a chociaż autor zaznacza, że „trawienie młodej dziewczyny pozostawia wiele do życzenia"[27], nie ryzykuj i… zaryzykuj.

Co zaś do panów, to jeśli i wy pragniecie ożenku, książeczka ta zaleca, abyście szukali kandydatek wśród kobiet młodszych od siebie. Im młodsza panna, tym więcej radości z późniejszego pożycia. Pozostaje przyklasnąć i przyjąć to stwierdzenie z milczącą aprobatą, w końcu co autorytet, to autorytet. Oczywiście nie tylko wiek drugiej połowy się liczy, ważne, aby przy wyborze przyszłej żony lub przyszłego męża mieć baczenie na stan zdrowia i wygląd. Co za tym idzie, kobiety powinny zwrócić uwagę (niech panie zapamiętają, a najlepiej zakreślą ołówkiem ten fragment) na… brzuch kandydata – wyśmienicie, jeśli pan ma brzuch proporcjonalny i wystający. Autor gwarantuje, że będzie pani z takim mężczyzną szczęśliwa. Panowie natomiast powinni unikać kobiet o nieregularnych rysach twarzy i bladym licu. I zainteresować się wyłącznie tymi, które mają szerokie biodra A fe! Panie autorze, a co z biodrami wąskimi? Czy naprawdę nie ma dla nich żadnej nadziei?

Platynową blondynkę uszczęśliwi ponoć brunet, natomiast brunetki znajdą spełnienia u boku zarówno bruneta, jak i blondyna. Jeśli kobieta pragnie zwrócić uwagę mężczyzny, nieodzownym atrybutem może się okazać „wytworna nóżka", a ponadto „chód płynny, przy którym panna lub młoda kobieta cokolwiek nachyla się całym korpusem naprzód, mimo woli zwraca uwagę ogólną i zmusza do podziwu"[28]. Panie winny się wystrzegać kawalerów z brelokami przy zegarku, bo autor przestrzega i znów trudno się z nim nie zgodzić – breloki przy zegarku świadczą niechybnie o niedorozwoju intelektualnym. Na końcu dzieła, które bez wątpienia zmieniło światopogląd wielu naszych przodków, jest też arcygenialna porada dla świeżo

upieczonych małżonek: „nie zapominać, że jest się żoną męża, że mężczyzna jest człowiekiem”[29]. W punkt, panie autorze!

Wspomniany poradnik nie jest jedynym tego rodzaju wydawnictwem w przedwojennej Polsce, słynny jasnowidz, a i znawca spraw intymnych Szyller-Szkolnik popełnia w pierwszej połowie lat trzydziestych dzieło dedykowane panienkom, które panienkami nie chcą być do śmierci. A że autor to specjalista o uznanej renomie, należy wierzyć mu na słowo.

Na początku Szyller-Szkolnik zachęca panie, aby bacznie przyjrzały się głowie kandydata. Biada ci, niewiasto, jeśli głowa wybranka jest mała i okrągła, bo to oznaka ludzi niestałych w uczuciach lub w najlepszym razie słabych. Co innego, gdy ma „głowę na szyi przy długim przełyku”[30], to bowiem, przekonuje autor, znamionuje osobników inteligentnych i pracowitych, a do tego samodzielnych. Nie jestem pewny, co rozumie Szyller-Szkolnik przez ów „długi przełyk”, ale jeśli któryś z Panów to ma, pozostaje mi serdecznie pogratulować.

Zazdrościć jest bez wątpienia czego, lecz to jeszcze nie koniec. Któż mógłby przypuszczać, że tyle o mężczyznach mówią kształt i wygląd uszu. Przezroczyste i cienkie małżowiny powinny zainteresować szczególnie te panie, które pragną w krótkim czasie zostać wdowami, natomiast stanowczo odradza autor uszy pokryte puszkiem, te bowiem charakteryzują ludzi skłonnych do zdrady. Jest też słowo o nosie i w tym miejscu pragnę ostrzec, że nos długi i prosty znamionuje człowieka dążącego do niemożliwego, a na domiar złego – naiwniaka i lekkoducha. Na cóż ci więc, dziewczyno, taki gagatek? Wszystko to jednak nic wobec wiedzy na temat podbródka, bo to on zdaniem autora skrywa najwięcej odpowiedzi. Niech więc panie poszukują przede wszystkim osobników z podbródkami rozdwojonymi, bo te wyróżniają wyjątkowo namiętnych kochanków, strzeżcie się natomiast podbródków zaostrzonych, wszakże to cecha charakteryzująca obłudników i chytrusów.

Istnieje w przedwojennej Polsce – ba, ma nawet swoich zwolenników – inna teoria, według której poznacie człowieka po

różnego rodzaju znamionach, które – jak się okazuje – urozmaicają urodę nie przez przypadek. Kobieta z pieprzykiem między brwiami to szansa na bliźnięta, z kolei taki sam pieprzyk u pana to nic dobrego – najpewniej wielokrotny rozwodnik. Pieprzyk na nosie (po lewej stronie) charakteryzuje duży temperament, a taki sam w kąciku ust wróży parze srebrne gody. Można by jeszcze wspomnieć o pieprzykach na brodzie lub o sposobie noszenia kapelusza, ale zapewne mają państwo już dosyć.

Dodam jedynie, że zgłębieniu zagadnienia szczęścia w miłości poświęcają się bez reszty w dwudziestoleciu międzywojennym nie tylko pseudonaukowcy, pseudopsycholodzy i jasnowidze. Jeden z badaczy, człowiek ponoć uczony, zgłębi ten problem i to właśnie temu dżentelmenowi zawdzięczamy osobliwą, acz niezwykle ciekawą statystykę. Otóż jego zdaniem największe szczęście do kobiet mają komicy, oficerowie, powieściopisarze, artyści, dziennikarze, tenorzy, a w mniejszym stopniu także poeci, lekarze i muzycy. Jeden z dziennikarzy podsumuje tę statystkę następująco: „Co smutne, to fakt, że bardzo wysokim procentem szczęścia do kobiet cieszą się awanturnicy i mężczyźni bez zajęcia”[31]. Zaiste panie redaktorze… I tylko kobiet żal.

Pomocą w doborze odpowiedniej żony lub męża służy również matematyka. Istnieje bowiem rodzaj prostej formułki, stworzonej ponoć przez uczonych, która precyzyjnie określa to, jaki pan pasuje do jakiej pani. Jej autorzy przekonują, że dżentelmen o 75 procent męskości i 25 procent kobiecości znajdzie szczęście u boku damy posiadającej 25 procent cech męskich i 75 procent kobiecych. Niestety, nie znalazłem informacji, w jaki sposób wyliczyć owe procentowe proporcje, zakładam jednak, że istnieje na to jakiś sposób, a jeśli wszystko to wydaje się państwu kiepskim żartem, warto zapoznać się z wynikami przeprowadzonej w 1926 roku ankiety *Czego ludzie szukają w małżeństwie*? Nie nastrajają one pozytywnie, bo czy wina to ankietowanych, czy też czasów, w jakich przyszło im żyć,

jawi się małżeństwo bardziej jako rodzaj kontraktu, mniej natomiast jako związek pokrewnych dusz. Wyniki ankiety dowodzą, że dla panów istotny jest posag (najlepiej w dolarach) oraz zamiłowanie kandydatek do domowych zajęć. Co prawda znajdą się i tacy, dla których liczą się intelekt, wierność i wrażliwość, ale nie stanowią oni bynajmniej większości. Zawodzą na tym polu również panie, one bowiem przy wyborze męża biorą pod uwagę sytuację materialną i zajmowane stanowisko, *de facto* kandydat jest więc traktowany jak kasjer i dostawca strojów.

Chciałoby się rzec – wstyd panie i panowie, chciałoby się zapytać, gdzie miejsce na poezję, uczucie i emocje? Ochota na zadawanie tych pytań rychło jednak mija, gdy sięgnąć do opublikowanego w prasie w drugiej połowie lat trzydziestych poradnika zatytułowanego *Jak zdobyć ukochaną kobietę*? To rzecz, w przeciwieństwie do wcześniej wspominanych źródeł, napisana dla żartu, ale daje pewne wyobrażenie na temat kondycji moralnej części ówczesnego społeczeństwa.

Rzeczony poradnik zaleca: po pierwsze – zakupienie pojazdu mechanicznego, wszakże wehikuł taki zawsze sprawia dobre wrażenie, ponadto sprzyja przejażdżkom, ucieczkom za miasto i umożliwia romantyczne schadzki na łonie natury. Jednakowoż niech zapamiętają sobie panowie: „Wyklucza się hulajnogi i inne podobne środki lokomocji. Gorąco polecamy: własne auta, jachty, awionetki, w ostateczności i tylko dla osób młodych nie zblazowanych – motocykle”[32].

Po drugie, zapamiętajcie sobie panowie – kobiety lubią egzotykę, a w związku z tym w dobrym guście będzie sprezentować wybrance ananasy, orchidee, pieski pekińczyki i syjamskie koty. Nie poleca się natomiast ofiarowywania egzotycznych mat kokosowych, to bowiem „może postawić darczyńcę w sytuacji niejasnej”[33].

Trzecia wskazówka dotyczy biżuterii, wszystkich miłych każdej pani drobiazgów, zwłaszcza brylantowych i trzykaratowych; czwarta – sprowadzania z zagranicy futer,

pantofelków ze skóry węża lub innego dzikiego zwierza, które najlepiej upolować osobiście podczas naprędce zorganizowanej afrykańskiej ekspedycji. I tutaj jednak należy uważać, bo autor poradnika przestrzega: „Nie radzimy ofiarowywać królików, zajęcy, szczurów ani też kretów. Myszy w jakimkolwiek stanie – wykluczone, za mało cenne. To samo dotyczy kotów”[34]. Jest i piąta wskazówka, która, zdaje się, stanowi klucz do rozwiązania całej zagadki – aby zrealizować powyższe cele, poleca się panom zagrać na Loterii Państwowej.

GIEŁDA MIŁOŚCI

Na nic jednak rady samego nawet pana Szyllera-Szkolnika, gdy stwórca poskąpił nam „długiego przełyku”, a i na loterii szczęście nie chce sprzyjać. Ostatnią deską ratunku w takim przypadku staje się biuro matrymonialne, swoista giełda miłości, gdzie za opłatą przebiera się w długiej liście potencjalnych żon i potencjalnych mężów.

Nie mnie oceniać wartość usług świadczonych przez przedwojenne biura matrymonialne, nie sposób jednak nie zauważyć, że cieszą się one w dwudziestoleciu międzywojennym sporą popularnością. Działają legalnie, bo na ich funkcjonowanie, w takiej chociażby stolicy, zezwolenie wydaje Komisariat Rządu, każde też jest zmuszone wykupić specjalne świadectwo przemysłowe trzeciej kategorii.

Mieszczą się w dużych miastach, zazwyczaj na uboczu, w niepozornych kamienicach. W salonie zwanym poczekalnią, niezbyt ciekawym wnętrzu ozdobionym nieudanymi reprodukcjami i wyposażonym w szpetne meble, czekają na swą kolej ci, którzy nie zaznali dotąd spełnienia w miłości i swej szansy upatrują w tymże interesie. Klienteli, z całym szacunkiem dla tych nieszczęśników, nie stanowi kwiat polskiej inteligencji. To raczej społeczna szarzyzna – desperaci, naiwniacy, przeciętniacy, a oprócz tego zawiedzeni rozwodnicy, wdowy i znudzone życiem miernoty.

Kiedy wreszcie przyjdzie nasza kolei, pracownik przedsiębiorstwa miłosnego o zawsze życzliwym wyrazie twarzy skieruje nas do gabinetu, a tam w pokoiku przypominającym kantorek czeka już zarządca. Ten zaś przechodzi do rzeczy bez zbędnych ceregieli.

„Pan dobrodziej życzy sobie pannę z małym posagiem, czy też z większym?… Jeśli z małym, takim, dajmy na to, do trzydziestu tysięcy złotych, przedstawimy pana za uiszczeniem opłaty w wysokości dwudziestu pięciu złotych. Zaznajomienie z panną z wysokim posagiem kosztuje pięćdziesiąt złotych” – mówi na początku rozmowy, a następnie podsuwa arkusz ewidencyjny, w którym klient podaje swoje dane, stan cywilny, zawód, wyznanie, a także wskazuje preferencje, wszakże jeden może gustować w blondynkach, a drugi w pannach o pełnych kształtach. Do arkuszu należy dołączyć fotografię i uiścić wspomnianą opłatę. O to, że nasz miły zarządca na pewno coś dla nas znajdzie, możemy być spokojni. „Będzie pan zadowolony, wybór mamy ogromny” – zapewnia i zaraz po tym przypomina o umieszczeniu na tej osobliwie sporządzonej umowie pisemnego zobowiązania, że w przypadku ślubu klient wypłaci przedsiębiorstwu premię ekstra.

Wybór rzeczywiście jest duży, szef biura matrymonialnego ze zręcznością najlepszego handlowca podsuwa nam zdjęcia kandydatek „czekających na miłość od pierwszego wejrzenia”. Uroda to nie jedyne, co oferują piękne i z reguły pochodzące z prowincji panie. Jedna zapewnia (informuje o tym załączona adnotacja), że jest wierną idealistką, inna odwołuje się do spraw materialnych, wspominając mimochodem o sklepie z galanterią, którego jest właścicielką, kolejna zna się na gospodarstwie i przekonuje, że szuka nie tylko męża, lecz także przyjaciela.

Ponoć mężczyzn trudniej zadowolić, zarządca narzeka, że aby klient był w pełni ukontentowany, kandydatka musi spełnić wiele warunków. Nie wystarczy taka z wysokim posagiem, dodatkowo musi być szczupła, niska i lubić podróże. Albo odwrotnie – domatorka przy kości, co to i ugotuje, i wypije

w niedzielę kieliszeczek pejsachówki. Panie przy wyborze kandydata są mniej wybredne. „Nie grymaszą” – twierdzi zarządca.

Co jednak, gdy po zapoznaniu pan nie zapała uczuciem do pani (albo na odwrót)? „Trudno – mówi zarządca – przecież to do niczego nie zobowiązuje. Nie przypadnie panu do gustu panna Dorota z Grodziska Mazowieckiego, trzeba będzie szukać dalej. Powtarzam – wybór u nas wielki, a niektórzy to dopiero i za piątym razem trafiają na odpowiedni typ”.

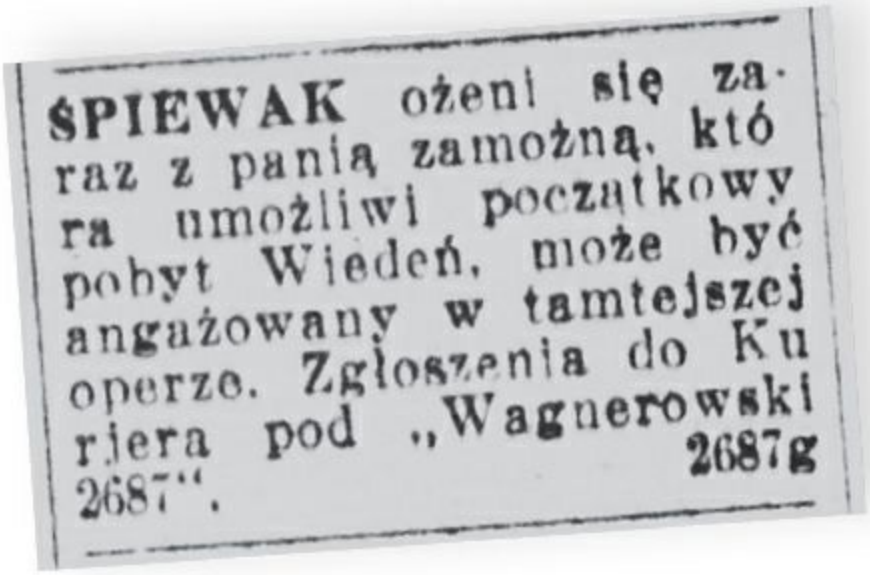

ŚPIEWAK ożeni się za-
raz z panią zamożną, któ
ra umożliwi początkowy
pobyt Wiedeń, może być
angażowany w tamtejszej
operze. Zgłoszenia do Ku
rjera pod „Wagnerowski
2687".
2687g

Autorzy ogłoszeń matrymonialnych nie owijają w bawełnę. Bezpośredni bywają zwłaszcza panowie. Ogłoszenie z „Ilustrowanego Kuryera Codziennego", rok 1929.

O jakości świadczonych usług przekonać klienta powinno i to, że według statystyk prowadzonych przez biuro aż osiem na dziesięć par skojarzonych na pierwszym spotkaniu jest usatysfakcjonowanych, a ich znajomość kończy się ślubem.

„Rozwody niemal się nie zdarzają. W ostatnim roku doszło do zaledwie dwóch" – zapewnia pracownik biura i dodaje, że w zeszłym miesiącu połączył pięćdziesiąt par.

Baju, baju, panie kierowniku, pięćdziesięciu miesięcznie to wy na pewno nie kojarzycie, niemniej trzeba oddać właścicielom takich biur, że to nie lada sztuka utrzymać się na rynku, zwłaszcza w dobie kryzysu i gdy konkurencja w postaci gazet drukujących ogłoszenia matrymonialne czy też żydowskich swatów nie śpi. Swoistą konkurencję stanowi również poczta, zwłaszcza w dużych miastach. W 1933 roku „Express Wieczorny Ilustrowany" donosi, że: „Poczta nasza spełniała również rolę swata. Dowodzi tego liczna korespondencja «poste-restante», kierowana do naszych pięknych pań. Do okienka w urzędzie pocztowym zgłaszają się stale odbiorczynie, piękne łodzianki, po odbiór miłosnych listów"[35].

KUP PAN ŻONĘ

Z żoną można się rozwieść, ale można ją i… sprzedać. Ktoś powie, że to w dwudziestym wieku niemożliwe? Nic bardziej mylnego. W 1919 roku w powiecie chełmskim dochodzi do podpisania umowy pomiędzy dwoma mężczyznami, a przedmiotem tejże jest małżonka jednego z nich.

„Ustępuję dobrowolnie moją żonę Annę Marję z Trybałów Besiuk i otrzymując od Maciejki Józefa za to sto koron (100 kor.), żadnej pretensji nie mam.

Podpisano: Józef Besiuk, dn. 24 czerwca 1919 roku"[36].

Pan Maciejko nie był widać pewny, czy podpisana przez niego umowa ma moc prawną, dlatego zasięgnął porady u kaprala policji komunalnej gminy Wojsławice, któremu przedstawił treść cytowanego dokumentu. Zdaje się, że policjant rozwiał wątpliwości Maciejki i z transakcji nic nie wyszło.

To nie jedyny taki przypadek w dwudziestoleciu międzywojennym, warto przy okazji wspomnieć o pewnym emerytowanym urzędniku kolejowym, który w marcu 1935 roku dowiaduje się o romansie żony i wpierw wpada w furię, a potem dochodzi do wniosku, że na całym tym nieszczęściu może się nieźle obłowić. Udaje się więc do kochanka i zgadza się na odstąpienie żony w zamian za dwa tysiące złotych oraz dwie krowy. Uradowany adorator ani myśli się zastanawiać, już następnego dnia przekazuje emerytowi gotówkę, a zgodnie z umową zaprowadza pod oborę również obiecaną trzódkę.

Swoją żonę wydzierżawi jesienią 1930 roku także pewien gospodarz ze wsi Ochotnik (powiat Iłża), niejaki pan Józef Bajor. Namówią go do tego dwaj cwaniacy, prawdopodobnie handlarze żywym towarem, podający się za dyrektorów wędrownego cyrku. Panowie wmawiają nierozgarniętemu parobkowi, że jego żona ma zadatki na znakomitą akrobatkę, i przekonują Bajora, aby ten wydzierżawił kobietę na trzy lata. W całej tej sprawie szokuje nie tylko postawa męża, lecz także cena, za jaką ten zgodzi się sprzedać małżonkę. Pani Bajorowa została bowiem przehandlowana za kilka butelek wódki.

* * *

ROZDZIAŁ V
SŁABA PŁEĆ

D z i e j e k o b i e t y z a b ó j c z e j. O „n a b i e r a n i u”, k r e a c j i i c z a r n e j z a z d r o ś c i

Od początku świata kobieta zawsze poświęcała większą ilość czasu i pieniędzy swoim strojom. Zwłaszcza jeśli jest to kobieta zabójcza i chytra na męskie serca. Zaopatrywanie się w kreacje, omawianie ich, zajmuje jednakową ilość czasu, zarówno klientkom tanich magazynów, zwolenniczkom „okazji” i długich, a przemyślnych targowań się. Zobaczmy jak wiele trudu musi zużyć kobieta, która chce być zabójcza po cenie nominalnej[37].

* * *

KOBIETĄ BYĆ

Co do miejsca kobiety w dwudziestoleciu międzywojennym w pełni zdaję się na opinie specjalistów[38]. Za jednego z nich zaś z pewnością może uchodzić polska prasa kobieca, która już na początku lat trzydziestych zauważa, że moda jest wyrazem kobiecej duszy, a zmiany zachodzące w jej obrębie tłumaczy upodobaniem do nowości. To dlatego raz nasze panie zapinają się pod szyję, a pół roku później odsłaniają to, co oczywiście odsłaniać się godzi. Jedna z dziennikarek stwierdzi, że wspomniana nowość jest jedynie środkiem, a nie przyczyną zmian, bo za te odpowiada – a któż by inny – mężczyzna.

Tak panowie, czas posypać głowę popiołem. Myślicie, że nowa suknia lub kapelusz to kobiecy kaprys? Myślicie, że wasza żona, dziewczyna, kochanka zakupiła nowe pantofelki i torebkę, bo tego potrzebuje? Nic z tych rzeczy. To dla nas to wszystko, bo i jak tłumaczy w 1932 roku znawczyni kobiecych dusz: „On jest tym, który potrzebuje tych zmian i nowości, on jest przyczyną udręk kobiecych, a własnej – ruiny”[39].

Jeśli więc pani Ewelina zmienia kolejny raz w półroczu krój swych sukni, czyni to wyłącznie dlatego, aby zadość uczynić kaprysom męża. To on bowiem, a nie pani Ewelina, potrzebuje zmian, urozmaicenia, jej nowych toalet – jeśli zaś ich nie otrzyma, biada pani Ewelinie, łotr zdradzi ją najpewniej z pierwszą lepszą pokojówką.

A stąd krótka już droga do katastrofy, co potwierdza przypadek pewnej wytwornej damy, która 7 stycznia 1929 roku około godziny siódmej wieczorem zgłosiła się do urzędu śledczego przy ulicy Kanonicznej w Krakowie i w obecności komisarza dyżurnego rzuciła na stół owinięty w zakrwawioną chusteczkę język ludzki, oświadczając, że dopuściła się zemsty w imieniu swoim oraz pozostałych wzgardzonych kobiet. Pikanterii całej sprawie dodaje fakt, że poszkodowanym w tej sprawie jest pewien wpływowy jegomość mający na sumieniu wiele złamanych serc. O sprawie jest głośno jeszcze przez dłuższy czas, wspomniany dżentelmen, którego nazwiska nie udało się niestety ustalić, sam jest sobie winny – nie trzeba było mamić, nie trzeba było bałamucić.

O tym, że rozsierdzonej kobiety nie trzymają się żarty, świadczy także zdarzenie, do którego dochodzi 21 października 1931 roku w Wilnie. Trzydzieści niewiast uzbrojonych w noże, kije i kamienie zaatakuje tego dnia dom wileńskiego Ala Capone, Arona Wójcika. Czym dokładnie podpadł spokojnym zazwyczaj paniom ów przestępca, nie wiadomo, faktem jest, że gorzko tego pożałował. Efektem oblężenia będą wybite szyby i zdemolowane mieszkanie, a gdyby na miejscu na czas nie zjawili się stróżowie porządku, z pewnością i z pana Wójcika zostałaby mokra plama.

Oczywiście w dwudziestoleciu międzywojennym nie zawsze jest tak, że winni nieporozumień, zawodów i rozstań są wyłącznie mężczyźni, wszakże i panie potrafią zajść swym wybrankom za skórę. „Ilustrowany Kuryer Codzienny" publikuje (niby to w żartach) na początku 1926 roku rzecz niesłychaną, a gorszącą zarazem – receptę na pozbycie się nieznośnego męża. Reguły te spisano co prawda za oceanem, ale w Polsce wiele pań wzięło je sobie ponoć mocno do serca, zresztą nietrudno byłoby znaleźć mężczyzn gotowych zaświadczyć, że poddawano ich wymienionym niżej torturom.

Pozwolę sobie przytoczyć streszczenie tego poradnika, być może bowiem znajdzie się wśród czytelniczek taka, która zechce z niego skorzystać. A zatem przede wszystkim, drogie panie, o wszystkie złe rzeczy na świecie zawsze obwiniajcie męża. Reguła stara jak świat, aktualna zarówno wówczas, jak i dziś. Po drugie – często telefonujcie do niego do biura, niech nie zazna, łajdak, spokoju. Po trzecie, mężczyzna lubi być uważany za dowcipnego, dlatego kiedy opowiada anegdotę, przyjmujcie puentę z wymuszonym uśmiechem. Pamiętajcie również o krytykowaniu go podczas przejażdżek samochodem. Co zaś do mody, o której była mowa na początku, rozczarowujcie go i w tym względzie, a porządne ubranie wkładajcie wyłącznie wówczas, gdy spodziewacie się gości. Kiedy zaś najdzie go ochota na czułości, wspominajcie natychmiast o sprawach pieniężnych. Nic tak ponoć nie studzi zapału, nic tak nie wybija z rytmu. Żądajcie, aby rzucił palenie. Wypominajcie mu też przez wiele tygodni, że nie pozwolił wam kupić ładnego drobiazgu. Kiedy wraca zmęczony z pracy, namawiajcie go na kino. Kiedy spóźni się na obiad, żądajcie wyjaśnień i to zanim zacznie się tłumaczyć (a jego argumenty zbijajcie czczą gadaniną, to zawsze wyprowadza z równowagi). W końcu, gdy wasze dzieci przeskrobią coś w szkole i mąż zechce je ukarać, zawsze stawajcie w ich obronie.

Dla równowagi dodam, że w prasie przedwojennej pojawiają się również innego rodzaju przepisy, chociażby recepta na

szczęśliwą żonę. Przepis jest prosty, łatwo zapamiętać: „Proporcja: 80 dk miłego usposobienia, 2 szklanki gorącej krwi, 6 dk drożdży kokieteryjnych, 5 dk dobrej woli, 5 dk wyrozumiałości, pieprz do smaku (może być nawet papryka)”[40]. Panom taki wyrób zazwyczaj smakował wyśmienicie, chociaż zwykle po drodze do szczęścia trzeba się było zmierzyć się z szeregiem poważnych wyzwań.

Któż mógłby chociażby przypuszczać, że istną zmorą amantów, a także ich garderoby okażą się urocze małe pieski (koniecznie rasowe) – w przedwojennej Polsce stanowiące nieodłączony atrybut wytwornych dam. Piesek pupilek jest czymś w rodzaju dodatkowej biżuterii i nie byłoby w tym nic szczególnie interesującego, gdyby nie to, że te kochane pieszczoszki śpiące na aksamitnych poduszkach i karmione (na swoje nieszczęście) kruchymi ciasteczkami, bywają zwykle bardzo źle wychowane. Iluż to panów straci spodnie, bo niesforny Tipsio rozszarpie w przypływie niewytłumaczalnego gniewu nogawkę donżuana.

Ale nie tylko pieski bywają ozdobą właścicielki, bo takową stać się może również sam mężczyzna. Istnieją w przedwojennej Polsce, a zapewnia o tym ówczesna prasa, kobiety dobierające sobie mężczyzn nie pod kątem uczuć czy intelektu, nie po to, aby zyskać w takim dżentelmenie powiernika lub życiowego towarzysza. Dla tego szczególnego typu kobiety najważniejsze jest to, aby panowie pasowali do kroju sukni, kostiumów, biżuterii, koloru oczu, rękawiczek lub torebek.

Największym powodzeniem próżnych kokietek cieszą się mulaci pochodzący z egzotycznych krajów, ale zadowoli się taka panna również barczystym osiłkiem w amerykańskich okularach, starszym panem z wstążeczką orderową przy klapie, opalonym atletą lub przystojniakiem w typie Rudolfa Valentino. Każdy z takich panów to niezbędna w pewnych okolicznościach dekoracja, dodatek do wspomnianej torebki, przydatny zwłaszcza podczas balów, tańców, wizyty w modnych lokalach czy na korcie tenisowym.

Istnieje jednakowoż w dwudziestoleciu międzywojennym i inny rodzaj kobiet. Te zaś, choć przybyło na karku wiosen, wciąż łakną męskiej czułości: „To młode babki, kobiety 40–45-letnie, podbijające serca męskie, a mające już wnuczęta. Patrzymy z niedowierzaniem na to zjawisko, które wydaje się nienaturalne, które jednak jest przejawem zwycięskiego pochodu cywilizacji ludzkiej”[41].

O tym, czy to efekt emancypacji, zmiany obyczajów, czy też inny jeszcze objaw „zwycięskiego pochodu cywilizacji”, niech wypowiedzą się historycy i socjolodzy. Ja zaś wstrzymam się od komentarza, wspomnę jedynie, że jeśli chodzi o kobiety warszawskie (zarówno 40–45-letnie, jak i młodsze), to ich sława „szeroko znana jest w kraju i w świecie”[42].

Czy to dlatego, że w stolicy mają panie ułatwiony dostęp do salonów mody, kawiarni, balów i teatrów, czy też z jeszcze innego powodu, trudno powiedzieć, w każdym razie istotnie warszawianki, a tak przynajmniej zwykło się w przedwojennej Polsce uważać, zdecydowanie górują nad mieszkankami pozostałych polskich miast. Niejednemu dżentelmenowi zwabionemu do stolicy odbije się taki warszawski romans czkawką, o czym z pewnością mógłby zaświadczyć pan Izydor Rozen, kupiec z Częstochowy. Mężczyzna ma narzeczoną, ale gdy przybędzie do stolicy w celu załatwienia jakiegoś interesu, warszawskie damy szybko zawrócą mu w głowie. Przepadnie z kretesem pan Rozen, a na dodatek obudzi się pewnego ranka w restauracyjnym gabinecie bez grosza przy duszy, bez podarków zakupionych dla narzeczonej, za to z wielkim poczuciem wstydu. Na otarcie łez pozostaje kupcowi z Częstochowy wspomnienie damskich pończoch, które ubiegłej nocy zdzierał w przypływie namiętności z nóg przygodnie napotkanej warszawianki. Taka wie doskonale, jak postępować z frajerem.

MODNĄ BYĆ

Pewna dziennikarka stwierdzi na początku lat trzydziestych: „modę tworzą albo stuprocentowe kobiety, albo pół-procentowi mężczyźni”[43]. Niespecjalnie, muszę przyznać, znam się na trendach w świecie mody i osobach, które je kreują, nie wiem też, na ile i czy w ogóle to, o czym pisała żurnalistka „Gazety Lwowskiej”, zmieniło się dzisiaj, jednak odnoszę wrażenie, że pewne podobieństwa można zaobserwować.

Krąży w przedwojennej Polsce taki dowcip:

– Nowoczesna kobieta ma ciężkie życie. Dobrze było Ewie w raju.

– Nie widzę różnicy. Masz ogród, masz męża i nie masz, jak to zawsze podkreślasz, co na siebie włożyć.

Panie zatem (rzecz jasna nie wszystkie) narzekają stale na stan swej garderoby, niemniej na to, co tworzą w swych pracowniach i zakładach krawieckich owe „stuprocentowe kobiety i pół-procentowi mężczyźni”, jest w przedwojennej Polsce popyt. Ulokowane w miastach wielkie domy mody i małe saloniki z odzieżą cieszą się niesłabnącym powodzeniem. Przeważnie panie liczą się z groszem i dlatego ich uwagę przykuwają wyprzedaże, te zaś wbrew pozorom nie są domeną współczesności, a czerwone przywieszki z napisem „okazja” doskonale znano także przed wojną. A gdy coś się wyjątkowo spodoba, gdy leży jak ulał, ma odpowiedni kolor i krój – kupuje się w ilościach niemalże hurtowych.

„Proszę trzy… albo i cztery sukienki. Tak, te beżowe z falbaną. Będą na całe lato” – słychać niekiedy w sklepikach odzieżowych. Tanio ubrać się można na ulicach żydowskich i przed halami, gdzie handlarze sprzedają towar uszyty zazwyczaj przez domowe krawcowe. Nie jest to może ostatni krzyk mody, niemniej można tu trafić na przyzwoitą garderobę.

Samo wyjście na zakupy jest zresztą dla pań, jak i dzisiaj, swoistym ceremoniałem. Najlepiej wybrać się na nie z zaufaną koleżanką, taką, co to podpowie i doradzi, bo gdy zostaniesz sama, już cię tam paniusie ekspedientki owiną wokół palca,

uraczą stekiem bzdur i wcisną fason może i modny, ale przed dwoma laty.

PIEKNĄ BYĆ

Jakże nie wspomnieć przy okazji o kobiecym pięknie? Prawda, że podczas oglądania starych fotografii wielu z nas, nie grzesząc przy tym dobrymi manierami, zapyta – cóż panowie widzieli w tych paniach? Kanon kobiecego piękna ewoluuje, a zatem to, co podobało się w dwudziestoleciu międzywojennym, obecnie nie zawsze jest przyjmowane z podobnym entuzjazmem (jakże się zdziwimy, gdy za lat osiemdziesiąt powiedzą to samo o nas).

Nie jednak typami kobiecego piękna pragnę tutaj państwa zajmować, a pewnego rodzaju świadomością owego piękna, bo to rzecz trzeba przyznać i ciekawa, i nieco z dzisiejszego punktu widzenia osobliwa. W 1936 roku znawca tematu stwierdzi: „Kobieta może być brzydka lecz musi być estetyczna i ujmująca”[44]. Pożądana jest więc nie tyle emanująca seksapilem figura, w cenie są ujmująca powierzchowność, optymizm, ekspresja spojrzenia. Interesujące w tym kontekście są środki prowadzące do realizacji celu, a zatem osiągnięcia rzeczonej ujmującej powierzchowności. Klucz to odpowiedni ubiór, to dbałość o cerę (zwłaszcza twarzy), wreszcie to… praca nad spojrzeniem. Specjaliści zajmujący się w dwudziestoleciu międzywojennym kobiecą urodą zaznaczają: oczy nie mogą być rozbiegane, powieki „rozmrugane”, wzrok nie może sprawiać wrażenia nerwowego. Jakże to osiągnąć? Ci sami specjaliści zalecają różne ćwiczenia, spośród których pozwolę sobie przytoczyć jedno szczególnie ciekawe. – Drogie Panie, ołówkiem nakreślamy niewielkie kółeczko u nasady nosa, stajemy przed lustrem i wpatrujemy się w zaznaczony punkt przez sto sekund. Ćwiczenie powtarzamy wielokrotnie, dopóki nie zdołamy przeczytać całej strony książki bez mrugnięcia powieką. W ten właśnie sposób wyćwiczymy „fascynujący wzrok”, a że oczy są zwierciadłem duszy, stąd do oczarowania upatrzonego dżentelmena krótka droga.

Co zaś do figury, to prawda, że salony mody oraz kobiece poradniki lansują już w tym czasie smukłe linie i raz po raz wspominają o szczupłych taliach, ale opinie co do tego, jaki typ kobiety należy do najbardziej pociągającego, wciąż są mocno podzielone. Z niemałym zdziwieniem przeczytałem na przykład artykuł opublikowany na łamach jednego z popularnych dzienników i zatytułowany *W jaki sposób można zaokrąglić swe kształty*?[45] Zawiera on szereg praktycznych porad dla pań, które ani myślą pozbywać się kilogramów i rozliczać z każdej kalorii. Złem jest więc nazywane w tym przypadku chudnięcie, a by mu zaradzić, zaleca się stosowanie odpowiedniej diety i wybranych środków leczniczych. Paniom pragnącym utyć poleca się zwłaszcza kuchnię jarską, dietę bogatą w cukry i kurację polegającą na przyjmowaniu stu gramów cukru dziennie, a zatem około dwunastu kostek. A to wszystko, aby zwiększyć wagę, wzmocnić muskuły i siłę – czyli aby być piękną.

Bez wątpienia entuzjastką wspomnianej kuracji była w latach dwudziestych jedna z najsłynniejszych matron miasta Sosnowca, pani Szprynca Warszawska. Otyłej damy nie zmoże nawet kryminał i kiedy kobieta wyjdzie na wolność z więzienia, gdzie trafiła na dwa lata za komunistyczną agitację, oznajmi z dumą: „Nie straciłam nawet jednego kilograma”[46].

A jeśli nie zamierzają panie upodabniać się do pani Szpryncy Warszawskiej i przybierać na wadze, wprost przeciwnie, zależy paniom na zgubieniu kilku zbędnych kilogramów i utrzymaniu zgrabnej sylwetki, przedwojenni „dietetycy” przygotowali na tę okoliczność doskonałą receptę.

Celowo ująłem „dietetyków” w cudzysłów, bo lekarze w tej kwestii zupełnie się z nimi nie zgadzają, więcej nawet – uważają, że proponując paniom ową cudowną dietę, wyrządzają im wielką krzywdą. Dieta polega na zrezygnowaniu z zupy i szklanki wody do obiadu. Wszystkie inne pokarmy spożywane w ciągu dnia nie mają znaczenia, byle darować sobie barszczyk, pomidorową czy talerz rosołu, byle darować sobie szklankę wody.

A kiedy zawodzą kremy, diety i maseczki, kiedy coraz trudniej zamaskować zmarszczki znamionujące upływ czasu, ostatnią deską ratunku okazuje się sfałszowanie dokumentu tożsamości. Posunie się do tego tancerka łódzkiego kabaretu, panna Kazimiera Stec, która w obawie przed utratą pracy – rok 1911 przeflancuje w dowodzie osobistym na 1913. Prawda niestety wyjdzie na jaw, a tancerka odpowie za fałszerstwo przed wymiarem sprawiedliwości.

GOSPODYNIĄ I KOBIETĄ WYZWOLONĄ BYĆ

Kobieta dwudziestolecia międzywojennego to nie tylko wamp, nie tylko kochanka, nie tylko obiekt westchnień. To wciąż, jak to ładnie ktoś ujął, kapłanka domowego ogniska, a chociaż feministki oburzą się na takie stawianie sprawy, cóż począć, takie czasy.

Ażeby ulżyć kobiecie w udręce dnia codziennego, ażeby ułatwić jej codzienne sprawunki, w tym pracę w kuchni, rozmaite stowarzyszenia i prywatne przedsiębiorstwa organizują specjalne pokazy, w których trakcie uczestniczki wysłuchują wykładów, na przykład o organizacji pracy w gospodarstwie domowym lub o sposobie na zaoszczędzenie kuchennej powierzchni. Sporą popularnością cieszą się również pokazy gotowania na gazie, wszak uciążliwy wielogodzinny proces gotowania na piecu węglowym odchodzi w tym czasie (to w miastach) pomału do lamusa. Na łamach prasy kobiecej są publikowane poradniki, dzięki którym każda matka, żona i kochanka wie doskonale, jak urządzić kuchnię, jak zaoszczędzić czas podczas gotowania, które sprzęty kuchenne są jej niezbędne, a których należy się pozbyć.

Oburzonym zaś podobnym podejściem do kwestii roli kobiety w przedwojennej Polsce pragnę donieść, że w 1927 roku prasa rozpisuje się nad projektem pewnego francuskiego uczonego, śpieszącego z pomocą niewiastom zniewolonym w kuchni. Ten człowiek ma spore grono zwolenniczek nad Wisłą, zresztą trudno się temu dziwić, skoro głosi, że gotowanie w kuchni

w dwudziestym wieku to skandal i „przeżytek czasów jaskiniowych”[47]. Zwiastuje wobec tego powstanie wielkich fabryk odżywiania, w których za drobną opłatą będą się posilać przyszłe pokolenia.

Zwolennicy postępującej emancypacji za cel obierają sobie zatem wyswobodzenie kobiety z kajdan kuchennej niewoli, ponadto sprzeciwiają się utartym, a zakorzenionym w tradycji zwyczajom, na przykład całowania damskiej dłoni na przywitanie. A całują wtedy jeszcze wszyscy – całują w sklepie, całują na ulicy, na przyjęciu, przed kościołem, całują interesanci, klienci, pracodawcy, całują zdrowi i chorzy. Całuśny zwyczaj towarzyski nie w smak jest jednak coraz większej grupie kobiet.

„Musimy jednak wykorzenić go, jako szerzyciela i rozsadnika rozmaitych chorób zakaźnych. Zwyczaj ten bowiem urąga najprymitywniejszym nakazom higieny osobistej”[48] – napisze dziennikarka czasopisma „Moja Przyjaciółka”. Walka zatem rozpoczęta, jej wynik znamy.

Na marginesie kwestii związanej z postępem emancypacyjnym warto wspomnieć, że w 1924 roku w Austrii powstaje Związek Obrony Praw Mężczyzn, dążący do zwalczania tyranii kobiecej. Ponoć nie brakuje w Polsce panów, którzy byli gotowi poprzeć podobną inicjatywę.

O ZACHOWANIU SIĘ PRZY STOLE

Dwudziestolecie międzywojenne to również okres zmian zachodzących w zwyczajach majętniejszej części społeczeństwa i dobrze prosperującej tak zwanej klasy średniej.

Pani domu organizująca partyjkę brydża ze znajomymi lub drobne spotkanie towarzyskie nie jest już zobligowana do wynajmowania służby. Owszem, gosposia czy inna kucharka przyda się, jeśli mamy w planach duże przyjęcie, ale w przypadku niedzielnej kawy czy rzeczonego brydża obędziemy się i bez niej. Zwyczaj ten zostanie w Polsce zaadaptowany z Francji, gdzie uważa się, że spotkania towarzyskie bez udziału służby są zabawniejsze. Co za tym idzie, żadna to już ujma na

honorze pani domu, gdy w obecności gości parzy wodę na herbatę i gdy potem osobiście ich obsługuje. Niektórych może to z początku szokować, ale szybko się do tych nowych norm towarzyskich przyzwyczajają, traktując widok pani domu własnoręcznie przygotowującej przekąski jako sympatyczną formę zabawy.

W zmianach zachodzących w ramach etykiety towarzyskiej łatwo się pogubić, a zatem prasa kobieca promująca nowe trendy w obyczajach publikuje szereg praktycznych porad. Weźmy na przykład towarzyską herbatkę, sympatyczną okazję do wymiany plotek. Ileż to gaf można popełnić w trakcie zaledwie jednego popołudnia, na szczęście z pomocą przychodzą specjalistki, które przypominają o podstawowych zasadach. Przede wszystkim o tym, aby okrągły stolik nakryć kolorową serwetą, wszak biała jest *passé*. Na kwadrans przed przybyciem gości (nie później, a już z pewnością nie wcześniej) w porcelanowym (!) czajniczku należy zaparzyć świeżą herbatę. Niezbędne są też kruche ciasteczka, ale zdecydowanie odradza się podawanie tortów, wszak tego typu słodkości zupełnie do herbatki nie pasują, a ich pojawienie się na stole narazi was, drogie panie, na nieprzyjemne przytyki.

Co do samych wizyt, to temat w przedwojennej Polsce szalenie skomplikowany i tutaj nietrudno o poważną wpadkę. Przede wszystkim pamiętajmy, że wizytę należy składać wyłącznie w dni pogodne około godziny piątej popołudniu, nigdy jednak w porze obiadu. Jeżeli gościmy u kogoś po raz pierwszy, wizyta powinna trwać nie dłużej niż kwadrans. Gospodarz nie jest w tym przypadku zobligowany do podania gościom jedzenia, w grę wchodzi jedynie towarzyski papieros. Witamy się w następującej kolejności – najpierw pani domu, potem gospodarz, a dalej pozostali domownicy.

O tym, w jaki sposób podawać rękę i kogo w nią całować (to do panów), pisać nie będę, wspomnę natomiast, że istnieje podczas takich towarzyskich wizyt wykaz zagadnień zakazanych. Niech więc nie przyjdzie nikomu do głowy poruszać

tematu chorób lub śmierci. Zdecydowanie nie na miejscu są również „wyrazy dwuznaczne” i „pikantne epizodziki”[49]. Przedwojenne poradniki savoir-vivre’u przestrzegają również przed ziewaniem, otwieraniem ust, podpieraniem głowy, oddychaniem z bliskiej odległości w twarz rozmówcy i zbyt ekspresyjną gestykulacją. I bardzo proszę – bez poufałości.

Jeśli odwiedzamy krewnych, należy wyrazić zadowolenie ze wszystkiego, co się zastało w domu gospodarzy, a służących w dobrym tonie jest nagrodzić złotówką. Kiedy przybywamy do domu chorego, o możliwość złożenia mu wizyty należy zapytać pozostałych domowników, sama zaś rozmowa z nim powinna trwać nie dłużej niż kilka minut i znów należy pamiętać o liście zakazanych tematów, a więc o chorobie i śmierci z chorym nie rozprawiamy, nie zamęczymy go również swoją stroskaną miną.

Po wizycie złożonej nam pamiętajmy o rewizycie. Takich nie należy składać, gdy ktoś jest zajęty lub ma w domu dużo pracy. Nie każdy, niestety, w latach trzydziestych bierze sobie tę poradę do serca i na temat niekulturalnych rewizyt powstają w prasie elaboraty. Spośród wielu opisanych przypadków warto w tym miejscu przytoczyć jeden, opowiadający o nieproszonej wizycie pewnej pani, która zjawiła się w mieszkaniu koleżanki po południu i zabawiła aż do późnych godzin nocnych. Co prawda gospodyni była w tym czasie bardzo zajęta, bo pomagała mężowi w pakowaniu walizki (ten akurat wyjeżdżał z miasta) i w związku z tym wyjaśniła subtelnie koleżance, że nie może się nią zająć. Ta na to odparła: „Ależ proszę się nie przejmować, ja sobie tu będę czytała”. I czytała sobie rzeczywiście, czytała aż do północy.

Nie panikujmy również, gdy zaproszą nas na kolację. Pamiętajmy o punktualności, lecz nie pukajmy do drzwi zbyt wcześnie. To do gospodarza, względnie pani domu należy wyznaczenie nam miejsca przy stole, więc o to martwić się nie trzeba. Siadamy na całym krześle, a nie na jego skrawku, a jeśli już musimy się opierać o stół, to na Boga, róbmy to przedramieniem, ale nigdy łokciami, bo to największa zniewaga.

Nóż trzymamy trzema palcami prawej ręki, a widelec – trzema palcami lewej. Do ust wkładamy małe kąski, a przed uniesieniem kieliszka z winem serwetką przetrzyjmy usta, aby nie pozostawić na nim śladów. Reszta to już zwyczajnie – nie chlipiemy, nie mlaszczemy, nie mówimy z otwartymi ustami. Zęby czyścimy wykałaczką, ale po zasłonięciu ust dłonią. Po skończonym posiłku nie wyskakujmy też natychmiast za drzwi. Zaczekajmy z tym choćby dwa kwadranse.

Zdziwiliby się państwo, jak wiele spośród pań przywiązuje w międzywojniu wagę do wszystkich tych zwyczajów. Te zaś regulują nawet kwestię obdarowywania bliskich prezentami i radzą tak: mężczyźnie będzie w dobrym tonie sprezentować saszetkę na krawaty zamykaną na zamek błyskawiczny, woreczek na skarpetki, lustro, grzebień, pokrowiec na wyprasowane koszule lub na ręczniki, poza tym kalesony i paski. Pulower męski prezentujemy bratu lub narzeczonemu, ale już mężowi to ponoć nie wypada (dlaczego, nie mam pojęcia), lepiej mu kupić szlafrok lub pidżamę.

Jeśli wybieramy prezent dla nowożeńców, radzi się w dwudziestoleciu międzywojennym wybrać coś praktycznego. A zatem szkło i porcelana – to zawsze jest w cenie. Nada się też talerz do owoców lub chleba. Jeśli pan młody jest smakoszem tytoniu, można mu sprezentować popielniczkę i papierośnicę. Pannie młodej zaleca się wybrać coś równie praktycznego – szczotki do włosów, grzebienie (oczywiście w oprawie z białego metalu), szklane karafki czy elektryczną maszynkę do kawy.

* * *

ROZDZIAŁ VI
ZWYCZAJE

S e n s a c y j n a s p r a w a h o n o r o w a.
A d w o k a t d r O b e r l e n d e r w y s ł a ł
s e k u n d a n t ó w b. p r e m j e r o w i W ł a d.
G r a b s k i e m u

Jak już donieśliśmy w części wczorajszego nakładu, adwokat dr Oberlender wysłał swoich zastępców honorowych do b. premjera p. Wł. Grabskiego, wskutek znanego starcia słownego, jakie miało miejsce w czasie procesu p. Grabskiego przeciwko p. Stapińskiemu, między p. Grabskim a dr Oberlenderem jako obrońcą Stapińskich.

P. Grabski wyjechał z Krakowa, wyznaczywszy uprzednio swoich zastępców honorowych, którymi są pp. Prof. Ignacy Chrzanowski i ad. Dr. Bogdani.

Zastępcami dr Oberlendera są – jak się dowiadujemy – pp. ad. Dr. Woźniakowski i dr Mirocki[50].

* * *

SATYSFAKCJA DOSTATECZNA

Wydany u progu niepodległości *Polski kodeks honorowy* autorstwa Władysława Edwarda Boziewicza staje się w dwudziestoleciu międzywojennym wyrocznią w kwestiach honorowych, a chociaż polskie prawo zabrania pojedynków na udeptanej ziemi, nawet sądy nie przywiązują do tego zakazu specjalnej wagi, karząc uczestników rzadko i niezbyt surowo.

Według szacunkowych obliczeń w latach dwudziestych każdego roku, zazwyczaj z błahych powodów (zwykle pod wpływem alkoholu), dochodzi do około czterystu pojedynków, z których część (ponoć jedna czwarta) kończy się śmiercią lub kalectwem. Niekiedy, by narazić się na gniew i zostać wyzwanym na pojedynek, wystarczy niewinny uśmiech rzucony w kierunku damy znajdującej się w towarzystwie pana. Tym samym skutkuje uwłaczanie czci kobiecej (słowem albo gestem) i biada mężowi, który zaniecha obowiązku i nie wyzwie impertynenta na pojedynek, z czego zwolnieni zostają wyłącznie ci panowie, których żony zdołają spoliczkować aroganta. Mieszka w Warszawie pewien przystojny młodzieniec, który każdej soboty zostaje wyzywany na pojedynek tylko dlatego, że dżentelmenom nie podoba się jego wyraz twarzy. „I młody człowiek, zamiast spokojnie studiować filozofię i bawić się, musiał wziąć się do nauki Boziewicza, do strzelenia do celu i do szermierki”[51] – wspominał Zdzisław Czerminski.

Wbrew obiegowym opiniom tak zwana zdolność honorowa nie była dana wyłącznie arystokracji czy potomkom szlacheckim, obowiązywała bowiem również osoby pochodzące ze wsi, które ukończyły szkołę średnią lub piastowały ważne stanowisko. Z grona tego wykluczono natomiast zdrajców, dezerterów, utrzymanków kobiet, szantażystów, homoseksualistów i… redaktorów pism paszkwilanckich. Człowiek, który odmówił wzięcia udziału w pojedynku, a posiadał zdolność honorową, był uznawany za banitę i zgodnie z kodeksem od tego momentu każdy mógł go bezkarnie policzkować. Oficer zaś w tej samej sytuacji narażał się na wydalenie z armii.

„Ale czy człowiek znieważony albo obity uważać może za dostateczną satysfakcję, że dostanie kulą w brzuch albo w udo?”[52] – zapyta retorycznie Antoni Słonimski, którego temat ten interesuje szczególnie, jako że sam w legendarnej Ziemiańskiej zostanie w styczniu 1938 roku spoliczkowany przez Zygmunta Ipohorskiego, a przyczyną zajścia jest opublikowany przez literata wiersz pod tytułem *Dwie ojczyzny*.

Zdaniem prasy prawicowej Słonimski na obrazę nie zareagował i nie zażądał od młodego dziennikarza oenerowca satysfakcji, z kolei zdaniem środowisk sprzyjających poecie, Ipohorski zaatakował Słonimskiego nie sam, lecz w asyście kolegów, nie dając mu tym samym szans na właściwą reakcję, lub (to inna wersja) Słonimski nie zamierzał pozostać dłużny i zapewne doszłoby do pojedynku, gdyby dwóch zwaśnionych stron nie rozdzielili kelnerzy, a Wieniawa-Długoszowski nie przegonił z kawiarni Ipohorskiego.

„Kwestia Słonimskiego", słynnego policzka i tego, czy w związku z zajściem powinno dojść do pojedynku, czy też nie, staje się pożywką dla prasy, komentarze umieszczają w tej sprawie między innymi „ABC: Nowiny Codzienne", „Robotnik", „Dziennik Ludowy", „Nowa Prawda" i „Polonia". Niektórzy upatrują w niej nawet „fragmentu rozgrywki polsko-żydowskiej na polskiej ziemi"[53].

Ale nie tylko artyści i wojskowi uczestniczą w hecy pojedynkowej, niekiedy zdarzy się, że w szranki stają również mężowie stanu. Oczyma wyobraźni widzę państwa uśmiech, bo nie ukrywam, że i mnie kusząca wydaje się wizja załatwiania wszystkich tych znanych z autopsji pseudointeligenckich awantur parlamentarnych na udeptanej ziemi (a co najważniejsze bez angażowania opinii publicznej), niemniej takie rozwiązanie należałoby uznać za stanowczo zbyt drastyczne i nie odważę się go zasugerować.

W każdym razie skala tego zjawiska jest wśród polityków w przedwojennej Polsce duża, dojdzie nawet do tego, że PPS wyda dla swoich członków specjalną instrukcje zalecającą, aby spory z politycznymi oponentami załatwiali inaczej niż na drodze pojedynków, bo ileż razy można słyszeć o tym, że u socjalisty, posła Eugeniusza Opolskiego, zjawili się panowie Cieszkowski i Srodzki z BBR-u, żądając w imieniu posła Wiktora Przedpełskiego satysfakcji z powodu insynuacji, iż ostatni z wymienionych dopuścił się nadużyć w Małopolsce. Dojdzie

nawet do tego, że na pojedynek zostanie wyzwany sam premier Władysław Grabski.

O politycznych pojedynkach (przypomnę raz jeszcze – oficjalnie zakazanych przez prawo) rozpisuje się prasa, która relacjonuje przebieg najciekawszych potyczek. W „Polsce Zbrojnej" w marcu 1924 roku można było przeczytać chociażby o starciu czołowej postaci polskiej sceny politycznej po zamachu majowym, posła na sejm, podpułkownika Bogusława Miedzińskiego z byłym ministrem wojny, generałem Stanisławem Szeptyckim.

„Przy zachowaniu wszystkich przepisów nastąpiła wymiana strzałów. Pistolet gen. Szeptyckiego nie wypalił z powodu wadliwości pistonu – co zostało stwierdzone przez prowadzącego pojedynek. Honorowi stało się zadość. Przeciwnicy podali sobie ręce"[54] – zanotuje dziennikarz gazety.

Dodam na końcu, abstrahując od pojedynków honorowych, że skłonność do bitki udziela się również mieszkańcom przedwojennej Warszawy zmagającej się swego czasu z istną epidemią mordobicia w nocnych lokalach. Za taki stan rzeczy nie odpowiada wyłącznie margines społeczny, okazuje się bowiem, że awantury najczęściej wszczynają dobrze ubrani panowie po czterdziestce, którzy w restauracjach zjawiają się zawsze w towarzystwie wytwornie wystrojonych małżonek. Wódka rzadko bywa dobrym doradcą i to ona przelewa, dosłownie i w przenośni, czarę goryczy. Potem wystarczy, że taki wstawiony, a zwykle i rozdrażniony jegomość zauważy, że w stronę jego żony jakiś dżentelmen błysnął okiem i już biorą się panowie za łby. W imię honoru.

WIERNOŚĆ I OPORTUNIZM

Kodeks Boziewicza reguluje kwestie honorowe, ale szeroko rozumiana obyczajowość czy też etykieta towarzyska nie sprowadza się w dwudziestoleciu międzywojennym jedynie do pojedynków i strzelania z pistoletów. Każde środowisko, zwłaszcza wywodzące się ze sfer warszawskich, ma własny

kanon zwykle niepisanych zwyczajów, a chociaż wszystkich ich nie sposób wymienić, pozwolę sobie wspomnieć o dyplomatach i innych wyższych rangą pracownikach Ministerstwa Spraw Zagranicznych urzędujących w pałacu Brühla przy ulicy Wierzbowej 1. Tych bowiem obowiązuje pięć podstawowych zasad.

Po pierwsze, szczera uprzejmość w stosunku do służby – kelnerów, lokai, fryzjerów, manikiurzystek (z nimi można poplotkować).

Po drugie, uprzejmość pozorna (bez poufałości) w stosunku do drobnomieszczaństwa.

Po trzecie, faworyzowanie niektórych osób wywodzących się z burżuazji żydowskiej lub pochodzenia żydowskiego (przy okazji w dobrym tonie jest wytłumaczyć spóźnienie wizytą właśnie u kogoś ze wspomnianego środowiska).

Po czwarte, sprawy istotne, takie jak polityka, należy podczas prywatnych rozmów bagatelizować. Przejmować się i mówić z zaangażowaniem można wyłącznie o rzeczach trywialnych, na przykład: czy lepszy tuńczyk w oliwie, czy w majonezie.

Po piąte, należy okazywać wierność Marszałkowi Piłsudskiemu i obozowi sanacyjnemu, niemniej bez afektacji i z zaznaczeniem oportunizmu[55].

KOLACJA O DZIESIĄTEJ WIECZOREM

Poważne problemy mają obywatele II RP z dotarciem na czas na umówione spotkanie. Piotr Choynowski stwierdzi nawet, że Polak jest punktualny tylko w dwóch przypadkach: gdy chodzi o pojedynek lub o pożyczkę w banku. Jeśli zaś spotkanie nie dotyczy żadnej z wymienionych kwestii, trzeba czekać – na nieznajomego z reguły dwa kwadranse, a na przyjaciela nawet ponad godzinę.

Poza tym, że przedwojenna Polska za nic ma punktualność, to jeszcze rządzi się dziwacznym zwyczajem, zgodnie z którym proszone kolacje muszą się rozpoczynać nie wcześniej niż o dziesiątej wieczorem. Nikt nie potrafi wyjaśnić, dlaczego tak

jest, ponoć wcześniej niż o dziesiątej nie wypada, a gdy komuś przyjdzie do głowy zaprosić gości na ósmą, szansa na to, że stawią się wcześniej niż po dziewiątej, jest iluzoryczna.

Ten brak punktualności, jeśli chodzi o posiłki, odróżnia nas od lepiej zorganizowanych w tej materii Francuzów czy Szwajcarów. Na przykład za granicą obiady jada się punkt dwunasta, w Polsce – może to być dwunasta, pierwsza, druga, a równie dobrze i szósta wieczorem.

Czas jest pojęciem względnym, z tego założenia wychodzą też – zdaje się – rozmaite polskie instytucje, które niekiedy wyznaczają dziwaczne godziny urzędowania. Trudno bowiem zrozumieć, dlaczego na przykład w Zakopanem urząd pocztowy jest zamykany między dwunastą a drugą po południu, skoro zwłaszcza w sezonie właśnie o tej porze chętnych na skorzystanie z jego usług jest najwięcej.

GRZECZNIEJ, SZANOWNY PANIE!

Narzeka się w przedwojennej Polsce na brak punktualności, utyskuje także na poziom kultury osobistej, zwłaszcza na grubiańskie zachowanie kierowców, prostackie odzywki ekspedientów, niegrzeczność restauratorów, tramwajarzy, dozorców, policjantów, celników, lekarzy, urzędników i polityków.

Co rusz inicjuje ówczesna prasa nieoficjalne akcje (dziś nazwalibyśmy je kampaniami społecznymi), których celem będzie skłonienie rodaków do życzliwości i wzajemnego zrozumienia. Nie sposób ocenić, czy dały one spodziewany rezultat, ale że na kulturę osobistą narzeka się w prasie aż do wybuchu wojny, można mniemać, iż ich efekty nie są w pełni zadawalające.

Niemniej takie próby podejmowano, dojdzie nawet do tego, że Związek Propagandy Turystycznej miasta stołecznego Warszawy umieści w wagonach tramwajowych specjalne plakaty: „Pasażerowie – uprzejmością umilcie ciężką i denerwującą pracę konduktora”, „Panie konduktorze! Bądź uprzejmym, pasażer jest

przecież twoim chlebodawcą!”, „W natłoczonym tramwaju nie skąpcie bliźnim uprzejmego przepraszam” i wreszcie ostatni: „Wzajemna uprzejmość – życie uprzyjemnia”[56].

Na brak kultury osobistej narzeka się także w innych miastach. Łódzka prasa wylicza kolejne obrazki z życia codziennego miasta – niesympatyczny konduktor, który mimo próśb nie pomógł panience wysiąść z zatłoczonego tramwaju; mrukliwy młodzieniec, który w cukierni przy ulicy Piotrkowskiej potrąca starszego jegomościa bez słowa „przepraszam”; elegantka wciskająca się w ogonek na poczcie czy stara sklepowa wyrzucająca klienta za drzwi tylko dlatego, że ten zakwestionował świeżość truskawek – podobnych przykładów z tamtego okresu, i nie tylko zresztą z Łodzi, znajdziemy więcej.

Jedni próbują edukować, inni na chamstwo radzą odpowiadać tym samym.

„Pamiętaj, bracie, takiego grzecznym słowem nie załatwisz. Włóż ręce w kieszeń, wygarnij mu całą litanię, całą rodzinę mu wypomnij i dorzuć kilka słów, a resztę brzydkich”[57] – zaleca na wypadek utarczek z ulicznymi chuliganami aktor Władysław Walter, który o przedwojennej Warszawie wiedział wszystko, niektórzy mawiali zresztą, że to on sam jest Warszawą.

To, czy mimo upływu ponad ośmiu dekad staliśmy się bardziej punktualni, mniej zapalczywi, a przy okazji darzymy się większym szacunkiem, pozostawiam państwa ocenie.

* * *

ROZDZIAŁ VII
PRASA

M o j e l i s t y (V I I). L i s t z W a r s z a w y

[…] Każdy numer gazety wygląda, jak cmentarz, albo w najlepszym razie, jak szpital, a przecież i gazeta nawet nie wie w jednej tysiącznej części wszystkiego. Trzeba pójść i zobaczyć[58].

* * *

PRASA DONOSI…

„Dziennikarzem? Mój Boże, mógł być przyzwoitym człowiekiem, a został dziennikarzem!”[59] – stwierdzi kiedyś babcia znanego w przedwojennej Polsce redaktora Jerzego Nowakowskiego.

W czasach gdy radio dopiero zyskuje popularność (jego zasięg zwiększy się w drugiej połowie lat trzydziestych), a telewizja wciąż jest odległym marzeniem, prym wiedzie prasa, zwłaszcza sensacyjna, skierowana do szerokiego grona odbiorców, przystępna i przemawiająca wprost. Lektura takiej gazety powinna w założeniu intrygować, lecz nie męczyć czytelnika; zaspakajać trywialną ciekawość, dostarczać rozrywki, acz niekoniecznie angażować intelektualnie. Wabią więc dzienniki popularne w latach dwudziestych i trzydziestych plotkami z życia gwiazd, aferami politycznymi, skandalami towarzyskimi, a ponadto lekką publicystyką, humorem, ankietami, konkursami i „mrożącymi krew w żyłach” powieściami w odcinkach. Na wagę złota są dla nich sensacje lokalne, mordy na tle rabunkowym, kradzieże, niesłychane wypadki. Najlepiej, gdy obok dużych

pieniędzy pojawiają się miłość i dużo krwi. Jak stwierdzi pisarz i dziennikarz Stanisław Maria Saliński: „Ulica potrzebowała gazetowej strawy i papki, ulica je miała”[60].

Nazwa „czerwona prasa”, która przylgnie do sensacyjnych gazet dla mas (dziś nazwalibyśmy je tabloidami), pochodzi od czerwonego koloru tytułów – „Kuriera Czerwonego”, „Expresu Porannego”, „Dzień dobry” i wielu innych. Mottem zawodowym pracujących w nich dziennikarzy stanie się: „więcej, szybciej i ciekawiej”, a nie od rzeczy będzie w tym miejscu przytoczyć słowa redaktora naczelnego „Kuriera Czerwonego” Henryka Butkiewicza, który podczas rozmowy z praktykantem udzieli młodzieńcowi następującej porady: „Panie kolego, jeśli chodzi o atrakcyjność materiału przeznaczonego do warszawskiej gazety, kierujcie się następującą kolejnością: jeden trup na Marszałkowskiej równa się dziesięciu trupom w Paryżu, stu trupom w Nowym Jorku, tysiącowi trupów w Brazylii, dziesięciu tysiącom trupów w Chinach. Jasne?”[61]. Zatem w myśl zasady – koszula bliższa ciału (i najlepiej, gdy jest to koszula pokryta plamami krwi).

O efektach takiego podejścia do sprawy przekonamy się, gdy otworzymy pierwszą lepszą gazetę z tamtego okresu (niekoniecznie zresztą „czerwoniaka”): na jednej stronie trzy artykuły opatrzone następującymi tytułami: „Za 2 zł 25 gr zabił brata”, „Za odmowę wynajęcia pokoju zastrzelił portiera”, „Powiesiła się na pończosze w celi więziennej”. Do tego można jeszcze dodać znajdujące się na tej samej stronie artykuły zatytułowane odpowiednio: „Oszukańcza spółdzielnia w Cieszynie” i „Ziemia pochłonęła altankę w Chorzowie”[62]. Są więc krew, bratobójca, samobójczyni, katastrofa i oszuści. Chciałoby się powiedzieć: z tego żyje prasa, tym żyją jej czytelnicy. Nikt też w takiej redakcji nie przejmuje się drobnostkami. Reportaż o wyprawie na Etnę zilustrowany zdjęciem jakiegokolwiek innego krateru? Czemu nie? Cóż to szkodzi? Czy ktoś pozna, że to nie Etna?

Organizowane przez „czerwoną prasę” w latach dwudziestych i trzydziestych kampanie prasowe są skoncentrowane niemal zawsze wokół jakiegoś wroga (czy to politycznego, czy też zagrażającego moralności) i przybierają monstrualnie groteskowe rozmiary. Czytelnik winien zdaniem redakcji odnieść wrażenie, że poza podsuwanym tematem nie dzieje się na świecie nic godnego uwagi. Wiedzie w tym prym „Ilustrowany Kuryer Codzienny” przeprowadzający, głównie dzięki swoim możliwościom finansowym i technicznym, iście mistrzowskie kampanie prasowe. Przykładem niech będzie jedna z najsłynniejszych afer przedwojennej Polski, sprawa Rity Gorgonowej oskarżonej o zamordowanie córki lwowskiego architekta. Popularny „Ikac” od samego początku nie ma wątpliwości co do winy oskarżonej, a przeprowadzona przez niego nagonka ociera się o absurd. Dziennikarze gazety domagają się postawienia Gorgonowej przez sądem doraźnym, wskazują na jej rzekome pokrewieństwo ze sprawcą zamachu w Sarajewie, codziennie publikują zmanipulowane zdjęcia, a zainteresowanie czytelników podsycają nawet za pomocą artykułu o psie lwowskiego architekta.

Zamach samobójczy rejenta Jarzębskiego.

Przyczyną tego kroku był stan chorobliwego zdenerwowania. — Powodów zewnętrznych nie było żadnych.

Stan zdrowia denata jest bardzo ciężki.

Wczoraj miasto nasze obiegła wieść o samobójstwie notarjusza Stefana Jarzębskiego, prowadzącego kancelarję przy ul. Piotrkowskiej 96 i zamieszkującego przy tejże ulicy nr. 153. Należy podkreślić z całym naciskiem, że rozpaczliwy ':rok szanowanego i cieszącego się ogólną sympatją prawnika, byłego sędziego okręgowego, nie ma podłoża ani materjalnego, ani uchybień w stosunku do władz skarbowych. Rejent Jarzębski popełnił zamach na swoje życie bez zewnętrznego powodu. Ręka jego, w chwili gdy mierzył z rewolweru w swą prawą skroń — powodowało jedynie krańcowe zdenerwowanie, które cechowało denata już oddawna, a ostatnio wzmogło się znacznie.

Zamach samobójczy dokonany został około godziny 7 min. 15 rano. Desperat przeszedł do swego gabinetu przy mieszkaniu i tam strzelił sobie w skroń. Domownicy, którzy nadbiegli niezwłocznie po detonacji — zastali rejenta broczącego krwią i leżącego na podłodze.

Pierwszy na miejsce wypadku przybył lekarz prywatny, który nałożył prowizoryczny opatrunek. Około godz. 9-ej rano przybył lekarz pogotowia i karetką przewiózł denata do szpitala Bethleem przy ulicy Podleśnej. Operacja wyjęcia kuli z mózgu nie została jeszcze dokonana.

Powiadomione władze śledcze wszczęły dochodzenie. Z urzędu został również zawiadomiony p. prezes sądu okręgowego.

Stan denata jest ciężki i budzący pewne obawy o życie.

Wieść o zamachu samobójczym

Kto uzyskał prawo do zasiłków

przed dn. 3 lutego, otrzymywać będzie zasiłki przez 9 miesięcy.

(t) Przed kilku dniami donosiliśmy, iż związki zawodowe pracowników umysłowych wystąpiły do ministerstwa opieki społecznej z prośbą, aby zarządzenie o skróceniu okresu wypłaty zasiłków do 6 mies. nie miało mocy wstecznej t. j. nie obowiązywało wobec tych bezrobotnych, którzy uzyskali prawo do zasiłków przed dniem 3 lutego.

Sprawa ta żywo obchodziła wszystkich bezrobotnych pracowników umysłowych, gdyż obejmowała niemal wszystkich, którzy do stycznia b. r. utracili pracę. Czekano więc z niecierpliwością na decyzję ministerstwa. I oto jak się okazuje, komisarz rządowy Z. U. P. U. do którego zwróciła się również ...ia związków zawodowych stępcze ZUPU. otrzymała zawiadomienie, iż ci bezrobotni, którzy przed dniem 3 lutego uzyskali prawo do zasiłków, otrzymywać je mają przez 9 miesięcy, a nie przez 6, jak to przewiduje nowe zarządzenie.

Oczywiście nie wszyscy skorzystają z tego zarządzenia. Wśród bezrobotnych jest bowiem pewien odsetek tych, którzy byli zbyt krótko ubezpieczeni i zasadniczo mieli prawo tylko do 6-miesięcznego zasiłku. W stosunku do nich zarządzenie nie wprowadza żadnych zmian. Ci jednak, którzy mieli otrzymać zasiłki przez 9 mies. i przed 3 lutym nic jeszcze nie pobrali, względnie nie wyczerpali swego terminu, będą ko- ...rystać z pełnych praw.

KRONIKA

LUTY **15** ŚRODA

Dziś: Faustyna i Jowity
Jutro Juljanny P. M.

Wschód słońca 6.52
Zachód słońca 16.47
Wschód księżyca 00.00
Zachód księżyca 8.37
Długość dnia 8.46
Przybyło dnia 2.10

Pożegnanie wojewody p. Wł. Jaszczołta, który opuścił Łódź.

(t) Wczoraj o godz. 12-38 opuścił Łódź dotychczasowy wojewoda łódzki a obecnie wileński, p. Jaszczołt. Pożegnanie p. wojewody odbyło się niezwykle uroczyście. Na placu przydworcowym ustawiono dwie kompanje honorowe, wojskową i policyjną z orkiestrami. Gdy ukazało się auto, wiozące wojewodę Jaszczołta, orkiestry zagrały hymn. Wojewoda Jaszczołt przeszedł przed frontem kompanji i udał się do sali recepcyjnej, gdzie oczekiwali nań przedstawiciele władz i społeczeństwa.

Przybyli: wicewojewoda Potocki, generałowie Małachowski i Olszyna-Wilczyński, prez. Ziemięcki, wiceprez. Rapalski, insp. Niedzielski, insp. Torwiński oraz liczne delegacje. Pożegnanie, które odbyło się w serdecznym nastroju, przeciągnęło się przez dłuższy czas, gdyż pociąg, z powodu zasp śnieżnych na drodze, nie mógł wyruszyć punktualnie.

Wreszcie, przy dźwiękach orkiestr...

I tak to, w dużym skrócie, wygląda w całej Polsce, chociaż oczywiście każdy wydawany dziennik stara się wyróżnić na tle konkurencji i czymś swojego odbiorcę zaskoczyć. Różnice te są w gruncie rzeczy subtelne i uzależnione przede wszystkim od tego, w jakim miejscu Polski powstaje i do kogo jest adresowana gazeta. Dla mieszkańca Wielkopolski wielkie hasła i idee znaczą o wiele mniej niż dla mieszkańca stolicy. Znacznie mniej jest też podatny czytelnik z poznańskiego na propagandę polityczną. Może właśnie dlatego, a zauważył to podczas swojej podróży po Wielkopolsce Ksawery Pruszyński, w wydawanych w Poznaniu gazetach najważniejsze są nie sensacyjne afery, którymi emocjonowano się w Warszawie i Krakowie, ale praktyczne porady. „Tu prędzej wolno przekręcić jakiś kalambur w felietonie, zrobić błąd w artykule wstępnym. Giełdy, przepisów na budyń, rad o wywabianiu plam przekręcać nie wolno”[63] – stwierdzi Pruszyński.

Konkurencja, zwłaszcza na rynku lokalnym, jest ogromna. Dość powiedzieć, że w dwudziestoleciu międzywojennym w Łodzi pojawią się w sumie aż czterdzieści trzy tytuły, wiele z nich zniknie po jakimś czasie, a rekordzista „Extra-Telegram” będzie się ukazywać tylko przez dwa dni.

O obliczu sensacyjnych, a cieszących się ogromną popularnością brukowców decydują odpowiednio wyszkoleni dziennikarze, poinstruowani przez przełożonych. O ich stalowych nerwach, ambicji, a nade wszystko chęci zdobycia dobrego materiału niech świadczy zdarzenie, do którego dochodzi podczas walk w Warszawie w trakcie przewrotu majowego.

W okolicy Ministerstwa Kolei, u wylotu Nowego Światu, strzelaninie, niczym meczowi piłki nożnej, przyglądają się z pobliskiej kawiarni Gastronomia dziennikarze. Cóż z tego, że nad głową świszczą kule, panowie redaktorzy popijają koniaczek i obserwują przebieg walk, gawędząc koleżeńsko. Nie szczędzą sobie przy tym uszczypliwości, bo wśród nich znajdują się

zarówno zwolennicy rządu, jak i entuzjaści Marszałka Piłsudskiego.

Jest więc przedwojenny dziennikarz zdolny do wielu wyrzeczeń, jest w stanie narazić się na wiele niebezpieczeństw, byle tylko zdobyć informacje i nie zawieść zaufania szefa. Redaktor Henryk Passierman, aby przeprowadzić wywiad z komisarzem ludowym spraw zagranicznych ZSRR, który akurat przejeżdżał przez Łódź, zdecyduje się przekupić pikolaka, przebierze się w jego kitel, chwyci w dłonie tacę i dzięki takiemu kamuflażowi zdoła się dostać do salonki Georgija Cziczerina, gdzie odbędzie z sowieckim dyplomatą krótką pogawędkę. W nie mniej niezwykłych okolicznościach znana warszawska żurnalistka Karolina Beylin przeprowadzi wywiad ze Stanisławem Przybyszewskim. Słynny literat zgodzi się na rozmowę z młodą dziennikarką, zaprosi ją nawet do swojego mieszkania, nie przewidzi jednak, że tego dnia zostanie zamknięty w zajmowanym przez siebie lokalu na klucz.

„– Nie mogę pani otworzyć. Ona mnie zamknęła, żebym nie poszedł na wódkę.

– Więc mam odejść? – spytałam głęboko poruszona.

– Nie – odpowiedział głos – mogę dać wywiad przez drzwi”[64].

CENZURA I POLITYKA

„Taka plama to reklama” – mówiono o gazetach, które po przewrocie majowym i przejęciu władzy przez sanację, wskutek ingerencji cenzury pojawiają się z pustymi miejscami. Zjadliwe felietony przeciwnika Marszałka – najbardziej chyba poczytnego pisarza międzywojnia, Tadeusza Dołęgi-Mostowicza – zostaną usunięte tak wiele razy, że ich autor w pewnym momencie ogłosi, że odtąd będzie zajmował się wyłącznie gastronomią i rzeczywiście wkrótce autor *Kariery Nikodema Dyzmy* napisze felieton o soku malinowym, przetworach i konfiturach, co stanowi swoistą odpowiedź na sanacyjną cenzurę.

Ta ingeruje przede wszystkim, gdy w grę wchodzi ochrona wizerunku wysokich dygnitarzy państwowych, w pierwszej kolejności wojskowych. I jeśli nawet cała Warszawa plotkuje od rana o kolejnych pijacko-romantycznych ekscesach generała Wieniawy-Długoszowskiego czy pułkownika Bogusława Miedzińskiego, napisać o tym nie można. Na ataki na policję, kierowników monopoli, a niekiedy nawet samych ministrów prasa w drodze wyjątku może sobie pozwolić, lecz ofensywa skierowana przeciwko ulubionemu oficerowi Marszałka Piłsudskiego jest niedopuszczalna. Zresztą zdarza się niekiedy i tak, że cenzor, dowiedziawszy się „na mieście" o jakiejś kolejnej awanturze z Wieniawą w roli głównej, zawczasu wykonuje telefon do redakcji i ostrzega panów redaktorów, że jeśli wspomną w materiałach prasowych o skandalu, trzeba będzie gazetę „ciąć".

Niekiedy cenzura konfiskuje cały numer czasopisma nie tyle z powodu wywrotowych treści zamieszczonych na łamach gazety przez krnąbrnych dziennikarzy, ile przez pomyłkę redaktorów. Taki los spotka jeden z numerów „Światowida", w którym pomylono podpisy pod ilustracjami. W czasopiśmie zamieszono zdjęcie prezydenta Ignacego Mościckiego z nowo poślubioną małżonką na tle spalskiego pałacyku, a na kolejnej stronie – głuszca na gałęzi. W wyniku pomyłki pod zdjęciem przedstawiającym głowę narodu pojawi się podpis: „Tokujący głuszec"[65] – gazetę trzeba więc będzie skonfiskować.

O redaktorskich pomyłkach dostarczających uciechy Tuwimowi czy Słonimskiemu też można by napisać wiele, zresztą byłoby ich jeszcze więcej, gdyby nie czujne oko pracowników redakcji, którzy w porę wychwytywali niezręczności. W Katowicach w drugiej połowie lat dwudziestych w środowisku dziennikarskim krążyła historia o przekręconej depeszy informującej o chorobie żony Ignacego Paderewskiego – pani Heleny Paderewskiej, damy wyjątkowo w Polsce poważanej, nazywanej matką narodu. We wspomnianej depeszy dziennikarz zakomunikował, że „choroba pani Paderewskiej powstała na tle

sklerotycznym”, ale że osoba odbierająca depeszę przekręciła jedno słowo, w gazecie o mały włos nie pojawił się komunikat, że „choroba pani Paderewskiej powstała na tle erotycznym”[66]. Nietrudno się domyślić, na jakie nieprzyjemności, nie tylko zresztą ze strony cenzury, naraziłaby się gazeta w przypadku publikacji podobnej informacji.

SENSACJA W ODCINKACH

Atrakcję popularnych brukowców stanowią poza sensacyjnymi doniesieniami również drobne ogłoszenia, ankiety (dzięki nim czytelnicy mogą wypowiedzieć się, czy lepiej, gdy państwem rządzi król, czy jednak prezydent) oraz konkursy, w których, zdarza się, do wygrania są… krowa i korce węgla.

Znajdą państwo w tych gazetach również powieści publikowane w odcinkach. Dla czytelnika wywodzącego się zarówno ze sfer urzędniczo-przemysłowo-kawiarnianych, jak i prostego robotnika seriale na papierze, zwykle uwzględniające lokalny folklor, pełne intryg, krwawych rozrachunków, zdrad i romansów są silną przynętą. Już same tytuły niektórych z tych literackich perełek („Szczury z Bałut”, „Zośka, złota rączka”, „Tajemnica hrabiny”) zdradzają klimat serwowanej nam lektury, a trafią się wśród nich takie kurioza jak opowieść o inżynierze hermafrodycie zakochanym w samym sobie. Ich autorami są zwykle niespełnieni literaci, ale zdarza się, że popełniają je pisarze wybitni, na przykład taką powieść dla „Kuriera Czerwonego” napisze chociażby Witold Gombrowicz.

Niekiedy powstają one na kolanie, nic zatem dziwnego, że pewnego razu autorzy jednej z takich historii zapomną, iż w poprzednim odcinku uśmiercili bohatera, a więc gdy ten, jak gdyby nigdy nic ponownie pojawi się na łamach powieści, skonsternowani czytelnicy zaleją redakcję listami.

Powieści odcinkowe, nierzadko publikowane w formie pseudoreportaży, udowadniają ponadto, jak łatwo zatrzeć granicę między światem wykreowanym a rzeczywistością. Przykładem niech będzie tutaj drukowana w jednej z gazet

powieść o Anieli i jej kochanku. W dużym skrócie rzecz przedstawia się następująco: on ją kocha – ona ucieka. Ponieważ fikcyjny bohater szuka wybranki po całej Polsce, zaangażowani w historię czytelnicy poczną wysłać na adres redakcji listy, informując gazetę, że podobną dziewczynę widzieli w swoim mieście lub miasteczku. A gdy na końcu powieści bohaterowie staną na ślubnym kobiercu, dojdzie nawet do tego, że pewien oddział związku pracownic, widać szalenie zaangażowany w opowieść, zorganizuje zbiórkę pieniędzy na prezent ślubny dla świeżo upieczonych małżonków.

* * *

ROZDZIAŁ VIII
ROZMAITE INTERESA

K u r s o g l ą d a c z y m i ę s a

Kandydaci na powyższy kurs, rozpoczynający się z dn. 19. bm. w Rzeźni Miejskiej, winni złożyć na ręce Przew. Kom. Egzam. przy Województwie za pośrednictwem Starostwa: 1) podanie, napisane własnoręcznie i umotywowane, 2) metrykę urodzenia, 3) świadectwo moralności, 4) świadectwo zdrowia, 5) własnoręcznie napisany życiorys, 6) poświadczenie obywatela polskiego, 7) zawiadomienie Magistratu wzgl. Wydz. Pow., że kandydat po kursie i egzaminie ma zapewnione stanowisko oglądacza mięsa.

Opłaty stemplowe wynoszą 5 zł od podania, 0,50 zł od każdego załącznika[67].

* * *

NA ULICY

Oglądacz mięsa to dopiero fucha. Pomyślą państwo, człowiek od samego tylko patrzenia zdoła się najeść. A na koniec po garmażeryjnych przyjemnościach wystarczy sporządzić krótką notatkę, co uczyni zawodowy oglądacz mięsa, pan Zawadzki: „Stwierdzam, że u p. Sobieszka w Garbatce wendlina jest ze świni zdrowych i podejżanych na żadną chorobę. Oglądacz mięsa i Żwieżont A. Zawadzki. Waży 15 kilo”[68].

„Suchoty kieszeniowe”, na które cierpią obywatele II RP, sprawiają, że ludzie imają się rozmaitych zajęć. Zarobić lub

dorobić można bowiem w przedwojennej Polsce na wiele sposobów.

„Czego paniusia uważa? U mnie wszystko paniusia dostanie…” – mniej więcej w ten sposób zwraca się uwagę klienta w sklepach. A na ulicy? Na ulicy to się, proszę państwa, krzyczy, głośno zachwala i reklamuje. Podatków nikt tu nie płaci. W razie policyjnego nalotu łatwo towar schować.

Dostaną tam państwo wszystko, od czekolady w tabliczkach po perły literatury światowej. Są pomarańcze katańskie, jabłka („jak ta malina”), książeczki z nową konstytucją i grzebienie. W bramach kryją się sprzedawcy ryb, a raczej rybek, bo długość każdej sztuki nie przekracza trzech centymetrów. Kiedy klient zdecyduje się na zakup, handlarz wyławia towar z wiadra, posługując się osobliwym przyrządem wykonanym z drutu i muślinu.

„Po chwili przystępuje do «pakowania» towaru. Tu przejawia się cała przemyślność «bussinesmana». Bo oto, w koszyku, stoi cały stos przepołowionych buteleczek od «czystej». Rybki razem z wodą wlewa się do odciętej butelki. Zużytkowane są również w tym celu i szyjki butelek, zatkane po prostu korkiem”[69] – wyjaśnia prasa.

Dostaną tam państwo wszystko: perły literatury światowej, truciznę na karaluchy, czekoladę w tabliczkach… Na zdjęciu uliczny handlarz owocami. Kraków, wrzesień 1931 roku.

Na ulicy znajdziemy kadzidełka zapewniające, jak twierdzi handlarz, „dobre powietrze w pokoju” oraz cudowny wynalazek wywabiający plamy. Wystarczy potrzeć i zmyć, każda plama, byle niezbyt tłusta, byle nie od smaru, oleju czy sadzy, zejdzie w trymiga. A obok sprzedawcy tegoż mydełka piorącego pewien jegomość demonstruje genialny sposób na zalepianie dziur w starych blaszanych miednicach. Nie brakuje przedstawicieli handlu konfekcyjnego – w koszykach leżą skarpety osiemdziesiąt groszy za parę; za złotówkę (lepszej jakości za dwa złote) nabędziemy również krawat.

Są i kramy z butami, a tak się jakoś dziwnie składa, że chociaż handlarzy obuwiem jest mnóstwo, każdy sprzedaje najnowszy fason, każdy zapewnia, że u niego najtaniej. Spróbuj takiemu wytłumaczyć, że bucik ciśnie w palce. „A co pan potrzebujesz w bucie ruszać? – krzyczy sprzedawca. I mówi bardzo dużo przykrych rzeczy o zbyt wykwintnych nabywcach. – Patrzcie, jaki hrabia, palcem w bucie chce ruszać”[70].

Znajdzie się coś i dla poszukujących strawy duchowej. Leżą bowiem w koszu lub stoją na straganiku skleconym ze zbutwiałych desek romansidła dla pensjonarek, Zapolska, Mussolini i Kochanowski. Znajdą tam państwo bestsellery – *Rozmyślania o różańcu*, *Złotowłosą i Murzyna* czy *Wykradzioną w dzień ślubu*, a zatem pozycje dla amatorów powieści z pogranicza grozy i melodramatu. Wszystkie wycenione na złotówkę. Demokracja literacka.

Najgłośniej swoje towary zachwalają wózkarze. Poza owocami można u nich dostać sweterki, bluzeczki, porcelanę, a nawet damską bieliznę. Jest też czekolada w promocyjnej cenie, pochodząca ze zlikwidowanej fabryki.

Na ulicach spotkamy przedstawicieli handlu konfekcyjnego. Za złotówkę nabędziemy krawat. Lepszej jakości za jedyne dwa złote. Lwów, rok 1927.

Uliczni handlarze przysiadają na chodniku, zajmując miejsce pod ścianami kamienic. Narzekają, że policja ich gania, że towar coraz droższy, że (to najgorsze) duża konkurencja, bo coraz więcej ludzi bierze się do handlu. „Poczekajcie tylko, jak przyjdą na wiosnę te ze szparagami. Te dopiero wydzierają gęby” – zapewnia tęga pani handlująca chrzanem.

Jeśli ktoś zastanawia się, z jakiego powodu przedwojenna Polska co rusz zmaga się z epidemią duru brzusznego, odpowiedź znajdzie na targowiskach, a przede wszystkim wśród ulicznych sprzedawców. Prasa prawicowo-radykalna obarcza winą żydowskich handlarzy z Kercelaka, lecz Bogiem a prawdą dotyczy to w równej mierze także chrześcijan. Na nic zdają się apele władz i lekarzy, na nic obwieszczenia rozlepiane w okolicach rynków, informujące o zagrożeniu epidemią, przestrzegające przed spożywaniem niemytych owoców czy robieniem zakupów w brudnych sklepach.

Istotnie woła o pomstę do nieba sposób obchodzenia się handlarzy ulicznych ze sprzedawaną przez siebie żywnością. Nikogo nie dziwi w tym czasie obrazek baby handlującej ubłoconymi obwarzankami, nierzadko leżącymi na ziemi i wycieranymi od czasu do czasu brudną szmatą. Obok niej miejsce zajmuje sprzedawca landrynków i czekolady. Otoczony chmarą much słodki asortyment praży się na słońcu, zalegając w zakurzonych koszach. Ochoczo przebiera w nich dzieciarnia.

Stoją na straganiku skleconym ze zbutwiałych desek romansidła dla pensjonarek, Zapolska, Mussolini i Kochanowski. Wszystkie wycenione na złotówkę… Na zdjęciu kram z książkami w przedwojennej Warszawie.

Co prawda w Łodzi pod koniec lat trzydziestych policja rozpocznie walkę z ulicznymi sprzedawcami handlującymi w okolicach Piotrkowskiej, ci jednak mają na stróżów porządku wypróbowany sposób i jak informuje prasa: „z chwilą pojawienia się policjanta sprzedawcy na ostrzegawczy znak wystawionej «czujki» (istnieje taki), zmykają. Bajgełki, cukierki, czekoladki wysypują się na chodnik, a często i do ścieku. Za minutę sytuacja wyjaśniona, sprzedawca wraca, zbiera spokojnie towar ze ścieku, umieszcza w koszu i najspokojniej sprzedaje, boć przecież on go nie będzie jadł”[71].

Bolączką Warszawy, Łodzi, a i wielu innych dużych miast Polski staje się też fałszowanie artykułów spożywczych sprzedawanych na ulicach. Margaryna w maśle, woda w mleku, mąka lub rozcierany twaróg w śmietanie to najpopularniejsze, lecz nie jedyne sposoby na oszukanie klienta. Kombinatorzy nieźle obławiają się również na wszelkiego rodzaju przyprawach korzennych, fałszuje się nawet pieprz. Ten ostatni imitują nasiona buraków zamaczane w kleju mieszanym z sadzą, a podobnych „zamienników” można spotkać na targach lub ulicach znacznie więcej. Nasiona szporku polnego sprzedaje się jako pieprz mielony, otręby pszenne – jako imbir, a bułkę tartą – jako cynamon. Na każde dziesięć dekagramów pieprzu składa się pięć dekagramów „zamiennika” i pięć dekagramów prawdziwej przyprawy. Oszustwo, jak tłumaczą przyłapani na gorącym uczynku, jest więc tylko połowiczne. Czy to pozory przyzwoitości, czy tylko chłodna kalkulacja, niech ocenią państwo sami.

HANDLOWE PODZIEMIE

Handluje się nie tylko w bocznych uliczkach, lecz także przy głównych arteriach miast, również w niedziele, gdy jest to powszechnie zakazane. W Warszawie dotyczy to przede wszystkim północnej dzielnicy, chociaż zdarza się, że zakaz handlu łamią tak zwani chrześcijańscy sprzedawcy. Nic to, że od frontu sklepy są zamknięte, bo pośrednik wyczekuje klienta na ulicy, tam też zbiera zamówienia. Następnie wystarczy

zasygnalizować ekspedientowi przez mały otwór w oknie, który towar jest potrzebny, przekazać konsumentowi do ręki wybrany artykuł i zainkasować zapłatę. Zresztą niedzielne zakupy robi się również w sklepach. W tym przypadku pośrednik wprowadza ludzi do środka przez ukryte przejście znajdujące się zazwyczaj na tyłach budynku. Policja jest z reguły bezradna, czyż można bowiem karać człowieka tylko za to, że w niedzielę spaceruje bez wyraźnego celu przed drzwiami zamkniętego sklepu?

Uliczni handlarze nie płacili podatków, a gdy zjawiała się policja, porzucali swoje kramy. Na zdjęciu handlarz lwowski, rok 1933.

Co ciekawe, podobnie działają nie tylko sklepy, lecz także warsztaty i składy ulokowane w prywatnych mieszkaniach. Pracują bez wytchnienia, siedem dni w tygodniu, pracują bez obowiązkowych patentów, pracują, najczęściej nie płacąc również podatków. Kiedy w okolicy pojawia się policjant, wystawiona na podwórzu czujka sygnalizuje niebezpieczeństwo za pomocą szwargotania niezrozumiałego dla zwykłego człowieka. W kilka sekund znikają spod nielegalnych sklepów i składów pośrednicy, niekiedy ustaje nawet na kilka godzin praca w warsztatach. Zatrudnieni w nich robotnicy otrzymują wynagrodzenie nawet za przerwy wymuszone z powodu pojawienia się w okolicy stróżów porządków. To nagroda za milczenie.

W takim na przykład mieszkaniu na ulicy Szerokiej w Warszawie od niedzieli do czwartku produkuje się pończochy, z kolei przez pozostałe dni ten prywatny lokal zamienia się w nielegalny bazarek. Kupią tam państwo ryby pływające w balii wypełnionej wodą, jarzyny, owoce, mięso i kiszonki. Czego dusza zapragnie.

UŻERKA Z KLIENTEM

I klient potrafi dać w kość. Na dowód przedstawiam taki oto autentyczny obrazek z warszawskiego bruku: do sklepu z artykułami papierniczymi wchodzi młoda kobieta, rzuca okiem na asortyment, wreszcie zwraca się do ekspedienta:

– Poproszę arkusz papieru. Byle prędko, bo nie mam czasu!

– Służę uprzejmie. Niech mi tylko będzie wolno zapytać, jaki rodzaj papieru panią interesuje. Szary, matowy, w dużych arkuszach, a może w małych?

– No taki sam, jaki wczoraj kupiła moja koleżanka.

– A czy był to może papier gładki, glansowany, a może półsztywny?

– Nie wiem. Zależy mi na takim, jak kupiła wczoraj moja koleżanka.

– W takim razie może pamięta pani, co kosztował?

– A bo ja wiem…

Po kwadransie spocony ekspedient oznajmia ze łzami w oczach, że chociaż bardzo pragnie spełnić życzenie, nie ma pojęcia, jaki rodzaj arkuszu papieru ma na myśli klientka.

– Trudno. Pójdę do koleżanki i sprawdzę. A potem wrócę tutaj.

– Doskonale. Będę czekał na szanowną panią z niecierpliwością – skłamie sprzedawca[72].

Takich historii znajdziemy w przedwojennej Polsce znacznie więcej. Sprzedaż pięciu dekagramów cukierków w sklepie kolonialnym urasta niekiedy do rozmiarów skomplikowanej transakcji, w trakcie której wiele może się zdarzyć. A to się okaże, że proponowane przez sprzedawcę czekoladki nie służą pani, a to, że tamte cukierki nadziewane śliwkami niedobre, a to, że kwaśne stanowczo nie na kieszeń pani dobrodziejki. Sklep to scena, na której co rusz dochodzi do nieoczekiwanych zwrotów akcji, dramatów, komedii pomyłek. Nie wszystkie kończą się szczęśliwie.

W pewnym warszawskim sklepie nad kontuarem obsługa wywiesza napis: „Nie zdejmować kapeluszy”. Dziwaczny zakaz to efekt skandalu, do jakiego doszło tu kilka dni wcześniej, gdy trzej panowie zdjęli kapelusze, położyli je na ladzie, a potem poczęli oglądać towary. Na końcu każdy chwycił cudzy kapelusz, w związku z czym wywiązała się nielicha awantura, podczas której rykoszetem oberwało się również obsłudze sklepu.

Niełatwo jest więc być właścicielem sklepu w przedwojennej Polsce, niełatwo i jego pracownikiem. Tym bardziej że konkurencja nie śpi. Krąży w tych czasach anegdota o tym, jak pewien klient przez kilkadziesiąt minut wypytywał sprzedawcę o ceny wszystkich towarów, a na koniec nie kupił nawet pudełka zapałek.

– Po cóż pan o to wszystko pytał, skoro i tak niczego nie kupił? – zapyta sprzedawca.

– Ano, bo ja wkrótce otwieram taki sam sklep, tylko po drugiej stronie ulicy i chciałem wiedzieć, po ile sprzedawać.

NIE MA LEKKO

Roznosiciele ulotek znani są już w dwudziestoleciu międzywojennym. Zajmują zwykle stanowisko przy jednej z głównych arterii dużego miasta, gdzie wciskają przechodniom karteczki reklamowe. Kokosów, jak i dziś, na tym się nie robi, niemniej kilka groszy do kieszeni wpadnie. Co sprytniejsi sklejają ulotki, aby szybciej się ich pozbyć, lecz trafiają się i uczciwi, podchodzący do pracy poważnie, tak jak pewien jegomość w mizernym palcie i starym meloniku zapraszający warszawiaków do odwiedzenia eleganckiej restauracji. Lokal istotnie jest wytworny, z najlepszą kawą i doskonałą muzyką na żywo, tylko ten biedak z ulotkami pod pachą zupełnie z innej bajki.

Jeśli zaś w domu zalęgnie się komuś robactwo, warto odwiedzić pogromcę karaluchów. Spotkają go państwo w Warszawie, w dzielnicy targowej nieopodal hal. Straganik składa się ze stolika i stojącego na nim słoja pełnego tłustych karaluchów. Obok – paczuszki z trucizną, cudownym środkiem tępiącym wszelkie niemiłe człowiekowi insekty.

„Gdzie tylko takowy karaluch albo inny robak się pokaże, należy proszę szanownych państwa kropelkę płynu takim oto lefrechiserem podmuchać i znakiem tego każdy jeden karaluch przedstawia się zabity. Ze wszystkiem”[73] – chwali pogromca wszelkiego robactwa, a na potwierdzenie swych słów demonstruje działanie specyfiku, lecz to już spektakl wyłącznie dla ludzi o stalowych nerwach.

Zabawki produkuje się zwykle w małych warsztacikach mieszczących się w prywatnych mieszkaniach. Niektóre z nich to prawdziwe hurtownie, niezainteresowane sprzedażą detaliczną. Specjalizują się na przykład w produkcji ozdób choinkowych wyrabianych z łupin po orzechach, które właściciel wykupuje z cukierni za bezcen, lub w produkcji lalek. Mozolna praca wymaga cierpliwości i rzecz jasna zręcznych palców.

„Jak przychodzi zamówienie z magazynu zabawek, to oni piszą: – trzy tuziny blondynek z czarnemi oczami, w różowych

sukniach. To się już robi trzy tuziny czarnookich blondynek. Ubiera się, przykleja peruczki, fryzuje. Tu mam jedną panienkę, co w godzinę fryzuje i czesze dwanaście «blondynek» czy «brunetek»”[74] – tłumaczy właściciel.

Zatrudnione w warsztacie „panienki” pracują na akord. Zarabiają niewiele (złoty pięćdziesiąt, złoty dwadzieścia za dzień) i zdaje się, że nie mniej od lichego zarobku cieszą ich świadczenia, wszak o legalne zatrudnienie warto się postarać chociażby ze względu na opiekę zdrowotną gwarantowaną przez państwo. Oczywiście, zdarzają się w związku z tym nadużycia, taki chociażby pan Josek Frankiel, właściciel zakładu fryzjerskiego, zatrudnia cierpiącego na chorobę umysłową Moszka Fuksa, a żeby nie narazić się na oskarżenie o oszustwo, pozwala wariatowi golić i strzyc klientów. Chory psychicznie z brzytwą w ręce? Widać pan Frankiel miał dobre serce, lecz wyobraźni za grosz.

Lekkiego życia nie mają też panie zatrudnione w biurach. Zdawałoby się, że taka posada to czysta przyjemność – praca pod dachem, w ciepłym biurze, w gruncie rzeczy nie najgorzej też opłacana – niemniej przedstawicielki także tego zawodu mają powody do narzekania, zwłaszcza w połowie lat trzydziestych, gdy wskutek polityki oszczędnościowej rozpoczną się masowe zwolnienia. Te obejmą w pierwszej kolejności mężatki. „Ma pani męża, z głodu nie umrzecie” – tłumaczy się takiej biedaczce.

Nic zatem dziwnego, że wiele kobiet zatrudnionych w biurach ukrywa przed pracodawcą prawdę o stanie cywilnym. Wychodzą za mąż w tajemnicy, bez świadków, niekiedy nawet bez dokumentów. W jednym z warszawskich biur pracuje w latach trzydziestych aż dwadzieścia tak zwanych cichych mężatek. Zdarzy się też, że pewna dama przepracuje w jednym pokoju z mężem aż cztery lata i nikomu w biurze do głowy nie przyjdzie, że ci są od dawna małżeństwem.

ZŁOTY INTERES

W 1934 roku pewien człowiek zamieszcza w jednym z dzienników ogłoszenie informujące czytelników, że dysponuje sumą w wysokości trzech tysięcy złotych, którą jest gotów zainwestować w dobrze rokujący interes. Na odpowiedź nie trzeba długo czekać, siedziba redakcji w ciągu kilku dni zostaje zasypana listami z całego kraju. Najliczniejszą grupę chętnych do skorzystania z gotówki stanowią restauratorzy i ogrodnicy. Pierwsi liczą na zawiązanie spółki, drudzy na pożyczkę (jako gwarancję proponują pod zastaw swoje mieszkania lub sklepy). Prawie jedna trzecia zgłoszeń pochodzi od właścicieli przedsiębiorstw technicznych, wśród nich znajduje się firma produkująca artykuły dla wojska. Kto jeszcze? Przedsiębiorcy budowlani (gotówki potrzebują przede wszystkim na reklamę), niespełnieni wydawcy, jest też ktoś zamierzający założyć wielkie biuro informacyjno-propagandowo-pośredniczące.

Specjalne miejsce na tej liście zajmują genialni wynalazcy. Ci potrzebują pieniędzy, aby ukończyć prototypy ulepszonej agrafki lub wiecznego pióra wyposażonego w pomadkę do ust. Niemal każdy z nich obiecuje kolosalny zysk, powodzenie, zabezpieczenie przyszłości, a co za tym idzie – beztroskie życie.

Pomysłów na złoty interes jest zatem bez liku. Cóż, że recesja gospodarcza i bezrobocie, w przedwojennej Polsce można przecież zarobić obłędnie. A niekiedy nawet i na obłędzie, czego dowiodą mieszkańcy podwileńskich miejscowości. Kiedy władze zlikwidują zakład dla chorych psychicznie w Wilejce, w tym regionie Polski powstanie popyt na, jak to subtelnie określi ówczesna prasa, domy wariatów.

Mieszkańcy wiosek pod Wilnem biorą sprawy w swoje ręce. Interes kwitnie, bo za każdego chorego psychicznie byłego pacjenta Wilejki magistrat płaci pięćdziesiąt pięć złotych miesięcznie. Rozpoczyna się zatem walka o klienta, każdy pragnie przyjąć pod dach chociażby jednego pacjenta, a wobec perspektyw zarobienia owych pięćdziesięciu pięciu złotych na bok idą uprzedzenia, tym bardziej że niektórzy krewni chorych, aby pozbyć się problemu, gotowi są zapłacić jeszcze więcej. Owe

pensjonaty dla chorych psychicznie staną się z czasem głównym źródłem utrzymania mieszkańców kilku podwileńskich wiosek, będą również, jak to zwykle bywa, gdy w grę wchodzą niemałe pieniądze, powodem waśni i zazdrości.

„Proceder ten w okresie kilku lat zdążył tak zakorzenić się w życie tych mieszkańców, na ogół ludzi niezamożnych, że córkom w posagu rodzice dają wariatów. Panna otrzymująca tytułem wiana 4 warjatów, uchodzi za bardzo posażną”[75] – wspomni jeden z przedwojennych dzienników, ja jednak myślę, że w tej historii nieco źle rozłożono akcenty, bo wariatami należałoby w tym wypadku nazwać chyba nie tylko byłych podopiecznych zakładu dla obłąkanych w Wilejce.

Nie ma zatem świętości, na której w dwudziestoleciu międzywojennym zarobić nie można. W drugiej połowie lat trzydziestych przypomina nam o tym pewien warszawski milioner, znany zresztą w tym czasie potentat kinowy, który postanowił, o czym przekonywała jedna z gazet, zorganizować w starym klasztorze Paulinów… dancing. Część mieszkańców Starego Miasta łapie się za głowy, bo chociaż przedwojenna Polska widziała już wiele, na to, że można zniszczyć zabytkowe wnętrza, a z miejsca w przeszłości związanego z kultem wiary uczynić klub rozrywkowy, niewielu by wpadło. Szczęście w nieszczęściu, że w tym przypadku towarzystwo opieki nad zabytkami, członkowie wydziału nadzoru budowlanego oraz kilku radnych zdołają zareagować na czas.

W LOMBARDZIE

Receptą na chroniczny brak gotówki staje się w dwudziestoleciu międzywojennym lombard. Cóż, że portfel świeci pustkami, każdy trzyma przecież w domu coś cennego. Sprzedać taką rzecz zazwyczaj szkoda, ale zastawić i poratować się w ciężkich czasach żywą gotówką to już zupełnie inna para kaloszy.

Przed lombardem wystają zatem długie kolejki. Tylko w lutym 1934 roku lombard miejski w Warszawie przyjmuje prawie siedemnaście tysięcy przedmiotów, udzielając pożyczek pod

zastaw na łączną sumę stu osiemdziesięciu ośmiu tysięcy złotych, z czego aż 90% stanowią pożyczki drobne, nieprzekraczające pięćdziesięciu złotych.

Zastawia się głównie złoto, srebro i rozmaite przedmioty codziennego użytku. Rekordzistka swoją złotą obrączkę spieniężа aż dwadzieścia razy. W miesiącach letnich ludzie zanoszą do lombardu ciepłą odzież – futra i kurtki, a poza tym – maszyny do szycia, maszyny do pisania, papierośnice, kalosze – wszystko, co przedstawia jakąkolwiek wartość.

INTERES NIE CAŁKIEM UCZCIWY

Zarobić, jako się rzekło, można na wszystkim. Ot choćby na… obciętych palcach. W 1934 roku głośno jest o przypadku pana Bolesława Wikła, który wpierw ubezpiecza się w towarzystwach asekuracyjnych, a potem obcina sobie palce. Ubezpieczyciele wypłacą mu w sumie dwadzieścia pięć tysięcy złotych, dzięki którym pan Wikło nabędzie kawałek ziemi, postawi na niej domek, innymi słowy – całkiem przyjemnie ułoży sobie życie. Niestety, okaże się człekiem szalenie pazernym, a kiedy, zdaje się, braknie mu już palców u rąk, namówi znajomą, aby i ona okaleczyła się po uprzednim podpisaniu umowy z towarzystwem asekuracyjnym. Pogrąży to pana Wikło oraz jego przyjaciółkę, tym razem sprawie przyjrzy się bowiem policja.

„– Ja […] nie zrobiłbym tego lepiej. Rana jest idealnie gładka, bez postrzępień. Obcięcie palca było prawdopodobnie dokonane ostrą szablą”[76] – stwierdzi lekarz, ekspert sądowy.

Ile jest palców u jednej ręki, tyle lat posiedzi w mamrze pan Wikło.

Ale bywa i tak, że ludzie dopuszczają się przestępstwa nie tylko dla pieniędzy, lecz także dla uznania w oczach kolegów i lokalnej społeczności. Tym jedynie, zdaje się, można by wytłumaczyć przypadek pana Jana Tetticha, który w 1938 roku dokonuje licznych podpaleń w powiecie drohobyckim, a potem, jako członek ochotniczej straży pożarnej, pożary te gasi z narażeniem życia.

Na bakier z prawem są też niektóre apteki sprzedające pokątnie eter, który w przedwojennej Polsce ze względu na niską cenę cieszy się uznaniem sporej rzeszy koneserów mocnych wrażeń. Przeprowadzona w 1934 roku rewizja w jednym z krakowskich składów aptecznych wykaże, że w ciągu dwóch miesięcy sprzedano tutaj nielegalnie aż pięćset kilogramów eteru.

Pewien łódzki kupiec, niejaki pan Olszer, postanowi z kolei ubierać warszawskie elegantki w amerykańskie pończochy – dodajmy, bo to istotne – pończochy używane, nabywane w Stanach Zjednoczonych za bezcen. A to wszystko dzięki temu, że w amerykańskich kinach w ramach akcji promocyjnej parę pończoch prezentuje się kinomankom za darmo. Nowe pończochy lądują zwykle na nóżkach amerykanek jeszcze w trakcie seansów, stare zaś są porzucane na sali kinowej. I to właśnie używane pończochy skupuje w ilościach hurtowych Polska w celu ich dalszej przeróbki i sprzedaży. Pan Olszer pończochy te z magazynu celnego wykradnie, następnie nieco odświeży i *voilà* – można handlować.

PORNO BIZNES

Biznes, który dzisiaj nazwalibyśmy erotycznym, w dwudziestoleciu międzywojennym dopiero raczkuje, niemniej już w tym czasie pojawia się kilku takich, którzy dochodzą do wniosku, że negliż to świetny sposób na zrobienie fortuny. Inicjator jednego z takich przedsięwzięć ogłasza w prasie: „Poszukuję młodych mężczyzn i młodych kobiet, w charakterze modeli do wydawnictwa zatytułowanego *Album sztuki nowoczesnej*”. Jakiego rodzaju sztukę nowoczesną ma na myśli autor, zapewne się państwo domyślają, faktem jest jednak, że znajdą się desperaci, którzy aby zarobić kilka groszy, zdecydują się i na tego rodzaju angaż. Bezbożnego ogłoszeniodawcę aresztują i to *in flagranti* w trakcie sesji zdjęciowej, upiecze się natomiast wydawcy *Cennika ortopedycznego*, który reklamuje w prasie swoją broszurę poświęconą toalecie intymnej. Pisemku

znacznie bliżej do pornografii niż poradnika zdrowotnego, bo choć rzeczywiście zawiera garść porad, to jego głównym „atutem” są rozbierane zdjęcia i z tego powodu wydawca będzie musiał tłumaczyć się w sądzie.

Prawdę mówiąc, niewiele spośród tych porno broszurek zgorszyłoby współczesnych, co innego pomysł, na który wpadają pracownicy miejskiego zakładu kąpielowego mieszczącego przy zbiegu ulic Nawrot i Wodnej w Łodzi, gdzie panowie organizują na życzenie gości upojne orgietki. Trochę to dziwne, że wszystko dzieje się pod okiem magistratu, że radni przez wiele tygodni ignorują doniesienia o gorszącym procederze uprawianym, uściślijmy, w łaźni publicznej. A może wcale nie tak dziwne, skoro płatną miłość oferuje w tym czasie nawet salon kosmetyczny. Pod koniec lat trzydziestych jeden z domów publicznych zainstalowanych w legalnie działającym salonie kosmetycznym odkryto w Łodzi przy ulicy Kilińskiego 125.

Osobliwym rodzajem instytucji, na której trop również wpadnie policja, jest salon sztuki mieszczący się w Warszawie przy ulicy Śniadeckich, prowadzony przez wdowę po pewnym bogatym kolekcjonerze. Na pierwszy rzut oka miejsce to istotnie przypomina galerię, lecz nie w celu kontaktu ze sztuką odwiedzają je stali bywalcy. Ci bowiem otrzymują od gospodyni specjalny album zawierający zdjęcia pięknych pań, zazwyczaj biednych urzędniczek, niespełnionych gwiazdek sceny lub ubogich mężatek. Po krótkiej chwili namysłu i wskazaniu przez klienta wybranego zdjęcia właścicielka przybytku aranżuje spotkanie, salon sztuki jest więc w istocie domem schadzek, co zaś najciekawsze, rekrutacją odważnie portretowanych dam zajmuje się w nim najprawdziwsza hrabina, co – gdy sprawa się wyda – wywoła w Warszawie niemały skandal.

FABRYKANT I ŚWIĘTY BIUROKRACY

Mogłoby się zdawać, że przemysłowiec żyje w przedwojennej Polsce jak pączek w maśle, ale i jemu, zwłaszcza gdy to ryba nie z tych najgrubszych, rzuca się kłody pod nogi. Tak to już

widocznie musi być w naszym kraju, bez względu czy to rok 2016, czy też 1938, że gdy trzeba coś załatwić w urzędzie, zwykle jest to bieg przez przeszkody – nie sprint, lecz maraton – korytarzem ministerstw i dziwnych urzędów… Kiedy bowiem taki przedsiębiorca zamierza sprowadzić surowiec, a potem gotowy produkt sprzedać za granicą, jest zdany na łaskę i niełaskę świętego Biurokracego, a ten wie doskonale, jak delikwenta sprowadzić na ziemię.

Na początku, w celu uzyskania pozwolenia przywozu surowca, winien nasz przemysłowiec złożyć odpowiednie podanie do Izby Przemysłowej oraz do Komisji Przywozowej Rady Handlu Zagranicznego. Następnie musi liczyć na przychylność Wydziału Handlu Zagranicznego Ministerstwa Przemysłu i Handlu, niekiedy zaś i Departamentu Przemysłowego, Wydziału Hutniczego, Komisji Obrotu Towarowego oraz Biura Wojskowego Ministerstwa Przemysłu i Handlu.

Ponieważ równolegle stara się nieszczęśnik o uzyskanie dewiz, niezbędne jest w takim przypadku złożenie odpowiedniego wniosku do Komisji Dewizowej, ta zaś zasięga porady u delegata Ministerstwa Przemysłu i Handlu, Wydziału Dewizowego Ministerstwa Skarbu, Polskiego Instytutu Rozrachunkowego oraz Polskiego Towarzystwa Kompensacyjnego.

Jeśli fabrykantowi wystarczy cierpliwości i jakimś cudem skompletuje niezbędne dokumenty, a i towar zdoła w tym czasie wyprodukować, musi oczekiwać na decyzję samorządu gospodarczego, a istotna jest również opinia wydziału traktatów i Departamentu Handlowego oraz Przemysłowego, ponadto w Polskim Instytucie Rozrachunkowym zostanie zobligowany do wyrobienia świadectwa rozrachunkowego, a na końcu do poddania się kontroli odprowadzania dewiz. Oczywiście wszystkie te instytucje, których nazw spamiętać nie sposób i których sens istnienia, muszę przyznać, stanowi dla mnie

tajemnicę, o sprawie decydują kolegialnie, co z kolei gwarantuje, że rzecz będzie trwała bardzo długo.

Skomplikowany proces nadzoru, kontroli i planowania handlu powoduje, że polski eksport kuleje. Złośliwi żartują, że z członków wszystkich tych nadbudówek życia gospodarczego należałoby stworzyć jeden Fundusz Ludzi Ustosunkowanych i Potrzebujących Zasiłków, a tym samym pozbyć się ich raz na zawsze. Tymczasem jednak jest inaczej, „przemysłowiec lata, jak oszalały, od wydziału do wydziału, od jednego czynnika samorządu gospodarczego do innego, od jednej komisji do innej, szaleje, wydaje pieniądze i w efekcie eksportuje coraz mniej, bo «nerwy nie wytrzymały»”[77].

W ŁÓDZKIEJ FABRYCE

Czas to pieniądz. Wiedzą o tym w Łodzi od dawna. Powtarza to jak mantrę każdy fabrykant. Biada temu, kto znajdzie się w Łodzi i o tym zapomni. Jak pewien robotnik z fabryki Turhera przy ulicy Juliusza 37, który w 1925 roku zostanie wyrzucony z roboty za spóźnienie. Pięciominutowe.

Zdawałoby się, że sześćset sekund to bagatela, ale ponoć nie o sekundy chodzi, lecz o zasady. Towarzysze robotnicy nie zamierzają pozostawić kolegi na pastwę bezdusznego kierownictwa fabryki i rozpoczynają strajk. Powołują się przy tym na regulamin, w którym stoi czarno na białym, że za spóźnienie do dziesięciu minut można ukarać pracownika, lecz nie wydaleniem, ale karą pieniężną w wysokości dwudziestu groszy.

Ostatecznie stanie na tym, że pechowy pracownik zostanie zwolniony, ale dopiero po upływie kolejnych dwóch tygodni. A zatem kierownictwo fabryki Turhera wykazuje się wielkodusznością. Przejmującą wielkodusznością.

Z właścicielami łódzkich fabryk nie warto zadzierać, tutaj panowie kierownicy są pierwsi po Bogu, a robotnika czepiają się nierzadko z byle powodu. Wydaleniem z pracy grozi nie tylko pięciominutowe spóźnienie, lecz nawet krótka przerwa na tak

zwanego dymka. Prawda, że nie jest tak wszędzie, bo w kilku fabrykach tworzy się nawet specjalne pomieszczenia, w których robotnik może zapalić papierosa, ale w fabryce Markusa Kona palić nie można. Delikwent złapany na gorącym uczynku żegna się z robotą. Bez gadania.

ZAJĘTY

Wszędzie redukcje i zwolnienia. Szaleje bezrobocie. Jedni się mu poddają, inni biegają od urzędu do urzędu, od warsztatu do warsztatu, od biura do biura. Z reguły na próżno.

Mieszka jednak w Łodzi człowiek, który nawet w pierwszej połowie lat trzydziestych gwiżdże na bezrobocie i śmieje się z kryzysu. On sam tłumaczy, że to kwestia szczęścia, sprytu, żyłki kupieckiej, ponadto zaufania, jakim darzą go klienci, rozmaitych koneksji, a także umiejętności zaskarbiania sobie sympatii i oczywiście pracowitości.

Mieszkający przy ulicy Gdańskiej pan Z. jest jednocześnie handlarzem starych ubrań, agentem firmy węglowej, przedstawicielem kilku fabryk, współwłaścicielem biura próśb i podań, sprzedawcą materiałów na ubrania i losów na loterię, a także swatem. Pan Z. zawsze wie, kto w mieście potrzebuje węgla na zimę, który z panów szuka towarzyszki życia, w jaki sprzęt kuchenny warto zainwestować.

„Gdy jest «passa», to mam około 500 złotych miesięcznie, lecz gdy jest zastój w pewnej dziedzinie – mam 300, 250…”[78] – tłumaczy w rozmowie z dziennikarzem łódzkiej gazety.

Wszechstronnie utalentowanych w przedwojennej Polsce zatem nie brakuje. Jeśli zaś nie zrobił na państwu wrażenia zapracowany mieszkaniec Łodzi, może zaimponuje dziewiętnastoletni Jerzy Garmin z Wilna, który potrafi zapamiętać numery, nazwiska i adresy wszystkich abonentów telefonicznych w mieście. A jest ich wtedy, czyli w połowie lat trzydziestych, około dwóch tysięcy. Młodzieńcem z pamięcią absolutną zainteresuje się dyrekcja Poczt i Telegrafów w Wilnie,

ponoć pan Garmin otrzyma nawet propozycję pracy w biurze informacyjnym przy centrali telefonicznej.

PUSTE PORTFELE

Z arystokracją w przedwojennej Polsce i jej rzekomym bogactwem bywa zabawnie. Pisarz Andrzej Kuśniewicz wspomniał na łamach swojego kryptopamiętnika postać pewnego hrabiego, skąpca tak wielkiego, że wypraszał od sióstr bazylianek w klasztorze w Jeremiaszówce owoce, chociaż sam był właścicielem wielkiego sadu.

Rzeczony hrabia stołuje się co prawda w słynnym lwowskim Hotelu George, kiedy jednak zjawia się kelner i proponuje barszczyk, hrabia ma w zwyczaju oznajmiać: „Dobrze, ale bez octu”. Podobnie ma się rzecz w przypadku rekomendowanego przez kelnera szpinaku z jajkiem, a ponieważ, jak przekonuje hrabia – „jajka wywołują niestrawność” – decyduje się zamówić… sam szpinak. Jedyne, czego sobie w hotelowej restauracji nie żałuje, to pieczywo, a że jest ono dla gości za darmo, panicz wypycha nim kieszenie swojej tweedowej marynarki.

Znajdą się tacy, którzy nazwą pana hrabiego skąpcem, nie nazwie go tak z pewnością gospodarz z okolic Janowa Lubelskiego. On uznałby go za człowieka oszczędnego i gdyby nie bariera społeczna, panowie zapewne znaleźliby wiele tematów do sympatycznych pogawędek.

W czasach, gdy instytucje bankowe nie są jeszcze darzone zaufaniem, zwłaszcza przez mieszkańców prowincji, oszczędności trzyma się w domach. Taki gospodarz, zamiast ulokować swoją fortunę w Kasie Oszczędnościowej, chomikuje ją całymi latami w skarpecie. W 1932 roku w powiecie Janów Lubelski ludzie opowiadają sobie o osiemdziesięcioletnim Janie Dacy i jego synu, mających opinię ubogich pustelników, którzy jednak, jak okaże się pewnego dnia, odłożyli przez wszystkie lata ładny kawał grosza. Z tą oszczędnością pana Dacy to ostatecznie trochę głupio wyszło, bo przez przypadek wyda się, że spora

część majątku gromadzonego w kuferku dawno się już zdewaluowała. Znajdą się w nim stare carskie ruble, niemieckie i polskie marki, przed laty przedstawiające ogromną wartość, ale w pierwszej połowie lat trzydziestych nadające się wyłącznie do muzeum. Jakby tego było mało, okaże się też, że część swojego skarbu ukrył przed laty pan Daca w snopach słomy i schował na poddaszu, a tam zajęły się nim myszy.

Zapewne część skarbu pana Dacy pochodziła z czasów gigantycznej inflacji, z którą zmagało się młode polskie państwo na początku istnienia II RP. Temat to znany i wielokrotnie poruszany w publikacjach poważniejszych od tej, niemniej jeśli gromadzimy absurdy życia w przedwojennej Polsce, nie godzi się o nim nie napomknąć.

Proszę sobie wyobrazić, że do kiosku po poranną gazetę wybierają się państwo z walizką pieniędzy, a chociaż ta jest po brzegi wypchana banknotami, przedstawia sobą niewielką wartość, można za nie kupić rzeczoną gazetę lub co najwyżej kawałek chleba. „Doszło do tego, że kupując gazetę dawało się za nią prawie tyle papieru, ile ona ważyła. 100 tysięcy marek! 150 tysięcy marek! 250 tysięcy marek!”[79] – wspomina redaktor Adam Ochocki.

Rekordowa inflacja rzuci na kolana polską gospodarkę, a wyrwanie się z jej szponów wywoła wiele społecznych konsekwencji. Zdołają jednak nasi przodkowie poradzić sobie i z tym problemem, nie brakuje przecież w kraju nad Wisłą tęgich głów, czego dowodzi inny przykład. Kiedy jedna z warszawskich gazet zwróci się do czytelników z prośbą o nadsyłanie pomysłów na zdobycie stu milionów złotych, które można by przeznaczyć na tak zwaną pomoc zimową dla najbardziej potrzebujących, na adres redakcji listy spłyną z całego kraju.

Jeden z obywateli zaproponuje zastąpić wino serwowane podczas licznych balów krajowym napitkiem składającym się z wody kranowej i soku żurawinowego, a zaoszczędzone złotówki przeznaczyć na pomoc zimową. Inicjatywa szlachetna,

nie wiem tylko, czy znalazłaby orędowników wśród elit artystycznych i kół rządowych (o Wieniawie-Długoszowskim nie wspominając). Inny obywatel wspomni o balach charytatywnych i zauważy przy tym, że więcej się na nich pieniędzy wyrzuca w błoto, niż jest z tego korzyści. Dziennikarze pewnej gazety stwierdzą nawet, że „urządza się je w Adrii, czy innej knajpie, ludzie wydają na przyjęciu 100 000 zł, pan Moszkowicz zarabia grube tysiące, a dochód wynosi paręset złotych”[80].

Czepiać się pana Moszkowicza, który ledwie wiąże koniec z końcem? Niełądnie, panowie redaktorzy. Czy jednak można się dziwić atakom na pana Moszkowicza, skoro i od polityków wymaga się tego, aby w trakcie pięciu miesięcy zimowych zrzekli się części swojego wynagrodzenia?

Na pustą kiesę narzeka się w całym kraju, szczególnie cierpią z tego powodu miejskie magistraty, a nie każdy z nich może liczyć na pomoc futbolistów Łódzkiego Klubu Sportowego, którzy wedle plotek krążących w drugiej połowie lat dwudziestych przyczynili się łódzkiej sprawie jak mało kto w tamtym czasie. W 1928 roku miasto zabiega o pożyczkę od Amerykanów, co z jakichś względów się komplikuje, niektórzy powątpiewają, czy uda się dojść do consensusu, i wtedy goście zza oceanu wybierają się na mecz piłkarski, podczas którego piłkarze ŁKS-u pokonują klub z Nowego Jorku 6:0. Amerykańscy biznesmeni urzeczeni postawą ełkaesiaków zdecydują się załatwić sprawę po myśli łódzkich radnych. Wystarczyło strzelić przybyszom zza oceanu sześć goli…

ANEMICZNY KARNAWAŁ

Kryzys wpływa na życie Polaków także od święta, ot chociażby bale karnawałowe w 1934 roku nie są już tak wystawne jak dwa lata wcześniej. Prasa pisze o „anemicznym karnawale”, któremu „patronuje oszczędność”[81].

Różne

PORUCZNIKU z czarnemi wyłogami — który w noc Sylwestrową na ostatniem przedstawieniu w Nowościach zainteresowałeś się blondynką i obudziłeś jej duszę, proszę o podanie adresu pisemnie do Admin. Kurjera pod „Przebudzenie". 45

W czasach gdy nikt nie słyszał jeszcze o mailach i SMS-ach ludzie komunikowali się za pomocą ogłoszeń publikowanych w prasie. „Ilustrowany Kuryer Codzienny” z 1926 roku.

Jeśli już ktoś wybiera się na bal, oszczędza niemal na wszystkim. Panie, które jeszcze kilka lat wcześniej przygotowywały fryzury w salonach, teraz czeszą się dzień przed imprezą w domu, a fryzjera odwiedzają wyłącznie na tak zwaną poprawkę. Manicure też niemal każda dama robi w domowym zaciszu.

Na sam bal nikt nie udaje się, jak to odbywało się wcześniej, eleganckimi dorożkami czy chociażby taksówkami, bo na to pozwalają sobie jedynie bogacze. Do sal balowych dociera się w latach kryzysu tramwajami i z tego względu przystanki w centrum miasta przedstawiają wieczorem dość niecodzienny wygląd.

W końcu i na samych balach zabawa jest prowadzona z powściągliwością podobną tej, jaka towarzyszy przygotowaniom. Większość najada się do syta jeszcze w domu, a na przyjęciu to już skromniej – zamawia się kawę, herbatę, względnie szklankę wody sodowej. Z rzadka ktoś zażyczy sobie kufel piwa czy lampkę mocniejszego trunku, a że oszczędzają i restauratorzy, zdarzy się, że właściciel lokalu rozkaże pikolakom nalewać wino do kieliszków od… wódki.

KARTELOWA DYKTATURA

Kryzys przemysłowy, który na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych wywoła spadek produkcji i pogorszy sytuację przedsiębiorstw, doprowadzi do porozumienia kapitalistów monopolizujących rozmaite gałęzie przemysłu w ramach tak zwanych karteli.

W 1919 roku w Polsce istnieje zaledwie dziewięć karteli, w 1927 jest ich już sześćdziesiąt cztery, a w 1933, kiedy wchodzi w życie ustawa kartelowa, aż dwieście piętnaście. Zdaniem Aleksandra Ivanka, bezpartyjnego eksperta finansowego, a w latach trzydziestych pracownika Ministerstwa Skarbu: „Nie tyle rząd poprzez kartele realizował w przemyśle swoje koncepcje, ile przemysł poprzez kartele realizował u rządu swoje interesy”[82].

Interes przemysłu – identyfikowany w teorii z interesem gospodarstwa narodowego – w istocie sprowadzał się przede wszystkim do interesu przemysłowca fabrykanta dążącego do zmonopolizowania rynku. Nie zatem interes społeczny, ale własny przyświecał tym panom.

Polityka kartelowa rodzi liczne absurdy, tak chociażby jest z cukrem. Co prawda w grudniu 1935 roku, na co wyraża zgodę Bank Cukrownictwa reprezentujący kartel cukrowniczy, obniżono cenę cukru, i to aż o 25 groszy, niemniej w tym samym czasie, aby zminimalizować straty wynikłe z tej operacji, kartel wypuszcza na rynek sztuczny cukier affinowany, podobny w smaku do melasy używanej na pokarm dla bydła.

Zalewający sklepy cukier affinowany kosztuje złotówkę, tyle samo, ile zwykły, lecz jego produkcja jest tańsza, a on sam mniej słodki od cukru rafinowanego, zatem przeciętny koneser słodkiej herbaty zużywa go więcej. Kpią sobie w związku z tym z nas w dalekiej Anglii, bo jak donosi jeden z dzienników, tam „farmerzy karmią świnie polskim cukrem z powodu jego taniości, w Polsce każe się jeść ludziom cukier przeznaczony dla świń!”[83].

Ofiarami polityki kartelowej padają zazwyczaj drobni polscy przedsiębiorcy – handlarze i kupcy. „Tendencja kartelowa” uderza nawet w ulicznych fotografów. Nie dość, że Inspekcja Handlowa zmusza ich do opłacania patentów, wyrabiania licencji kosztujących dwieście pięćdziesiąt złotych i posiadania kart rzemieślniczych, to jeszcze w drugiej połowie 1936 roku powstaje nielegalny kartel, dbający tak naprawdę wyłącznie o zrzeszonych w nim bogatych przedsiębiorców. Krążą w tym czasie po Warszawie plotki o podejrzanych kontaktach Inspekcji Handlowej z przedstawicielami rzeczonego kartelu, a chociaż dzisiaj nie sposób udowodnić tych powiązań, faktem jest, że uprzywilejowani otrzymują możliwość wykonywania zdjęć w kilkunastu najatrakcyjniejszych punktach miasta, gdy tymczasem maluczkim uniemożliwia się pracę, skutkiem czego wielu z nich powiększy wkrótce grono bezrobotnych.

Minister przemysłu i handlu podejmie próby przeciwstawienia się polityce kartelowych dyktatorów, lecz poza obniżkami cen, nieodczuwalnymi dla szarego obywatela, wskóra niewiele. „Rozpiętość między cenami płaconemi przez skartelizowanych hurtowników producentom a cenami płaconemi przez konsumentów detalicznych dochodziła niejednokrotnie do kilkuset procent”[84] – zauważa w połowie lat trzydziestych prasa. Ponoć w branży papierniczej było to aż czterysta procent!

Cóż zatem z tego, że kartele ogłaszają obniżki cen nafty czy wyrobów żelaznych, skoro mieszkańcy wsi wciąż zakupują je w cenach niemal niezmienionych. Co światlejsi wypowiedzą w związku z tym wojnę kartelom, swoje trzy grosze wtrąci również ministerstwo, a w 1935 roku wskutek działań rządu zostanie rozwiązanych około trzydziestu karteli, niemniej ta dyktatura będzie się miała dobrze jeszcze długo. Najczęściej ze szkodą dla ogółu.

* * *

ROZDZIAŁ IX
RÓŻNE OBLICZA NĘDZY

R z u c a s i ę p o d s a m o c h ó d b y d o s t a ć s i ę d o s z p i t a l a

Katowice, 5.11. (tel. wł.). Na szosie pod Łazienkami Górnemi rzuciła się pod przejeżdżający samochód 80-letnia staruszka. Podczas dochodzenia zeznała ona, że nie mając środków do życia, zdecydowała się na szaleńczy krok licząc, że albo zginie, albo dostanie się do szpitala, gdzie będzie miała na pewien czas zabezpieczony byt[85].

* * *

WRZUĆ PAN GROSZA

Na temat przyczyn ubóstwa sporej części polskiego społeczeństwa w dwudziestoleciu międzywojennym – związanego między innymi z różnicami wynikającymi z polityki prowadzonej przez zaborców na ziemiach polskich przed 1918 rokiem, sytuacją ekonomiczną odrodzonej ojczyzny czy recesją gospodarczą na świecie – niechaj spierają się historycy, tym bardziej że zjawisko biedy w przedwojennej Polsce, jak każde o tak silnym natężeniu, wymaga dokładnej analizy niemieszczącej się w konwencji książki koncentrującej się przecież wokół konkretnych przypadków.

Obliczy nędzy i nędzarzy jest wiele. Weźmy chociażby pewnego młodzieńca w dziurawym płaszczu, który wraz ze

swoją sparaliżowaną żoną sprzedaje w latach dwudziestych na ulicach Lwowa gazety. Pieskie życie wiodą małżonkowie, chociaż chłopak to nie pierwszy lepszy pędrak, lecz syn byłego prezydenta miasta. Cóż jednak po rodzinnych koligacjach, skoro ojciec wyrzekł się syna, gdy ten zdecydował się na ożenek z chórzystką Teatru Rozmaitości. Syn nędzarz sprzedaje zatem na ulicy gazety, a w tym samym czasie na ścianie wewnątrz ratusza wisi portret ojca, figury wielce ponoć zasłużonej dla Lwowa jeszcze przed pierwszą wojną światową. Można w związku z tym dociekać, czy powodem ubóstwa młodzieńca jest małżeński mezalians, którego nie wybaczył mu ojciec, sytuacja na rynku pracy niepozwalająca na znalezienie bardziej intratnego zajęcia czy może wreszcie kalectwo żony.

A zatem jak to z tą biedą było w dwudziestoleciu międzywojennym? Panowie z lewa krzykną – nędza, brud, a do tego niesprawiedliwość społeczna! Panowie z prawej zaśmieją się pod nosem, napomkną coś o Centralnym Okręgu Przemysłowym, wszystkich bolączkach, z jakimi zmagało się młode państwo, i celach, które mimo trudności udało się zrealizować. A prawda? Prawda leży jak zwykle pośrodku.

Żebrzą! – zawołają jedni i trudno się z nimi nie zgodzić. Na ulicach miast i miasteczek nie brakuje opasanych szmatami nędzarzy wyciągających drżące ręce w stronę przechodniów, a choć wśród nich wielu jest pozbawionych środków do życia, nie brakuje i takich, którzy z żebrania czynią swoisty biznes. Dla tych to nie tyle ostateczność, ile osobliwy sposób na życie.

Wśród żebrzących panuje hierarchia. Inny status mają żebrak uliczny i kościelny (charakteryzują ich siwe włosy, pomarszczona twarz, nierzadko symulowane kalectwo), inny domokrążca – żebrak nachalny, żebrak mieszkaniowy.

O chorych, pozbawionych środków do życia kalekach, poszkodowanych przez los wspominać nie będę, bo to kiepski temat do żartów. Co zaś z pozostałymi? Ano to inna para kaloszy, wszakże ogromną rzeszę żebrzących, zwłaszcza w dużych miastach, stanowią cwaniacy. Nędzarze? Z pewnością, ale

nędzarzom tym nie brak i sił, i wyobraźni, i inicjatywy, które nawet jeśli wziąć pod uwagę gigantyczne bezrobocie, można by spożytkować w zupełnie inny sposób.

Przykładów jest wiele, jeden z nich stanowi przypadek żebraczki z Łodzi, niejakiej pani Anastazji Krawczykówny. To dopiero wyrafinowane indywiduum. Cóż za wytrwałość, cóż za koncept. Prawda, że początki są nader skromne: uliczne żebry z dzieckiem przy piersi, potem symulowanie kalectwa – jedna nóżka chora, następnego dnia druga nóżka chora, opaska na oku, ślepota, szkorbut, anemia. Wzruszające do łez. Przechodzi Krawczykówna cierpliwie przez wszystkie szczeble żebraczej hierarchii, doskonaląc się w fachu i przygotowując do odegrania życiowej roli.

Niech sobie państwo wyobrażą ruchliwą ulicę w godzinach szczytu i widok wijącej się w bólach biedaczki leżącej na ziemi, który na twarzach przypadkowych przechodniów wywołuje zrozumiałe współczucie, bo jakże nie pochylić się nad losem cierpiącej i to w dodatku ciężarnej kobiety. Kiedy jeden pobiegnie po pomoc, pozostali wcisną w drżące dłonie kobiety pieniądze. „W to mi graj” – pomyśli spryciula, a zanim na miejscu zdarzenia pojawi się medyk, podniesie się z ziemi i oznajmiając słabym głosikiem, że już czuje się lepiej, że to tylko chwila słabości, że zbliża się termin porodu, niespiesznym krokiem pocznie oddalać się w nieznanym kierunku. Podobnych spektakli odegra Krawczykówna kilka, na gorącym uczynku przyłapie żebraczkę dopiero pewien przytomny lekarz pogotowia, który – wezwany – dotrze na miejsce, zanim symulantka zdoła uciec. To wtedy, na oczach zgromadzonych, lekarz zdemaskuje oszustkę, rozpinając jej suknię na wysokości brzucha, w wyniku czego na ulicę wysypie się stosik kolorowych szmatek.

Żebrzących na ulicach miast, dodajmy żebrzących nałogowo, spotyka się w tym czasie znacznie więcej. W Łodzi w okolicach kościoła Świętego Krzyża można się natknąć na pewnego nędzarza i doprawdy nikomu nie przyszłoby do głowy, że człowiek, który godzinami wystaje przed kościołem z rękoma

rozpaczliwie wyciągniętymi ku niebu, jest szczęśliwym małżonkiem, właścicielem małego domku (ażeby było śmieszniej, jego żona codziennie o wyznaczonej godzinie woła go na obiad) i ogólnie rzecz biorąc, wiedzie mu się całkiem nieźle, a żebrze pod świątynią po to jedynie, aby dorobić.

Ci, którym nie w smak żebry na ulicy, krążą od mieszkania do mieszkania. Wśród nich nie spotkają państwo ludzi starych, bo tu zdecydowaną większość stanowią młodzieńcy z głową pełną pomysłów na to, jak przekonać ludzi o swojej nędzy i wydusić kilka groszy. Za kawałek chleba z masłem taki co prawda uprzejmie podziękuje, ale gdy zamkną się drzwi, ciśnie poczęstunkiem do najbliższego śmietnika. Wszak chodzi tylko o pieniądze.

A zatem żebrak mieszkaniowy nie narzeka na głód, lecz na pustą kiesę i w związku z tym podczas kolejnej wizyty przedstawi przejmującą historię zmarłej żony, której z braku środków nie może pochować (na dowód posiada wymięty świstek, ale ponieważ tłusty papier cuchnie z daleka, nikt i tak nie odważy się wziąć go do ręki). Często prosi też o pieniądze na bilet kolejowy (oczywiście miejsce docelowe znajduje się na drugim końcu Polski), na leki (wszak przedwczoraj wypuścili go ze szpitala), na kawałek chleba (wczoraj spłonął w pożarze cały jego dobytek).

Niektórych mieszkańców dużych osiedli odwiedza dziennie nawet dziesięciu takich domokrążców, na co w mniejszym stopniu bywają narażeni lokatorzy śródmiejskich kamienic strzeżonych przez dozorców, dokąd dostać się można zazwyczaj tylko główną bramą, nad którą widnieje napis: „Żebrakom i domokrążcom wstęp zabroniony”.

MELDUJĘ POSŁUSZNIE, IŻ DOKONAŁEM KRADZIEŻY

Żebracy i włóczędzy posuwają się do granic absurdu, aby zapewnić sobie dach nad głową i talerz ciepłej zupy. W Wielkopolsce w połowie lat trzydziestych grasuje dwudziestokilkuletni mężczyzna, niejaki Władysław Dańczak,

syn bogatych gospodarzy ze wsi Stężyce, który zamiast pielić grządki na ojcowiźnie, wybrał tułaczkę po świecie. A gdy już naszemu bohaterowi sprzykrzy się spanie pod chmurką, a kiszki poczną grać marsza, zdecyduje się na samookaleczenie. Rany zadane scyzorykiem, krew cieknąca z czoła oraz głośne zawodzenie biedaka leżącego na ulicy zrobią na przygodnym audytorium odpowiednie wrażenie. Zaalarmowani funkcjonariusze policji odwiozą rannego do szpitala, gdzie na Dańczaka czeka wygodne łóżko i ciepła strawa, a sami rzucą się w pogoń za sprawcami rzekomego napadu i zapewne długo jeszcze trwałaby kariera bezdomnego oszusta, gdyby podczas występu w Gnieźnie przypadkowy świadek nie skojarzył twarzy symulanta i nie doniósł o tym stróżom porządku.

Ci, którzy nie zdołają dostać się do szpitala, zadowalają się ciepłą celą aresztu. Po jednej z wileńskich dzielnic harcuje w pierwszej połowie lat trzydziestych biedak zwany Władkiem Garbusem. Cierpi nieborak głód tak straszny, że jest nawet gotów uwikłać się w poważne przestępstwo, byle tylko trafić do więzienia, byle tylko otrzymać kawałek chleba. Zjawia się w tym celu pewnego dnia w wydziale śledczym i oświadcza funkcjonariuszom policji, że to on stoi za pożarem letniska przy ulicy Ogińskiego. Skonsternowani policjanci zamykają biedaka w celi, szybko jednak ktoś zdoła ustalić, że pożar to bujda, a wszystko, co powiedział skruszony podpalacz, jest kłamstwem. Gdy jeden ze stróżów prawa zapyta Władka Garbusa o to, dlaczego przyznał się do zmyślonego przestępstwa, nieszczęśnik odpowie krótko: „Bo chciałem się dostać do więzienia”.

Podobne życzenie wyrazi mieszkaniec Bydgoszczy, pan Adam Małecki. Pozbawiony pracy i dachu nad głową mężczyzna na początku lutego 1935 roku wybija szybę wystawową w sklepie przy ulicy Długiej, porywa wełnianą koszulę, po czym wraz ze zdobyczą zjawia się na najbliższym posterunku policji. „Melduję posłusznie, iż dokonałem kradzieży, proszę mnie zamknąć!”[86] – zaraportuje posterunkowemu.

Życzeniu Małeckiego stanie się zadość. Sąd skaże go na pół roku więzienia, co biedak przyjmie z nieskrywanym entuzjazmem, zresztą zaraz po ogłoszeniu wyroku uradowany skazaniec mocno uściskał dłoń sędziego, wyrażając tym samym podziękowanie za spełnienie jego prośby.

Życie na wolności, życie pełne trosk, sprzykrzy się również dwudziestoletniemu Franciszkowi Włodarczykowi. I ten bezdomny młodzieniec dopuści się kradzieży, a podczas rozprawy w chorzowskim sądzie będzie błagać sędziego o najwyższy wyrok kary, trudno się temu zresztą dziwić, bo człowiek ten przedstawiał sobą tragiczny obraz nędzy, dość powiedzieć, że w dniu rozpoczęcia odsiadki stawił się w areszcie boso. Dziennikarz jednej z gazet odnotuje, że „kiedy za Włodarczykiem zamykały się drzwi aresztu, na twarzy jego malowało się prawdziwe szczęście”[87].

ZA 90 ZŁOTYCH MIESIĘCZNIE

Pochodną biedy – a w niej, nie da się ukryć, upływa życie sporej części polskiego społeczeństwa – są problemy mieszkaniowe i niska stopa życia, utrapienia przedwojennej Polski, z którymi będą się zmagać obywatele do końca istnienia II RP.

Trzy rodziny żyjące w jednej izbie to nie rzadkość w dwudziestoleciu międzywojennym. W środku ciemnego i dusznego pomieszczenia od wczesnego rana do późnego wieczora nie cichną gwar rozmów, płacz dziecka, miauczenia kota. Kilkanaście osób egzystuje tu na dwudziestu metrach kwadratowych poprzedzielanych jedynie prowizorycznie szafą lub zasłonką, tym zaś, którzy przywykli do normalnych warunków, zakręci się w głowie już po kwadransie.

Zjawisko podnajmu mieszkań jest w przedwojennej Polsce powszechne, dotyczy w dużej mierze mieszkań dwu-, a nawet jednoizbowych. Właściciele lokali, chcąc podreperować skromny budżet, godzą się dzielić maleńkie mieszkanko z drugą rodziną. W Warszawie na początku lat trzydziestych około 25 procent mieszkań jednoizbowych i około 30 procent dwuizbowych

zajmują co najmniej dwa gospodarstwa domowe. A bywa, że i więcej.

Mylą się ci, którzy sądzą, że w takich warunkach mieszkają wyłącznie bezrobotni. Przykładem, o którym w połowie lat trzydziestych donosi prasa, niech będzie żyjąca w stolicy rodzina stolarza. Ojciec składa zabawki, matka handluje na ulicy ciastkami, córka dwa razy w tygodniu chodzi do fabryki gilz papierosowych, a jeden z synów sprzedaje na ulicy gazety. Chociaż nikt się tu nie oszczędza, rodzina łącznie zarabia zaledwie 90 złotych miesięcznie, a to, zważywszy, że 55 złotych tej sumy pochłaniają komorne i jedzenie, 10 złotych – opał i światło, a 20 złotych – higiena (leki, mydło, pranie), pensja głodowa. Na odzież, przejazdy tramwajem, nie mówiąc już o rozrywkach w postaci kina, teatru, kabaretu czy krótkiego urlopu w pensjonacie za miastem familii stolarza po prostu nie stać, a podobnych rodzin są przecież w przedwojennej Polsce tysiące. Większość z nich nie ubezpiecza się, większość zalega z podatkami i przez cały rok wegetuje, pracując przy tym bez wytchnienia i najczęściej dzieląc mieszkanie z obcymi ludźmi.

Najbardziej szkoda dzieci. Umorusanych, często niedojadających, biegających samopas w dziurawych koszulach po brudnych podwórkach i bawiących się tym, co wpadnie w ręce. Na łódzkich Bałutach stałym elementem krajobrazu są kilkuletnie wyrostki wyławiające z cuchnących rynsztoków kamyki, szkiełka i papierki. Dziennikarz „Expressu Wieczornego Ilustrowanego” zauważy: „Malcy i dziewczęta zanurzają rączki w brudnej wodzie i wyławiają stamtąd cudowne zabawki, nie wiedząc o tem, że wraz z temo zabawkami wątpliwej wartości zabierają ze sobą bakterie chorobotwórcze”[88]. To o nich napisze wiersz Julian Tuwim.

Ale w biedzie upływa życie nie tylko tak zwanej klasie robotniczej, z jej powodu cierpią również osoby wykształcone, te z dyplomami w kieszeni. Jedna z warszawskich gazet przytacza na dowód przykład pewnego małżeństwa – on jest inżynierem po politechnice, ona ukończyła prawo. Ich łączny miesięczny

dochód oscyluje w granicach 130–160 złotych, co z trudem wystarcza na życie od pierwszego do pierwszego. O dzieciach nie myślą.

NA WSI JESZCZE GORZEJ

Problemy mieszkańców miast są w opinii wielu niczym wobec tego, z czym zmaga się, szczególnie na wschodzie kraju, polska wieś – zaniedbana wskutek polityki carskiego zaborcy, pozostawiona najczęściej sama sobie, tkwiąca w zacofaniu i marazmie. Tutaj nikt nie może liczyć na wsparcie organizacji charytatywnych, filantropów czy zarządu miejskiego. Radzi sobie polski chłop, grzęznąc w brudzie, żywiąc się tym, co zdoła wyhodować i zasiać, radzi sobie, nawet zbytnio nie narzekając na swą niedolę, bo i któż chciałby go wysłuchać. Niekiedy wspomni o nim prasa, która zauważy, że mieszkańców wsi nie stać na zakup nafty, soli, zapałek, ubrań, narzędzi czy książki do nauki dla dzieci, niekiedy napomknie pan redaktor, że jada się tu dwa posiłki dziennie (na śniadanie rzadki wywar z wygotowanych ziemniaków, na obiadokolację same ziemniaki), ale głosy te rozmywają się w zalewie ciekawszych wiadomości.

W takim chociażby Rosochaczu na Kresach problemem bynajmniej nie jest to, że w szkole powszechnej sale są źle wyposażone, brakuje pomocy naukowych i książek. Bo czymże jest to wobec tego, że dzieci w trakcie największych mrozów przychodzą na lekcje w drewniakach, podartej koszuli i słomkowym kapeluszu na głowie? Tutaj nierzadko na dziesięcioosobową rodzinę przypada jedna para butów, a od tej biedy miesza się ludziom w głowach, to zresztą właśnie w Rosochaczu zdarzy się, że matka pobije dziecko do nieprzytomności tylko dlatego, że malec zgubi podczas zabawy ołówek. Na zakup drugiego kobiety nie stać.

MIESZKANIE NA ŚRODKU DROGI

W 1936 roku warszawska prasa bije na alarm. Na Mokotowie buduje się nowe kamienice i jednocześnie… w zastraszającym

tempie rośnie liczba bezdomnych. Za przebudowę starych domów, poszerzanie ulic i wznoszenie nowych budynków mieszkańcy dzielnicy płacą wysoką cenę. Przede wszystkim dotyczy to wyrzucanych na bruk lokatorów mokotowskich ruder, czemu sprzyja wprowadzona nowelizacja prawa budowlanego. Takiemu biedakowi wystarczy wypłacić roczne odszkodowanie w wysokości komornego, wcisnąć w łapę kilka złotych na przeprowadzkę i problem z głowy. W starym budynku właściciel inkasował 60 złotych komornego, w nowym ta kwota bywa i czterokrotnie wyższa. Oczywiście dawnych mieszkańców kamienic nie stać tu na wynajem, większość nie śmierdzi przecież groszem.

A jeśli lokator wyjątkowo uparty, to w jaki sposób pozbyć się natrętnego i co najgorsze niewypłacalnego problemu, demonstruje pan Mitrofan Sokołow, właściciel domu w Druskiennikach. W pokoju przylegającym do mieszkania zajmowanego przez natręta wywiercamy niewielkie otwory, po czym smażymy na ogniu gumę, tak aby opary przedostały się do pomieszczenia za ścianą. Sposób, o czym zapewnia pan Mitrofan, niezawodny.

Bezrobocie i brak pieniędzy oraz problemy, z którymi zmaga się młode państwo, stają się źródłem patologii na rynku mieszkaniowym. I ta właśnie nędza, nasilająca się wraz z nastaniem kryzysu ekonomicznego przyczynia się do powstania w dużych miastach, w tym także w Warszawie, tak zwanego bieda-budownictwa – społecznej odpowiedzi na kryzys mieszkaniowy w dwudziestoleciu międzywojennym. Jak grzyby po deszczu na obrzeżach stolicy powstają dzikie osiedla, a najbiedniejsi (choć nie tylko oni) budują tam lepianki, ziemianki, szałasy, klecą naprędce drewniane budy, zdarza się nawet, że zamieszkują w jaskiniach.

W stolicy podobne osiedla powstają na przykład na Okęciu i na Marymoncie. A jeśli nawet postawi tam ktoś dom, to jego jakość architektoniczna i położenie postawiają wiele do życzenia. Za nic ma bowiem bieda-budownictwo ogłaszane przez miasto

plany budowy przyszłych arterii komunikacyjnych. Absurd goni absurd, domy stawia się względem arterii – mającej tu powstać w niedalekiej przyszłości, a na razie naszkicowanej przez architektów – frontem, bokiem, tyłem, a zdarza się, że i… pośrodku drogi.

Jaskinie i szałasy zamieszkuje biedota, z kolei wspomniane domy na peryferiach zajmują pocztowcy, kolejarze, robotnicy, tramwajarze, pracownicy gazowni. Wielu z nich mieszkało dotąd w śródmieściu, ale wystarczyło nie zapłacić na czas komornego, a przeznaczoną na to sumę odłożyć i skapitalizować, a potem… No cóż, może i wyrzucą ze starego mieszkania, ale skoro dzięki metodzie oszczędnościowej można wydzierżawić, a niekiedy nawet kupić kawałek ziemi na przyjemnym odludziu (w Młocinach dzierżawa metra kwadratowego kosztuje około 60–90 groszy), jest to zdaniem entuzjastów bieda-budownictwa gra warta świeczki.

Właściciel gruntu rzadko uświadamia nabywcę o ryzyku wynikającym z takiej transakcji, nie informuje go też, że teren, który zamierza wydzierżawić, jest przeznaczony pod budowę szosy czy ulicy. A nawet jeśli, obaj wychodzą z założenia, że szczęście się do nich uśmiechnęło i ubili interes życia. „Jakoś to będzie” – myślą.

Kiedy ledwie wiążący koniec z końcem robotnik elektrowni zdoła już zakupić kawałek placu, musi niezwłocznie przystąpić do budowy i to zanim na miejscu zjawi się inspektor budowlany, urzędnik czy policjant. W budowę angażuje się wówczas cała rodzina. I powstaje domek wybudowany z jakichś zakupionych pokątnie belek i starych desek, z odpadów stolarskich, z papy i podejrzanej jakości materiałów – powstaje nierzadko w ciągu jednej nocy!

Na wydzierżawienie kawałka ziemi i postawienie na nim naprędce skleconej chatki mogą sobie pozwolić jedynie ci, którzy odłożyli nieco grosza. W przeludnionych dzielnicach dużych miast, tam gdzie biedoty najwięcej, kombinuje się inaczej. W Łodzi na Bałutach ktoś wywiesi kiedyś na płocie takie

ogłoszenie: „Odstąpię swe łóżko od 8 wieczór do 6 rano”. Łóżko stoi w pokoju na poddaszu, mieszka tam osiem osób. Ogłoszeniodawca nie ma wątpliwości, że znajdzie chętnego. Kto pierwszy, ten lepszy. Szczęśliwiec za drobną opłatą prześpi się w nocy, a łóżko, zgodnie z umową, zwolni o godzinie szóstej, bo o tej porze wraca jego właściciel.

Mieszkania w zaniedbanych łódzkich kamienicach, pamiętających jeszcze epokę ziemi obiecanej, z biegiem lat przestają nadawać się do zamieszkania. Kamienicznik, jeśli ma głowę na karku, i na to znajdzie sposób. Na izby mieszkalne przerabia się strychy, piwnice, komórki, a nawet… kloaki. W przeciwieństwie zaś do starych mieszkań podlegających ustawowemu ograniczeniu wysokości komornego te prymitywne lokale, urządzane niekiedy w ubikacjach, stają się, dzięki luce w prawie, nowym źródłem dochodów właścicieli. Efektem tego zjawiska jest powszechna rumacja (przeprowadzka), podczas której raz na kwartał łódzkie ulice wypełniają się mrowiem ludzi przewożących na wózkach swój dobytek z jednego miejsca do drugiego.

Tym, którzy nie zdołają znaleźć nowego mieszkania lub których na to nie stać, pozostaje lokum pod chmurką. Bezdomni również tworzą swoje osiedla. W Krakowie, zwłaszcza latem, bezdomni, włóczędzy i żebracy wypełzają ze starych ruder i przemieszczają się na Planty. Brak tu książki meldunkowej, a mimo to obowiązują niepisane rezerwacje.

„Prawo własności do tej lub owej ławki, do tego czy owego krzaka jest powszechnie szanowane” – pisze redaktor „Ilustrowanego Kuryera Codziennego”[89] i zauważa, że choć tu biednie i chłodno, flaszka wódki i kawałek chleba zawsze się znajdą. I tylko rankiem ze spokojnego snu wybudza dzikich lokatorów krakowskich Plant sroga mina pana posterunkowego.

* * *

ROZDZIAŁ X
CUKIER KRZEPI, RADION SAM PIERZE…

C z y t y l k o z u p a ż ó ł w i o w a?

Przysmak sybarytów i smakoszów. Ozdoba uczt królewskich. Potrawa ulubiona a jakże rzadka. Zupa żółwiowa. Ale to jeszcze nie wszystko, co nam żółw może zaofiarować. Po długoletnich badaniach udało się z niego stworzyć wspaniały w swej jakości preparat, który pielęgnuje w cudowny sposób cerę. W przeciwieństwie do potrawy z żółwia, KREM ŻÓŁWIOWY powinien znaleźć się w każdym domu, na gotowalni każdej Pani, dbałej o swą cerę.

KREM ŻÓŁWIOWY powstał – rzecz prosta – z wyciągu z żółwia, który znany jest z tego, że żyje niekiedy kilkaset lat. To mówi samo za siebie i… za KREM ŻÓŁWIOWY, który utrzymuje cerę młodą aż do sędziwego wieku.

Fabryka Kosmetyczna „Halina”. Bydgoszcz, Zduny 14[90].

* * *

REKLAMA, CO NIEJEDNO MA IMIĘ

Przedwojenna reklama zaskakuje, poszerza horyzonty, upaja wizją szczęścia i dobrobytu. W czasach, gdy tak wielu młodych ludzi zajmuje się szeroko rozumianym marketingiem, warto przyjrzeć się, jak to z tym drzewiej w Polsce bywało – jak przekonywano, jak zachwalono.

A zachwalano aż miło, chociaż zdaje się, że ówczesna publiczność odnosi się do reklamy z podobną dozą sceptycyzmu jak dzisiejsza. A to głównie dlatego, że „połyka” ją, jak napisze jeden z dzienników, wszędzie – na każdym rogu, na każdym słupie, każdej szybie i każdym świstku papieru. A to się przejada. I przyprawia o mdłości.

Wyrafinowaną torturę reklamy muszą znosić przede wszystkim miłośnicy dużego ekranu, bo nim rozpocznie się seans, każdy z widzów jest zmuszony wysłuchać głupkowatych „piosenek o szelkach i skarpetkach, opowiadań o mydle, bajek o pudrach”[91], z których każdy jest supernowoczesny, niezawodny, jedyny w swoim rodzaju i „ultrasuperszlagierowy”[92].

A zatem negrom na biały uśmiech, odol na konserwację zębów, pluskwin na karaluchy, togal na grypę (i inne choroby), kogutek na ból głowy, a radion… radion to, proszę państwa, sam pierze.

Jeśli mają państwo nieszczęście cierpieć z powodu łupieżu, przetłuszczających się włosów, a nie daj Boże (to uwaga skierowana do panów) łysina zbiera coraz obfitsze żniwo, radzę skorzystać z reklamowanej na początku lat trzydziestych kuracji z użyciem szamponu marki Silvikrin.

Przedstawiciele firmy przekonują, że „włosy to najwspanialsza ozdoba głowy ludzkiej”[93], niestety ten cenny dar wciąż jest narażony na wiele niebezpieczeństw. Niech państwu tylko nie przyjdzie do głowy stosować perfumowanych spirytusów ani różnorakich mydełek, wszak – jak twierdzą panowie z Silvikrin – to „przestępstwo w stosunku do naszych włosów”[94].

Jedyny ratunek to regularne stosowanie kosmetyków do pielęgnacji włosów (i wyłysiałych czubków głowy) marki Silvikrin. Zaiste cudowny musi to być środek, skoro nawet profesorowie z uniwersytetów potwierdzają, że zapobiega nawrotom łupieżu, powstrzymuje wypadanie włosów, a nawet zapewnia ich porost w miejscach już wyłysiałych.

Ten typ reklamy należałoby nazwać profesorską, wszak odnosi się do autorytetów. Nikt co prawda nie zdoła zweryfikować, czy naprawdę uczeni potwierdzili skuteczność cudownego środka na porost włosów, ale skoro w gazecie tak napisano, któż ośmieli się wątpić.

Niektórzy idą o krok dalej i swój autorytet wymieniają z imienia i nazwiska, jak będzie w przypadku zaprzysiężonego chemika sądowego na Okręg Poznań, którego rekomendacja widnieje na reklamie proszku do prania marki Radion (to ten, który „sam pierze" i pozwala kobiecie pogodzić wszystkie obowiązki matki związane z wychowaniem dziecka i zachowaniem czystości bielizny). Reklamie, dodajmy, nie byle jakiej, bo zajmującej całą pierwszą stronę słynnego „Ilustrowanego Kuryera Codziennego". Ile firma wydała na to, aby czytelników popularnego „Ikaca" w poniedziałek 21 lutego 1927 roku witała, zamiast doniesień o wizycie prezydenta w Poznaniu czy informacji o polityce pożyczkowej państwa, reklama proszku do prania, tego nie zdołałem ustalić, z pewnością jednak musiała to być suma znaczna.

Reklama profesorska to nie jedyny sposób na zwrócenie uwagi potencjalnego klienta. Istnieje chociażby reklama pamiętnikarska, przedstawiająca fragment z życia bohatera i to za pomocą szalenie plastycznych, chciałoby się rzec, wręcz poetyckich środków wyrazu. Czegóż tu nie mamy: suspens, akcja, zwroty akcji, poetyckie obrazowanie, odrobina magii i co najważniejsze szczęśliwe zakończenie.

„Ludzie śmiali się, gdy dreptałem w zbyt obszernym i rozpiętym obuwiu. Ale to niestety, był jedyny sposób, aby doznać choć nieznacznej ulgi w mych okropnych bólach odcisków, stwardnień i zbolałych pięt. Co za radość, gdy dowiedziałem się o Saltrat Rodell. Wsypałem najzwyczajniej w świecie garść do miski z ciepłą wodą i pozwoliłem mym obolałym nogom wchłonąć cenny tlen. W miarę jak pieniące się, białe baloniki wnikały do tkanek, ból znikł jak zaczarowany. Mogłem odjąć odciski palcami w całości wraz z korzeniami.

Stwardnienia zeskrobałem z łatwością, wrażliwość i podrażnienia ustały. Teraz z uśmiechem patrzę w życie, załatwiam swe interesy z taką samą lekkością, jakbym chodził boso, i nigdy nie odczuwam nawet cienia bólów lub cierpienia”[95].

Przedwojenna reklama zaskakuje, poszerza horyzonty, upaja wizją szczęścia i dobrobytu… Na zdjęciu oryginalna reklama masła roślinnego. Kraków, na przełomie lat 1926/1927.

Z kolei reklama na gwiazdę, która dziś zapewne nie zdałaby egzaminu, bo wraz z jej pojawieniem się w środkach masowego przekazu reklamodawca otrzymałby pozew sądowy, polega na utytłaniu w swoim towarze jakiegoś głośnego nazwiska. Kolektura Państwowej Loterii Klasowej „Nadzieja" wykorzysta w tym celu Rudolfa Valentino, przedstawiając na łamach prasy historię jego życia i dowodząc, że aktor zrobił oszałamiającą karierę głównie za sprawą wygranej na loterii. Panowie posuną się zresztą jeszcze dalej i odsłonią przed czytelnikiem tajemnicę ostatnich chwil życia artysty. Rzecz jest wyjątkowa, pozwolę więc sobie ją zacytować: „Na kilka godzin przed śmiercią, kiedy ze łzami w oczach otaczali go przyjaciele, uśmiechał się, mówiąc każdemu z osoba: Pieniądz nie stanowi sam w sobie szczęścia, ale może wam w życiu pomóc bardzo wiele. Radzę wam szczerze, idźcie w moje ślady i kupujcie losy Polskiej Loterii Państwowej"[96].

Jeśli jesteśmy przy nieboszczykach, warto wspomnieć o osobliwej reklamie w formie nekrologu, na jaką zdecyduje się pewien właściciel sklepu z odzieżą, który opublikuje na łamach „Naszego Przeglądu" takie ogłoszenie: „Zamiast kwiatów na grób Hersza Fruchta złotych dwa składa Natan Frenkiel, skład materiałów i okryć damskich: Nowolipie 38. Tamże na raty i za gotówkę"[97]. Do tej grupy można by również zaliczyć ogłoszenia reklamowe przytłaczające – przede wszystkim ponurą wizją tego, na jakie nieprzyjemności narazimy się, jeśli nie zastosujemy się do porady lub nie wykupimy odpowiedniego preparatu.

A zatem jeśli zauważyli państwo u siebie jeden z następujących objawów: łatwa pobudliwość, drżenie, niepokój, kołatanie serca, zawroty głowy, uczucie lęku, bezsenność, niespokojny sen, zniesienie czucia na niektórych częściach ciała, przestrach, wzmożona pobudliwość wskutek niezgodności, hałasu, zapachów, pociąg do środków odurzających, tytoniu, herbaty, kawy, ściskanie, kapryśne usposobienie, osłabienie pamięci lub mowy, wreszcie zboczenia seksualne lub zanik

popędu płciowego – koniecznie muszą państwo sięgnąć po metodę pewnego cudotwórcy ogłaszającego się w prasie[98].

Na czym polega metoda, tego niestety nie zdołałem ustalić, ale wystarczy wysłać kartę pocztową, a przekonają się państwo o tym osobiście. Nie radzę ignorować objawów wymienionych w ogłoszeniu, ponieważ, jak twierdzi autor reklamy, grozi to poważnymi zaburzeniami czynności psychicznych, bredzeniem i niepoczytalnością, osłabieniem organizmu, a w końcu przedwczesnym zgonem. Sympatyczna wizja, nie ma co.

Na reklamie można się nieźle obłowić, co nieco na ten temat mogliby powiedzieć urzędnicy warszawskiego magistratu, do których w 1934 roku zgłosi się z propozycją pewien przedsiębiorca, oferujący w zamian za umieszczenie na przejściach dla pieszych reklamy swojej firmy pokrycie z własnej kieszeni kosztów związanych z oznaczeniem tychże przejść.

Są też reklamy odwołujące się do naszej próżności i kierowane przede wszystkim do pań (w żadnym razie nie chcę przez to powiedzieć, że ta brzydka cecha jest wpisana w naturę płci pięknej). Modna panienka naszkicowana przez rysownika woła do nas z jednej z gazet: „Nowy rodzaj pudru do twarzy! Nazywa się Nowym Pudrem Takalon o «Matowym Wyglądzie»”[99] i sprawia, że „mam większe powodzenie u mężczyzn. Niektórzy nawet szaleją za moją brzoskwiniową cerą, uważaną powszechnie za zupełnie naturalną”[100].

Skoro zaś wspominamy o kobiecym asortymencie, warto zauważyć, że warszawska firma zachęca do zakupu „Przyjaciela Pani”, czyli browninga Piorun, który – jak zapewnia producent – zmieści się w każdej damskiej torebce. A nie dość, że to „zabójcze maleństwo” poręczne, to jeszcze jakże luksusowo wykonane, nawet rękojeść z myślą o delikatnych kobiecych dłoniach pokryta jest lśniącym bakelitem.

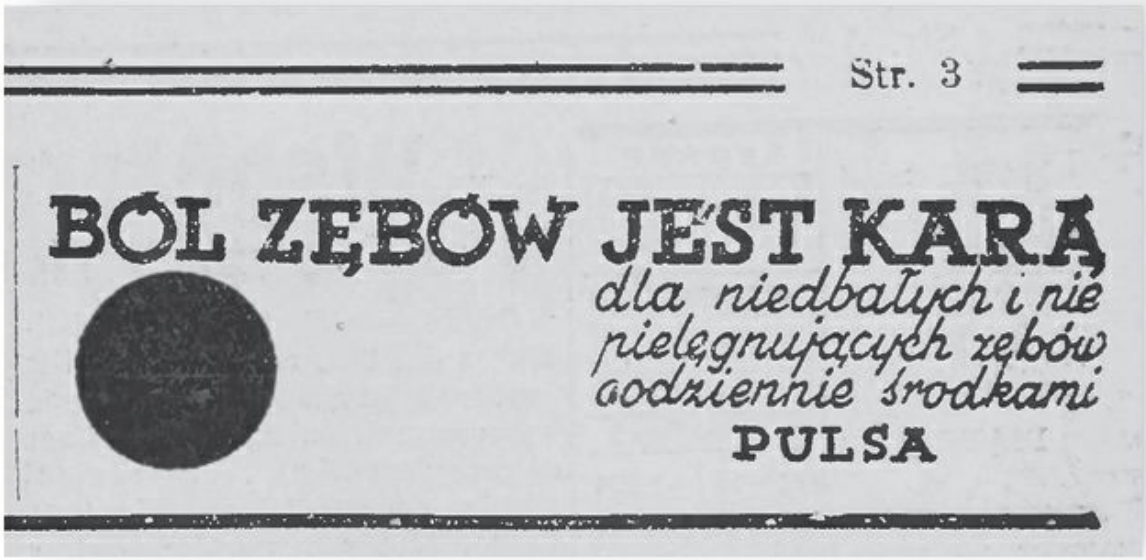

„Ból zębów jest karą…” – w ten sposób reklamuje swoją pastę do zębów firma „Fr. Puls”, która w pierwszej połowie lat trzydziestych produkuje kilkaset rodzajów kosmetyków, w tym mydła, proszki do prania, lakiery do paznokci, szampony, pudry i pomady do wąsów.

To jednak nic wobec reklamy skandalizującej, bo za taką należałoby uznać reklamę firmy bieliźniarskiej emitowaną w 1933 roku przed seansami w polskich kinach. Przedstawiała ona krótką, acz dojmującą historię małżeństwa: mąż wkłada koszulę i po chwili konstatuje, że jest dziurawa, na co żona stwierdza bez chwili namysłu: „Winna jest praczka". Robią zatem kobiecie karczemną awanturę, a na koniec jegomość tłucze praczkę po twarzy, co ma przekonać szanownych widzów, że bieliznę należy prać nie ręcznie, ale mechanicznie. Doprawdy, widok damskiego boksera piorącego po pysku ubogą praczkę musiał firmie bieliźniarskiej przysporzyć wielu sympatyków.

A może chodzi o zupełnie coś innego, wszak nieważne, jak o tobie mówią, ważne, by mówili. I w tym kontekście nawet antyreklama potrafi stać się wyśmienitym sposobem rozpowszechnienia wiedzy o jakimś miejscu lub produkcie. Na łamach prasy brukowej jeden z dziennikarzy zwróci się w artykule do władz i policji tymi słowami: „Jak długo jeszcze władze tolerować będą istnienie całą noc otwartego domu schadzek przy ul. Kruczej czterdzieści dwa, mieszkania pięć, parter w oficynie na lewo?". Wspomniany przybytek składa podziękowania. Na lepszą (i do tego bezpłatną) reklamę z pewnością nie mógłby liczyć.

Skoro jesteśmy już przy reklamie dla panów, pozwolę sobie zapytać, czy pamiętają państwo słynną scenę z przedwojennej komedii *Paweł i Gaweł*? Tę, w której Eugeniusz Bodo opowiada o swoim cudownym wynalazku, czyli „dwupentodowej czterooktiodowej heterodynie z podwójnym napędem, automatycznym magnoskopem i telesynchronizacyjno-magnetycznym dynamo z przeciwzanikową eliminacją fal"?

Nie wiem, czy film obejrzeli producenci radia marki Philips, ale w 1937 roku reklamują oni swój sprzęt grający za pomocą nie mniej skomplikowanej terminologii. W prasie codziennej ukazuje się takie ogłoszenie: „Superheterodyna z oktodą. 7 obwodów. Trzy zakresy fal. Trójblokowe chassis. Wysokoczułe automatyczne «opóźnione» urządzenie przeciwzanikowe.

Cechowana jednobarwna skala szklana. Wskaźnik zakresów. Ciągła regulacja barwy tonu. Wyłącznik sieciowy z regulatorem siły głosu. Gniazdka dla adaptera i dodatkowego głośnika (tylko odbiornikach na prąd zmienny). Przełącznik napięć sieci”[101].

Pan rozumie, trójblokowe chassis, a nade wszystko superheterodyna z oktodą. Dziecko by zrozumiało. Jeśli jednak radio marki Philips to dla państwa zbyt duży wydatek, warto nabyć polski odpowiednik firmy Echo (reklamowany hasłem: „Choć go ciągną na libację, woli Echo – i ma rację”).

Tak, tak, ceni się – a przoduje w tym prasa – produkty krajowe. Takie chociażby mydło firmy Jeleń Schicht reklamuje się dumnie jako „dzieło rąk polskiego robotnika”. Szczególną popularnością mydełko to cieszy się w Łodzi, ba, był ponoć nawet taki okres w historii miasta, że ilością posiadanego mydła tej marki mierzono majątek człowieka, a żadnych zaszczytów, żadnych jedwabi, klejnotów i kryształów nie ceniono bardziej od wyrobów Schichta. Czy wiedzą państwo, że sto tysięcy kilogramów tego mydła warzy się jednocześnie w kotłach warszawskiego zakładu? To musi napawać dumą. Sto tysięcy! Wiadomo – wyrób krajowy. W Polsce to mają rozmach. A poza rozmachem mają też inne mydła – na przykład Mydło Rożnowskiego z Wielbłądem, dalece doskonalsze do prania bielizny niż wszystkie „samopiorące” proszki, które – jak złośliwie wspomni firma w swych materiałach reklamowych – są „czarną magją”[102]. Trudno się nie zgodzić, wszak nie wynaleziono takiego cuda, co by prało samo. A Mydełko Rożnowskiego, gdy włożyć w cały proces nieco wysiłku, wytwarza pianę i łatwo rozpuszcza brud.

A zatem, jak widzimy, w reklamach można pozwolić sobie w dwudziestoleciu międzywojennym na wiele (w tym i na wetknięcie szpileczki konkurencji), ale żeby od razu obrażać przyjaciół z zagranicy – toż to podłość najgorsza. Nikt w Polsce nie odważyłby się zareklamować swojego produktu kosztem uwłaczania czci Francuzów, niestety nad Sekwaną tacy sentymentalni zdaje się nie są.

W poczytnym paryskim „Excelsior” jedna z firm reklamę swojego produktu przemyci w artykule prasowym zatytułowanym: „W Villefranche Polak morduje swego starego towarzysza”[103]. A fe, panowie zajadający ślimaczki. Gdyby chociaż pod tym ociekającym krwią tytułem krył się jakiś poważny wynalazek podkreślający polskie aspiracje kolonialne, ale gdzie tam. Chodzi o zwyczajny środek na odciski. Plaster od nagniotków. Trywialny i nielicujący ani z powagą II RP, ani z romantyczną duszą narodu Mickiewicza, Chopina, Skłodowskiej-Curie.

Polska prasa się obrusza i pyta francuskich przyjaciół, czy byłoby im przyjemnie, gdyby tak ktoś nad Wisłą pod ogłoszeniem zatytułowanym „Francuz morduje swego starego towarzysza” ukrył reklamę trutki na karaluchy. Ponoć paryżanom argument ten poszedł w pięty. W te nagniotki i odciski.

CUKIER KRZEPI

A pewnie, że krzepi! Do tego ratuje polską gospodarkę. Dlatego nie żałujmy sobie i herbatę słódźmy choćby nawet i trzema łyżeczkami. Akcja promocyjna polskiego cukru jest prowadzona niemal przez całe dwudziestolecie międzywojenne. Poza najsłynniejszym hasłem „Cukier krzepi” (w Łodzi przerobiono ten slogan na „wódka robi to lepiej”) panowie odpowiedzialni za reklamę produktu mają w zanadrzu także inne propozycje.

W prasie pojawia się na przykład grafika reklamowa składająca się z dwóch rysunków. Na pierwszym widnieje wesoła panna i podpis: „One są niestrudzone – bo spożywają czekoladki, ciastka, owoce, lemoniady, a także dużo cukru”[104]. Na drugim – samotny smętny dżentelmen, a pod nim informacja: „Oni się wyczerpują – bo spożywają mało słodyczy, a dużo ostrych przekąsek”[105].

Ciekawą formą reklamy jest też zestawienie statystyczne ukazujące długość życia mężczyzn i kobiet w różnych państwach Europy. We Francji przeciętny wiek panów to 52,5 roku, pań zaś – 55,9 roku; w Szwajcarii 54,5/57,5, w Anglii 55,6/59,6, a w Danii

60,3/61,9[106]. Wniosek z przytoczonych danych wysnuć zatem nietrudno: „kobiety spożywają więcej cukru i dlatego dłużej żyją”[107].

Reklamujący cukier odwołają się również do historii oraz obyczajów, przypominając, że „3 koszule w wianie otrzymywała w wiekach średnich królewna, a na uczcie weselnej wybrani jedli drogi smakołyk – cukier. Dziś każdy ma koszulę, dla każdego dostępny jest cukier! Podstawowe potrzeby życiowe są udziałem wszystkich. Jemy CUKIER, czujemy się równi królom i dłużej żyjemy niż ongiś magnaci”[108].

czego uczy karnawał
one są niestrudzone
— bo spożywają czekoladki, ciastka, owoce, lemoniady a także dużo cukru
oni się wyczerpują
— bo spożywają mało słodyczy, a dużo ostrych przekąsek
cukier krzepi

Polski cukier reklamowany jest hasłem „Cukier krzepi”, który obok „Radion sam pierze” jest najsłynniejszym sloganem reklamowym przedwojennej Polski. Pisarz Melchior Wańkowicz otrzymał za jego stworzenie aż pięć tysięcy złotych.

Od tej słodyczy potrafi niekiedy zemdlić, z pewnością jednak nie Melchiora Wańkowicza, który w 1931 roku wymyśli slogan „Cukier krzepi”, a za te dwa proste słowa zainkasuje… pięć tysięcy złotych (prezydent Ignacy Mościcki otrzymywał z racji pełnionego urzędu około trzech tysięcy złotych miesięcznie). Pisarz miał głowę do reklamy, dość powiedzieć, że to również on wymyślił dla Polskich Linii Lotniczych LOT slogan: „LOT-em bliżej”.

PRĘDZEJ CI SERCE PĘKNIE

Rozluźnienie obyczajów sprzyja reklamie produktów odnoszących się do sfer życia intymnego, które dotąd stanowiły tabu. Komu bowiem przeszłoby przez myśl jeszcze pół wieku wcześniej, aby promować w prasie środki antykoncepcyjne. Dwudziestolecie międzywojenne otwiera się i na to.

Najwięcej zwolenników mają reklamowane w prasie prezerwatywy marki Olla-Gum. „Prędzej ci serce pęknie” – zapewniała ponoć w swych materiałach promocyjnych firma, za nic mając święte oburzenie środowisk katolickich[109]. „Prezerwatywy Olla-Gum winien Pan żądać”, „Choć jest kryzys, choć jest bieda, lecz bez «Olla» żyć się nie da!” – głoszą publikowane w prasie reklamy i przestrzegają przez naśladowcami sprzedającymi towar znacznie gorszej jakości, choć w podobnym opakowaniu.

Olla-Gum nie jest jednak hegemonem. W „Ilustrowanym Kuryerze Codziennym” z 1926 roku znajdujemy reklamę innej firmy: „Panowie! – krzyczy się do nas z nagłówka. – Najpewniejsze i najlepsze higjeniczne specjalości (Prezerwatywy) tuzin 4 zł wysyła odwrotnie za zaliczką do Krakowa i każdej miejscowości «Perfumerja Federa», Lwów, Sykstusa 7”[110]. Swoje prezerwatywy reklamują również w tym czasie producenci marek Eros i Polgum.

Konkurencję dla prezerwatyw stanowi w przedwojennej Polsce coś, co jest nazywane w ogłoszeniach reklamowych Przyrządem Amour. Dwa słowa, a tyle w nich poezji; zapowiedź

nieustających uniesień. Jak czytamy w ogłoszeniu, Amour nie ma nic wspólnego z prezerwatywami, pigułkami czy maściami. Co więcej, każdy nabywca otrzyma instrukcję obsługi, a ta z pewnością się przyda, bo Amour to nie byle co – firma gwarantuje: „Raz kupiony wystarczy na zawsze!”[111].

NIEWINNY DYMEK

Palacze nie są w przedwojennej Polsce, jak to jest dzisiaj, wrogiem publicznym numer jeden, piętnowanym na każdym kroku, odsądzanym od czci i wiary. O ustawie antynikotynowej też jeszcze nikt nie słyszał, a chociaż owszem, lekarze ostrzegają przez zgubnymi skutkami nałogu, nikt nie roztacza przez koneserami papierosów, fajki i cygar wizji śmierci w męczarniach, bezpłodności i utraty majątku. Więcej nawet, jedna z reklam głosi, że „Największa przyjemność podczas świąt – to dobry papieros”[112]. I teściowa przy nim jakby znośniejsza, i żona wcale nie tak marudna.

Gdyby jednak lękali się państwo o stan zdrowia, śpieszę donieść, że i na to jest w dwudziestoleciu międzywojennym recepta. Przekonują o tym autorzy, dziś powiedzielibyśmy sponsorowanego artykułu zamieszczonego w dzienniku „Nowiny Codzienne”, dowodzący, że owszem papierosy są „silnym czynnikiem ujarzmiającym wolę człowieka”, niemniej jeśli pragniecie zadbać o swe zdrowie, a nie zamierzacie przy tym rezygnować z przyjemności towarzyszącej porannemu papierosowi, wystarczy użyć zwitek z bibułki „nieprzezroczystej, samospalnej, których wyrób stanowi długoletnią, bezkonkurencyjną specjalność znanej Spółki Akcyjnej «Herbewo»”[113]. Dzięki niemu, jak zapewnia reklamodawca, w papierosie nie wytworzy się podczas żarzenia śmiercionośny dym i inne szkodliwe substancje. Innymi słowy – samo zdrowie.

Te zwitki to nic innego jak gilzy, jednak reklamodawca zaznacza, że umyślnie oznaczył swój markowy produkt polską nazwą, aby nikt przypadkiem nie pomylił go z lichymi

zagranicznymi gilzami i tutkami, gdyż „wyroby «Herbewo» warte są polskiej nazwy”[114].

A zatem papieros to w dwudziestoleciu nic strasznego. Ot, niewinna słabostka. Minutka zapomnienia. Przyjemność *par excellence*. Dość powiedzieć, że jeden z najbardziej poczytnych tytułów prasowych przez pewien czas na pierwszej stronie będzie umieszczać hasła promujące palenie tytoniu i to w miejscu nader rzucającym się w oczy. Oto kilka złotych myśli z dymkiem w roli głównej pochodzących z pierwszych (najczęściej) stron „Ilustrowanego Kuryera Codziennego”:

– Papieros koncentruje myśl.
– Papieros ułatwia pracę.
– Papieros usuwa troskę.
– Papieros zwiększa zadowolenie.
– Papieros potęguje radość.
– Papieros usuwa cierpienie.
– Papieros dodaje otuchy.
– Papieros daje wypoczynek.
– Papieros pobudza dowcip.
– Papieros ożywia wspomnienia.
– Papieros rozjaśnia myśli.

Co państwo na to?

REKLAMA KINOWA

To szczególny typ reklamy, co nie znaczy, że mniej uciążliwy dla publiczności. Z afiszów porozlepianych na słupach i ścianach budynków, z anonsów umieszczanych w popularnych dziennikach atakują nas zapowiedzi kinowych premier, gorących jak Ina Benita, wytwornych jak Franciszek Brodniewicz, krotochwilnych jak Antoni Fertner, a gruncie rzeczy groteskowych jak najlepsze wcielenia komediowe Adolfa Dymszy.

Producenci tytoniu i gilz papierosowych przekonują w dwudziestoleciu międzywojennym, że ich wyroby są „higieniczne i zdrowotne”.

Właściciele wytwórni filmowych i kin płyną z prądem, a więc i oni skupią się na przedrostku naj-. Czy zgadną państwo, który z filmów z legendarnym Emilem Janningsem w roli głównej zapowiada przytoczony niżej opis?

„Najmonumentalniejsze arcydzieło wszechświatowej produkcji filmowej w wersji dźwiękowej. Potężna epopeja miłości i bohaterskiego męczeństwa. Genialna wizja zabaw, przepychu i krwawych rządów tyrana. Najwspanialszy twór doby obecnej […]".

Chodzi rzecz jasna o *Quo Vadis* na motywach powieści Henryka Sienkiewicza. Ciekawe, co o tej „epopei miłości i bohaterskiego męczeństwa" powiedziałby autor *Trylogii*. I czy zechciałby się wybrać na inny „najnowszy superfilm, pełen rozkosznych niespodzianek, zabawy i humoru. Arcydzieło, które zdobyło przebojem świat! *Z rozkazu księżniczki* to wytworna komedia, tryskająca wesołością i pikanterią na tle miłosnych przygód. – Zbieg wyrafinowanych zabaw. – Luksusowa wystawa. – Koncert najpiękniejszych melodyj!". Brzmi nieźle.

Oczywiście i rodzime produkcje filmowe na polu reklamy nie ustępują niczym tym zagranicznym. *Serce na ulicy* z Norą Ney, Zbigniewem Sawanem i Kazimierzem Junoszą-Stępowskim jest anonsowane na afiszach jako „najwspanialszy i najdoskonalszy polski film dźwiękowy pozostawiający niezatarte wrażenia". *10-ciu z Pawiaka* to „promienna pieśń miłości na tle wielkich wypadków dziejowych", z kolei *Na Sybir* z Jadwigą Smolarską, Adamem Brodziszem i Eugeniuszem Bodo jawi się jako „najwspanialsze, największe filmowe arcydzieło. Pierwszy polski film dźwiękowy na miarę największych filmów europejskich. *Na Sybir* to najpotężniejszy epos bohaterstwa i chwały, to najcudniejszy romans miłosny na tle wielkich wypadków".

Wyśmienity jest również afisz reklamowy warszawskiego kina As: „*Dzieje grzechu*, według powieści Stefana Żeromskiego. Tragedia rodziny, gdzie mąż hulaka traci czas i pieniądze w knajpach, żona dźwiga jarzmo trosk i kłopotów, a piękna córka topi swe nieślubne dziecko. Szuka zapomnienia w strojach…

zabawach… rulecie… Stacza się coraz niżej… Schodzi do rzędu kobiet ulicznych… Staje się narzędziem zbrodni… NAPAD BANDYTÓW. ROBOTA NA MOKRO”.

Doprawdy chciałoby się poznać osobiście autorów wszystkich tych cudownych tekścików promujących dzieła polskiej i zagranicznej kinematografii. Cóż za pyszne musiały to być persony.

„TU SZTYCHLUJE KRAWIECKIE ROBOCIZNY”

Reklama to także szyldy sklepowe, a w tej dziedzinie jest w przedwojennej Polsce sporo do poprawienia. Nie każdy właściciel interesu przywiązuje należytą wagę do szyldu, nierzadko – a pisze o tym nawet prasa – szpecą one krajobraz miasta „przerażającą pstrokacizną barw, kształtów, kompozycji”[115].

W 1936 roku Zarząd Miejski w Warszawie dojdzie do wniosku, że dłużej tak być nie może, i ogłosi podatek od plakatów i szyldów. Biada ci, handlarzu, jeśli twój szyld urzędnik uzna za szpetny. Biada ci, będziesz bowiem musiał zapłacić wyższy podatek. Jeśli natomiast szyld wykonano porządnie, a do tego jest atrakcyjny i estetyczny, wówczas istnieje szansa na ulgę.

Innymi słowy, bo nie do każdego przemawia argument estetyczny: „Jeśli np. ktoś płaci podatek od szyldu w wysokości – 90 zł rocznie – ktoś inny, kto posiada szyld tej samej wielkości, lecz ułożony z liter plastycznych, lub neonowych – zapłaci tylko 10 zł. Jeżeli przedstawi swój szyld inspekcji budowlanej i ta uzna go za posiadający wartość artystyczną – uzyska 25 proc. ulgi. Jeżeli wywiesi latarnię lub lampę z napisem reklamowym nie przekraczającym 10 proc. ogólnej powierzchni lampy – będzie zwolniony zupełnie od podatku”[116].

Wątpliwości budzi jedynie kryterium oceny, wszak o gustach się nie dyskutuje i wiele z tym ambarasu będą mieli zwłaszcza w Łodzi, która słynie w tym czasie z niewyobrażalnej liczby szyldów. „Tu się przyjmuje i reperuje członki” – widnieje nad warsztatem naprawiającym lalki; „Tu się dostaje kołbaski i tu

można wypić. Dla niezamożnych – spust” – głosi szyld umieszczony nad pewną speluną. „Szewc z Warszawy łaci Obuwie nie do Poznania”[117] – poleca się kolejny.

Dziennik „Echo” pisał: „To co się dzieje na niektórych łódzkich ulicach, np.: Nowomiejskiej, Ogrodowej, Pomorskiej, 11 Listopada, Piotrkowskiej, Śródmiejskiej, Cegielnianej itd. jest po prostu zastraszające w swej ohydzie. Na tych ulicach można nierzadko spotkać domy obwieszone 50-ciu szyldami i podwórza, w których oficyny oblepione są szyldami w ilości dwustu. Szyldy wiszą, stroją, fruwają, są w oknach, drzwiach, na piwnicach i na dachach, sterczą z murów jak chorągwie, przeciągają w powietrzu poprzez ulice i mury sąsiadujących oficyn. I jakie szyldy! Na ordynarnej blasze są wymalowane czerwone koszule, niebieskie majtki, żółte parasolki. Jaskrawe. Niezdarne. Okropne”[118].

I chociaż niektórzy przekonują, że takich szyldów nie ma cała Galicja, nie ma nawet Warszawa, przeważają głosy krytyczne. Nie podzielają ich właściciele magazynów, kramów, sklepów i karczm konkurujący o to, kto zawiesi większą blachę reklamową i tym samym skuteczniej zwróci uwagę klienta. Tym, że cierpi na tym wygląd miasta, nikt spośród kupców i rzemieślników nie zawraca sobie głowy.

Szyldów nie tylko jest zatem w Łodzi stanowczo za dużo, a spora ich część jest po prostu brzydka, lecz także – na domiar złego – zdarza się, że są one nieaktualne. Dopiero włamanie złodzieja do lokalu, w którym – jak wynikało z szyldu – powinna mieścić się piekarnia Hersza Rosenberga przy ulicy Rzgowskiej 4 ujawni, że właściciel dawno zmienił branżę i od jakiegoś czasu handluje mięsem.

W latach trzydziestych łódzki magistrat, biorąc przykład z Warszawy czy Poznania, rozpocznie walkę z szyldami. Przedsiębiorcy zostaną wówczas zobligowani do rejestracji szyldów i reklam świetlnych, wkrótce radni wprowadzą także podatek od reklam. Skutkiem tego łódzcy przedsiębiorcy będą ponoć wymieniać tysiąc szyldów rocznie, niemniej znajdą się

tacy, którzy nie przejmując się zarządzeniem, pozostawią stare brzydkie szyldy reklamowe. To na nich zagną parol specjalne komisje spisujące właścicieli niestosujących się do przepisów, a trzeba wiedzieć, że pod koniec lat trzydziestych karano za to wysokimi grzywnami, a nawet zamykano na dwa tygodnie w areszcie.

ZNANI W REKLAMIE

Rozwój prasy, radia, a co za tym idzie także reklamy powoduje, że po raz pierwszy na taką skalę polskie firmy korzystają w celu wypromowania produktów z wizerunku znanych i lubianych. A dotyczy to przede wszystkim gwiazd małej sceny i kina.

Adolf Dymsza reklamuje wódkę (pod zdjęciem, na którym słynny aktor trzyma w jednej ręce słuchawkę telefonu, a w drugiej butelkę z trunkiem widnieje podpis: „Dymsza się rozkoszuje – głos ukochanej i zapach ulubionej”[119]). Na innej reklamie widać aktora w narciarskim ekwipunku przypominającym ten, w którym zobaczymy go potem w filmie *Sportowiec mimo woli*. „Jestem bardzo dumny bo wyekwipowawszy się w Komispolu wyglądam na 100% sportowca”[120].

Eugeniusz Bodo użycza wizerunku między innymi „Przeglądowi Sportowemu”, Tuwim, Hemar, Krukowski i Jarosy reklamują samochody marki Citroën („Jesteśmy z nich bardzo zadowoleni”[121] – zapewnia na reklamie Fryderyk Jarosy), Miss Polonia Zofia Batycka zachwala krem Neige de fleury, Mieczysława Ćwiklińska – „kremy witaminowe dr. med. P. Pruskiego”, Hanka Ordonówna – śniegowce i pepegi (stanowiące „ozdobę każdej kobiety”), z kolei czule tulący do twarzy flaszkę aktor Ludwik Lewiński promuje znany koniak.

Popularnych i lubianych przez publiczność aktorów co rusz nakłania się także do cichego promowania towarów, usług czy firm, na przykład podczas występów czy pokazów mody. Kazimierzowi Krukowskiemu zaproponowano pewnego razu, aby w trakcie występu w podziemiach Lourse’a (artysta śpiewał

tam piosenkę *Ja się nie nadaję*) dodał, że najlepsze piżamy są od Chojnackiego, a w innym momencie wspomniał cokolwiek o strojach od Goussin i kapeluszu od Mieszkowskiego. Aktor odniesie się do pomysłu sceptycznie (jakże to tak łamać rytm piosenki), ale przedstawiciele firm są nieprzejednani – sześć krawatów jedwabnych, dwa kapelusze, a na dodatek suweniry dla żony mają w tym przypadku stanowić formę wynagrodzenia za wykonanie odpowiednio przerobionego numeru. Adolfowi Dymszy, jak wspominał po latach Krukowski, proponowano za podobny występ frak od Borkowskiego i parę kapeluszy u „Eweliny", a Zuzie Pogorzelskiej, Hance Ordonównie i pozostałym topowym artystkom – futra od firmy Karmazyn i Chowańczyk, biżuterię od Wabia-Wabińskiego lub perfumy Guerlain.

Podobnemu lokowaniu produktów ulegnie z czasem również polska prasa. Kiedy więc „Kurier Warszawski" poinformuje czytelników, że na balu maskowym w Cafe Adria wybrano królową karnawału, gazeta nie omieszka przy okazji wspomnieć, że zwyciężczyni zjawiła się „w toalecie firmy «Ewelina», materiał f-my Cwejko, obuwie K. Filipczak, uczesanie Predrag i S-ka, pończochy «Esla» – 1002, torebka B-cia Neuman, biżuteria Jubilar (Hotel Europejski), perfumy Lasagne-Paris, kosmetyki «Cedib-Paris»"[122].

* * *

ROZDZIAŁ XI
ZAWODY ZAPOMNIANE

S y m f o n i a ł ó d z k i e g o p o d w ó r k a

[…] Ostatnio prawie wcale nie widać na podwórkach katarynek. Kataryniarze nie przychodzą już na łódzkie podwórka, z któremi się tak bardzo zżyli… Nie przychodzą bo poco? Czy kto im co rzuci – starym biednym kataryniarzom?[123]

* * *

DAWNIEJ NIKT NIE PYTAŁ O STAWKĘ…

Nie ma już pucybutów, dorożkarzy, posłańców, naganiaczy, klakierów i zapowiadaczy kinowych. Zresztą wiele z tych zawodów – cieszących się szacunkiem i dających utrzymanie kilku pokoleniom – odchodzi do lamusa jeszcze w dwudziestoleciu międzywojennym.

Nie ma gazeciarzy, kilkunastoletnich szczwanych lisów z łódzkich Bałut czy warszawskiego Czerniakowa. Rozbiegają się tacy gromadą po ulicach miast i krzycząc wniebogłosy, reklamują sprzedawane przez siebie „czerwoniaki”. Nawet z drobnostki potrafią uczynić „mrożącą krew w żyłach sensację”. Jakieś nieporozumienie bankowe opisane w gazecie urasta dzięki nim do „skandalicznej afery!”, a napad drobnego rzezimieszka do „wielkich porachunków gangsterskich!”.

I woziwody dzisiaj państwo nie spotkacie, który jeszcze w latach dwudziestych zaopatruje, zwłaszcza mieszkańców prowincji, w wodę. W dużych miastach natkniemy się natomiast

w tamtym czasie na beczkowozy z ciepłą wodą i ciągnięte na wozach balie, w których za drobną opłatą, pod chmurką mogą państwo zażyć kąpieli.

Nie ma już i posłańców. Kiedy najdzie pana ochota, aby wysłać damie elegancki bukiet kwiatów, kiedy pragnie pan przekazać lotem błyskawicy pospiesznie nakreśloną na kartce papieru wiadomość lub oprotestowany weksel, nie ma lepszego od posłańca. To jemu powierza się największe sekrety serca i kieszeni, chociaż w drugiej połowie lat trzydziestych w Warszawie pozostaje ich garstka – stu, nie więcej jak stu pięćdziesięciu weteranów, ze skronią przyprószoną siwizną, pomarszczoną twarzą i nieodłączoną czerwoną czapką na głowie.

Boleją nad swym losem, nad degrengoladą szlachetnego zawodu, wszakże posłaniec to nie praca dla pierwszego lepszego pędraka, a zawód wyłącznie dla ludzi godnych zaufania. Punktualnych, cierpliwych, rzetelnych, takich z głową na karku. W Warszawie w 1936 roku natkniemy się na nich jeszcze przy dworcu, na ulicy Marszałkowskiej lub pod hotelem Bristol.

LODY

„Jeszcze rok, dwa, jak my starzy wymrzemy, to i nie będzie posłańców” – żalą się przedstawiciele zapomnianego zawodu. To im w dwudziestoleciu międzywojennym powierza się największe sekrety serca i kieszeni.
Warszawa, styczeń 1934 rok.

„Jest stawka jeden złoty za kurs. Dawniej nikt nie pytał o stawkę. Dał trzy złote i cztery. Teraz to ludzie pilnują skrupulatnie, żeby nie dać za dużo, nawet ci zagraniczni goście, bogaci kupcy, Hrabowie, co po hotelach stoją. Jeszcze rok, dwa, jak my starzy wymrzemy, to i nie będzie posłańców. Młodzi nie kwapią się do tego zawodu – niepewny chleb…”[124] – stwierdzi jeden z nich.

Nie ma posłańców, nie ma i czyścibutów oraz ich skrzyneczek kolorowych upstrzonych reklamami najlepszych kremów, pomad i past. W czasach, gdy stale utyskuje się na kulturę osobistą ekspedientów, motorniczych czy listonoszy, o nich zwykle nie usłyszą państwo złego słowa. Każdy grzeczny, każdy do rany przyłóż.

„Nóżkę pan hrabia postawi, zaraz będzie czysto – zapewnia taki ze szczerym uśmiechem. – W brudnych to się nie godzi. Któż by dzisiaj w zabłoconych kapciach łaził. Jak łachudra ostatnia. W czystych to co innego, jak za chwilę pan hrabia. I samopoczucie od razu inne, i powodzenie u kobiet”.

Gdy już się pan „hrabia” zdecyduje, pucybut przystępuje do roboty. Z fasonem, do glancu będzie, do błysku. Z szafeczki wyskakują szczotki, pomady i pasty. Jeśli klient ma humor, jest zabawiany pogawędką. Najczęściej o wyścigach, a więc która klacz najlepsza, który dżokej ma dobrą passę.

„Dobrze się dawniej zarabiało. Albo i we wyścigi. Tyż ruch był. Jeszcze jaki. Jeden z drugim gość z zakurzonem obuwiem przychodził. Teraz też przy wyścigach trochę jest więcej ruchu, ale nie to, co dawniejszych lat”[125] – żali się pucybut.

HOLMES NA WARSZAWSKIM BRUKU

Nie ma już detektywów. To znaczy są, ale takich jak przed wojną ze świecą szukać. I ich tonących w półmroku biur pachnących fajkowym tytoniem. I tych rozmów prowadzonych ściszonym głosem. Gdy policja bezradna lub brakuje jej czasu, aby zająć się sprawą, wówczas zatrudnia się jednego z samozwańczych

Sherlocków Holmesów. Znajdziemy ich w każdym dużym mieście.

Rozmaitych zadań podejmują się owi panowie, z reguły jednak prowadzone przez nich sprawy nie przypominają tych z kart opowiadań Artura Conan Doyle'a. Zwykle chodzi bowiem o serię kradzieży w jakimś sklepie lub małżeńską zdradę, a zdarza się, że sprawa dotyczy… zaginionego psa.

„Kubuś zniknął tydzień temu. Służąca otworzyła drzwi frontowe, Kubuś wybiegł na schody. Wybiegł i przepadł" – tłumaczy detektywowi stroskana elegantka.

Wytropi się i takiego zbiega, chociaż to słono kosztuje. Sto złotych najmniej, chyba że pies trafił do hycla, wtedy gorzej, wtedy trzeba jeszcze zapłacić wykupne, a zatem koszty rosną. Przede wszystkim należy przeprowadzić dokładny wywiad, po nim w miasto wyruszy wywiadowca. Człowiek zdolny i godny zaufania, więc szanse na odnalezienie Kubusia są spore.

Pracownicy biura detektywistycznego prześwietlą sprawę na wylot, sprawdzą każdy trop, dowiedzą się – jak zapewnia pewna agencja działająca w dwudziestoleciu międzywojennym – wszystkiego „o trybie życia przedtem, powstaniu, opinji, działalności, dochodach, zdrowiu"[126]. A skoro biuro zdoła ustalić nawet szczegóły „powstania" śledzonego, czy ktoś jeszcze śmie wątpić, że mamy do czynienia z fachowcami?

LŚNIŁY CYLINDRY…

Taksówkarze zdołali uchować się do naszych czasów, chociaż niektórym zdawało się pod koniec lat trzydziestych, że także ich los jest przesądzony. Bogacze poruszają się wtenczas po mieście własnymi autami lub wynajmują zawodowych szoferów, klasa średnia przemieszcza się tramwajami, biedota chadza na piechotę. O klienta zatem trudno. Pracuje taksówkarz dwadzieścia cztery godziny na dobę, zarabia marnie – trzy złoty dziennie i to tylko wtedy, gdy jeździ swoim autem, bo jak na zmiennika to najwyżej dwa złote. Dochodzą do tego podatki, amortyzacje, opłata za garaż. Dochodzi do tego cena benzyny,

w 1936 roku za dziesięć litrów płaci się cztery złote pięćdziesiąt groszy.

Jakby tego było mało, sen z powiek spędzają szoferom utarczki z dorożkarzami, do których dochodzi zwłaszcza na wspólnych postojach. Zdarza się, że koń cofnie dorożkę, zagnie błotniki lub odrapie lakier z wozu.

Taksówki i taksówkarze mają się dobrze także dzisiaj, co innego wspomniani dorożkarze, zresztą i w przedwojennej Polsce ich sytuacja staje się z biegiem lat niezwykle ciężka. Elegancja i wykwint, z których słynęli przed laty, ustępują, zwłaszcza w latach trzydziestych, szarzyźnie i lichocie.

W 1936 roku dzienne utrzymanie konia to koszt rzędu czterech złotych. „Koń – proszę pana – to przyjaciel i żywiciel, człowiek może nie zjeść, ale koniowi trzeba dać – nasze szkapy są dobre i mądre. Widział pan, jak same ruszają na postoju?”[127] – opowiada warszawski dorożkarz, skarżąc się chwilę potem na kiepskie zarobki i żydowskich dorożkarzy, źle, jego zdaniem, traktujących zwierzęta.

Z rozrzewnieniem wspominają starzy dorożkarze czasy za panowania Moskala, gdy przejażdżka dorożką uchodziła za szczyt elegancji. Wówczas „lśniły cylindry, bawiły oko barwne i fantazyjne stroje dam”. A teraz, to jest w 1936 roku, od siódmej rano do południa dorożkarz zarabia złotówkę.

Zresztą jeszcze w połowie lat dwudziestych dorożki mają się dobrze – te mniej szlachetne dryndy na obręczach metalowych, czyli dorożki jednokonne (kurs kosztował złotówkę), i te najbardziej wytworne – parokonki, powożone przez dorożkarzy w granatowej liberii, które za kurs liczą sobie dziesięć złotych (nie wiedzieć czemu, najdroższe dorożki w stolicy to te z numerami 1, 2, 3, 4, 5, 11, 55 i 111). Zwykły warszawiak nie przejedzie się parokonkami, bo te są stale rezerwowane dla gości odwiedzających miasto.

Kilka lat później trudno natknąć się na dorożkarza z prawdziwego zdarzenia. Takiego z klasą, takiego z dowcipem. Z poczucia humoru słynęli niegdyś zwłaszcza łódzcy dorożkarze,

zdarzy się na przykład, że pewien gość z Warszawy, chcąc sobie z nich zadrwić, każe przewieźć się spod hotelu Victoria do Grand Hotelu, a zatem… na drugą stronę ulicy. Dorożkarz nie straci rezonu, zaprosi gościa do dorożki, a potem odbędzie długą przejażdżkę po całym mieście, naliczając rzecz jasna na końcu odpowiednią opłatę.

TA PUBLICZNOŚĆ KLASZCZE

Nie ma już klakierów… Jeden z dzienników stwierdzi: „Handlowa Warszawa ma swoich gangsterów, a teatralna klakierów”[128]. Dzięki tym ostatnim każdy wieczór spędzony w stołecznym teatrze jest ciekawy, a niemal żadna z premier, gdy zadba o to klakier, nie kończy się klapą, nawet gdy ktoś z publiczności utnie sobie krótką drzemkę. Klakier, czyli publiczność zawodowa, jak napisze „Ikac”, „też śpi, ale klaszcze. Klaszcze w miejscach zakreślonych czerwonym ołówkiem przez reżysera. Przy dwukrotnem zakreśleniu woła z całych sił: bis, przy trzykrotnem: autor. «Sztreberzy», którzy chcą zyskać specjalne łaski dyrekcji – tupią jeszcze nogami”[129].

W Warszawie powstanie nawet specjalna grupa zorganizowanych klakierów, którzy są w stałym kontakcie z dyrekcjami teatrów i teatrzyków. W ramach wynagrodzenia za swoje brawa otrzymują kilka groszy, najczęściej zaś bilety na spektakl, które potem odsprzedają. Co ciekawe, klakierzy nierzadko bywają zapraszani na próby, zdarza się nawet, że wspólnie z reżyserem lub dyrektorem teatru ustalają, w którym momencie rozpocząć owacje.

Nie ma dziś zapowiadaczy kinowych, trzeba bowiem wiedzieć, że tamte kina, a mowa jeszcze o erze kina niemego, różnią się od znanych nam dzisiaj multipleksów. Wtedy na prostokątnym ekranie z płótna przesuwały się obrazy, a orkiestra schowana we wnęce pod ekranem dbała o odpowiednią oprawę dźwiękowo-muzyczną. A że oczy widzów nie nadążały niekiedy za fatalnej jakości skaczącym obrazem, kina zatrudniały zawodowych zapowiadaczy.

„Państwo patrzą, jak nasz bohater skręca w uliczkę, gdzie zaraz spotka się ze swym wrogiem…” – opowiadał taki w trakcie seansu.

Zapowiadacze pomagali publiczności zrozumieć fabułę filmu, bo śledzenie jej w wyniku częstych przerw i kłopotów technicznych (pękająca taśma) niekiedy nastręczało widzom sporych kłopotów. Wspomniane orkiestry kinowe, tak jak zapowiadacze, wraz z udźwiękowieniem kina odejdą w zapomnienie.

SZKLANKA TWARDA JAK SERCE KOBIETY

Nie ma już (i akurat z tego powodu narzeka niewielu) naganiaczy, a i sprzedawcy też, zdaje się, jakby z zupełnie innej bajki. Zatrudnieni przez właścicieli sklepów i magazynów naganiacze otrzymują procent od każdego towaru sprzedanego za ich pośrednictwem. Wywodzą się najczęściej ze wsi i miasteczek, to ludzie śmiali, sprytni i bardzo przy tym spostrzegawczy. W największym tłumie potrafią wyłowić swoją ofiarę, to jest osobę potencjalnie zainteresowaną danym towarem. Z ich usług korzystają zwłaszcza sklepy z konfekcją.

„Teraz, widzi pan, to ja dostaję 1 proc. od sprzedanego towaru, jak przyprowadzę klienta. A ile klijenty ja mogę mieć, jak pan myśli? [..] Takich, co obejrzą, pomacają, wytargują, a nie kupią, to ja mam, dziękować Bogu, ze trzydziestu. Ale klientów, uważa pan, prawdziwych, co kupią, to ja mam trzech, czterech… Na cztery magazyny, dla których robię! To ja mam z tego złoty, czy dwa na dzień”[130] – opowiada w pierwszej połowie lat trzydziestych jeden z naganiaczy.

Nie ma już dziś takich ulicznych sprzedawców, słynących z reklamy akustycznej. A w dwudziestoleciu międzywojennym natkniemy się na nich niemal na każdym skrzyżowaniu, w poczekalniach podmiejskich tramwajów, w parkach, nieopodal wesołych miasteczek i boisk sportowych. Handlują słodyczami, wodą sodową, fajansem.

„Aparat do golenia za 80 groszy! To, co w sklepie kosztuje trzy złote – u mnie 80 groszy. Można wybrać, można przebrać”[131] – krzyczy sprzedawca żyletek na jednej z łódzkich ulic, lecz jeszcze donioślejszy jest głos jego sąsiada. „Niełamliwe, nietłuczące się, z chińskiego szkła najnowszy model! – po 20 groszy sztuka. Szklanka twarda jak serce kobiety, a trwała jak miłość kaleki!”[132]

Aktorowi Kazimierzowi Krukowskiemu zapadnie w pamięć zwłaszcza jeden z takich handlarzy stojący ze swym asortymentem przy wejściu do Ogrodu Saskiego. Czegóż nie wygaduje ten jegomość, aby zwrócić uwagę klienta. Do jego specjalności należy tworzenie tak zwanych kompletów. A wygląda to tak: sprzedawca oferuje za jedyne siedemdziesiąt pięć groszy lusterko do golenia, potem, spazmując i drąc się wniebogłosy, dodaje do zestawu mydełko, a jeśli jest już mydełko, przyda się szanownemu panu i mydelniczka ze szkła weneckiego. Do mydelniczki nie od rzeczy będzie dołączyć szczoteczkę do zębów, a do niej… przepis japońskiego profesora na wiecznie młodą cerę.

„Ludzie! Rodacy! Dzwońcie po Pogotowie Ratunkowe, niech mnie zabierają do Tworek! Wariat jestem, bo do tego wszystkiego dodaję ołóweczek z jedwabnym sznureczkiem…”[133] – woła wprowadzony z trans sprzedawca. I to wszystko za jedyne siedemdziesiąt pięć groszy.

Nie ma też już (całe szczęście!) katów. A w dwudziestoleciu międzywojennym byli, bo ówczesne prawo przewiduje w pewnych przypadkach karę śmierci, między innymi za morderstwo, zdradę stanu oraz na początku lat trzydziestych za korupcję popełnioną przez urzędnika państwowego. „Ostatnio w Kołomyji operacja przez niego dokonana wywołała zachwyt ogólny. Nieboszczyk ani pisnął”[134] – napisze o dokonanej przez kata Maciejewskiego egzekucji „Nasz Przegląd” w 1928 roku.

Co prawda kilka lat później słynny pan Maciejewski zostanie zwolniony z posady za nadużywanie alkoholu, ale wkrótce prasa doniesie z dumą, że „rodzina katowska […] została znów

skompletowana. […] Dziś Cukierski jest już oficjalnie zaangażowany, posiada XI stopień służbowy, jeździ na egzekucje, gdy Braun i Pałac są jednocześnie zatrudnieni”[135].

Cóż to za pyszna rodzinka – dłonie jak bochny chleba, twarde spojrzenia i takież muskuły, których nie powstydziliby się uczestnicy walk francuskich. O Maciejewskim, Braunie, Pałacu i byłym zapaśniku Cukierskim słyszał w latach trzydziestych każdy, chociaż nie znajdzie się taki, który chciałby poznać panów osobiście, a już tym bardziej, który pragnąłby zetknąć się z nimi na niwie zawodowej. W pracy odwiedza się ich zwykle tylko jeden raz w życiu. Nikomu nie życzę.

* * *

ROZDZIAŁ XII
WYNALAZKI

W i ę c e j „w y n a l a z k ó w” – m n i e j p a t e n t ó w. C o c z w a r t y w y n a l a z e k c o ś w a r t

Jeżeli przejrzeć ostatnie chociażby tylko patenty, czegóż tam nie ma! Oto mamy np. zabezpieczenie kieszeni, czy teczki od poderżnięcia żyletką. Podszewka przetkana jest nitkami metalowemi. Albo np. pudełko do dyskretnego przechowywania artykułów higjenicznych. Lub znowu torebka z przyrządem akustycznym, chroniąca przed kradzieżą. Dziesiątki przyrządów do karbowania włosów, do golenia, maszynki do mechanicznego manicuru. Jest nawet składany puszek do pudru, neseser kieszonkowy, a z tych praktycznych chociażby piecyk kuchenny, ogrzewany za pomocą promieni słonecznych[136].

* * *

APARAT DO ROBIENIA SZAMPANA Z MLEKA

W przedwojennym urzędzie patentowym spotkają państwo oryginałów co niemiara. Mania bądź to ulepszania przedmiotów codziennego użytku, bądź konstruowania autorskich sprzętów opanowuje Polskę przedwojenną w nie mniejszym stopniu niż zagranicę, nic zatem dziwnego, że jesienią 1933 roku w Łodzi przy ulicy Narutowicza 45 powstanie Polskie Stowarzyszenie Popierania Wynalazków, do którego zadań należy świadczenie

wynalazcom pomocy technicznej i ułatwienie kontaktów z finansistami.

Tylko w latach 1918–1934 zgłoszono w Polsce ponad czterdzieści pięć tysięcy wynalazków, z czego opatentowano nieco mniej niż połowę. Przeważają wynalazki z grupy metalowej i maszynowej, chemicznej, górniczej, hutniczej, spożywczej i włókienniczej. A chociaż nikt nad Wisłą nie wpadnie nigdy na pomysł wynalezienie łóżka-budzika, humanitarnej łapki na myszy czy specjalnej wędki na tasiemca, to jednak i u nas kuriozów lub projektów co najmniej osobliwych znajdą państwo wiele.

Zgłoszona w warszawskim urzędzie patentowym maska przeciwgazowa z pochłaniaczem nie robi wielkiego wrażenia, ale przedziwna „gra wirowa z tarczami liczbowymi" skonstruowana przez niejakiego pana Kudlorza z Gliwic, a służąca ponoć do zabawy towarzyskiej, brzmi już całkiem ciekawie.

Sporo jest wynalazków z dziedziny przemysłu włókienniczego, pewna krakowska firma zgłasza patent na podwiązki gumowe do skarpetek, a jej konkurentka ze stolicy rejestruje wzór męskiego kołnierzyka. Patentuje się nawet wzory spinek do włosów, w czym prześcigają się zwłaszcza trzy polskie firmy, a w 1936 roku przedsiębiorstwo zajmujące się wytwórnią pilników opatentuje nawet kolor zielony na trzonkach, co wywoła spór z firmą działającą w tej samej branży, której właściciel słusznie zauważy, że czego jak czego, ale koloru patentować się nie godzi.

Nie będzie już zderzeń pociągów!

Doniosły wynalazek polskich techników.

Od specjalnie wysłanego sprawozdawcy „Ilustrowanego Kuryera Codziennego"

Kraków, 14 sierpnia.

(A-c). Jak już pisaliśmy, w pierwszych dniach b. m. przeprowadzone zostały na stacji kolejowej Maczki próby **nowego wynalazku**, mającego na celu **zapobieżenie w przyszłości katastrofom kolejowym**, które przybrały u nas w ostatnich czasach niepokojące rozmiary. Dość wspomnieć omal już nie historyczną datę w Rogowie, gdzie w ciągu kilku lat zdążyły się aż cztery katastrofy. Szczęśliwa myśl, aby w przyszłości uniknąć podobnych niesnasek, której wala twórcami nowego wynalazku, po **Feliksem Zygmuntem i inż. Michałem Holewińskim**, którzy **od roku blisko pracowali nad nim.** Ostatnio zaś od 2 miesięcy czynili próby i ostatnie przygotowania na stacji kolej. Maczki, aż do przybycia tamże **specjalnej komisji**, delegowanej przez ministerstwo kolei i warszawską dyrekcję w dn. 13 bm.

Wynalazek polega na tem, iż samoczynne **aparaty**, znajdujące się na **lokomotywach kolejowych**

zatrzymują pociąg bez wiedzy maszynisty

hamulce powietrzem i wyłączając parę **w wypadku niebezpiecznego zwolnienia**, lub też w razie, o ile **maszynista przejechałby** bez zatrzymania pociągu na miejscu na **bliższe 150 mtr. przed niebezpiecznem, grożącem katastrofą.**

Aparaty elektroautomatyczne znajdujące się we wnętrzu lokomotywy, działały w czasie prób tak świetnie, iż lokomotywa za każdym razem, mając czynną parę, **zatrzymywała się** przed **pociągiem idącym z przeciwnej strony**, **w porę**; tosamo działo się i z drugą pociągami, idącemi naprzeciw siebie na tym samym torze, a lecz dzie mieć miejsce, planem wynalazków i w **wypadku rozkręcenia szyn.**

Niezależnie od aparatów wewnątrz lokomotyw które wzdłuż szyn kolejowych powietrzna instalacja połączona prądem elektrycznym z szynami i zwrotnicami, który dostaje się w ten sposób do **automatów**, działających w razie wypadku.

Zdaniem pp. Zygmunta i Holewińskiego instalacja powietrzna niewypadku i niedyt wpływie działania na w czasie silnych wichrów i deszczów może być z zupełną łatwością zastosowana na podziemną, również i prąd elektryczny nie musi być stały o natężeniu od 210—220 wolt, ale także zwiększony, co ma tę zaletę, iż w Polsce, tak opolskiemu, o tle stre o elektryfikację kraju, wynalazek ten może mieć wiele praktyczne zastosowanie.

Charakterystyczną jest przy tym wynalazku rzecz, iż w razie zerwania się linji powietrznej w zwrotnicy stacji, albo w biegu, jest odpowiedni przyrząd sprawdzający, który **wykazuje natychmiast zerwanie**, czy też uszkodzenie linji, które naprawa w b. krótkim czasie łatwą jest do usłyszenia.

Wynalazcy pragną zaznaczyć, aby ich dzieło już ostatecznie **znalazło zastosowanie na polskich kolejach**, ku czemu pozostaje teraz sprawa sfinansowania tegoż, co winno być **w interesie społeczeństwa** jak najszybciej uskutecznione.

Prasa co rusz informuje o kolejnym polskim wynalazku. „Ilustrowany Kuryer Codzienny" z 1926 roku.

Urząd patentowy odwiedzają twórcy ulepszający syfony do wody sodowej, a jeśli jesteśmy już przy kwestiach gastronomicznych, warto wspomnieć o pewnym warszawiaku, panu Romualdzie, który zgłasza w urzędzie swój cudowny pojemnik do przechowywania produktów spożywczych, panu Janie Kowalskim z Katowic – twórcy modelu pokrywki do garnków i panu Fabisiowi z Poznania – autorowi jedynego w swym rodzaju przyrządu do szpikowania mięsa.

W 1935 roku jeden z polskich wynalazców obwieści światu (a najpierw Warszawie) powstanie specjalnego przyrządu do usuwania z kuchni zapachów gotowanej kapusty i kalafiora. Inny chełpi się cudowną maścią do cerowania rajstop, genialną maszynką do ubijania kremu, aparatem do robienia szampana z… mleka, wreszcie masą papierową odporną na ogień. Trafiają się w urzędach patentowym cwaniacy, którzy, jak na przykład pan Jan Duba, postanowią opatentować… dziecięcą kołyskę. Ktoś zakupi nawet patent na pralnię kart do gry, a że brydż cieszy się niesłabnącym zainteresowaniem, twórcy mają nadzieję, że koszty poniesione w związku z zaprojektowaniem maszyny służącej do oczyszczania kart z brudu zwrócą się z nawiązką.

Jeden z największych oryginałów w tym gronie, wynalazca o dość wszechstronnej skali zainteresowań, zgłasza w urzędzie patentowym obuwie pneumatyczne, elektryczną szczotkę do czyszczenia ubrań, potem środek do barwienia skóry, nową metodę wytwarzania masła z mleka i wreszcie bezwonny klozet. Znajdzie on bez wątpienia wiele tematów do dyskusji z wynalazcą pracującym bez wytchnienia nad maszyną, która jednocześnie kroi chleb i smaruje go masłem, i innym, który projektuje maszynkę służącą do wydawania wykałaczek.

Nie brakuje wśród wynalazców niepoprawnych idealistów. Ambicją niejakiego pana Herca jest ulżyć najbardziej pokrzywdzonym, przeto przedstawia ów jegomość projekt utworzenia w Warszawie „banku uliczno-salonowego”. Pomysł jest istotnie genialny – zakłada on, że z jednej strony banku w okienku pieniądze będą przekazywać bogacze, z kolei

w drugiej kasie bez zbędnych formalności udzielać się będzie bezprocentowych pożyczek ubogim. Dłużnik sam miałby określić termin spłaty zaciągniętej pożyczki.

WYNALAZCA BEZ PATENTU

Do osobnej grupy należą wynalazcy wędrowni, odwiedzający miasta, miasteczka i wsie w poszukiwaniu mecenasów lub osób chętnych nabyć zaprojektowane przez nich cuda. Wielu z nich, pragnąc rozreklamować swój wynalazek, odwiedza lokalne redakcje. Przed takim lepiej nie uciekać, takiego lepiej nie zbywać opryskliwym słowem, a już w żadnym razie nie należy z niego szydzić, bo gotów nie dać nam spokoju do końca życia.

Poznają ich państwo po błędnym wzroku i trzymanej pod pachą paczuszce zawiniętej w gazetę. W jej wnętrzu – dziwy nad dziwami: maszynka do temperowania ołówków zrobiona z kawałka szkła, która służy jednocześnie jako brzytwa i kalejdoskop, zegarek napędzany parą czy wreszcie aparat różdżkarski składający się ze szklanki od piwa, korka, nitki z igłą i trzech metalowych kulek, a służący do wskazywania podziemnych źródeł wody, nieodkrytych złóż węgla i innych skarbów.

Dziełem takiego warszawskiego wynalazcy stanie się „podręczny sliping”, który – jak twierdził autor owego cuda – okaże się w niedalekiej przyszłości niezbędnym akcesorium każdego podróżującego koleją. Podręczny sliping składał się z heblowanej deski zakończonej uchwytami, którą należało zaczepić o znajdującą się nad głową półkę na bagaże. Dzięki temu, jak zapewniał wynalazca, człowiek może wygodnie oprzeć głowę i uciąć sobie przyjemną drzemkę. Nie przewidzi niestety nasz pomysłowy konstruktor wędrowca, że deska podczas podróży będzie się chwiać i tym samym uniemożliwi wypoczynek.

JEST TO PRZYRZĄD…

W pierwszej połowie lat trzydziestych znają go wszyscy mieszkańcy łódzkich przedmieść. Mieszka w niewielkiej izbie przedzielonej dyktą na dwie części – w jednej jada i śpi, w drugiej mieści się jego pracownia. Na co dzień żyje z naprawy obuwia, szycia ubrań i reperowania, czego się da. Szewc złota rączka ma jednak dla nas w zanadrzu coś jeszcze, cierpiący na suchoty czterdziestoletni pan Michał zajmuje się bowiem konstrukcją wynalazków.

Jednym z nich jest niemiłosiernie cuchnący płyn do smarowania butów, który – czy obuwie regularnie czyszczone, czy też nie – zapewnia idealny połysk i to przez wiele miesięcy. Ale to nie jedyne, co zaproponuje nam pan Michał.

„Jest to przyrząd, za pomocą którego będzie można zapobiec samobójstwom. Wystarczy tylko o północy dotknąć nim jakiejkolwiek części ciała, a człowiek może żyć spokojnie. Nie zrodzi się w nim żadna myśl o samobójstwie”[137] – przekonuje wynalazca, pokazując niewielkich rozmiarów przedmiot pokryty zwojem drutów.

Jakby tego było mało, pan Michał, a krążą o tym opowieści w całej okolicy, kontaktuje się z zaświatami, a podczas seansów spirytystycznych wywołuje duchy zamordowanych wojowników indyjskich.

„Tak, ludzie mnie nie doceniają… Myślą, że to wszystko opowiadam dla «pucu»”[138] – powie w rozmowie z dziennikarzem łódzkiej gazety szewc, złota rączka, wynalazca i medium w jednej osobie.

ELIKSIR MŁODOŚCI

Jeśli pragną państwo oszukać czas, sugeruję udać się do doktora Jaworskiego, który chlubi się dyplomami uniwersytetów z całego świata (polskiego, hiszpańskiego, francuskiego i peruwiańskiego), a przede wszystkim – sensacyjną, nie tylko zresztą w 1926 roku, metodą odmładzania polegającą na infuzji krwi.

„Oczywiście nie pretenduję do tego, ażeby rezultat był pomyślny w każdym wypadku to byłoby wymaganie zbyt wielkie. Faktem jednak jest, że w całym szeregu wypadków, kobiety i mężczyźni w podeszłym wieku po kilku injekcjach poczuli się znowu młodymi – wyjaśnia wynalazca metody odmładzania, wspominając jednocześnie, że kuracja składa się z dwunastu iniekcji miesięcznie. – Nierzadko zdarza się, że pacjent do mojej kliniki wchodzi pochylony, wyczerpany, zgrzybiały, a w kilka tygodni potem opuszcza ją kompletnie zmieniony”[139].

W czym tkwi tajemnica? Otóż w przetaczanej krwi, która powinna zdaniem doktora Jaworskiego pochodzić od zdrowych ludzi między dwudziestym drugim a trzydziestym rokiem życia. Istotną sprawą okazuje się w tej sensacyjnej kuracji zachowanie odpowiednich proporcji, nic tu bowiem nasz wynalazca nie zamierza pozostawiać przypadkowi. „Mężczyźnie staremu wstrzykuję krew dwóch młodych kobiet, zmieszaną z krwią jednego młodzieńca. Skutek bywa wprost cudowny. Pacjent odzyskuje nagle radość życia”[140] – zapewnia pan Jaworski, zachwalając swą metodę w Paryżu, gdzie na co dzień pracuje polski twórca wynalazku zwanego przez prasę „małżeństwem krwi”.

„Nie rzadko zdarza się, że pacjent do mojej kliniki wchodzi pochylony, wyczerpany, zgrzybiały, a w kilka tygodni potem opuszcza ją kompletnie zmieniony” – przekonuje w 1926 roku doktor Jaworski, wynalazca sensacyjnej metody odmładzania.

AUTOMACIKI

W połowie lat trzydziestych pewien warszawski wynalazca pracuje nad konstrukcją automaciku niewielkich rozmiarów, który w jego opinii powinien okazać się niezwykle pomocny podczas wycieczek po stołecznych sklepach. Ma bowiem w założeniu swego twórcy targować się jak nikt na świecie i zapewne dlatego przez prasę jest zwany Targusiem.

Ktoś inny wpada na pomysł stworzenia robota pocieszyciela, nieodzownego akcesorium na cmentarzach, w szpitalach, gabinetach dentystycznych i więzieniach. Po wrzuceniu monety dwudziestogroszowej i wybraniu odpowiedniego przycisku (na przykład „zdrada małżeńska") miał on wygłaszać litanię podnoszącą na duchu.

Ktoś nawet zażartuje, że w związku z modą projektowania robotów powstaną wkrótce w parkach automatyczne gilotyny dla samobójców, ale zdaje się, że tego akurat tematu żaden z konstruktorów nie podchwyci, zresztą i dwa wcześniej wspomniane wynalazki, z tego co mi wiadomo, nigdy nie ujrzały światła dziennego, co nie znaczy, że każda taka próba włączenia do życia publicznego zautomatyzowanych mechanizmów kończy się w dwudziestoleciu międzywojennym fiaskiem.

Warto pamiętać chociażby o barach automatach, na które można się natknąć w przedwojennej Warszawie czy Łodzi. Dzisiaj skrzynki, z których po wrzuceniu monety wyskakują napoje gazowe, kanapki czy batoniki, nie są niczym specjalnym, ale proszę sobie wyobrazić, jakie wrażenia wywoływały podobnie działające automaty w latach trzydziestych dwudziestego wieku.

TELEGADUŁA

Dzisiaj podobny wynalazek nie jest niczym wyjątkowym, ale w dwudziestoleciu międzywojennym Biuro Zleceń Telefonicznych, stworzone przez warszawski zarząd telefonów, staje się wielką sensacją. Sympatyczna inicjatywa oferuje

abonentom wiele telefonicznych udogodnień. Kiedy więc wyjeżdżamy na dwa tygodnie, a w domu zostaje służba, której nie darzymy zbytnim zaufaniem, zamawiamy w tymże biurze kontrolne telefony, przykładowo o godzinie siódmej rano i ósmej wieczorem, dzięki czemu po powrocie otrzymamy raport i dowiemy się, że piątego lipca telefony odbierano, a już dzień później nie.

Możemy sobie również zażyczyć, aby na czas naszej nieobecności w przypadku telefonu informowano dzwoniącego, że „pan Kowalski wyjechał za granicę i wróci dopiero pod koniec miesiąca". Ponadto, i to chyba najistotniejsze, Biuro Zleceń Telefonicznych pełni bardzo praktyczną funkcję budzika.

„Między 4 a 6 rano każą się budzić ludzie pracujący w fabrykach oraz wyjeżdżający do zajęć w okolice podstołeczne. Od 6 do 7 rano biuro budzi przeważnie urzędników. Od 9–10 budzi się szefów biur, dyrektorów i innych możnych tego świata. A od 11–18 leniuchów i tych, co w nocy szaleli w dancingach, a nie mają obowiązku zrywania się rano"[141].

W 1934 roku uruchomiono w Warszawie, a wkrótce i w innych dużych miastach, automatyczną zegarynkę. Wynalazek ten spotyka się z ogromnym entuzjazmem mieszkańców naszego kraju, co rusz na temat „telefonicznej dziewicy" rozpisuje się prasa. Cóż, że automatyczna zegarynka myli się i podaje czas niekiedy z aż czterdziestominutowym opóźnieniem. Nie ma chyba w stolicy abonenta, który na wieść o uruchomieniu wynalazku nie zadzwoniłby pod numer 554-40.

„Opóźnienie o 40 minut, a do paryskiego akcentu przyzwyczaimy się szybko. Pozatem należy przypuszczać, że wskutek obcowania z Polakami, wymowa automatycznej niewiasty zmieni się na lepsze. Byle tylko przestała kwilić"[142] – wyrokuje jedna z gazet.

W tym czasie nie wszyscy jeszcze mają aparat telefoniczny w domu (a nikomu nawet nie śni się, aby takowy trzymać w kieszeni spodni), telefonuje się więc często z miasta – z aptek,

cukierni i sklepów, na których drzwiach właściciele wywieszają tabliczkę „Telefon czynny”.

Nie zawsze telefony są instalowane w miejscach ustronnych, treść rozmowy słyszy zatem zwykle każdy, kto znajduje się akurat w danej chwili w sklepie. Ludzie ustawiają się do aparatów telefonicznych w długich ogonkach, a właściciele sklepów nierzadko żałują, że dali się namówić na ten biznes, bo piętnaście czy dwadzieścia groszy pobieranych za usługę niewiele są warte, gdy wziąć pod uwagę kłopot, jaki bezustannie sprawiają dzwoniący.

„Zamiast kupić – to gadają. A niektórzy to już godzinami. Nagorzej, to już jak taka panna albo kawaler. Przychodzi taki jeden, codziennie, o trzeciej i zawsze prosi pannę Lilkie Niewiadomskie. I co się dopiero z nią nagada. A czasem to dwa razy dziennie do niej telefonuje. Aż śmiech słuchać, choć to niedyskrecja, co on tam jej opowiada”[143] – stwierdzi właścicielka pewnego sklepu w Warszawie, nie przypuszczając, że kilkadziesiąt lat później uwolnić się od takiego gadania nie będzie się można nie tylko w sklepie, ale nawet na ulicy, w parku czy tramwaju.

TELE-SUPERHETERODYNA Z OKIEM ELEKTRYCZNYM

Już w 1934 roku prasa donosi, że „technika widzenia na odległość, czyli tzw. telewizja, idzie naprzód w butach siedmiomilowych”[144] i najdalej za trzy lata właściciele radioaparatów będą mieć w domach także aparaty telewizyjne.

Radio, zwane na początku magiczną skrzynką, przebojem zdobywa serca Polaków, podobnie rzecz się ma z telefonem, umożliwiającym rozmowę w czasie rzeczywistym z kimś na drugim końcu miasta. Apetyt rośnie w miarę jedzenia, zatem i na wynalazek zwany telewizją ostrzą sobie zęby nasi przodkowie od połowy lat trzydziestych.

W 1936 roku konsorcjum angielsko-francuskie przeprowadzi w związku z tym w Łodzi, Katowicach i Warszawie specjalne badania mające na celu sprawdzenie, czy działanie telewizji

w Polsce jest w ogóle możliwe. Badania przynoszą pozytywne wyniki, w związku z czym zamierzano, i to już jesienią 1936 roku, uruchomić pierwszą stację telewizyjną w Polsce. W prasie spekulowano, że cena za aparat, zwany teleradjem, będzie wynosić około 500 złotych (stanie na astronomicznej sumie pięciu tysięcy złotych), a by ułatwić rozwój telewizji w kraju, rozważano w tym czasie podniesienie opłaty abonamentu radiowego.

I rzeczywiście, w drugiej połowie lat trzydziestych na warszawskim Prudentialu zainstalowano pierwszy nadajnik, a w 1937 roku na szesnastym piętrze wieżowca rozpoczyna pracę eksperymentalna stacja telewizyjna.

„Na drapaczu chmur w Warszawie przy placu Napoleona została zainstalowana wieżyczka o misternej konstrukcji. Z wieżyczki tej będą nadawane obrazy telewizyjne. Warszawska stacja telewizyjna ma na razie charakter czysto doświadczalny. Chodzi głównie o przeszkolenie personelu i zaznajomienie go z tajnikami telewizji”[145] – donosi „Dziennik Ostrowski”.

W próbie generalnej, która odbędzie się 5 października 1938 roku w Warszawie, weźmie udział Mieczysław Fogg, tego też dnia zostanie wyemitowany film *Barbara Radziwiłłówna*. Pokaz ma charakter wyłącznie testowy, nikt zresztą w Polsce nie posiada jeszcze prywatnej tele-superheterodyny z okiem elektrycznym, czyli odbiornika telewizyjnego.

Dopiero kilka dni przed wybuchem wojny, w sierpniu 1939 roku, w trakcie drugiej Dorocznej Wystawy Radiowej odbędzie się emisja o charakterze publicznym, a popisy aktorki Ireny Zaleskiej i krótki film propagandowy Polskiego Radia będzie można obejrzeć w aż trzech (!) miejscach: „w siedzibie Polskiego Radia przy ul. Zielnej, Państwowym Instytucie Telekomunikacyjnym przy ul. Ratuszowej 11 i Urzędzie Telekomunikacyjnym przy Poznańskiej”[146].

Mieszkańcy przedwojennej Polski marzą zatem o telewizji, ale zdaje się, że i bez niej radzą sobie doskonale, nie narzekając bynajmniej na brak rozrywek. Bo komu w dwudziestoleciu

międzywojennym przyszłoby do głowy tracić czas na ślęczenie przed grającym pudełkiem?

* * *

ROZDZIAŁ XIII
WYCINKI KULTURALNE

„T a k a s a m a j ę d z a j a k m o j a ż o n a”
S u g e s t y w n a g r a M a l i c k i e j w y p r o w a d z i ł a z r ó w n o w a g i f i l o z o f a

Podczas przedstawienia komedii „Mięczak” w Teatrze Malickiej, w połowie II aktu, jeden z widzów zerwał się nagle z krzesła z okrzykiem „Puśćcie mnie na scenę, ja z nią porządek zrobię! Taka sama jędza, jak moja żona”. Okrzyk skierowany był pod adresem Malickiej, grającej koncertową główną rolę. Będące w towarzystwie owego mężczyzny dwie panie, zatrzymały towarzysza swego, uniemożliwiając mu opuszczenie miejsca[147].

* * *

TWORZĘ W ŚWIETLE ŻARÓWEK OSRAM…

Pan Zygmunt Zajączek z Łodzi literaturę ceni i poważa. Poważa do tego stopnia, że pragnąc ją rozwijać i urozmaicać, sam pocznie tworzyć, czym wywoła w mieście niemałą sensację. Właściciel masarni i składu wędlin z Bałut popełnia w latach trzydziestych kilkanaście wierszy, rozprawę naukową na temat Hitlera oraz wzruszającej treści listy miłosne. W epistolografii nie ma sobie pan Zajączek równych w całym województwie.

„Potrafię napisać list żołnierza do służącej, maglarki do szofera, a każdy z takiem uczuciem, że niewierny jak amen wróci do kobity”[148] – chwali się w rozmowie z dziennikarzem

„Expressu Wieczornego Ilustrowanego”. Talent to wciąż może jeszcze nieoszlifowany, ale bez wątpienia jedyny w swoim rodzaju. Z tym nie sposób polemizować. Na dowód przedstawiam jeden z jego utworów, powstały na tle osobistych przeżyć, przeżyć wielce tragicznych, a wywołanych zawodem miłosnym poety Zajączka:

„Takim cięty jest na ciebie,
Czy nie widzisz, azaliż?
Już z miłości schudłem,
Jakbym dostał paraliż…
Czy nie widzisz, szantrapo,
Jak do ciebie się palę?
Odstaw tego miglanca,
Bo mu głowę rozwalę!…”[149].

Obcowanie z liryką miłosną pana Zajączka to jedno z tych przeżyć, które człowiekowi zapada w pamięć na zawsze, nie inaczej jest zresztą, gdy zetkniemy się z prozą samorodnego talentu z Bałut. Na początku powieści zatytułowanej *Impresja* autor pisze: „Dął zimny wiatr, syczał a łkał, żałośnie a hyżo pomykał, hen wdal…”[150].

Badacza literatury, względnie krytyka, który zetknie się z twórczością pana Zajączka, z pewnością zainteresuje proces twórczy prowadzący do powstania podobnych sztuk pisanych. Poeta przekonuje, że tworzy, podobnie jak najwięksi z tej branży, pod wpływem chwili, wówczas gdy poczuje silną potrzebę przelania na papier swoich emocji.

„Gdy jestem w sklepie i odważam, czy to kaszankę, czy baleron, też myślę i tworzę…”[151] – zwierza się dziennikarzowi literat z ulicy Marysińskiej i po chwili, stojąc nad mostkiem cielęcym, popada w artystyczny letarg. Zostawmy więc pana Zajączka ze swoimi myślami, na pewno wyniknie z tego coś inspirującego.

Nie wiem, czy w literaturze pana Zajączka zasmakował Antoni Słonimski, odnoszę wrażenie, że zarówno jemu, jak i Julianowi Tuwimowi autor ten zdecydowanie przypadłby do

gustu, tak jak przypadła do gustu Słonimskiemu przesłana na jego adres przez Związek Zawodowy Literatów w maju 1931 roku „Ankieta w sprawie warunków zewnętrznych, ułatwiających twórczość literacką”.

Autorem wspomnianej ankiety jest pewna dama zgłębiająca tajniki psychologii literackiej, która za cel stawia sobie dowieść, że otoczenie i różnego rodzaju bodźce wpływają na pracę pisarską twórców. Antoni Słonimski dostarczoną mu ankietę opublikuje wraz ze swoimi odpowiedziami na łamach „Wiadomości Literackich”, a ja nie odmówię sobie przyjemności zacytowania jej w całości.

„Pytanie: Czy łatwiej Panu pisać przy świetle białym, czy kolorowym? Jeżeli kolorowym, to jakiej barwy?

Odpowiedź [odpowiada Antoni Słonimski – przyp. aut.]: Piszę tylko w świetle dziennym koloru marengo oraz świetle żarówek «Osram».

P.: Czy ma Pan ulubioną formę papieru, na którym Pan pisuje? Czy forma ta zmienia się w zależności od treści pisanych rzeczy? Czy też forma papieru jest Panu obojętna lub zależy od okoliczności zewnętrznych? Proszę podać wymiary swojego ulubionego arkusza.

O.: Wiersze o treści erotycznej piszę najlepiej na papierze owalnym, prozę w elipsach, a satyry na kwadratach. Ulubiony format 30 cm × 900 km.

P.: Czy barwa lub gatunek papieru odgrywa dla Pana jakąś rolę?

O.: Co do barwy nie mam żadnych uprzedzeń, i w ogóle wystarcza mi gazeta.

P.: Czy potrzebny jest Panu przy pisaniu jakiś specjalny przedmiot gdzieś blisko, np. na biurku?

O.: Owszem, ale nie na biurku. Kto to trzyma na biurku?

P.: Czy łatwiej Panu pisać w możliwie jak największej ciszy?

O.: W ciszy średniej.

P.: Czy też woli Pan monotonny szmer?

O.: Przepadam za monotonnymi szmerami.

P.: Czy woli Pan pisać przy muzyce, i przy jakiej?

O.: Tylko przy orkiestrze wojskowej.

P.: Czy istnieją pewne zapachy, które Panu pomagają przy pisaniu, i inne, które Panu przeszkadzają?

O.: Nie znam zapachu, który by mi pomagał do pisania, znam parę, które przeszkadzają.

P.: Czy lubi Pan mieć jakiś wyraźny smak w ustach podczas pisania?

O.: Nie znoszę wyraźnych smaków. Oczywiście tylko niewyraźny.

P.: Czy ma Pan jakieś ulubione potrawy, które Pan wtedy jada i popija, czy chodzi Panu tylko o to, żeby mieć cokolwiek w ustach, ssać, gryźć?

O.: Lubię jeść gulasz, pić piwo grodziskie. Jeśli chodzi o ssanie przy pisaniu, to proszę o kawałek piersi. Gryźć chyba nie lubię, ale muszę spróbować.

P.: Czy lubi Pan ciepłe lub zimne okłady na jakiejś części ciała w czasie pisania?

O.: Oczywiście. Zimny okładzik na głowę, letni na brzuszek i gorący na nogi.

P.: Czy lubi Pan w czasie pisania dotykać przedmiotów szczególnie gładkich, ostrych lub szorstkich?

O.: Tylko przedmioty ostre. Noże, widelce, szpilki, może być coś ze szkła.

P.: Czy ma dla Pana przy pisaniu jakieś znaczenie: czy jest pan ubrany, czy nieubrany?

O.: O ile znajduję się sam, nie ma to żadnego znaczenia.

P.: Czy gra dla Pana rolę, co dotyka Pana skórę w czasie pisania (np. futro, bielizna, woda)?

O.: Woda gra wielką rolę. Muszę się co chwila dotykać wody. Czasami łapię się za bieliznę.

P.: W jakiej pozycji najłatwiej Panu pisać?

O.: Oczywiście kolana razem, pierś naprzód i głowa do góry.

P.: Czy woli Pan siedzieć na krześle twardym, czy miękkim przy pisaniu?

O.: Najpierw na twardym, potem stopniowo na coraz miększym.

P.: Czy łatwiej Panu pisać, gdy Pana mięśnie są napięte, czy też gdy większość mięśni jest możliwie odprężona?

O.: Nie mogę powiedzieć, bo mi wstyd.

P.: Czy poza samym pisaniem lubi Pan wykonywać w tym czasie inne ruchy, czy też woli Pan względną nieruchomość? Czy rysuje Pan podczas pisania?

O.: Lekki ruch wirowy i nieznaczne drgawki.

P.: Czy łatwiej Panu pisać przy dobrym, czy złym samopoczuciu?

O.: Oczywiście przy złym samopoczuciu.

P.: Gdy jest Pan wyspany czy śpiący?

O.: Śpiący.

P.: Wypoczęty czy zmęczony fizycznie lub umysłowo?

O.: Zmęczony i fizycznie, i umysłowo.

P.: Czy łatwiej jest Panu pisać na czczo, gdy jest Pan najedzony, w parę godzin po jedzeniu, gdy Pan ma apetyt lub gdy Panu jest mdło?

O.: Tylko przy ostrych mdłościach i torsjach mogę pisać, i to torsje muszą być na czczo.

P.: Czy wrażenia normalne, zaburzenia i bóle, pochodzące z Pana organów wewnętrznych, grają jakąś rolę ułatwiającą lub przeszkadzającą przy pisaniu?

O.: Ułatwia mi pisanie tzw. rznięcie w kiszkach: przy trepanacji czaszki oraz przy wszelkich amputacjach mam wyniki mierne.

P.: Jakie znaczenie ma życie płciowe w Pana działalności pisarskiej? Czy zauważył Pan różnicę w swej pracy literackiej w okresie abstynencji w porównaniu ze swą pracą w czasie bardziej intensywnego życia płciowego?

O.: Zauważyłem. Dziecko by zauważyło.

P.: Czy zauważył Pan różnicę między swą pracą w czasie, gdy się Pan znajduje pod wpływem jakiejś podniety płciowej, a pracą w czasie, gdy Pana pragnienie zostało zaspokojone?

O.: Nie wiem, o jakiej podniecie płciowej jest mowa. Praca w czasie podniety płciowej właściwie nie jest pracą. Ma to jakąś swoją nazwę, tylko zapomniałem, jak się to nazywa.

P. (pytanie specjalne dla kobiet): Czy zauważyła P. różnicę w swej pracy w pewnych szczególnych okresach życia, w czasie porodu, ciąży, karmienia itd.?

O.: Szkoda, że to specjalnie dla kobiet. Inaczej na pewno bym odpowiedział.

P.: Czy woli Pan pisać w samotności, czy w towarzystwie? Czyim?

O.: W towarzystwie p. X, p. Y., p. N., p. O.B., p. N.M., p. Z.P., p. A.L., p. J.R., p. J.K., p. H.A., p. I.N., p. M.M., p. I.E., p. I.M., p. D.S., oraz pani baronowej Sołowiejczyk”[152].

GRAFOMANI

Wielu jest miłośników słowa pisanego niezrażających się szyderstwami zazdrosnych i tworzących wbrew wszystkiemu, wbrew przede wszystkim zdrowemu rozsądkowi (i własnemu talentowi). Piszą więc, a swym pisarstwem szczodrze obdarzają czytelników, korzystając z okazji, których dostarczają rozmaite konkursy poetyckie, kąciki literackie w gazetach, a zdarza się nawet, że i grube portfele mniej wymagających wydawców.

O panu Zajączku z Łodzi wspominałem wcześniej, pozwolę sobie napomknąć również o poecie Chojeckim czerpiącym inspiracje z twórczości tworzącego w osiemnastym wieku księdza Józefa Baki, słynnego barokowego poety jezuity. Podobieństwo jest uderzające, sama zaś liryka proponowana przez artystę naśladowcę – głęboka i zaskakująca zarazem.

„Mróz, mróz, mróz
W ziemię wrósł
Wszerz i wgłąb,
Podły ziąb,
Mróz, mróz, mróz!
Żyd pierzynę trzęsie,
Lecą puchy gęsie,

Biało, biało, biało,
A to śniegu nasypało!
Mróz, mróz, mróz
Śniegu zwiózł,
Rzeki skuł,
Życie struł,
Mróz, mróz, mróz
Niech sobie hula po dworze,
My siedźmy w ciepłej komorze,
Zlituj się nad nami, Boże!
Mróz, mróz, mróz!”[153]

Talenty objawiają się nie tylko w liryce, tworzy również w przedwojennej Polsce liczne grono niedocenionych mistrzów prozy. „Wiadomości Literackie” i „Prosto z Mostu” wciąż sobie z nich dworują, drukując dla uciechy fragmenty ich powieści. Niełądnie panie Grydzewski, niegrzecznie panie Piasecki. To, że nie poznali się panowie na sztuce, na przykład Tadeusza Nowackiego, autora powieści *Na papierowych szynach*, nie znaczy jeszcze, że można takiego człowieka obśmiać i poniżyć. Ażeby nie być gołosłownym, przedstawiam próbkę literackich możliwości pana Nowackiego, stanowiącą dostateczny dowód na to, że istotnie mamy do czynienia z czymś absolutnie nie z tego świata.

„Sponiewierał w niej wszystko, zatruł spokój i wywołał biegunkę moralną”.

„Pociąg odjeżdża za dwie godziny. Nie będzie się pani podobało – to sobie pani zaraz wróci. Żadnego ryzyka, a przyjemność nienormalna”.

„Gdyby kochało się widelcem, Turwid na pewno ostrzyłby widelec, wchodząc do tak pełnego ukrytych nadziei zakątka”.

„Wiązkowski zgodziłby się nawet na wpuszczenie żywej wiewiórki w spodnie, gdyby sobie tego życzyła Teresa, więc poparł ten projekt”[154].

Nie da się ukryć, że to mocna rzecz. Można by jeszcze przy okazji wspomnieć o autorach wielu innych poetyckich tomików

i powieści, można by przytoczyć fragmenty „najlepszych” powieści odcinkowych publikowanych na łamach prasy brukowej, można by wreszcie zacytować najciekawsze urywki z polskich tłumaczeń dzieł zagranicznych autorów. Na tym jednak poprzestańmy.

ZA DOBRY GŁOS

Czy możliwe jest, aby śpiewaka pozbawił pracy jego własny głos? Głos – dodajmy – dobry, w którym nie znajdą państwo ni krzty fałszu. Otóż w przedwojennej Polsce jest to możliwe, tym bardziej, gdy głos ten jest zbyt potężny i zagłusza pozostałych członków zespołu.

Na dowód przedstawiam przypadek śpiewaka Gustawa Messnera zaangażowanego przez pana Władysława Daniłowskiego do legendarnego Chóru Dana. Artysta, który wedle opinii znawców miał szansę zdetronizować samego Jana Kiepurę, okaże się w istocie nieszczęściem dla swojego zespołu, dysponuje bowiem głosem tak donośnym, że nie przebije się zza niego ani śpiew kolegów, ani dźwięk instrumentów.

Nie ma zatem wyjścia słynny Daniłowski i wyrzuca pana Messnera z Chóru Dana, z czym artysta nie zamierza się godzić i występuje o odszkodowanie w wysokości dwóch tysięcy złotych. Ponoć biegłym sądowym w tej sprawie miał zostać sam Mieczysław Fogg, planowano również przeprowadzić wizję sądową mającą ustalić, czy rzeczywiście pan Messner podczas występów zagłuszał swoich towarzyszy.

X MUZA I JEJ BOHATEROWIE

Prawdą jest, że w dziedzinie reklamy polskie kina i twórcy filmowi popełniają masę niedorzeczności. Z afiszów i z gazet straszą rodaków wyświechtane frazesy – każdy z filmów jest jedyny w swoim rodzaju, w każdym grają największe gwiazdy, każdy jest pod jakimś względem albo pierwszy, albo najlepszy. Czymś jednak trzeba zwabić widza do kina, stawka jest wysoka, jedna klapa zwykle doprowadza producenta do ruiny, tym

bardziej że przedsiębiorcy filmowi zazwyczaj kręcą filmy na kredyt, a nie mając w portfelu złamanej złotówki, pokładają nadzieję przede wszystkim w głośnych nazwiskach aktorów.

Na regularne wypłaty mogą więc liczyć tylko gwiazdy, pozostali członkowie ekipy – statyści, aktorzy drugiego planu czy robotnicy odpowiedzialni za scenografię tłoczą się w długich kolejkach przed pokojem kasjera, zazwyczaj na próżno, bo gdy robi się gorąco, a kasa świeci pustkami, kasjer ucieka przez okno.

Bez wątpienia ten dojmujący brak funduszy wpływa znacząco na poziom artystyczny rodzimych produkcji (gwoli ścisłości – autor przedwojenne kino uwielbia). Krytyka wypomina twórcom brak odwagi i pomysłów, szydząc z kolejnych melodramatów, komedii pomyłek i filmów historyczno-patriotycznych kręconych zwykle, jej zdaniem, na jedno kopyto.

Cóż jednak krytyka recenzentów, skoro kina cieszą się niesłabnącą popularnością, a odtwórcy głównych ról, gwiazdy kina (teatru i rewii również) są na każdym kroku obdarzane gestami uwielbienia. Panie tracą w tym czasie głowę dla Żabczyńskiego, Brodzisza i Bodo, panowie – dla Smosarskiej, Ordonówny, Benity, Nory Ney czy Very Bobrowskiej. W tej ostatniej, wtenczas jeszcze wschodzącej gwiazdce teatrzyku rewiowego, której bardzo śmiałe zdjęcie umieszczono na witrynie przy ulicy Wierzbowej w Warszawie, zadurzy się pewien młody pracownik MSZ-u. Zadurzy się do tego stopnia, że przez sześć kolejnych dni będzie wysyłać Verze bukiet kwiatów, co jest w tym czasie praktykowane przez wielu entuzjastów talentu i urody pięknych aktorek. W swoim kryptopamiętniku Andrzej Kuśniewicz tak opisał te osobliwe zaloty: w poniedziałek Bobrowska otrzymuje od tajemniczego wielbiciela pięć białych róż (oznacza to nieśmiałe uwielbienie). We wtorek pięć róż kremowozielonkawych (uwielbienie już śmielsze). W środę pięć bladoróżowych (zainteresowana zaczyna być zaintrygowana, u koleżanek wzbiera zazdrość). W czwartek pięć łososiowych (zazdrośni zaczynają być nawet koledzy aktorzy). W piątek pięć purpurowych (sprawa musi być poważna, wszyscy zastanawiają

się, kim jest anonimowy adorator). W sobotę pięć szkarłatnych (koledzy i koleżanki zaczynają podejrzewać, że Bobrowska sama sobie wysyła kwiaty). Jeśli do niedzieli obiekt westchnień pozostaje obojętny, zwykle amant się poddaje.

KINOMAN POLSKI

Publiczność polska jest w kinach „raczej powściągliwa w wyrażaniu swych uczuć. Zimna”[155] – stwierdzi jeden z dziennikarzy filmowych, przypominając, że we Francji widzowie zwykli nagradzać obraz, który się podoba, oklaskami bądź też, jeśli film jest zły, kwitować go gwizdami.

A w Polsce? W Polsce rzadko się klaszcze i gwiżdże, nad czym ubolewają dyrektorzy kinoteatrów, pragnący, by i u nich zapanowały zwyczaje z zachodniej Europy. Kinomani nad Wisłą zdradzają w zasadzie tylko jeden rodzaj emocji – zniecierpliwienie przed rozpoczęciem seansu spowodowane liczbą emitowanych reklam.

W Polsce zatem nie klaszcze się i nie gwiżdże. W Polsce się tupie nogami. I to nie tylko z powodu reklam, bo przyczyn irytacji polskiego kinomana wyliczyć można więcej. Pierwszym z nich jest wadliwe wyświetlanie obrazu (skaczą napisy, skaczą bohaterowie filmu, nie wytrzymują tego oczy widzów), drugim – kręcone w absurdalnych liczbach dodatki krajowe (tak zwane aktualności – beznadziejnie realizowane, byle „dociągnąć do przepisowych 300 metrów, potrzebnych do uzyskania ulgowego podatku”[156]). Drażnią również napisy (patetyczne, siląc się na literacki styl), afisze reklamowe, ulotki promujące nowe filmy, duszne pomieszczenia, niewygodne krzesełka, sąsiedzi komentujący każdą scenę filmu i fatalne udźwiękowienie.

To gniewa miłośnika X muzy, na szczęście lista jej zalet jest znacznie dłuższa, najlepszą rekomendację stanowią tysiące Polaków regularnie odwiedzających kina powstające jak grzyby po deszczu. Co prawda o wyrobionym guście filmowym publiczności nie można jeszcze w tym czasie mówić, zbyt młode jest polskie kino i zbyt niedoświadczona publika, niemniej

pojawiają się pierwsze symptomy rozsmakowania w sztuce. Rąbka tajemnicy na temat tego, co Polakom podoba się najbardziej, uchyla ankieta przeprowadzona na początku lat trzydziestych przez popularne czasopismo „Kino”.

Zagadnięta przez redaktora pokojówka tłumaczy, że najlepszy film to taki „żeby państwo byli ładnie ubrani, żeby stroje były bogate, żeby się zastrzelili, nożami pozabijali… ruch żeby był”. Kino uwielbia również pewna telefonistka i zapewnia dziennikarza, że pobudza ono jej wyobraźnię, pozwalając na chwilę wytchnienia od trosk codzienności. Wybiera filmy dźwiękowe, chociaż jak przyzna sama: „wkładam sobie watę do uszu… Dość gadania w czasie pracy”[157]. Kilkunastoletni gazeciarz gustuje z kolei w komediach. Uwielbia, „jak się tłuką ciskają talerzami i jak mają białą maść na pysku (tu malec zaczął się pokładać ze śmiechu). I Lloyd jest byczy, ten w okularach, i Czapli (pewno Chaplin), bo ma duże buty”[158]. Policjant (żadna to niespodzianka) wybiera kryminały – „grunt, żeby były gonitwy, strzelanina i ładne kobity!”[159].

Odpowiedzi naszych sympatycznych rozmówców nie wyczerpują tematu, gdyż w dwudziestoleciu międzywojennym kina odwiedza się również z innych powodów. A to, tłumaczą jedni, aby popatrzeć sobie na atrakcyjne kobiety, a to, aby nauczyć się dobrych manier lub znaleźć temat do rozmów z klientami. Są nawet tacy (dzieje się tak w pierwszej połowie lat trzydziestych), którzy zaglądają do kin w celu nabycia środków odurzających, w tym bowiem czasie w stołecznych kinematografach grasuje szajka handlarzy narkotyków dokonująca swych nielegalnych transakcji w zaciemnionych salach podczas seansów.

WYWIAD Z GWIAZDĄ

Poczuciem humoru niewiele ustępują literatom z Małej Ziemiańskiej. Uwielbiają psoty, żarty i kpiny. Przez część polskiej widowni traktowani z absurdalnym namaszczeniem są w gruncie rzeczy (gdy niknie blask fleszy) całkiem zwyczajnymi

ludźmi. To prawda, że kilku naszym gwiazdkom sława przewróci w głowie, bez trudu znajdziemy jednak i takich, którzy mimo szalonej popularności potrafią na siebie i świat spoglądać z dystansem.

Fryderyk Jarosy zapytany przez dziennikarza o to, kim chciałby być, „gdyby nie był sobą, to jest najświetniejszym konferansjerem, czarującym mężczyzną, genialnym reżyserem i królem wytwornego humoru", odpowie, że pragnąłby zostać… Zulą Pogorzelską. Nora Ney – chłopką. Igo Sym – lotnikiem. Maria Malicka – żoną milionera. Ina Benita – treserką dzikich zwierząt. Mira Zimińską zaś… mątwą. Z kolei Adolf Dymsza twierdzi: „sprzedawałbym zimną, ale to bardzo zimną wodę sodową i lody na Saharze! Interes pierwszoklaśny, a i zadowolenie moralne także by człowiek miał. Wielbłądy, ludzie i inne stworzenia poiłbym zimną wodą"[160].

Kiedy indziej na to samo pytanie odpowie popularny Dodek (Dymsza to pseudonim artystyczny, prawdziwe nazwisko aktora brzmi Bagiński) w taki sposób: „Gdybym nie był aktorem, nie byłbym wcale Dymszą, tylko zwyczajnym Bagińskim. Gdyby był Bagińskim, to prawdopodobnie chciałbym zostać Dymszą, ale skoro już jestem Dymszą, to nic mnie nie obchodzą aspiracje jakiegoś tam Bagińskiego. To zupełnie nieciekawe indywiduum"[161].

Dymsza to przypadek jedyny w swoim rodzaju. Przypadek nieuleczalnie chory na dobry humor.

„Czy ma Pan jakiegoś ulubionego autora?" – zapyta go pewnego razu dziennikarz, licząc zapewne na jakieś wynurzenia natury literackiej.

„Właściwie najlepiej lubię czytać gazety, działy: wypadki i kradzieże. Jest to interesujące, a pozatem spotyka się nazwiska znajomych i przyjaciół. […]

– Jak należy zdobywać kobiety i jak Pan to robi?

– Mam bardzo prosty sposób: uderzam pałką po głowie i już gotowa. A w ogóle postępuję z kobietami, jak cham: za rączkę i do domu"[162].

Niewielu zdoła w przedwojennej Polsce konkurować z wygłupami Dymszy, chociaż trafi się kilku, którzy dotrzymują mu kroku. To między innymi Władysław Walter, Mira Zimińska, Stanisław Sielański czy też Kazimierz Wajda i Henryk Vogelfänger, legendarni Szczepcio i Tońko, bohaterowie jednego z najpopularniejszych słuchowisk radiowych w historii Polskiego Radia pod tytułem *Wesoła Lwowska Fala*, a zarazem odtwórcy głównych ról w komediowych szlagierach opowiadających o losach lwowskich batiarów. O unikalnym typie jedynego w swoim rodzaju humoru, humoru *par excellence*, zaprawionego dodatkowo kresową gwarą, świadczy ich szczęśliwie zachowana do naszych czasów pogawędka na temat kina, a konkretnie filmu *Wyzwolone serce*.

„Tońko: To kinowy kawałek?

Szczepko: Aha!

Tońko: To chiba ładniejszy jak «Hańba kowboja» nie było, nima i nie będzie.

Szczepko: Aż to przyrównanił! To cyrkowe gzotyczne – a to miłośne sercowe.

Tońko: W tym kinie gdzie Niuśko stoi za biletera, to taki kawałki nie odgrywają, ino same takie hocadrały «Kenjon – dolina śmierci» czy upiorny dom, abu «Stolica smętnych dusz».

Szczepko: Ta czegu, jak si komuś podoba – to to fajne kawałki są.

Tońko: Ta ładne są, ino bez kilka trupy – to się nie obejdzie.

Szczepko: Ja już wolim jak odraz umarlenty jak si ma z miłości menczyć. Tyyy, co bidna Agnes wycirpała ud Clarka, to jedne oni wiedzu.

Tońko: Chto, Szczepciu?

Szczepko: Agnes.

Tońko: A to przystojny chłop?

Szczepko: Ta to bidna uczciwa dziewczyna, ni żaden chłop. Nu, a ji dziecku to wzioł na wychuwani rudy Brown, a un miał szynk.

Tońko: Aha! A czyje dziecko było?

Szczepko: Agnes właśnie!

Tońko: Nu dobra! Ali z drugiej strony kto?

Szczepko: Tego ni było w kino… kino ni pokazuje to, co się samo przez się rozumi. Dziecko my już zastali i fertig.

Tońko: Nu gadaj dali, to si dowimy.

Szczepko: Przydajl ci ona kwiatki na ulicy i śpiwa.

Tońko: To świrk baba. Chodzi po ulicy i śpiwa.

Szczepko: Ona śpiewa ży ji smutno i ży niby to…

Tońko: Jak mnie smutno, to ja ni śpiwam.

Szczepko: A ona śpiwa i co ji zrobisz.

Tońko: Niech sy śpiwa, to już policji sprawa.

Szczepko: No jak ten portfel jego wypadnął, to ona…

Tońko: Komu?

Szczepko: Zara mu oddała.

Tońko: Komu?

Szczepko: Nu komu można oddać zgubiony portfel – jak ni temu co zgubił.

Tońko: A ni mówili przypadkowo kto zgubił?

Szczepko: Ta co mieli mówić jak ja widział na własne oczy kto zgubił.

Tońko: A ja ni mogim wiedzieć?

Szczepko: Ta ty możysz, ali ona nie mogła.

Tońko: Ali ona musiała wiedzieć, bo ona jemu oddała.

Szczepko: Ta Agnes wiedziała ali un si bał Nory.

Tońko: Fordygarni kryminału?

Szczepko: Ta gdzie, jeszcze gorzy. Baby.

Tońko: Samem słyszał na własne uszy jakeś mówił nory.

Szczepko: To właśni baba si tak nazywała.

Tońko: A czyja to baba była?

Szczepko: Ojojoj! Ta Clarka.

Tońko: A to chto?

Szczepko: Ta mówiłem ci! ten hrabczuk ży zgubił portfel.

Tońko: Aha! Teraz to mi wszystko sztymuji.

Szczepko: Nu widzisz. Tera Nora sy siedzi w łóżku, bo to byłu z rana, a un przychodzi i mówi, żeby ona zasmytrała mu jakiś

papiry, oni już wiedzu, bo nafta trysła…

Tońko: Aha!

Szczepko: Nu widzisz, nu i jak oni tak siedzu na łóżku, tu ten Georg…

Tońko: To znaczy Clarku…

Szczepko: Ta dzie! Ta Clarku na ulicy z Agnesu oddaju sobi portfel. A Georg tu on si kochał w Norzy.

Tońko: Taś mówił ży z Noru Clarku motał…

Szczepko: Ta motał… bu un miał fest szwajnery. A Georg znowu był ud serca strony.

Tońko: A Clarku co na to?

Szczepko: Ach! Aligancko! Kupił wszystki kwiatki, nawet reszty nie wzioł… i umawia si z nią na randki. […]

Szczepko: Clar przychodzi do chałupy. Ubrał się śliczni i pojechał do Paradis.

Tońko: Znowu do inny baby?

Szczepko: Ni, Paradis to taki pański szynk.

Tońko: Aha!

Szczepko: A tam baby z murzynami pomieszane tańczą. Krzyk, braci, i harmider – zabawa jak cholera. No i jak jednymi drzwiami un z nią, tak drugimi drzwiami George z Norą.

Tońko: Wszystko się koło tej Nory kręci.

Szczepko: Nu tak już jest. Nu i fagas przychodzi, a oni si ni widzą… i mówi, coś tam mówi… a ona go zobaczyła. […]

Szczepko: Na czym ja skończył?

Tońko: Na Agnes.

Szczepko: – Fajno. Aha, oni znowu do siebie z liworwerem, ten tego, ten tego, a ten znowu tamtego i tak długo strzelali, aż si zostali ino Clarku i Agnes.

Tońko: A Brown?

Szczepko: Zabity.

Tońko: Nora?

Szczepko: Zabita.

Tońko: A Georg?

Szczepko: Zabity.

Tońko: Coś cudownego! Ależ to film!
Szczepko: No, ja chiba na kiepski film nie pójdym”[163].

* * *

ROZDZIAŁ XIV
NA BAKIER Z PRAWEM

A r c y z a b a w n a h i s t o r j a p e w n e j w a l i z y

Stanisławów, 16.2. Onegdaj miały Brody swą sensację. Oto chłop, wiozący z pobliskiego miasta zboże do Brodów, spotkał po drodze elegancko ubraną panią z dużą walizą w ręku. Owa nieznajoma prosiła go, by ją podwiózł wraz z bagażem do Brodów. Chłop zgodził się.

Gdy mijali las w pobliżu Brodów, nieznajoma zsiadła i udała się w głąb lasu, walizę zaś zostawiła w furze. Gdy po upływie dłuższego czasu nie wracała, chłop zaniepokoił się. Ruszył za nią do lasu, ale wszelki ślad po nieznajomej zaginął. Wrócił więc do fury, ale tu doszło go nagle z głębi walizy kwilenie dziecka. […]

Chłop zajechał w mieście do swego znajomego gospodarza, załadował zboże, a następnie pojechał z ową „cenną" walizą na rynek. Zatrzymał się na uboczu i pozostawił furę wraz z walizą samopas. Z daleka obserwował co się stanie. Niedługo trwało, a dwaj złodzieje skradli walizę. Chłop, który na to tylko czekał, zaciął konie i galopem opuścił miasto. Gniew i wstyd niefortunnych amatorów cudzej własności nie miały granic. Dzieckiem zaopiekowała się policja[164].

* * *

TEN TYP

Po fizjonomii poznasz złodzieja! – przekonuje w pierwszej połowie lat trzydziestych przedwojenny brukowiec opisujący

zbrodnie i skandale. Panowie redaktorzy z „Tajnego Detektywa" nie mają wątpliwości – niegodziwcy występek mają wypisany na twarzy.

„Przestępcy nie mają żywej i zróżniczkowej mimiki twarzy, raczej jednostajną i nieskomplikowaną"[165] – donosi tygodnik, dodając, że kryminalista ma uszy duże lub bardzo małe („odstające na kształt uszu od garnka"), tępy wyraz twarzy i oczu (często zez), zrośnięte brwi, usta ściśnięte, nos nierzadko krzywy, „czoło niskie i skośne"[166], gęstą czuprynę i prawie całkowity brak zarostu.

„Tajny Detektyw" nie tylko rozpozna przestępcę, lecz także przypisze gagatka do konkretnej kryminalnej profesji. Miłośnicy cudzej własności charakteryzują się, przekonuje brukowiec, małymi oczkami, zadartym nosem, niskim czołem i stałym zarostem na twarzy. Ponadto, a po tym rozpoznać takiego ptaszka najłatwiej, często rumienią się na twarzy. Co się zaś tyczy morderców, to ci z reguły mają szeroką twarz, silnie uwypuklone kości policzkowe, wyrazistą szczękę, przeszywające lodem spojrzenie, przekrwione oczy oraz „zarost gęsty, ciemny, przyczem ciekawy jest brak jego na brodzie"[167]. Zarostu, za wyjątkiem wąsika, nie ujrzą natomiast państwo na obliczu hochsztaplera, ten bowiem odznacza się, w przeciwieństwie do złodziei i morderców, ciepłym wyrazem twarzy i tak naprawdę jedyne, po czym takiego rozpoznacie, jest „grymas, polegający na lekkiem podwinięciu górnej wargi, podciągnięciu nosa i zmrużeniu oka tej samej strony"[168]. A zatem jeśli wśród znajomych rozpoznali państwo jeden z powyższych typów, sugeruję niezwłocznie skontaktować się z najbliższym posterunkiem policji. Po cóż ryzykować, „Tajny Detektyw" wie wszakże najlepiej.

To tyle, jeśli chodzi o przygotowanie teoretyczne, teraz czas na praktykę, bo co jak co, ale wśród opryszków grasujących po przedwojennej Polsce nie brak oryginałów.

Na czoło listy nie trafi ani bandzior z łódzkich Bałut, ani gangster z warszawskiej Woli, bo to zaszczytne miejsce

zarezerwujemy pewnemu małżeństwu – Reginie i Marianowi Skowrońskim, którzy w dwudziestoleciu międzywojennym dokonają około tysiąca pięciuset kradzieży.

Chapeau bas, Skowrońscy! Taki wynik robi wrażenie, a podana liczba bynajmniej nie jest wzięta z sufitu, bo kiedy policja trafi wreszcie na trop szajki połączonej węzłem małżeńskim, w ich warszawskim mieszkaniu przy ulicy Skorupki 8 poza biżuterią, zegarkami i gotówką stróżowie prawa odnajdą osobliwą księgę rachunkową z adresami wszystkich okradzionych lokali. Zdaje się, że pan Marian hołdował starej niemieckiej zasadzie *ordnung muss sein* i w związku z tym spisywał skrupulatnie wszystkie dokonania, co miało swoje praktyczne zastosowanie, przestrzegało bowiem pana Mariana przed ponownym złożeniem wizyty pod tym samym adresem, a o to – wobec intensywności, z jaką Skowrońscy dokonywali kolejnych kradzieży – nie było wcale tak trudno.

O talentach przedwojennych złodziei, przede wszystkim kieszonkowców, krąży w ówczesnej Polsce wiele historii i wydaje się, że to sława w pełni zasłużona, skoro pewnego razu w samym sercu Warszawy w obecności komisarza rządu, policji mundurowej i tajniaków jeden z takich spryciarzy ukradnie portfel samemu ministrowi spraw wewnętrznych Felicjanowi Sławojowi-Składkowskiemu. Trudno też nie uśmiechnąć się pod nosem, słysząc o przypadku Wilhelma Salomona, który w katowickiej restauracji Pawła Gawlicha przy ulicy Krakowskiej zwinie leżący na podłodze dywan, po czym przez nikogo niezauważony ze zdobyczą na ramieniu opuści lokal.

Pomysłowość rabusiów nie zna granic, o czym boleśnie przekona się w styczniu 1935 roku inkasent gazowni w Żywcu, pan Alfred Bok, który w pewien sobotni wieczór stanie się ofiarą złodzieja posługującego się nader osobliwą bronią. Rzezimieszek zaatakuje swoją ofiarę mieszaniną… soli, papryki i pieprzu. Oślepionemu panu Bokowi złodziej wyrwie skórzaną teczkę wraz ze znajdującymi się w środku dwustoma złotymi.

Kradnie się na ulicach, targowiskach i podczas uroczystości państwowych, kradnie się również w tramwajach, pociągach i restauracjach. Koszmarem podróżujących koleją stają się „usypiacze”, dysponujący specjalnymi papierosami z domieszką środka nasennego. Z podobnego fortelu korzystają „usypiacze restauracyjni”, istna zmora amatorów mocnych trunków.

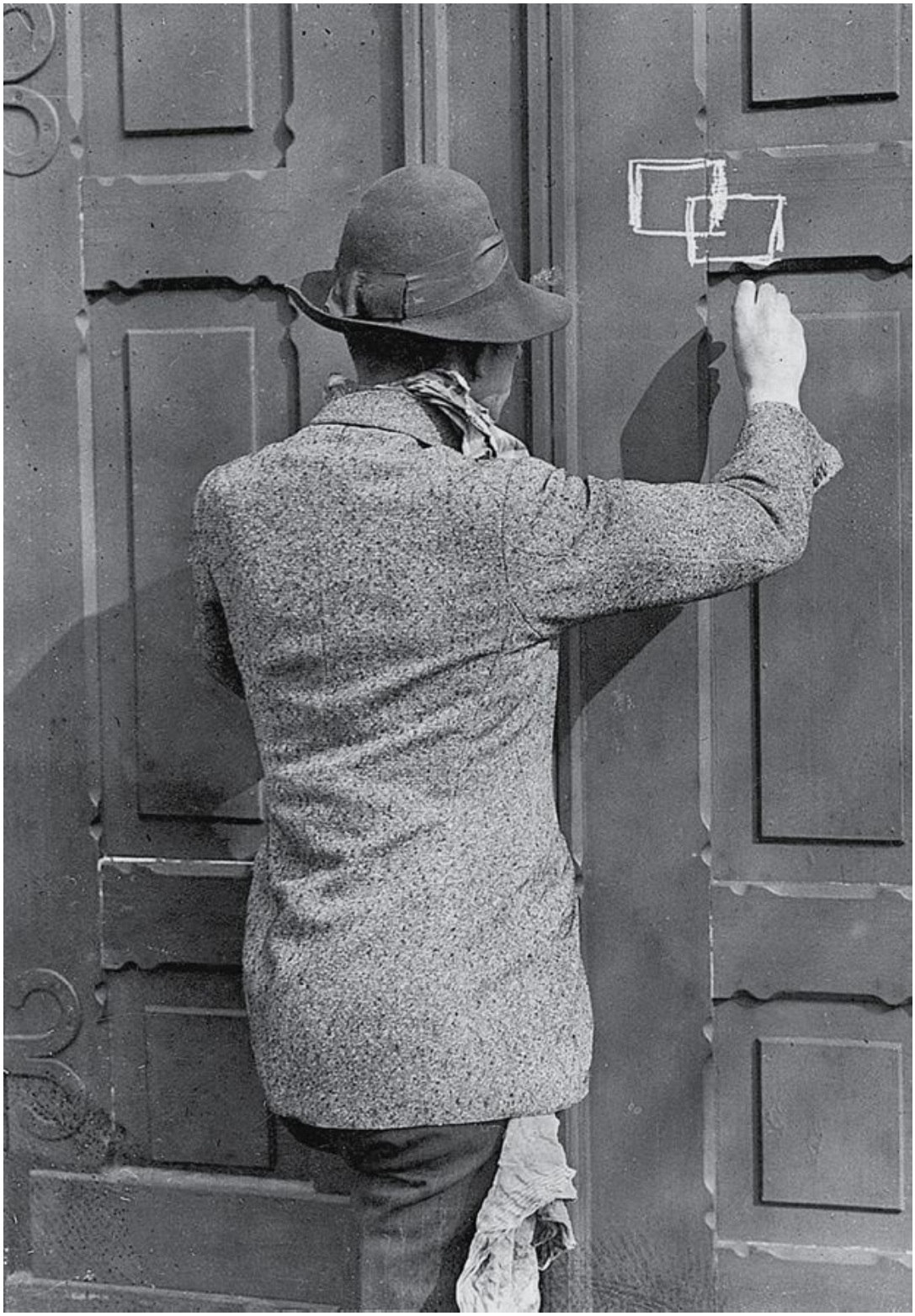

Przestępca w trakcie roboty… Dwa czworoboki zachodzące na siebie oznaczają w szyfrze złodziejskim: „Nie okradać mieszkania!”. Rok 1929.

Należy do nich działający w pierwszej połowie lat trzydziestych żydowski dorożkarz Icle Rozenblat. Kiedy, dajmy na to, przybysz z prowincji wyrazi ochotę na rybkę faszerowaną lub inny koszerny przysmak, dorożkarz, niby od niechcenia, wspomina, że zna adres najlepszej w mieście restauracji. Po dotarciu na miejsce prosi klienta o chwilę cierpliwości i znika w restauracji. Zjawia się po kilku minutach z butelczyną pejsachówki pod pachą i szerokim uśmiechem na twarzy. „Nigdzie pana taką pejsachówką nie uraczą" – zapewnia. Mocny aromat trunku jest z reguły ostatnim, co zapamiętuje nieszczęśnik. Dodany do trunku środek usypiający działa niezawodnie, dorożkarz oskubuje jelenia do cna, następnie odwozi go do hotelu i znika bez śladu.

Zapewne przestępcza kariera dorożkarza trwałaby jeszcze długo, gdyby nie właściciel koszernej restauracji przy ulicy Leszno 2, pan Gertner, który w połowie 1934 roku przeprowadzi śledztwo na własną rękę i o dziwo zdoła namierzyć złodzieja. Popisze się przy tym pan restaurator nie lada fantazją – udając klienta, poleci dorożkarzowi zawieźć się na posterunek policji i w ten sposób niczego niepodejrzewający Rozenblat sam odda się w ręce sprawiedliwości.

Miała też przedwojenna Polska fałszerzy. I to jakich! Późnym latem 1925 roku trzech łódzkich oszustów – Bugzel, Pruc i Fisjak – wpada na pomysł fałszowania monet, co samo w sobie nie jest niczym niezwykłym, ale materiał, z którego banda wyrabia falsyfikaty, z pewnością zasługuje na uwagę. Pomysłowi przestępcy kradną… krucyfiksy i jak donosi łódzka prasa, z „nóg zdjętego z krzyża Chrystusa" produkują pięćdziesięciogroszówki. Nie wiadomo, jak długo Bugzel i spółka płaciliby fałszywkami, gdyby nie bystre oko łódzkich straganiarek, które dostrzegą podstęp i doniosą na fałszerzy.

Toż to jednak drobnica, bo jeśli kraść, to miliony lub chociaż tysiące. Z tego założenia wychodzą członkowie szajki, która pod koniec stycznia 1936 roku dokonuje brawurowej kradzieży w centrum Warszawy. Gdy zapada zmrok, złodzieje włamują się

do zakładu fryzjerskiego, róg ulic Złotej 8 i Marszałkowskiej 116, i wynoszą z niego narzędzia o wartości pięciuset złotych. Apetyt rośnie w miarę jedzenia, po wybiciu ściany rabusie przedostają się do sąsiadującego z salonem fryzjerskim składu Vin-Monopole należącego do Filipa Sztarka, a ich łupem padają wysokiej jakości trunki i pozostawiona w kasie gotówka. Obrobić salon fryzjerski i sklep z alkoholami to wynik niczego sobie, ale panowie są ambitni i chcą więcej. Można przecież przebić kolejną ścianę, dostać się do sklepu z obuwiem Ge-Wo, ukraść siedemset złotych i sto dwadzieścia siedem par butów (o wartości dwóch i pół tysiąca złotych). Zapewne szajka i na tym by nie poprzestała, na szczęście dla właścicieli kolejnych sklepów złodzieje zdążyli się tak obłowić, że dalsza eskapada nie miała sensu.

Panowie skupiają się zatem na sile męskich muskułów, natomiast wyrachowane panie podchodzą do tematu z finezją. Latem 1935 roku Łódź i okolice żyją historią rodziny właściciela kuźni ze wsi nieopodal Rzgowa. Franciszek Niedźwiedzki i jego żona nie należą do ludzi, którzy wierzą w przepowiednie, a tym bardziej czary, kiedy jednak w ich chałupie pewnego dnia zjawia się cyganka i proponuje swe usługi, zmagająca się z chorobą małżonka kowala poprosi męża, aby wpuścił kobietę do środka, licząc, że ta zdoła sprawić jakowyś cud.

Z początku sytuacja przedstawia się arcyzabawnie i nie zwiastuje nieszczęścia. Cyganka postanawia odprawić tajemny rytuał i w tym celu żąda od gospodarzy monety dwuzłotowej, wody święconej i jajka. Po chwili upomni się również o najcenniejszy banknot znajdujący się w domu, następnie zanurzy monetę w wodzie święconej i surowym jaju, wreszcie uda się na zewnątrz, aby – jak wyjaśni domownikom – odegnać złe czary.

Niedźwiedzki przygląda się całej tej hecy z pewnym pobłażaniem i być może przegnałby babę z podwórka, niespodziewanie jednak dopada go takie zmęczenie, że już po chwili zapada w głęboki sen. Kilka godzin później po przebudzeniu domownicy zauważą z przerażeniem, że z palca

pani Niedźwiedzkiej zniknęła obrączka, na regałach brakuje cennych drobiazgów, co gorsze zapadły się pod ziemię wszystkie pieniądze. Marna to pociecha dla rodziny kowala, niemniej nie tylko Niedźwiedzcy padną tego dnia ofiarą cyganki hipnotyzerki, jej urokom ulegnie bowiem również miejscowy sklepikarz. „Wyszła, nie zapłaciwszy, a właściciel sklepu pod wrażeniem jej wzroku nie śmiał nawet upominać się o pieniądze”[169] – doniesie prasa. A zatem strzeżcie się cyganki, zwłaszcza takiej, która ma w zwyczaju maczać monety w wodzie święconej i jajku.

Do listy najosobliwszych postaci przedwojennego *unterweltu* należy dopisać nazwisko słynnego bandyty Aleksego Wolka, który po ucieczce z więzienia łomżyńskiego (sąd skazał go na śmierć) postanowił ukryć się w Warszawie. Policja przez wiele tygodni bez powodzenia próbuje wpaść na jego trop, wreszcie jeden z jej informatorów doniesie, że bandyta ukrywa się w okolicach Bielan nad brzegiem Wisły. We wskazanym miejscu funkcjonariusze istotnie odkryją kryjówkę kryminalisty – kryjówkę, dodajmy, niezwykłą.

Proszę sobie wyobrazić podziemny „obszerny kanał […] urządzony jak salon, ozdobiony dywanami i obrazami, zaopatrzony w elektryczne oświetlenie i wszelkie wygody”[170]. W tymże osobliwym, acz gustownie urządzonym lokalu (zaznaczam – mieszczącym się w kanale) policjanci nie zdołają ująć zbiega, znajdą jedynie postawioną przez bandytę kartkę z napisem: „Szukaj wiatru w polu…”. W jaki sposób uniknął pan Wolk aresztowania? Otóż sprytny kryminalista zainstalował przy wejściu do swojej kwatery rodzaj dzwonka alarmującego, który włączył się w momencie, gdy policjanci znaleźli się na schodach prowadzących do wnętrza kanału, tym samym dając czas przestępcy na ucieczkę innym wyjściem. Imponujące, panie Wolk, doprawdy imponujące.

Brawura i bezczelność niektórych przestępców w dwudziestoleciu międzywojennym nie zna granic. W Łodzi pewien złodziej po zakończonym powodzeniem włamaniu do mieszkania niejakiego Leona Wojcieszka zamieszkałego przy

ulicy Zamenhoffa 14 pozostawi po sobie pamiątkę w postaci takiej oto wiadomość: „A gdy spotkasz ciotkę mą, to jej się kłaniaj i powiedz, że okradł cię jej najczulszy siostrzeniec, którzy odziedziczy po niej wszystkie pieniądze… ukłony dla narzeczonej, do widzenia”[171].

TEŚCIOWA

Z teściową nawet na zdjęciu nie wychodzi się najlepiej. Taka to i spokojnego człowieka gotowa popchnąć do zbrodni. Z pewnością zgodzi się ze mną pan Hordziejczuk, mieszkaniec wsi Listowice w powiecie dubieńskim. „Mamusia” nieźle musiała dać szanownemu panu w kość, skoro – gdy pewnego dnia w gospodarstwie wybuchł pożar – pan Hordziejczyk skorzystał z potwornego zamieszania, wyniósł na rękach swoją prawie siedemdziesięcioletnią teściową i upewniwszy się, że nikt nie patrzy… wrzucił ją do studni za domem.

Pozbawi życia nieznośną teściową pod koniec lat dwudziestych również Aleksander Gruberski z Warszawy, który odda do niej z rewolweru jedenaście celnych strzałów. Z początku desperat zamierzał popełnić samobójstwo, lecz kiedy przyłożył lufę do skroni i ujrzał ironiczny uśmieszek teściowej, coś w nim widać pękło i zamiast pociągnąć za spust, skierował lufę w stronę kobiety, a potem wpakował w nią cały magazynek.

Makabryczną listę zabójców teściowych zamyka mieszkaniec przedmieść Krzemieńca, niejaki Bojkowski. Ten z kolei zamorduje w roku 1934 teściową tłuczkiem do mięsa, łamiąc jej przy tym jedenaście żeber.

GANG OLSENA

Kazimierz Mosiewicz mocno daje się we znaki warszawskim stomatologom. Ten były ajent ubezpieczeniowy specjalizuje się w okradaniu gabinetów dentystycznych, a jego ofiarą pada w sumie aż dwadzieścia sześć takich placówek, z których złodziej, podając się za pacjenta, kradnie gotówkę, papierośnice, złote mostki i koronki, a nawet tramwajowe bilety miesięczne.

Przechytrzy go dopiero pod koniec stycznia 1937 roku dentysta Kazimierz Dziarski. Zauważy on podejrzanego osobnika w swoim gabinecie i tknięty złym przeczuciem zatelefonuje do siostry, swoją drogą również dentystki, okradzionej kilka tygodni wcześniej. To ona poda szczegóły dotyczące uzębienia złodzieja (Mosiewicz poza tym, że okradał gabinety, korzystał przedtem z ich usług), a że jest ono niezwykle charakterystyczne (brak czwórki, piątki i szóstki oraz siódemka w górnej szczęce zepsuta), Dziarski – nie mając wątpliwości, z kim ma przyjemność – wzywa policję, która cwaniaczka zgarnie do aresztu.

Ujęty przez organa ścigania pan Mosiewicz wpadł w szał, nie posunął się jednak, jak nierzadko czynią w przypływie desperacji inni kryminaliści, do samobójstwa. Są wśród przestępców i tacy, którzy czynią to zaskakująco nieporadnie, za przykład niech posłuży Jan Grzeszczyk, który w lutym 1934 roku sterroryzował rewolwerem i dotkliwie pobił pewną kobietę, ukradł jej piętnaście tysięcy złotych, a potem wpadł w ręce policji. W trakcie konfrontacji przestępcy z poszkodowaną, do której dochodzi w szpitalu, Grzeszczyk chwyci leżącą na stoliku łyżkę do zupy, połamie ją, a potem połknie.

Należałoby zapytać pana Grzeszczyka, dlaczego nie zdecydował się na mniej spektakularne samobójstwo, wszak czy to przystoi, aby tak zasłużony dla polskiej kryminalistyki osobnik (na koncie dziewięć kradzieży plus liczne rozboje) odbierał sobie życie za pomocą szpitalnej łyżki? Z doniesień prasy wynika, że desperata zdołano odratować, nie uniknął więc zapewne, jako recydywista, procesu przed sądem doraźnym.

Szczęścia zabraknie także dwudziestoletniemu Stanisławowi Koziarskiemu, który w ciągu trzech lat dokona dwunastu kradzieży, lecz w lutym 1934 roku wpadnie wreszcie w ręce policji i to w dość zabawnych okolicznościach. Złodziej, grasujący w pobliżu stacji kolejowej w Milanówku, za cel obiera sobie pewnego dnia starszą kobietę, sęk w tym, że chociaż zdoła wyrwać jej torebkę, z pomocą okradzionej ruszy córka, młoda studentka, na której stołeczne rzezimieszki widać nie robią

wrażenia. Dziewczyna dogoni opryszka i przystawiając mosiężne klucze do jego piersi zagrozi zastrzeleniem na miejscu. Wystraszony Koziarski spotulnieje w ciągu sekundy i posłusznie pozwoli się odprowadzić do najbliższego komisariatu.

Panie Koziarski, to, że przechytrzyła cię kobieta, to jeszcze nie powód do wstydu, wszakże potężniejszych mężów tego świata niewiasty nieraz sprowadzały na manowce, ale pomylić stary klucz z lufą rewolweru to już dla takiego gagatka obeznanego z półświatkiem prawdziwa obelga.

Cóż jednak kobieta, gorzej gdy plany przestępcy pokrzyżuje… świnia. Włamywacz, niejaki pan Stolarczyk, po udanym skoku dokonanym w 1935 roku na dom transportowy Nadolny w Gdyni, podczas którego jego łupem padnie piętnaście tysięcy złotych, postanawia ukryć się na prowincji, a konkretnie – w domu zaprzyjaźnionego gospodarza we wsi Oleśno. Ponieważ policja depcze mu po piętach, Stolarczyk przed ucieczką zakopuje cenną zdobycz.

Kiedy stróże prawa przeprowadzą szczegółową rewizję w domu gospodarza, okaże się, że co jak co, ale świnka to nie jest wybredne zwierzę, a już na pewno gdy ktoś zaserwuje jej luksusową wyżerkę w wysokich nominałach. Mógł pan Stolarczyk ukryć pieniądze w ogrodzie, mógł na strychu lub w starej szafie. Ostatecznie zakopał je w chlewie, co okazało się poważnym błędem. Świnie, całkiem po świńsku, odgrzebały skarb i zżarły banknoty.

Nie poszczęści się również Tadeuszowi Duńczykowi, który pod koniec 1931 roku dokonuje w Warszawie brutalnego napadu, podczas którego kradnie pewnej kobiecie drogocenne złote pióro. Niedoszłemu mordercy (mimo poważnych ran kobieta zaatakowana żelaznym prętem przeżyje) daleko do filmowego Duńczyka z kultowej komedii *Vabank* wyreżyserowanej przez Juliusza Machulskiego. Kinowy Duńczyk to wytrawny spec od alarmów zacierający za sobą ślady. Duńczyk Tadeusz to z kolei życiowa niezdara i idiota, którego policja zdoła aresztować w okamgnieniu.

Co do tego, że wspomniane indywidua zasługują na potępienie, nikt chyba nie ma wątpliwości, bo występek połączony z głupotą wybaczyć trudno. Cóż jednak począć z takim na przykład panem Ignacym Pagórkiem, człekiem niegroźnym, który po obiedzie w jadłodajni przy ulicy Śniadeckich schowa do kieszeni bezwartościową podstawkę do papierowych serwetek? I mniejsza o to, czy pan Pagórek był kleptomanem, czy łyknął przed obiadem czegoś mocniejszego, czy wreszcie – jak tłumaczył potem – pomylił podstawkę z paczką papierosów, ważniejsze jest bowiem to, że na jego nieszczęście kradzież zauważa gospodyni i wzywa policję, ta zaś – nie zważając na niewielką społeczną szkodliwość czynu – spisuje odpowiedni protokół. Uwierzą państwo, albo i nie, ale sprawcy groziło za ten czyn nawet pół roku więzienia. *Dura lex*, *sed lex*…

Trudno nie spojrzeć łaskawszym okiem także na sprawę pewnego warszawskiego Arsène'a Lupina, który w czerwcu 1920 roku co prawda okradnie pana Bronisława Bagniewskiego w tramwaju, zabierając mu wszystkie dokumenty i sześć tysięcy złotych, ale kilka dni później nie tylko zwróci te dokumenty, lecz także za pośrednictwem jakiegoś młodzieńca odda wszystkie pieniądze. Złodziej o tak wytwornych manierach to w przedwojennej Polsce prawdziwa rzadkość, chciałoby się rzec – istna perła w koronie stołecznego *unterweltu*, tym bardziej że kieszonkowiec zdobędzie się w tym przypadku nawet na przeprosiny: „[…] ponieważ, po niejakimś czasie dowiedziałem się to Pan jesteś Panie Bagniewski, bo my wszystko wiedzieć musimy, że Pan jest człowiekiem uczciwej pracy – i zacnym człowiekiem, a nie żadnym paskarzem jawnym, lub też ukrytym, pod jakim tytułem dygnitarza, których teraz pełniutko jest wszędzie, więc postanowiłem to owe 6,000 mk. także Panu zwrócić, co też czynie, i w tym liście odsyłam, z czego przytem Pan się dowie, że i złodzieje czasami niektórzy, trochę sumienia mają. Byłbym już dawno odesłał, ale natura złodziejska szeroka jest Panie! Choć łowy obfite, nie można narzekać, ale wydatki szalone-grosza nigdy za wiele. Ostrzegam jednak Pana, że jak

znów kiedykolwiek Pana spotkam z wypchaną nieoględnie kieszenią, to Pana znów okradnę, bo tak złodziejski mój zawód nakazuje. Więc baczność, Panie!”[172].

Swoją drogą warto wspomnieć, że chociaż złodziej zwracający zdobycz to istotnie w przedwojennej Polsce przypadek bezprecedensowy, niemniej jednak taki, który po zwinięciu portfela i zainkasowaniu gotówki odsyła na adres poszkodowanego dokumenty zabrane wraz z pieniędzmi, trafia się dosyć często. Dlatego też nie powinny dziwić pojawiające się w prasie z tamtego okresu ogłoszenia o takiej treści: „Pana złodzieja, który mi z kieszeni wyciągnął torebkę z paszportem i innemi papierami na nazwisko J. Fargier – proszę bardzo o zwrot dokumentów do Sekretarjatu I.K.C., Kraków, ul. Wielopole 1”[173].

Dobra dusza trafi się więc i wśród kryminalistów. Nie sposób z sympatią nie odnieść się do pana Jana Fajksa ze Lwowa, właściciela blacharni, który pod koniec lat dwudziestych szkoli się w technice otwierania kas i konstruuje specjalne narzędzia, tych zaś – nawiasem mówiąc – nie powstydziłby się sam Szpicbródka czy filmowy Henryk Kwinto. Ale pan Fajks postanawia zostać kasiarzem nie dla zysku, lecz aby zdobyć kapitał potrzebny do otworzenia wielkich warsztatów, w których zajęcie znaleźliby bezrobotni nędzarze. Sądzą państwo, że to blef i bajeczka wymyślona przez złodzieja, aby zyskać przychylność sędziego? Nic bardziej mylnego. Policja w mieszkaniu lwowskiego blacharza poza narzędziami używanymi do włamań i rozmaitymi notatkami temu poświęconymi odnajdzie również przygotowane do wysyłki memoriały dotyczące walki z nędzą, których adresatem są wpływowe osoby w państwie. A zatem włamywacz i dziwak – z pewnością tak, lecz także idealista o dobrym sercu. Jak takiego nie polubić i jak nie patrzeć przez palce na jego występek.

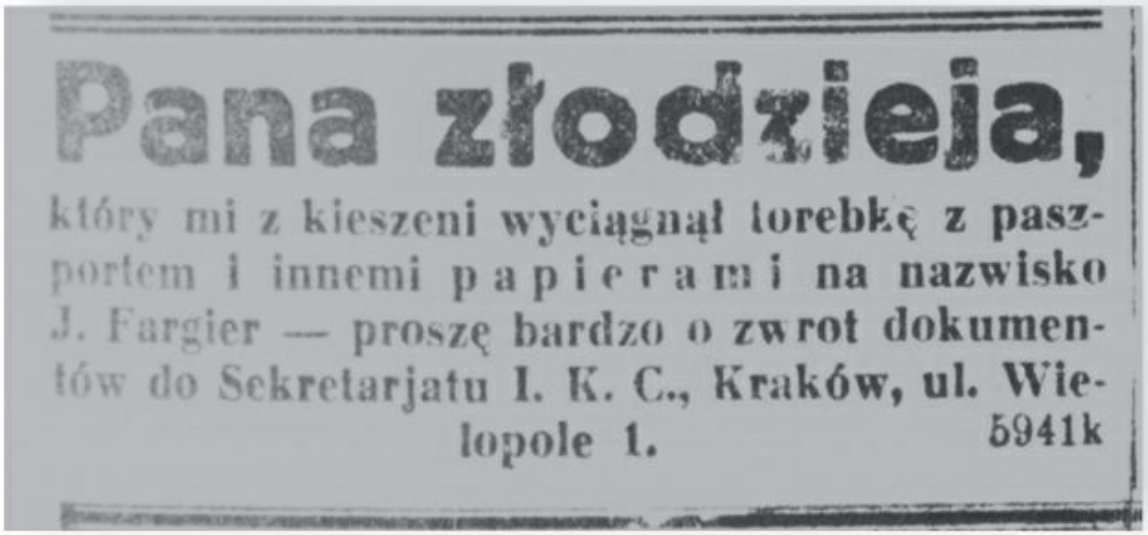

Pana złodzieja,

który mi z kieszeni wyciągnął torebkę z paszportem i innemi papierami na nazwisko J. Fargier — proszę bardzo o zwrot dokumentów do Sekretarjatu I. K. C., Kraków, ul. Wielopole 1. 5941k

Chociaż przedwojenni kieszonkowcy okradną do ostatniego grosza, często drogą pocztową zwracają właścicielom zwędzone dokumenty. Ogłoszenie z „Ilustrowanego Kuryera Codziennego”, rok 1931.

Jedni kasiarze wzruszają dobrym sercem, inni – wręcz rozpaczliwą nieporadnością. Nie sposób przy tej okazji nie wspomnieć o doskonale wykwalifikowanej i tak też wyposażonej szajce, która w nocy z 19 na 20 listopada 1930 roku wtargnęła do lokalu Polskiego Banku Spółdzielczego przy ulicy Królewskiej 1. Na nic jednak profesjonalny sprzęt, gdy nie ma się szczęścia. Okazuje się bowiem, że łatwiej dostać się do środka banku niż cokolwiek z niego wynieść. W pierwszym pomieszczeniu złodzieje zdołają co prawda otworzyć potężne szafy, ale nie zauważą zamaskowanej w ścianie kasy zawierającej, bagatela, trzydzieści dwa tysiące złotych. Cóż z tego, że w iście mistrzowski sposób przebiją się do sąsiedniego biura należącego do firmy Suski i Lenkszewicz i za pomocą tak zwanych raków rozprują ogniotrwałą kasę, skoro skradną z niej jedynie kilkanaście złotych w bilonie, a nie zauważą leżącej na górnej półce kasetki z osiemnastoma tysiącami złotych. Na domiar złego nie odnajdą również siedmiu tysięcy złotych schowanych w jednej z szuflad, a wyraźnie zdegustowani niepowodzeniem wezmą w akcie desperacji jedynie nieporęczną i nieprzedstawiającą większej wartości maszynę do pisania. O takich kasiarzach marzy zapewne w tym czasie każdy właściciel banku, a bo to panowie złodzieje i przetestują urządzenia alarmowe, i na poważne koszta narażą firmę ubezpieczeniową, ze skarbca zaś w końcowym rozrachunku zwiną za fatygę zaledwie kilka złotych na piwo.

Mało państwu opowieści o kasiarzach fajtłapach? W takim razie wspomnijmy również o warszawskiej szajce wykwalifikowanej ponoć przez samego Szpicbródkę, która pod koniec lutego 1933 roku dokonuje brawurowego włamania do kantoru firmy A. Blumenfeld i M. Czerwiński mieszczącego się przy ulicy Marszałkowskiej 104. Ci również na pierwszy rzut oka sprawiają wrażenie obeznanych z kasiarskim fachem, a ponieważ ogniotrwała kasa jest widoczna przez okno, a po okolicy kręcą się policjanci, szajka wpada na oryginalny pomysł i z zielonej tektury wykonuje replikę kasy, która zaraz po tym,

jak złodzieje włamią się do pomieszczenia przez otwór w suficie, ląduje na wystawie. Prawdziwa kasa znika zatem z widoku i wydawałoby się, że dla takich fachowców nic prostszego, jak ją teraz otworzyć, okaże się jednak, że panowie wykładów mistrza Stanisława Cichockiego słuchali nie dość uważnie, bo kasy mimo starań nie zdołają rozpruć. Gra była warta świeczki, właściciele przechowywali w środku kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Ma też przedwojenna Polska swój gang Olsena, do którego należą Paweł Szampera, Jan Hofman, Jan Szmus i jeszcze paru innych gagatków. Panowie ci 8 sierpnia 1934 roku około południa dokonują napadu na Bank Ludowy przy ulicy Wolności w Świętochłowicach. Cóż, że plan świetny i wielokrotnie przećwiczony, skoro nic – i to od samego początku – nie idzie po myśli rabusiów. Kiedy bandyci wyciągają z kieszeni rewolwery, obecni w sali bankowej ludzie wybuchają śmiechem, święcie przekonani, że to jedynie głupi żart przebierańców. Pewien znany w mieście restaurator, pan Siedlaczek, pozwoli sobie nawet zwrócić uwagę bandytom, aby nie robili głupstw, bo szkoda jego czasu na podobne błazeństwa. To już prawdziwy afront dla naśladowców Dillingera – panowie bandyci zgodnie z obyczajem i znanym z filmów protokołem krzyczą: „Ręce do góry! To jest napad!”, a szanowna publiczność dalej w śmiech. Nic tylko usiąść i płakać.

Zapanować nad rozbawionym tłumem uda się złoczyńcom dopiero po kilku minutach, wtedy jednak okaże się, że ogniotrwała kasa jest pusta. Hofman i spółka, ratując resztki reputacji, zgarniają z szuflad trochę bilonu, a ponieważ ich nadzieje na zdobycie wielkiego skarbu okazują się jedynie pobożnym życzeniem, okradną również restauratora Siedlaczka, któremu zabiorą dziewięć złotych. I tak obłowieni przystępują do ucieczki.

Jak zapewne się państwo domyślają, policja szybko wpada na trop nieudaczników – Szmusa odnajdą wywiadowcy w jednym z domów, gdzie bandyta najpierw schowa się pod łóżkiem, potem bezskutecznie spróbuje sterroryzować gospodynię, a na końcu

postanowi ją nawet w zamian za milczenie przekupić. Kobieta ani myśli pójść na współpracę z nieproszonym gościem i wzywa policjantów, ten zaś w akcie desperacji spróbuje jeszcze odebrać sobie życie, ale i to widać sztuka dla takiego rzezimieszka nie lada, bo chociaż wbiegający na strych policjanci usłyszą wystrzał z rewolweru, znajdą Szmusa rannego, ale wciąż żywego. Na ślad uciekającego w kierunku lasu Hofmana wpadną natomiast dwaj inni wywiadowcy. Zbir w trakcie pościgu odpowie ogniem (oczywiście żadna z kul nie trafia celu), a gdy złapany w potrzask i on postanowi ze sobą skończyć, zatnie się jego rewolwer. Trzeci z muszkieterów, pan Paweł Szampera, sam zgłosi się na policję, do czego – jak wyjaśni potem – zmusili go matka i brat. I to tyle, jeśli chodzi o wielki skok, zresztą nawet gdyby jakimś cudem członkom szajki udało się wyprowadzić w pole stróżów prawa, i tak zostaliby z niczym, bo w trakcie ucieczki Hofmanowi wypadła z kieszeni koperta ze zrabowanymi drobniakami.

Na szczytach głupoty przestępców – a i różnego rodzaju oszustów – można znaleźć bez liku. Z pewnością jest tam też miejsce dla pana Władysława Gizy, znanego i notowanego złodzieja z Piotrkowa Trybunalskiego, który po obrobieniu mieszkania pani Anny Magdalińskiej zostawi na miejscu przestępstwa karteczkę z wiadomością dla gospodyni: „Szanowna Pani! Nie radzę wychodzić z domu i zostawiać mieszkania bez nadzoru. Przyjaciel”.

„Przyjacielowi” wkrótce zrzednie mina, bo dzięki analizie grafologicznej policja szybko ustali jego nazwisko. Pan Giza trafi za kratki, co się jednak chłopina uśmiał, to jego.

PRZODOWNIK CEZAK

Przedwojenni stróże prawa to także wdzięczny temat do różnego rodzaju żarcików, wszak i wśród tych, którzy na co dzień strzegą porządku, a gdy trzeba, rzucają się w pościg za groźnym przestępcą, nie brakuje oryginałów, dziwaków i skończonych fajtłap.

Oczywiście największy ubaw jest wtedy, gdy policja zawodzi na całej linii, a przestępcy stroją sobie z niej żarty. W drugiej połowie listopada 1928 roku Warszawę obiega wiadomość o włamaniu, do jakiego dochodzi w gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przy ulicy Nowy Świat 69, gdzie zresztą mieści się w tym czasie także Komenda Główna Policji Państwowej. Złodzieje, niewiele sobie robiąc z ryzyka, najpierw dostają się do rzeczonej komendy, a stamtąd do sąsiedniego sklepu pana Wośniewskiego, gdzie zabawiają przez trzy godziny, kradnąc pod nosem największego w mieście posterunku policji towar o wartości półtora tysiąca złotych. Gdzie byli w tym czasie policjanci? Zapewne w Adrii.

Nie czepiajmy się jednak stołecznej policji, na prowincji to dopiero pracują asy. Kiedy w 1934 roku szajka złodziei pod przewodnictwem Ignacego Wilkonia i Andrzeja Górniaka dokonuje kradzieży sreber w mieszczącym się pod Lwowem pałacu hrabiego Badeniego, zaalarmowani o przestępstwie miejscowi stróże prawa z Radziechowa (w liczbie siedmiu ludzi) niezwłocznie przystępują do akcji. Kradzież dokonana w majątku hrabiego to poważna sprawa, wypadałoby zatem poprosić o pomoc bardziej doświadczonych kolegów z miasta, ale że na tej wsi telefonu nikt jeszcze nie ma, o sytuacji Lwów zostanie poinformowany dopiero za pośrednictwem telefonogramu znajdującego się w nieczynnej o tej porze, ale uruchomionej w drodze wyjątku poczcie. Lwów o kradzieży wie już zatem wszystko, czas ruszyć w pościg. W tym momencie pojawia się kolejna przeszkoda, bo policja z Radziechowa poza tym, że nie dysponuje telefonem, nie została dotąd wyposażona w żaden pojazd mechaniczny. O pomoc trzeba będzie zatem poprosić starostę radziechowskiego pana Kowalskiego, który użycza stróżom porządku swojego auta. Złodzieje wciąż mają ponad pół godziny przewagi nad policją, ale trasa do Lwowa, dokąd uciekają, liczy około osiemdziesięciu kilometrów, a na błotnistym grzęzawisku zwanym szosą może się jeszcze wiele wydarzyć. I faktycznie, złodzieje uciekający w stronę miasta zmagają się

z defektem wozu, co pozwala policjantom zmniejszyć dystans i kiedy wszystkie znaki na ziemi i niebie wskazują, że rzezimieszków uda się wreszcie dogonić, na środku drogi rozkracza się także pożyczony od starosty wóz policyjny. Oba samochody podobnym defektom ulegają jeszcze kilkakrotnie (w pewnym momencie na drodze między Dziedziłowem a Jaryczowem unieruchomieniu wskutek awarii ulegną oba auta), a pościg zmierza w kierunku Lwowa w iście żółwim tempie. Ostatecznie szala zwycięstwa przychyli się na stronę stróżów prawa, a przestępcy trafią za kratki.

Cudów techniki, takich jak telefon czy samochód, próżno szukać na prowincji, ale policja z miast oraz prywatni detektywi są znacznie lepiej wyekwipowani, dysponują potężnym arsenałem środków, a ponadto wdrażają podpatrzone za granicą techniki obserwacyjne. Takiego podejrzewanego o niecne zamiary ptaszka stróżom prawa, a przede wszystkim wspomnianym detektywom, popularny przedwojenny brukowiec zaleca śledzić, korzystając z dostępnych środków lokomocji – roweru, motocykla, samolotu, statku (jeśli cena biletu mieści się w budżetowych możliwościach organów ścigania), a także… sterowca, bo jak słusznie zauważa autor poradnika: „Podróż w przestworzu siłą rzeczy ułatwia zawarcie znajomości nawet z zupełnie obcymi ludźmi, a tej sposobności nie wolno detektywowi ominąć”[174].

Kolejne wytyczne dotyczą sposobów zbierania informacji. Kiedy zatem obserwacja jest prowadzona w restauracji, detektyw powinien po pierwsze – zająć stolik nieopodal obiektu, a po drugie – nie ociągać się z jedzeniem. Rzecz jasna w celach kamuflażowych nieodzowna okaże się standardowa gazeta (zwrócić uwagę na to, czy nie jest do góry nogami). Na dancingach należy pamiętać o smokingu, w szulerniach o tym, aby grać za niskie stawki, a podczas prowadzonej obserwacji – mimochodem nie spłukać się do cna, w teatrze – koniecznie zarezerwować miejsce w tym samym rzędzie co śledzony, a na balu – wejść w komitywę z kelnerem…

„Mowa trawa” – powiedziałby zapewne przodownik Cezak, komendant posterunku w Szadku koło Kalisza, który zna się na swym fachu jak mało kto i nie jemu wysłuchiwać podobnych rad. To on przecież zdoła dopaść sprawcę zagadkowego podpalenia, którym okaże się niejaki Antoni Piotrowicz. Zmusi nawet gagatka do przyznania się do winy, sęk w tym, że zgodnie z obowiązującymi procedurami podczas przesłuchania podejrzanego niezbędna jest obecność świadka, a jak na złość jest w tym momencie funkcjonariusz policji sam na sam z podpalaczem. Niejeden w podobnej sytuacji straciłby głowę, niejeden, ale nie przodownik Cezak. Komendant postanawia zatem sam siebie zaprzysiąc i sam sobie odczytać formułkę o konsekwencjach składania fałszywych zeznań. W końcu także i sam udokumentuje niezbędne zeznanie.

„Ja komendant posterunku w Szadku, przesłuchałem przodownika Cezaka na okoliczności przesłuchania przez niego podejrzanego Piotrowicza. Cezak zeznał mi, że Piotrowicz przyznał się do podpalenia.

Podpisano (-) Komendant Cezak”[175]

I chociaż sąd skaże Piotrowicza na sześć lat więzienia, wkrótce dojdzie do apelacji, a w trakcie rozprawy sędziowie będą śmiać się do rozpuku, studiując zeznania świadka Cezaka złożone przodownikowi Cezakowi i podpisane przez komendanta Cezaka. Niestety, wskutek błędów proceduralnych (Panie sędzio, jak pan mógł?) podpalacz zostanie uniewinniony. Iluż z przedwojennych przestępców pragnęłoby, aby to właśnie ten stróż prawa zajmował się ich sprawą. Ale Cezak jest jeden, nie może być wszędzie.

* * *

ROZDZIAŁ XV
KANCIARZE I HOCHSZTAPLERZY

Sprzedał warszawski dworzec na... dancing

Pomysłowość kombinatorów warszawskich a równocześnie ich zdolności „nabierania" są od dawna w całym kraju znane i odpowiednio cenione. Wszyscy pamiętają, że parę lat temu sprzedał jeden z warszawskich „niebieskich ptaków" naiwnemu kmiotkowi... tramwaj warszawski.

Ale to, co zdołał urządzić onegdaj na ul. Marszałkowskiej jeden ze stołecznych mistrzów „kombinacyj" jest w rzeczy samej rekordem swojego rodzaju, który, gdyby się wydarzył w Ameryce, zyskałby dla pomysłowego dowcipnisia niewątpliwie sławę i rozgłos.

Oto z Poznańskiego przybył do Warszawy reemigrant ze Stanów Zjednoczonych p. Witaszek, mając grube dolary w kieszeni i wielką ochotę zrobienia lukratywnego interesu. W poszukiwaniu za interesem zetknął się z jegomościem, który przedstawiał mu „biznes", gwarantujący z wszelką pewnością parę tysięcy procent zysku. Ta wyjątkowa okazja polegała na kupnie... warszawskiego dworca głównego, który od Nowego Roku ma być wolny wobec budowy nowego, a dzięki znakomitemu położeniu w centrum miasta nadaje się znakomicie na... dancing.

P. Witaszek tak się zapalił do interesu, że dał 5 000 zł na pierwsze wydatki, przy przeróbce hali dworcowej. Nadzieje na zrobienie majątku rychło się jednak rozwiały, gdy wspólnik zainkasowawszy gotówkę, więcej się już nie pokazał. Zmartwiony Witaszek zgłosił się w magistracie o zapomogę na powrót do

Poznania i odjechał ze stolicy gruntownie wyleczony z zamiaru szybkiego zrobienia majątku na warszawskim bruku[176].

* * *

SZACHRAJE, PRZEBIERAŃCY…

Eugeniusz Bodo nazwie ich w Qui Pro Quo pracownikami „kantu, grandy, fiume i winegretu”[177], a prasa co rusz będzie przytaczać na swych łamach koleje losów „niebieskich ptaków”, przedstawicieli intratnego „przemysłu oszukańczego”[178]. Rozkwitają te kwiatki przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego, oszukując prywatne firmy, ówczesne urzędy, towarzystwa ubezpieczeniowe, ba, nawet instytucje dobroczynne.

W samym tylko styczniu 1931 roku ofiarą sprytnych kanciarzy nabierających ofiary metodą na kuzyna (dziś wnuczka) pada w Warszawie kilkadziesiąt osób. Stołeczna szajka działa według wzorca wypracowanego w trakcie kilku tygodni – do upatrzonego wcześniej domu wpada, ciężko dysząc, jakiś „Żydek” i oznajmia mieszkańcom, że ich ukochany kuzyn uległ poważnemu wypadkowi. A ponieważ, jak przekonuje przybysz podający się za dobrego znajomego krewniaka, biedaczek trafił do szpitala, na gwałt potrzebna jest gotówka. Pomysł może i banalny, niemniej w prostocie siła.

Mniej więcej w tym samym czasie dwaj oszuści wpadają z kolei na inny, znacznie bardziej wyrafinowany koncept. Panowie wyszukują cierpiących na nieuleczalne choroby starych ludzi i namawiają ich do zawarcia umowy z towarzystwem ubezpieczeniowym za swoim pośrednictwem. Oczywiście żadna firma nie zaproponowałby chorym starcom wysokich stawek, dlatego oszuści podstawiają lekarzom zupełnie zdrowych młodzieńców. Zgodnie z treścią zawartej umowy po każdej śmierci staruszka oszuści zgarniają premię, a Towarzystwo Asekuracyjne jeszcze długo będzie zachodzić w głowę, z jakiej to

przyczyny młodzi mężczyźni masowo umierają, narażając ubezpieczyciela na wysokie wypłaty.

A skoro nawet agencje ubezpieczeniowe padają ofiarą oszustów, czy można się dziwić, że kanciarstwu nieuczciwców ulegną młodzi, marzący o sławie Dymszy czy Żabczyńskiego adepci sztuki aktorskiej, wśród których wielkie poruszenie wywołuje wiadomość o pojawieniu się w Warszawie amerykańskiego filmowca. Istotnie, pan Dawid Baum przybywa do stolicy, wynajmuje przestronny salon w pensjonacie przy ulicy Nalewki 17 i informuje opinię publiczną, że rozpoczyna poszukiwania obsady aktorskiej do pierwszego żydowskiego filmu dźwiękowego.

Casting odbywa się w owym salonie wynajmowanym w pensjonacie, a w jego trakcie przybysz zza oceanu poddaje kandydatów rozmaitym próbom głosu, wysłuchuje ich śpiewu, nakazuje wymawiać trudne słowa i inscenizować scenki. Po dwóch tygodniach selekcja dobiega końca, a szczęśliwców prosi pan Baum o wpłacenie wpisowego w wysokości pięćdziesięciu złotych. Żadnemu z młodych aktorów (tym zdaje się, że złapali pana Boga na nogi) do głowy nie przyjdzie, że cała ta heca to zwykły szwindel, i dopiero gdy udadzą się we wskazanym terminie do pensjonatu, aby podpisać kontrakt, okaże się niestety, że gość z Hollywood zapadł się pod ziemię. W ten sposób sprytny oszust nie tylko wyłudzi dwa tysiące złotych z kieszeni obsady aktorskiej, lecz także na spore koszty naciągnie właściciela pensjonatu.

Ludzi prostych i niedoświadczonych nabrać nietrudno, a i by zostać oszustem najwyższej próby niewymagany jest bynajmniej dyplom ukończenia dobrej szkoły. Pod koniec lat trzydziestych dowiedzie tego analfabeta, pan Józef Machowski z Dębnicy. Człowiek ten przypadkiem dowie się pewnego dnia, że w Ameryce zmarł bogaty rodak, szczęśliwym zbiegiem okoliczności noszący identyczne nazwisko. Teraz wystarczyło jedynie rozpuścić plotkę o śmierci „krewnego” i milionowym spadku, rzekomo zapisanym ubogiemu robotnikowi z Dębnicy.

Wiadomość lotem błyskawicy rozchodzi się po okolicy i już śpieszą pod drzwi pana Machowskiego co bogatsi mieszkańcy gotowi udzielić mu pożyczki na prowadzenie postępowania spadkowego, z czego nasz sprytny analfabeta skrzętnie korzysta, a w pewnym momencie, ażeby wzmóc jeszcze zapał zainteresowanych, informuje, że jako spadkobierca wkrótce stanie się również właścicielem pól naftowych. Pewien urzędnik, zaangażowany w sprawę pana Machowskiego, będzie mu przekazywać każdego miesiąca po kilkaset złotych, licząc, jak wielu innych, że kiedy ten otrzyma już obiecaną fortunę, sowicie go wynagrodzi za pomoc.

Na trop sprytnego oszusta, niedoszłego posiadacza pól naftowych, wpadnie policja, ustalając wskutek wszczętego śledztwa, że analfabeta wzbogacił się na całej sprawie o niebagatelną sumą trzystu tysięcy złotych! Ze swej roli pan Machowski nie wyjdzie nawet wówczas, gdy przyjdzie mu stanąć przed obliczem sądu, i wtedy bowiem mamić będzie adwokatów obietnicą podzielenia się skarbem zakopanym w ziemi. Tym razem jednak trafi swój na swego, a tarnowscy adwokaci zażądają zapłaty z góry.

Niewykluczone, że gdyby pan Machowski mógł liczyć na protekcję jakiejś wpływowej powszechnie szanowanej persony, pojawiłaby się szansa na wykaraskanie się z tarapatów. Tacy na przykład akwizytorzy ogłoszeń Związku Legionistów, wśród których znajdzie się ponoć nawet były kierowca samego Marszałka Józefa Piłsudskiego, zapewniają wszystkich o swych rozległych koneksjach. Godzinę przed planowaną wizytą w dużej firmie handlowej akwizytorzy telefonują do właściciela przedsiębiorstwa i podając się na przykład za podpułkownika Walerego Sławka, zapewniają pana prezesa, że dżentelmeni, którzy wkrótce pojawią się w jego firmie, to nadzwyczaj porządni ludzie, w związku z czym należy skorzystać z ich oferty. W ten sposób, chwaląc się znajomościami czy to z podpułkownikiem Sławkiem, czy też z wojewodą kieleckim, naciągną spryciarze wiele firm.

Na koneksje w środowisku warszawskim powoływać się będzie także trzech oszustów, którzy nabędą podstępem plac we Włochach. Oszuści wynajmują biuro przy ulicy Wspólnej, gdzie podająca się za żonę pułkownika, a należąca do bandy Zofia Okoń przyjmuje klientów, z kolei Władysław Kutnicki i przewodzący szajce Kazimierz Markowski (ten ostatni tytułuje się inżynierem technologiem i podaje za… wiceministra rolnictwa) ustalają szczegóły sprzedaży. W sumie oszuści wyłudzili kilkadziesiąt tysięcy złotych, naciągając na trefne transakcje kilkanaście osób.

Kłamstwo ma jednak krótkie nogi, przekonają się o tym akwizytorzy i szajka Markowskiego, przekona się wreszcie zamożny kupiec branży manufakturowej, który pragnąc oszukać urząd skarbowy, wykupi patent dla swojego sklepu, lecz nie na swoje nazwisko, ale na nazwisko zaufanego subiekta. Nie każdy jednak subiekt to Ignacy Rzecki, nie każdy, zdawałoby się oddany bez reszty swojemu szefowi, gotowy za niego umierać, zwłaszcza gdy nicponiowi namiesza w głowie ukochana kobieta.

Zdarzy się więc, że pewnego dnia pryncypał zajdzie rankiem do swego sklepu, a tam ujrzy swego subiekta, stojącego nie jak dotychczas za ladą, lecz przy kasie.

– Czyś ty oszalał Lejzorek? Nie poznajesz mnie? Uciekaj natychmiast za ladę.

– Z całym szacunkiem, ale wypraszam sobie. Kto tu jest właścicielem, czyje nazwisko stoi na patencie? Jeśli pan nie wierzy, służę łaskawie dokumentem.

Właściciel, przerażony wizją utraty majątku, wkrótce pocznie wynosić ze sklepu towary, wówczas jednak subiekt wezwie policję i oskarży swojego pryncypała… o kradzież.

MASKARADA

Mieszkanka Sosnowca, panna Gołda, najwyraźniej minęła się z powołaniem, bo zamiast odstawiać gwiazdę pierwszej wielkości na scenie teatralnej, podszywa się w drugiej połowie lat trzydziestych a to pod żonę słynnego polskiego lotnika, a to

pod żonę inżyniera, a to wreszcie pod bogatą paryżankę. Zdarzy się pewnego razu, że podając się za panią prokuratorową, zażąda od motorniczego tramwaju, aby ten specjalnie dla niej zatrzymał pojazd w środku trasy.

Pochwalić panny Gołdy za wszystkie te popisy raczej nie wypada, na jej usprawiedliwienie należy jednak dodać, że kobieta z całej tej maskarady nie czerpała korzyści finansowych. Co innego taki pan Dąbrowicki, który ukradnie metrykę, dyplom ukończenia szkoły i kilka innych ważnych dokumentów, a dzięki temu zostanie kolejno: porucznikiem, wywiadowcą ekspozytury wydziału śledczego w Białymstoku, kancelistą w parowozowni kolejowej, a w końcu także zawiadowcą stacji w Łuczywie na Nowogródczyźnie. Kariera, trzeba przyznać, niczego sobie.

Niepospolitymi talentami aktorskimi, a także umiejętnością podrabiania dokumentów, dysponuje Czesław Staropolski, który po ucieczce z więzienia, dokąd trafił za kradzieże, odegra swoją życiową rolę, wcielając się w postać inżyniera starającego się o posadę w hucie Batory w Hajdukach Wielkich. Inżynier Zbigniew Wielski może się pochwalić imponującą ścieżką kariery, na dowód przedstawia świadectwa pracy ze słynnych zakładów austriackich oraz czechosłowackich, poza tym dyplom politechniki wiedeńskiej oraz pisma polecające polskiego konsulatu w Pradze. O autentyczności dokumentów świadczy uwierzytelnienie podpisane własnoręcznie przez notariusza, doktora Wydrę z Nowego Targu.

W Batorym nie ma co prawda zapotrzebowania na tak wykwalifikowanego inżyniera, ale ponieważ błędem byłoby fachowca wypuścić z rąk, kierownictwo koncernu przekazuje dokumenty hucie Zgoda i tam rozpoczyna Staropolski pracę jako inżynier instruktor, ciesząc się pensją w wysokości sześciuset pięćdziesięciu złotych miesięcznie.

To, że wszystkie przedstawione dokumenty zostały sfabrykowane, a postać rzeczonego notariusza wymyślona przez sprytnego oszusta, wyjdzie na jaw dopiero po wielu tygodniach, wtedy okaże się też, ze Staropolski vel inżynier Wielski podrabiał

podpis dyrektora huty, a dzięki temu pobierał w jego imieniu zaliczki od kasjera. Ciekawe w tej historii jest także to, że dyrekcja koncernu nie chciała uwierzyć, że inżynier jest oszustem, jej zdaniem bowiem pan Wielski wywiązywał się ze swych obowiązków wzorowo.

Są wśród oszustów analfabeci, robotnicy, arystokraci i wytworni młodzieńcy, nie może zabraknąć i przemysłowców lub chociaż takich, którzy się za nich podają. Pan Majer Kerner zjawia się w Krakowie w poszukiwaniu żony, chwaląc się wszem wobec swoim bajecznym majątkiem, doskonale prosperującym przedsiębiorstwem w Łodzi oraz wielkim mieszkaniem. Bogaci Żydzi ciągną więc do niego jak muchy do miodu, na znajomości z oszustem sparzy się zaś pewien zamożny kupiec, którego córka wniesie do zaaranżowanego małżeństwa pokaźny posag w wysokości dwustu tysięcy złotych. Dopiero kiedy młode małżeństwo zawita do Łodzi, świeżo upieczona małżonka pojmie, że stała się ofiarą oszustwa. W istocie bowiem nie jest Kerner bogatym przemysłowcem, a drobnym oszustem i złodziejaszkiem, żyjącym na kocią łapę z kochanką w niewielkiej kawalerce, a trudniącym się do tego wymuszeniami. Zrozpaczona dziewczyna ucieknie do rodziców do Krakowa, ale jej ojciec, aby zbadać sprawę, osobiście postanowi wyruszyć do Łodzi.

Pana Kernera przechytrzyć jednak trudno, gdy więc dowie się o planowanej wizycie teścia, wynajmie wielki lokal, sprowadzi skądś towary, zainstaluje nawet telefon. Skołowany teść, gdy obejrzy to wszystko, zamlaszcze z zachwytem, a na końcu nie tylko nie zrobi Kernerowi awantury, lecz ofiaruje mu dodatkowo pięć tysięcy złotych. Na rozruch interesu.

Pan Tadeusz Borkiewicz z Kielc podaje się natomiast za doktora medycyny. Cieszący się ze względu na swą profesję powszechnym szacunkiem dżentelmen wystawia weksle bez pokrycia i dzięki nim w różnych miastach Polski kupuje rowery, złote zegarki, maszyny do pisania, a pewnego razu nabędzie nawet samochód. Zdobyte za pomocą bezwartościowych weksli

dobra sprzedaje różnym kupcom, rzecz jasna po okazyjnych cenach, zamieniając chociażby samochód na trzy tysiące złotych w gotówce. Można by się zastanawiać, dlaczego tak tanio, panie Borkiewicz? „Tanio? – odparłby zapewne oszust. – Kiedy ja automobilu nie potrzebuję, a kupiłem go za weksle. Cóż, że każdy opiewa na piętnaście tysięcy złotych, skoro każdy bez pokrycia".

GORĄCZKA ZŁOTA

Na naiwności naszych przodków zarobią również oszuści z zagranicy. W 1933 roku w Łodzi gruchnie wieść o skarbie zakopanym w okolicach Sewilli i Toledo. A zatem każdy, kto pragnie bogactwa, powinien czym prędzej wpłacić skromną zaliczkę przeznaczoną na prace wykopaliskowe w dalekiej Hiszpanii, a tym samym zagwarantować sobie udział w przyszłych zyskach. Organizatorzy rzekomej ekspedycji zapewniają, że doszli już do porozumienia z hiszpańskim rządem, w związku z czym jest przesądzone, że część skarbu znajdzie się w polskich rękach. W sumie naiwni łodzianie zasilą konto poszukiwaczy skarbów kilkunastoma tysiącami złotych.

Zresztą cennych klejnotów nie trzeba szukać wcale w dalekiej Hiszpanii, pełno ich za rogiem. W dwudziestoleciu międzywojennym kraj niemal każdego roku przeżywa gorączkę złota. Pielgrzymki zjeżdżają chociażby do podkieleckiej wsi Morawice, gdzie na swych odkrywców mają czekać bryły złota, srebrne naczynia i drogocenne pierścienie. Ponadto wieść gminna niesie, że w pewnym majątku na Wileńszczyźnie jest zakopany pod ziemią skarb całej armii bolszewickiej, a złoto, przekonują poszukiwacze skarbów, znajduje się również w grobie sowieckiego generała pochowanego przed laty w Łodzi.

JAK KRAŚĆ, TO MILIONY

„Towarzystwo akcyjne jest to zrzeszenie naiwnych, celem wymiany gotówki na bezwartościowe papiery pod pozorem wzmożenia krajowego przemysłu i handlu"[179] – stwierdzi

prozaik Piotr Choynowski, charakteryzując funkcjonujące w przedwojennej Polsce trefne towarzystwa akcyjne.

Zakładane przez pazernych kapitalistów i tymczasowo bezrobotnych dyrektorów powstają z reguły przy kawiarnianym stoliku, tam też na przysłowiowym kolanie przepisują twórcy statut od innego tego typu stowarzyszenia. Na końcu wystarczy wynająć starą szopę, umieścić w niej jakąś maszynę, przybić tabliczkę, a potem obwieścić światu i odpowiedniej instytucji państwowej powstanie towarzystwa.

Kiedy zaś znajdą się naiwniacy gotowi wykupić 75 procent akcji, zarząd informuje na łamach prasy (zawsze małym drukiem) o rychłej likwidacji towarzystwa, następnie organizuje ciche zebranie i dzieli się zyskami. Co prawda polskie prawo grozi kryminałem założycielom takich nieuczciwych towarzystw akcyjnych, ale w praktyce są oni niemal bezkarni, nierzadko drobni akcjonariusze nie mają pojęcia o przeprowadzonej likwidacji i wciąż żyją w przekonaniu, że nabyte przez nich akcje przedstawiają jakąś wartość.

Dyrektorowie trefnych towarzystw, zazwyczaj prawdziwe kanalie, cieszą się natomiast – nie wiedzieć czemu – powszechnym szacunkiem. Jednego z nich, który pewnego dnia ogłasza plajtę, przez co doprowadza wielu ludzi do ruiny, dalej podejmowano na salonach ze wszystkimi honorami, a to dlatego, że „pan prezes”, obłowiwszy się podstępnie, wciąż miał pieniądze, na dodatek dyrektorował już kolejnemu towarzystwu, założonemu zresztą w podobnych okolicznościach.

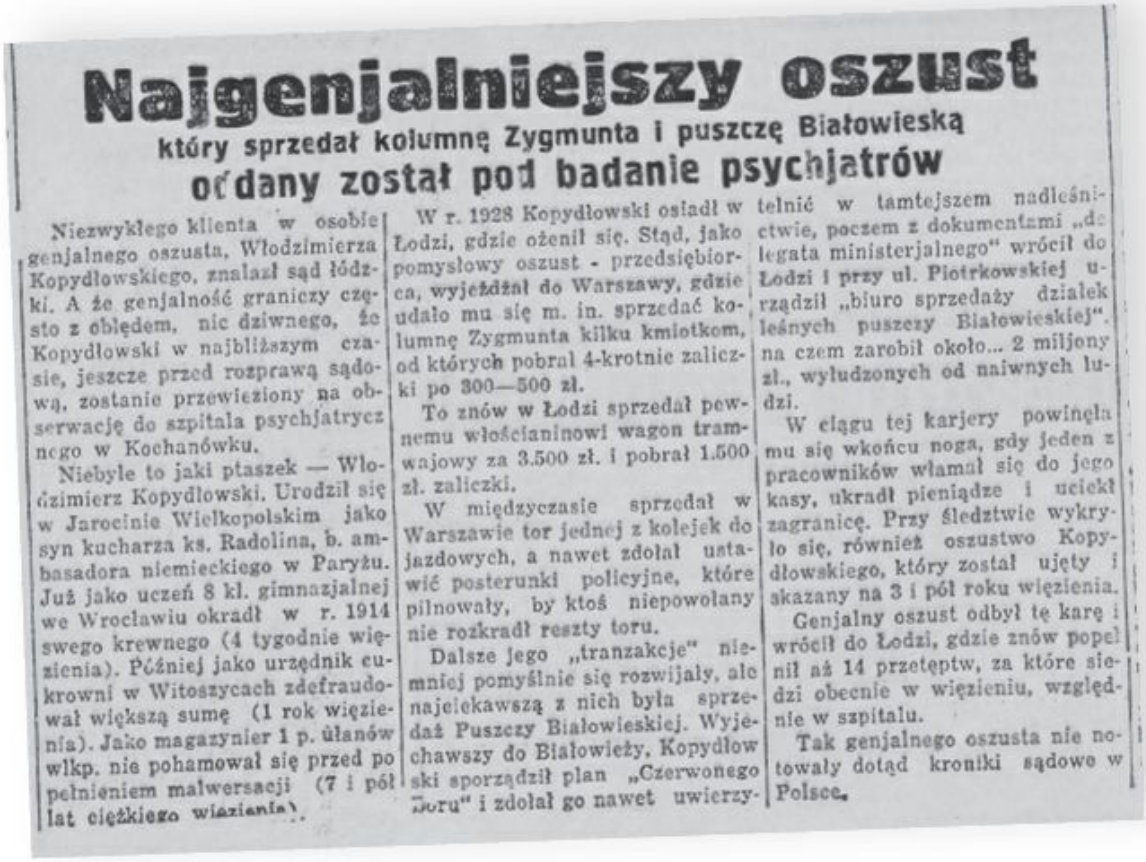

Najgenjalniejszy oszust

który sprzedał kolumnę Zygmunta i puszczę Białowieską

oddany został pod badanie psychjatrów

Niezwykłego klienta w osobie genjalnego oszusta, Włodzimierza Kopydłowskiego, znalazł sąd łódzki. A że genjalność graniczy często z obłędem, nic dziwnego, że Kopydłowski w najbliższym czasie, jeszcze przed rozprawą sądową, zostanie przewieziony na obserwację do szpitala psychjatrycznego w Kochanówku.

Niebyle to jaki ptaszek — Włodzimierz Kopydłowski. Urodził się w Jarocinie Wielkopolskim jako syn kucharza ks. Radolina, b. ambasadora niemieckiego w Paryżu. Już jako uczeń 8 kl. gimnazjalnej we Wrocławiu okradł w r. 1914 swego krewnego (4 tygodnie więzienia). Później jako urzędnik cukrowni w Witoszycach zdefraudował większą sumę (1 rok więzienia). Jako magazynier 1 p. ułanów wlkp. nie pohamował się przed popełnieniem malwersacji (7 i pół lat ciężkiego więzienia).

W r. 1928 Kopydłowski osiadł w Łodzi, gdzie ożenił się. Stąd, jako pomysłowy oszust - przedsiębiorca, wyjeżdżał do Warszawy, gdzie udało mu się m. in. sprzedać kolumnę Zygmunta kilku kmiotkom, od których pobrał 4-krotnie zaliczki po 300—500 zł.

To znów w Łodzi sprzedał pewnemu włościaninowi wagon tramwajowy za 3.500 zł. i pobrał 1.500 zł. zaliczki.

W międzyczasie sprzedał w Warszawie tor jednej z kolejek do jazdowych, a nawet zdołał ustawić posterunki policyjne, które pilnowały, by ktoś niepowołany nie rozkradł reszty toru.

Dalsze jego „tranzakcje" niemniej pomyślnie się rozwijały, ale najciekawszą z nich była sprzedaż Puszczy Białowieskiej. Wyjechawszy do Białowieży, Kopydłowski sporządził plan „Czerwonego Boru" i zdołał go nawet uwierzytelnić w tamtejszem nadleśnictwie, poczem z dokumentami „delegata ministerjalnego" wrócił do Łodzi i przy ul. Piotrkowskiej urządził „biuro sprzedaży działek leśnych puszczy Białowieskiej", na czem zarobił około... 2 miljony zł., wyłudzonych od naiwnych ludzi.

W ciągu tej karjery powinęła mu się wkońcu noga, gdy jeden z pracowników włamał się do jego kasy, ukradł pieniądze i uciekł zagranicę. Przy śledztwie wykryło się, również oszustwo Kopydłowskiego, który został ujęty i skazany na 3 i pół roku więzienia.

Genjalny oszust odbył tę karę i wrócił do Łodzi, gdzie znów popełnił aż 14 przestępstw, za które siedzi obecnie w więzieniu, względnie w szpitalu.

Tak genjalnego oszusta nie notowały dotąd kroniki sądowe w Polsce.

O karierze pomysłowego oszusta doniesie w 1935 roku gazeta „ABC: Nowiny Codzienne”.

W poczet największych oszustów przedwojennej Polski, takich, co to nie zadawalali się drobnicą i wyznawali maksymę: „Jeśli kraść, to miliony”, należałoby zaliczyć również niejakiego pana Rudolfa. Na długiej liście grzechów tego dżentelmena znajdują się między innymi oszustwa skarbowe, oszukiwanie bogatych kupców (sprzedawał im dwa razy ten sam towar) i wspólników (zazwyczaj wmawiał im, że spółka jest deficytowa, i w ten sposób za bezcen nabywał udziały), w końcu także kantowanie własnych pracowników i wierzycieli. Wartość nieujawnionego Skarbowi Państwa majątku Rudolfa opiewała ponoć na sumę dwóch i pół miliona złotych.

Kradną i grube ryby, taki na przykład warszawski milioner Bolesław P., właściciel pięciu majątków o wartości piętnastu milionów złotych, zapisuje się do banku średniego kupiectwa i wpłaca do niego dwadzieścia złotych tylko po to, aby otrzymać książeczkę czekową i za sprawą tychże czeków bez pokrycia regulować zaległości wobec wierzycieli.

Nic to jednak wobec przekrętu pana Włodzimierza Kopydłowskiego, który w drugiej połowie lat dwudziestych zdoła sprzedać kilku warszawskim głupcom… kolumnę Zygmunta, dzięki czemu zgarnie dwa tysiące złotych. Jeśli nie robi to na państwu wrażenia, dodam, że dżentelmen ten w Łodzi przehandluje za trzy i pół tysiąca wagon tramwajowy, a w stolicy – kolejkę dojazdową (przy okazji skłonił policję do postawienia specjalnego posterunku strzegącego fikcyjnej inwestycji). *Crème de la crème* jego działalności okaże się opchnięcie naiwniakom… Puszczy Białowieskiej. W celu przeprowadzenia tej transakcji pan Kopydłowski zakłada w Łodzi przy ulicy Piotrkowskiej biuro sprzedaży działek leśnych, na czym – nawiasem mówiąc – zarobi ponoć dwa miliony złotych. *Chapeau bas*, mistrzu Kopydłowski, Nikodem Dyzma pada panu do nóżek.

LUDZIE LISTY PISZĄ

W czasach, gdy o pracę ciężko, nietrudno dać się zwieść oszustowi żerującemu na cudzym nieszczęściu. Zwłaszcza gdy

obiecuje spokojną pracę biurową i wynagrodzenie w wysokości dwustu złotych miesięcznie. Pan Konrad Barra zamieści takie ogłoszenie w warszawskich gazetach i poprosi zainteresowanych, aby do zgłoszenia dołączyli znaczek pocztowy o wartości złotówki. Któż mógłby przypuszczać, że w podobny sposób zdoła się cwaniak obłowić. Oczywiście jest to niemożliwe, jeśli napłynie kilka zgłoszeń, ale gdy będzie ich kilkadziesiąt, a potem i kilkaset, to już całkiem udany koncept. Sprytny pan Barr, prowadzący w latach trzydziestych, jak wielu oszustów, biuro próśb i podań, w każdym liście znajduje dołączony przez interesantów znaczek pocztowy, ten zaś wymienia na gotówkę.

Pan Barr zapewne uczył się szachrajstwa od mokotowskiego cwaniaczka Wiktora Brandesa, on to bowiem właśnie cały ten trefny interes pocztowo-finansowy sprowadzi do rangi świetnie prosperującego geszeftu. W pierwszej połowie lat trzydziestych pan Brandes publikuje w prasie prostą szaradę (z którą – nawiasem mówiąc – poradziłoby sobie nawet dziecko) i obiecuje w zamian za jej rozwiązanie nagrodę w wysokości pięćdziesięciu złotych każdemu, kto odeśle odpowiedź pod wskazany adres i dołączy do niej trzy złote. W ten sposób warszawski oszust nabierze… półtora tysięcy ludzi, wyłudzając od nich cztery i pół tysiąca złotych.

Nie sposób przy tej okazji nie wspomnieć o inicjatywie Narodowego Klubu Pomyślności, pomysłodawcy tak zwanego łańcucha szczęścia, cieszącego się w latach trzydziestych ogromną popularnością, zresztą nie tylko w Polsce. W zabawie (której oszustwem nikt nie śmie wówczas nazywać) biorą udział nie tylko szaraczkowie, lecz także właściciele prywatnych firm, przedstawiciele magistratów, poczta, Bank Polski, a nawet instytucje państwowe.

Zabawa z łańcuchem szczęścia rozpoczyna się z chwilą otrzymania listu z nazwiskami pięciu osób. W skrócie naszym zadaniem jest po pierwsze – dopisać swoje nazwisko na końcu listy, po drugie – przekazać pocztą list pięciu zaufanym znajomym, a po trzecie – wysłać złotówkę na adres osoby

umieszczonej na pierwszym miejscu. Szybkie wyliczenia sporządzone przez jedną z warszawskich gazet pomagają ustalić, w jakim mniej więcej czasie nasze nazwisko ma szansę znaleźć się na pierwszym miejscu, a zatem kiedy i do nas zaczną spływać upragnione złotówki. Matematyka jest niestety nieubłagana, według wyliczeń przeprowadzonych przez pewną redakcję potrzeba do tego kolejnych piętnastu tysięcy sześciuset dwudziestu pięciu uczestników zabawy. Pozornie zatem szansa na zdobycie majątku jest w tym przypadku iluzoryczna, niemniej prasa wspomni przypadek pewnej kobiety przekonującej niedowiarków, że dzięki łańcuchowi szczęścia zdołała zarobić sześćset złotych. Trafiają się w Polsce rodziny, w których w łańcuch szczęścia na polecenie pana domu angażują się wszyscy członkowie familii, a o tym, że w zabawie bierze udział cała Polska, zapewnia pewna warszawianka, która otrzymuje listy ze Lwowa, Grodna, Krakowa, a nawet od sióstr ze Zgromadzenia Niepokalanek, które za sprawą łańcucha pragną zdobyć środki na budowę kościoła.

Gdyby i państwo pragnęli wziąć udział w zabawie, proszę o mnie pamiętać.

* * *

ROZDZIAŁ XVI
KLASA POLITYCZNA

N a o t w a r c i e S e j m u...

Z mowy posłanki p. Prystorowej (żony marszałka Senatu), wygłoszonej w Sejmie 18 marca 1936 roku:

„Sejm pełni rolę skromnego, posłusznego funkcjonariusza rządowego, którego całym zadaniem jest wstawanie i siadanie podczas czytania ustaw rządowych”[180].

* * *

WIELKA POLITYKA

Pewien lwowianin, gdy go zapytano o wrażenia z wizyty w polskim parlamencie, odparł, że porównać je można z pobytem w dworcowej poczekalni trzeciej klasy[181]. Chciałoby się zatem rzec, jak niewiele mimo upływu dziesiątek lat zmienili się wybrańcy narodu – ten sam lwi pazur, skłonność do demagogii, niekiedy ujmująca bezczelność, a do tego zniewalająca siła argumentów.

Emocji w gmachu przy ulicy Wiejskiej nie brakuje od samego początku, co gwarantuje już sejm pierwszej kadencji, w skład którego wchodzi stu czterdziestu czterech włościan i reprezentantów chłopskich, stu pięćdziesięciu tak zwanych inteligentów, dwudziestu czterech księży, trzech rabinów, osiemnastu ziemian, szesnastu rzemieślników, piętnastu robotników i jeden fornal. Wśród nich prezes frakcji PSL „Wyzwolenie” pojawiający się na obradach w chłopskiej

sukmanie czy poseł PSL „Lewica” Tomasz Dąbal, który w trakcie swoich dwunastu wystąpień w sejmie trzy razy zostanie przywołany do porządku, raz wyrzucony z sali i aż sześciokrotnie marszałek wyda wniosek, aby postawić go przed sądem.

Polscy politycy tylko pozornie mówią jednym językiem, bo ile partii, ile stronnictw i światopoglądów, tyle narzeczy w gmachu przy ulicy Wiejskiej. Wynika z tego wiele nieporozumień, jak to z dziesiątego stycznia 1929 roku, gdy zaplanowano posiedzenie Izby Skarbowej, podczas którego zamierzano zająć się rządowymi projektami ustaw podatkowych. Posiedzenie niestety się nie odbędzie, a co do przyczyn takiego stanu rzeczy, zdania się podzielone.

Blok Bezpartyjny (BB) twierdzi na przykład, że to wina absencji zmagającego się z chorobą przewodniczącego, profesora Krzyżanowskiego, i mającego go zastąpić posła Kiernika. Poseł Kiernik w odpowiedzi na komunikat BB wystosuje pismo do marszałka sejmu, w którym wyjaśni, że na posiedzeniu się stawił, ale ponieważ zastał jedynie siedmiu posłów, postanowił przełożyć rozpoczęcie obrad do czasu pojawienia się pozostałych przedstawicieli rządu. Posłowie zaś, dowiedziawszy się o opuszczeniu sali przez posła Kiernika, rozjechali się po kraju. Prasa skomentuje to następująco: „Był, ale wyszedł – przyszli, ale wyszli”[182].

Gmach przy ulicy Wiejskiej to jednak nie tylko wielka polityka. Owszem, zdarzy się od święta jakaś wiekopomna chwila, gorąca dyskusja czy chociażby emocjonująca awanturka z rządem, ale na co dzień nie poezją, lecz prozą żyje nasz parlament.

Nie znaczy to bynajmniej, że w sejmie nudno. Ciekawie robi się na przykład wówczas, gdy uwagę posłów przykuwa los… pustych butelek po wódce. Zastanawiają się wybrańcy narodu, dlaczegoż w Rosji Sowieckiej wykupuje się puste flaszki po trzy kopiejki za sztukę, a nad Wisłą jest to niemożliwe. I zamiast zarobić, butelki się niszczy. Każdy głupi potrafi wyżłopać flaszkę,

ale już zarobić na tym opróżnionym szkle, zarobić – dodajmy – dla dobra ogółu, to nie taka prosta sprawa. Prasa przekonuje, że budżet państwa traci na tym miliony złotych rocznie, bo sumienni obywatele dbają o interesy monopolu spirytusowego, a państwo – pozwalając na niszczenie butelek – wysiłki swych wyborców obraca wniwecz.

Czwartego marca 1921 roku za sprawą posła Skarbka uwagę parlamentarzystów przykuje temat zaginionych insygniów królewskich, temat szczególnie bliski środowiskom narodowym, a wyśmiewany przez niemal całą resztę. Skąd ten ambaras? Ano krążą wówczas po Polsce plotki, że insygnia królewskie należące w dalekiej przeszłości do polskich monarchów gdzieś się odnalazły, a chociaż poszukiwania nie przynoszą efektu, prawica będzie się domagać stworzenia specjalnej komisji sejmowej. Jak to zwykle bywa w przypadku dobrych historii kryminalnych z zaginionym skarbem w roli głównej, pojawiają się i polityk, i profesor, i proboszcz, czyli trochę jak w przypadku złotego pociągu w Wałbrzychu. Prasa wyśmiewa poszukiwaczy skarbów, ci oskarżają sceptyków o brak szacunku dla cennych pamiątek przeszłości.

Zajmują też posłów (to w roku 1928) nazwiska naszych rodaków, zwłaszcza te konotujące pewnego rodzaju niezręczności. Poseł Czernicki przedstawia projekt ustawy o zmianie nazwisk hańbiących (dzięki czemu rok później pan Bartłomiej Huj, starszy asystent kolejowy zamieszkały w Katowicach, będzie mógł zmienić nazwisko na Halicki), a przy tej okazji wypłynie też kwestia nazwisk żydowskich. Część posłów żąda, aby prawo do zmiany nazwiska przysługiwało wszystkim obywatelom poza Żydami, bo jakże to tak, aby jakiś stary Mendel nazywał się teraz Potocki lub Zamojski.

Z kolei w 1926 roku wśród wielu spraw poruszonych przez panów posłów znajdzie się miejsce na dyskusję na temat protekcji, na jaką mogą liczyć niektóre aktorki ze strony posłów i członków rządu. Wicepremier Bartel stwierdzi wówczas: „Co innego jednak zainteresowanie i popieranie sztuki, a co innego

popieranie aktorek”[183]. To prawda, panie premierze, ale nie dziwmy się politykom, bo taka aktoreczka niejednemu w głowie zawróciła. Krew nie woda, poseł nie ksiądz kanonik. Zawsze można przecież powiedzieć, że tu nie o romans chodzi, ale o wysoki poziom. Artystyczno-satyryczny.

Wicepremier Bartel odniesie się również do podejmowanej przez niektóre środowiska kwestii… długości spódniczek polskich studentek. Sprawa jest poważna, a ponieważ nie chciałbym zatrzeć sensu tej dyskusji, głos oddaję znawcom:

Samochód agitacyjny Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem na ulicy Piotrkowskiej w Łodzi podczas wyborów do Sejmu w roku 1930.

„Dr Bartel: Sprawą tą dotąd się nie interesowałem, a jest ona w ręku senatów akademickich. Ale jeżeli się mówi już o niewiastach, to pos. Kwiatkowski poruszył już sprawę krótkich i długich spódniczek i wynikających stąd konsekwencyj. Proszę uwolnić mnie od obowiązku mówienia o rzeczach, na których się nie znam.

Głos: Skandal.

Dr Bartel: To jest sprawa mody i rzecz nauczycielek, kuratorium, ażeby sprawa ta w szkole nie była przedmiotem ekscytacyj erotycznych. Trudno tę sprawę uregulować jakiemś rozporządzeniem ministerjalnem, któreby określało, że rękawki mają być dotąd, a spódnice licząc od dołu, najwięcej 30 cm oddalone były od terenu.

Głos: O jakim terenie pan wicepremier mówi?

Dr Bartel: Od podłogi czy od ziemi. My inżynierowie nazywamy to terenem.

Pos. Tabaczyński: Ale Ameryka daje w tym kierunku przepisy.

Dr Bartel: Mnie się zdaje, że regulowanie wszystkich przejawów życia rozporządzeniami ministerjalnemi niewiele by przyniosło korzyści”[184].

Korzyści bez wątpienia przynosi natomiast praca parlamentarzystów. Wszyscy mamy świeżo w pamięci nocne obrady sejmu, okazuje się jednak, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Zdarzy się bowiem już w 1933 roku, że polscy posłowie będą przyjmować ustawę o ustroju samorządowym o godzinie trzeciej w nocy. Te nocne Polaków rozmowy o Polsce to przede wszystkim zasługa ówczesnej opozycji stosującej tak zwaną obstrukcję techniczną polegającą na odwlekaniu za pomocą dostępnych środków uchwalenia ustawy.

„O godzinie 12-ej w nocy dyskutowano nad 63 artykułem nieszczęsnej ustawy samorządowej. Gmach sejmu a przede wszystkim sala obrad przedstawiała niesamowity widok. We wszystkich kątach na krzesłach, fotelach i ławach drzemali posłowie a na sali w pierwszych rzędach ławek poselskich czuwało kilku niestrudzonych opozycjonistów zmieniających się

co 10 minut na trybunie mówców”[185] – wspomni nocne obrady polskiego sejmu jedna z gazet.

Ostatecznie głosowanie uda się przeprowadzić, zakończy się ono o godzinie 1.50, a siedemdziesiąt minut później ustawa opracowana przez większość sejmową z Bloku Bezpartyjnego w porozumieniu z rządem zostanie wreszcie uchwalona.

Prowadzone przy Wiejskiej gierki polityczne i rozbuchane do granic przyzwoitości partyjnictwo, które tak zirytuje w pewnym momencie marszałka Piłsudskiego, trafnie podsumuje jedno z czasopism satyrycznych. Zażartują sobie panowie redaktorzy, którzy napiszą, że posłowie żydowscy, zmierzając do gmachu sejmowego, idą ulicami Gnojną i Mylną, ludowcy – Szarą i Twardą, socjaliści – Fabryczną i Ciasną, a narodowcy – Królewską i Próżną. Żadna z reprezentujących społeczeństwo frakcji nie będzie niestety kroczyć ulicami Czystą, Prostą, Rycerską i Zgody[186].

BURDY W MAGISTRACIE

Cóż tam jednak wielka polityka, gdy i na arenie samorządowej dzieje się w tamtym czasie niemało ciekawych rzeczy. A trzeba przy tym dodać, że nie mają w przedwojennej Polsce nasi samorządowcy łatwego życia, bowiem to właśnie ich obwinia się o wysokie ceny żywności, lichwę, czarny rynek, bezrobocie, strajki, repertuar teatrów, karaluchy w piekarniach i zniszczone bruki.

W dużych miastach często sprawa wygląda tak, jak chociażby w Łodzi. Pierwsze wybory do polskiego samorządu odbywają się tam 27 lutego 1919 roku, a od tego dnia rozpoczyna się w mieście włókniarzy trwający dwadzieścia lat polityczny kontredans. Władza przechodzi przez cały ten okres z rąk do rąk, a aktywność polityczna opozycji skupia się wyłącznie na negacji rządzącego stronnictwa, rzecz jasna bez względu na jego program i proponowane projekty.

Znawca historii Łodzi Jerzy Urbankiewicz wspominał, że gdy rządząca partia postanowiła wybudować teatr, opozycja

sprzeciwiała się temu pomysłowi, uznając przedsięwzięcie za deficytowe. Gdy jedni zamierzali wykupić tramwaje, bo były ku temu sprzyjające okoliczności, drudzy twierdzili, że za dwanaście lat przejdą one na własność miasta za darmo, a zatem transakcja jest pozbawiona sensu. Identycznie wygląda sprawa z wodociągami, kanalizacją, pomnikami, fabrykami czy bezrobociem[187]. Skąd my to znamy, prawda?

O „ulicach zarzuconych stosami ulotek” pisała prasa przy okazji niemal każdych wyborów. Na zdjęciu rozrzucanie ulotek propagandowych w okolicach widocznego w tle Dworca Wiedeńskiego. Wybory do Rady Miejskiej w Warszawie w 1938 roku.

Samorządowców zajmują na ogół kwestie poważne, zdarzy się jednak, że ich uwagę przykują rzeczy na pierwszy rzut oka błahe. Każdy każdemu patrzy tutaj na ręce, panowie radni liczą sobie nawet łyżki cukru w herbacie. Uwierzą państwo lub nie, ale w 1933 roku to właśnie wydatki administracji magistratu, a ściśle rzecz ujmując, wydatki na herbatę i cukier, znajdą się na świeczniku. Podczas posiedzenia Rady Miejskiej odbędzie się nawet dyskusja na ten temat, podczas której jeden z radnych zauważy, że w wydziale podatkowym na jeden kilogram herbaty zużywa się aż dziesięć kilogramów cukru, w opiece społecznej już szesnaście kilogramów, a najwięcej to słodzą w jeszcze innym wydziale, w którym proporcja ta przedstawia się następująco: jeden kilogram herbaty – czterdzieści kilogramów cukru. Z tego, co wiem, w tym czasie najwięcej słodzono w Łodzi, ale od tego słodzenia łodzianom wcale nie było bardziej do śmiechu.

Sprawa cukru nie wywoła jednak takich emocji, jak dyskusja na temat nadania parkowi przy ulicy Sędziowskiej imienia Andrzeja Struga, co oczywiście w smak było socjalistom i radnym żydowskim, ale spotkało się ze zdecydowanym sprzeciwem narodowców wypominających Strugowi powiązania z lożą masońską.

Obrady szybko przemieniają się w spór, ten w kłótnię, kłótnia w… bójkę. Kiedy jeden z radnych z koła narodowego postuluje, aby rzeczony park nazwać imieniem wachmistrza Bujaka (zamordowanego przez Żyda w Mińsku Mazowieckim[188]), „prezydent Wapiński gwałtownie zerwawszy się ze swego fotela podbiegł do radnego Dembińskiego i zepchnął go z podium, rozrywając mu przy tym marynarkę, koszulę i krawat”[189].

Wesoło jest więc w Radach Miejskich, wesoło i wśród przedstawicieli władz na prowincji. Kłopotów nastręcza tam między innymi rola starosty w powiecie, który łącząc stanowisko państwowe z samorządowym, od wszystkich tych zaszczytów zupełnie traci głowę. Na przykład starosta województwa poleskiego, chcąc się wykazać, postanowi pewnego dnia wybić wszystkie polskie byki i w ich miejsce sprowadzić buhaje

rozpłodowe z Hiszpanii. Na złość jednak panu staroście zwierzęta nie dotarły do Polski na czas. Rozczarowane były oczywiście nie tylko krowy.

Inny z kolei starosta sprawujący rządy w województwie kieleckim zmaga się z niezwykle klerykalnym składem sejmiku, który nagminnie odrzuca jego wnioski. Kiedy pewnego dnia miarka się przebierze, starosta – pragnąc wpłynąć na zmianę decyzji oponentów – klęknie na środku sali i rozpocznie głośne modły: „I prosimy Cię, Duchu Święty, abyś zachciał oświecić tych jełopów, by mogli głosować za wnioskiem pana starosty. Amen”[190]. Argument poskutkuje, tym razem wniosek starosty zyska uznanie w oczach przedstawicieli sejmiku.

AWANTURKA POLITYCZNA

Sztukę wyprowadzania z równowagi politycznych oponentów nasi parlamentarzyści opanowali w dwudziestoleciu międzywojennym niemal do perfekcji i doprawdy wiele jeszcze nauki przed obecną klasą polityczną, aby na tym polu dorównać mężom stanu z lat dwudziestych i trzydziestych. Sposobów na zirytowanie politycznych przeciwników jest w przedwojennej Polsce wiele, na przykład pewien poseł socjalistyczny podczas przemów polityków konkurencyjnego ugrupowania zakłóca ich wystąpienia… samochodową trąbką. Posłowie reprezentujący obóz narodowy w tym samym celu stukają palcami o pulpit, z kolei posłowie włościańscy intonują chłopski hymn pod tytułem *O cześć wam, panowie magnaci*.

Zdarza się zatem, że posłowie i posłanki rezygnują z argumentów merytorycznych na rzecz słowno-dźwiękowej szermierki, a chociaż zdaje się, że czynią to z większą fantazją niż dzisiaj, i wówczas trafi się taki, który nie zdoła utrzymać nerwów na wodzy. Zdarzy się nawet, że pan Bogusław Miedziński, doprowadzony do ostateczności przez opozycję, rzuci w stronę jednego z przeciwników siarczystym: „Pocałuj mnie w dupę!”. W kuluarach żartowano potem, że tego dnia

w sejmie wygłoszono cztery mowy opozycyjne i jedną propozycyjną.

Lokal Stronnictwa Narodowego został zdemolowany pół godziny po opuszczeniu budynku przez zebranych. Przed lokalem rozrzucono ulotki. Wybory do Sejmu i Senatu RP III kadencji. Warszawa, 1930 rok.

W dwudziestoleciu międzywojennym nawet pogrzeb okazuje się wyśmienitą okazją do politycznych przepychanek i demonstracji. W kwietniu 1927 roku w Warszawie odbędzie się pogrzeb posła Perla, związanego z Polską Partią Socjalistyczną, a chociaż zmarły był Żydem, socjaliści – organizatorzy pogrzebu, nie zamierzają o tym informować opinii publicznej. Inspirowane przez nich artykuły w prasie zawierają dokładny opis planowanej uroczystości, słowem nie wspominają jednak o miejscu pochówku, którym jest cmentarz żydowski.

Co więcej, aby nie skompromitować pogrzebu karawanem żydowskim, zamawiają socjaliści trumnę i karawan chrześcijański, a ponieważ na to nie zamierza przystać gmina żydowska, dojdzie w tej sprawie do absurdalnego kompromisu – zwłoki posła w ostatnią podróż mają zostać wyprawione na platformie chrześcijańskiej, przed którą wyruszy karawan żydowski.

Ale i na to socjaliści ani myślą się godzić, a w dniu pogrzebu wprowadzają w błąd kancelarię gminy żydowskiej, którą informują, że kondukt żałobny wyruszy spod mieszkania zmarłego nie o drugiej, jak wcześniej zaplanowano, lecz o trzeciej. Mniej więcej w tym samym czasie dwóch członków bojówki socjalistycznej porywa karawan ze zmarłym i odprowadza ją do budynku straży ogniowej. Dusza posła Perla zazna spokoju dopiero wiele godzin później.

JEŻELI WYBIERZEMY POSŁÓW DOBRYCH…

Polityka przykuwa uwagę elit narodu, zajmuje jednak także szarych obywateli, o czym przekona się Felicjan Sławoj-Składkowski, którego zaczepi w jednej z łomżyńskich restauracji niejaki pan Jan Stolarz pragnący z całych sił przedstawić Składkowskiemu swój program narodowy. Zamykał się on w dwóch wersach:

Zwolennicy PPS-u słyną w przedwojennej Polsce z ulicznych demonstracji. Na zdjęciu członkowie byłej milicji Polskiej Partii Socjalistycznej wyrażają poparcie dla rządu i Marszałka Piłsudskiego. Rok 1930.

„Po polsku pić, po polsku żyć,
Po polsku Niemca, bolszewika bić!”[191].

Stolarz nalegał, aby Składkowski zapisał treść tego osobliwego programu na kartce, bo jak stwierdził: „jedno słóweczko opuścicie i cały program, panie, do deudu!”[192]. Nie słyszałem, aby opcja polityczna reprezentowana przez Składkowskiego skorzystała podczas kampanii wyborczej z tego jakże nośnego hasła, a szkoda, bo zdaje się, że zjednałoby ono ekipie sanacyjnej grono wiernych sympatyków.

Nie znaczy to, że naszym przodkom brakuje inwencji w trakcie kampanii wyborczej. Ówczesne sztaby prześcigają się w pomysłach na to, w jaki sposób przekonać do siebie dotąd nieprzekonanych. Jeśli ludziom sprzykrzą się nudne zabrania, podczas których jedyne, co ulega zmianie, to twarze referentów, należy zerwać ze sztampą i zaskoczyć publiczność czymś niespodziewanym. Ozon[193] praski startujący w wyborach 1938 roku do Rady Miejskiej pod szyldem „Narodowo-Gospodarczego Komitetu Samorządowego” postanawia zorganizować spotkanie przedwyborcze w kinie Praga z dodatkową atrakcją w postaci muzyki na żywo. Koncepcja przednia, wszak kto by wolał zamiast orkiestry wysłuchiwać pompatycznych wynurzeń polityków. Kiedy zaś i muzyka znudzi się potencjalnym wyborcom, zaprosi nas Ozon na zebranie do kina Colosseum, gdzie po uprzednim wysłuchaniu wszystkiego, co panowie mają do powiedzenia na temat poprawy sytuacji w kraju, obejrzymy bezpłatnie film.

Gwoli ścisłości, warto dodać, że nie tylko organizacja polityczna wywodząca się ze środowisk sanacyjnych wpada w tym czasie na podobne pomysły, bo przoduje w dziedzinie szeroko rozumianego marketingu politycznego również Polska Partia Socjalistyczna, okraszająca wiece przedwyborcze występami artystów i koncertami orkiestr, a i komuniści (to w pierwszej połowie lat trzydziestych) głowę mają nabitą przednimi koncepcjami. Czerwoni towarzysze prężnie działający zwłaszcza w Zagłębiu Dąbrowskim postanawiają zaprosić

wyborców na spektakl teatralny. Z początku nie zorientują się państwo, że to miting polityczny, bo w kasie kina Capitol kasjerka sprzedaje bilety na *Tkaczy* Hauptmana. Prawda wychodzi na jaw dopiero podczas spektaklu – oprócz klasycznych scen przewidzianych w ramach sztuki Hauptmana publiczność będzie podziwiać tego dnia zaimprowizowane przez komunistycznych agitatorów scenki o silnym zabarwieniu politycznym. Zaalarmowana o skandalu policja była w rozterce, wszak mówcy polityczni mieli na sobie kostiumy i gdyby nie artystyczne wtręty w duchu marksistowskim, nikt nie zdołałby odgadnąć, o co w całej tej hecy chodzi.

Polityka to przecież sztuka, nikt nie śmie wątpić. Kiedy jednak nawet te wyrafinowane formy promocji okazują się niewystarczające, należy pójść za przykładem łódzkiego magistratu i zapewnić sobie przychylność prasy. Praktyka, zdaniem wielu komentatorów stosowana także dzisiaj, ma spore grono zwolenników i przed wojną. W 1933 roku łódzcy radni ubiegający się o kolejną kadencję wydadzą spore sumki na reklamę w popularnych dziennikach i nie chodzi tu bynajmniej o reklamę oficjalną. Magistrat opłaca bowiem dziennikarzy, a ci na łamach gazet wyliczają zasługi władz Łodzi, dowodząc przy tym, jak wielkim dobrodziejstwem dla miasta było ostatnich pięć lat rządów.

Przed wyborami 1928 roku nawet Marszałek Piłsudski zażąda od ministra skarbu pięciu milionów złotych na fundusz dyspozycyjny (ostatecznie wyniesie on osiem milionów złotych), a choć to niezgodne z prawem, pieniądze zostaną przeznaczone na akcję wyborczą. Wydawana we Lwowie „Gazeta Poranna” za przychylność będzie odtąd otrzymywać pięć tysięcy złotych miesięcznie. W podobny sposób Marszałek Piłsudski i jego ludzie kupią przychylność kilku innych dzienników i zjednają sobie sympatię paru wpływowych osób.

Kampanie wyborcze to pole do popisu dla polityków. Tylu prawd objawionych, tylu mądrości sączących się z krasomówczych ust kandydatów nie usłyszą państwo

w żadnym innym czasie. Jakże cenna jest chociażby świadomość tego, co też pan kandydat może obiecać, a jeśli startuje w wyborach nie po raz pierwszy, ile zdążył dać od siebie dotąd. Pewien sanacyjny poseł, pragnąc pochwalić dotychczasowe dokonania rządu, a co za tym idzie i swoje, podczas spotkania z wyborcami we Wronkach będzie dowodzić, że zbudowana przez rząd kolej łącząca Warszawę z Radomiem jest jedyna w swoim rodzaju, można nią bowiem podróżować tam i z powrotem. Oświeceni mieszkańcy wielkopolskiej miejscowości wiedzą już zatem wszystko. Przede wszystkim wiedzą zaś, że jeśli rząd bierze się do budowy kolei, nie jest to byle co. Pociągi kursujące w obie strony? Opozycja stwierdzi zapewne, że to rozpusta.

Co zaś do kwestii polaryzacji społeczeństwa, który to temat często podejmuje się i dzisiaj, z kronikarskiego obowiązku należy wspomnieć, że i wówczas podział na „tych” i „tamtych” istnieje w Polsce, nasilając się przed każdymi wyborami i to nawet w obrębie rodziny. Cóż bowiem począć, gdy ojciec jest zwolennikiem socjalistów, a syn sprzyja narodowcom, jak w rodzinie Bilkowskich w Pruszkowie?

Podczas wyborów nikt nie bierze jeńców… Na zdjęciu wnętrze zdemolowanego lokalu Stronnictwa Narodowego przed wyborami, nazwanymi przez przeciwników sanacji „brzeskimi”. Warszawa, 1930 rok.

Ojciec wyjaśnia synowi, z jakich powodów powinien oddać głos na socjalistów, a gdy ten uparcie obstaje przy swoim, posunie się do podstępu i w dniu wyborów zamknie pierworodnego w pokoju na klucz, co więcej – zabierze mu spodnie.

„I co, ptaszku? Czyje na wierzchu?" – zadrwi papa, lecz szybko zrzednie mu mina, gdy syn złoży skargę do prokuratora i zażąda pociągnięcia ojca do odpowiedzialności z artykułu 120 Kodeksu karnego. A to nie przelewki, bo za uniemożliwianie oddania głosu grozi w II RP kara do pięciu lat więzienia.

OBLEPIONE PLAKATAMI…

Jeśli należą państwo do grona przeciwników ciszy wyborczej, warto przypomnieć, jak to wyglądało przed wojną.

Jest rok 1938, dzień wyborów. W północnej części stolicy żydowscy agitatorzy grają na trąbkach majufes i zachęcają do oddania głosu na swoich kandydatów. Na ulicach panuje rwetes nie do opisania. Ulicami przemykają agitatorzy z torbami wypełnionymi rozmaitą wyborczą bibułą. Dzieciaki wyciągają z torby kartki i rozrzucają je po bruku. Na Woli całe ulice pływają w stosie ulotek, plakatów i broszur. Nie lepiej pod tym względem wygląda Śródmieście, gdzie wszystkie domy aż do wysokości pierwszego piętra są obklejone afiszami i gdzie spotkamy zwolenników pułkownika Sławka obdarowujących tłum wypełnionymi już kartami wyborczymi. W agitację na finiszu angażują się również wozy piekarskie – każdy oblepiony plakatami, każdy zachęcający do głosowania. Na prowincji zaś zdarza się, że ksiądz po pospiesznym odprawieniu mszy wraz z parafianami udaje się do komisji wyborczej, a uroczystemu pochodowi przygrywa miejscowa orkiestra.

„Spójrzcie tylko, proszę, na mury domów warszawskich, oblepione plakatami wyborczymi różnych partji od góry do dołu. A każda taka odezwa wyborcza przeciążona jest obietnicami wszelkiego gatunku, któremi każdy komitet szafuje hojnie, chcąc zwabić na ich lep jak największą ciżbę wyborców.

W trakcie wyborów w 1938 roku warszawskie ulice pokryły się stosami porozrzucanych ulotek. Na zdjęciu ul. Krakowskie Przedmieście, w tle kościół św. Krzyża i Pałac Staszica. Warszawa, grudzień 1938 roku.

Mniejsza o to, czy wszystkich tych obietnic będzie można dotrzymać. Chodzi przecież o wybory. A więc – aby handel szedł! Agitacja przedwyborcza kwitnie wszędzie. Rozsiadła się i rozpasła wygodnie na murach warszawskich”[194] – napisze w 1922 roku przed innymi wyborami „Kurier Warszawski”.

Zresztą nie wiadomo właściwie, o co tyle krzyku, skoro każdy doskonale wie, na kogo oddać głos. A jeśli ktoś z państwa niezdecydowany, niech idzie za radą jednego z przedwojennych czasopism. Trzeba przyznać, że pan redaktor trafia w punkt i nie sposób się z nim nie zgodzić.

„Sejm będzie dobrym, jeżeli wybierzemy posłów dobrych, będzie złym, jeżeli wybierzemy posłów złych. Jakich więc należy wybierać? Do sejmu powinni się dostać ludzie n a j m ę d r s i i n a j s u m i e n n i e j s i. Krzykacze i głuptasie niech w domu zostaną i przy piecu sobie fajkę zapalą”[195].

Co prawda złota recepta nie mówi nic o tym, co dzieje się wtedy, gdy „głuptaś” fajki nie pali, niemniej to drobny szczegół.

IDEOLOGIA WYBIÓRCZA

Prasa prawicowo-radykalna przekonuje, że główne wady „złych” Polaków to tchórzostwo i dowcipkowanie, a o obie oskarża przede wszystkim inteligencję, która jej zdaniem nie tylko ulega reżimowi (sanacji) i pragnie się jej przypodobać pochlebstwami, ale co więcej dewaluuje za pomocą wszędobylskiego szmoncesu każdego, kto pragnie podejść do bieżących spraw na poważnie. A zatem panowie z prawej strony chcą wszystko brać na serio, zresztą trudno się temu dziwić, bo opowiadane przez nich kawały najczęściej okazują się mało śmieszne.

Na ich usprawiedliwienie należy dodać, że chociaż istotnie dowcipy obozu sanacyjnego bywają najprzedniejsze, to gdy przychodzi do czegoś poważniejszego, wtedy dopiero zaczyna być zabawnie (i strasznie zarazem) – czcza gadanina, przerost formy nad treścią, a gdy brakuje argumentów, zamordyzm, Brześć, Bereza Kartuska.

Swoją drogą warto wspomnieć, że Berezę Kartuską, czarną plamę na honorze przedwojennej Polski, ówcześni traktują niekiedy jako rodzaj ośrodka wychowawczego. Zdarzy się nawet, że pewien warszawski kamienicznik złoży podanie do władz administracyjnych z prośbą, aby w tym ponurym miejscu odosobnienia zamknąć na jakiś czas jego syna, sprawiającego coraz większe kłopoty wychowawcze. Pan Majer grozi nawet popełnieniem samobójstwo w przypadku odmowy. Zdaje się zatem, że propaganda sanacyjna trafiła na podatny grunt, gdyby bowiem pan Majer wiedział, w jakich warunkach prostuje się wychowanków tego obozu, z pewnością nie zechciałby w to miejsce wysyłać syna.

Palmę pierwszeństwa w sporze ideowym rozpalającym do czerwoności należy przyznać komunistom, bo to ich retoryka i sposób agitacji są dalekie od wszystkiego, co w Polsce przedwojennej powiedziano czy to po prawej, czy też po lewej stronie politycznej barykady. Któżby inny, jeśli nie opiekunowie komórek komunistycznych, jest gotowy wmawiać ludziom, że dzięki kolektywizacji gospodarki w Rosji Sowieckiej powstało zboże o kłosach długich na czterdzieści centymetrów. Brawo, panowie czerwoni. Narodowi demokraci, ludowcy i nawet ci z obozu sanacyjnego jeszcze wiele muszą się od was uczyć.

NOWY HYMN

Chociaż nasi przodkowie żyją w niezwykle ciekawych czasach, nudzi im się do tego stopnia, że w 1935 roku całkiem poważnie jest rozważana możliwość zmiany słów hymnu narodowego. Ogłoszono nawet w związku z tym – i to pod egidą Polskiej Akademii Literatury – specjalny konkurs mający wyłonić nowy tekst. Zastanawiano się również nad zmianą melodii hymnu (ponoć rozważano połączenie *Mazurka Dąbrowskiego* z *Pierwszą Brygadą*), czemu jednak sprzeciwił się Marszałek Piłsudski, który miał stwierdzić, że w tym temacie nie należy niczego poprawiać, bo stara melodia najlepiej przemawia do rodaków.

Z jakiego powodu słowa napisane przed laty przez Józefa Wybickiego znalazły się na indeksie? Podobno dlatego, że – jak przekonują entuzjaści pomysłu – brakuje w nich „rzeczywistego kształtu Niepodległości, nie ma odrodzonej Rzeczypospolitej, nie ma horyzontu ideowego, rzutowanego w przyszłość, świadomości przeznaczeń narodowych”[196].

Większość ludzi przeciera oczy ze zdumienia, inni uśmiechają się ironicznie, cóż jednak zrobić, Polska Akademia Literatury grzmi, że tamto stare i brzydkie, należy więc schować do „relikwiarza pamiątek narodowych” i zastąpić czym prędzej nowym. Poeci, którym poskąpiono dotąd chwały, oraz wszyscy pozostali niespełnieni literaci chwytają za pióra i kreślą na nowo, tak by każdy nowoczesny Polak mógł zrozumieć i na nowo zachwycił się tekstem hymnu.

Wybicki przewraca się zatem w grobie, a twórców angażujących się w akcję poklepują po plecach niektórzy politycy i część prasy, na przykład specjalizujący się w wyborach Miss Polski „Express Poranny” proponuje, by nowy hymn wyłonić za pomocą… plebiscytu-konkursu zorganizowanego wśród czytelników gazety.

„ILUSTROWANY KURYER CODZIENNY" Nr. 352. Poniedziałek, 29 grudnia 1930 r. 11

Polska otrzyma kolonję w Afryce?

(Telefonem od naszego korespondenta)

Wilno, 27 grudnia. (Hr). Według uporczywej wersji, podawanej ze strony osób, zbliżonych do rodziny Marsz. Piłsudskiego, zamieszkałej w Wilnie, Marsz. Piłsudski podczas swego pobytu w Lizbonie zakończył pomyślnie pertraktacje, prowadzone od dłuższego czasu z rządem portugalskim w sprawie nabycia przez Polskę Angoli, kolonji portugalskiej w Afryce. W ten sposób Polska stałaby się właścicielką pierwszej kolonji, co miałoby ogromne znaczenie dla emigracji i handlu zagranicznego.

(Wiadomość ta, która wymaga potwierdzenia, podajemy z obowiązku dziennikarskiego. Red.)

Naszym przodkom marzyły się kolonie w Afryce… „Ilustrowany Kuryer Codzienny” z 1930 roku.

Na szczęście nie wszyscy w tym szaleństwie tracą głowy, krakowski „Czas” odnosi się do sprawy następująco: „Jeśli już bawić się w konkursy – trzeba było rozpisać konkurs… na najpoczytniejszego czy najbardziej lubianego poetę i muzyka i im powierzyć reprezentację barw narodowych. Tylko czekać, jak delegacja wybranych, złożona z przedstawicieli Akademii i 10-groszowego wydawnictwa, zjawi się u Leopolda Staffa i Karola Szymanowskiego z zamówieniem na słowa i muzykę. Tak, byłoby to zabawne urozmaicenie dnia powszechnego, gdyby nie drobnostka, że w ten sposób… nie tworzy się hymnów narodowych. Można tak co najwyżej wybierać Miss Polonię”[197].

PRZESUNĄĆ GRANICĘ

Polscy politycy łamią sobie głowę, jak zapewnić narodowi dobrobyt, a jednocześnie nie prowokować groźnych sąsiadów, tymczasem za ich plecami naród na własną rękę, za nic mając pakty o nieagresji, powiększa terytorium kraju.

W lipcu 1938 roku pewien rolnik w nadgranicznej wiosce Borki osobiście przestawi słupy graniczne, anektując w ten sposób, niestety na krótko, kawałek niemieckiej ziemi. Zamiast jednak spodziewanych podziękowań od ministra Becka, pomysłowy rolnik otrzyma wyrok i zostanie skazany na sześć miesięcy więzienia, co ma stanowić dla wszystkich nauczkę, tym bardziej że do podobnej sytuacji doszło nie po raz pierwszy.

„Machon podpiwszy sobie, wpadł w wojowniczy nastrój, udał się nad granicę, i przesunął kamień graniczny o jeden metr w stronę Niemiec. Władze polskie nie zgodziły się jednak na taki system powiększania obszaru naszego państwa i pociągnęły zaborczego Machona do odpowiedzialności”[198] – donosi „Express Wieczorny Ilustrowany” o przypadku Ignaca Machona z 1933 roku.

Właśnie to polityka i chęć zysku potrafią zrobić z człowieka.

* * *

ROZDZIAŁ XVII
ROZPORZĄDZENIA, PRAWA, USTAWY

Przeszło 250 000 złotych wynoszą nadużycia w urzędzie skarbowym w Olkuszu

„*Olkusz, 14.12. – Wielka afera w sprawie nadużyć w urzędzie skarbowym w Olkuszu zatacza coraz szersze kręgi. Zaaresztowani urzędnicy dopuszczali się m.in. nadużyć przy wpłacaniu podatków i zapisywaniu fałszywych sum do ksiąg urzędu skarbowego. […]*

W związku z tą aferą urząd skarbowy w Olkuszu zastosował niesłychaną wobec płatników taktykę. Mianowicie wysyła on płatnikom ponowne nakazy płatnicze od r. 1931 i jeśli płatnik nie przechował kwitu, żąda od niego zapłaty, mimo że odpowiednia kwota figuruje w księgach jako wpłacona”[199].

* * *

NIE ŚMIE BYĆ INACZEJ!

Podczas ćwiczeń przeciwlotniczych, przeprowadzonych w Krakowie w 1938 roku, pisarz Ksawery Pruszyński, który kilka lat wcześniej przeżył prawdziwe bombardowanie w owładniętej wojną domową Hiszpanii, wzbudza wielkie zainteresowanie pewnego dozorcy.

„– A syreny gwizdały? […]

– Nie.

Wielkie zdumienie.

– To jakże – powiada inspektor z papierami – ludność dowiadywała się, że jest napad lotniczy?

– Wie pan – powiadam – był na to prosty sposób: lotnicy zrzucali bomby, i…

Inspektor z papierami jakoś nie kapuje:

– To przeciwna strona dawała znać???

– No… – powiadam – tak. Bombardując. […]

– Bałagan u tych Hiszpanów, bałagan. U nas nie śmie tak być! Widział pan? Plakaty porozlepiane wszędzie, przepisy, zarządzenia, okólniki. Nie śmie być inaczej! Wtedy dopiero może być nalot…”[200]

Przepisy obowiązujące w przedwojennej Polsce, a przede wszystkim ich interpretacja, stanowią nieprzebrane źródło najcudowniejszych dziwactw i absurdów. Ażeby zgłębić przedwojenne polskie prawodawstwo, należałoby poza Dziennikiem Ustaw zaznajomić się jeszcze z Monitorem Polskim, dziennikami rządowymi i szesnastoma dziennikami wojewódzkimi. Sam zaś Dziennik Ustaw w roku 1936 to zbiór trzynastu tysięcy ustaw i rozporządzeń, z czego część pochodzi z ustawodawstwa zaborców, a trafiają się tu nawet zapisy z osiemnastego wieku.

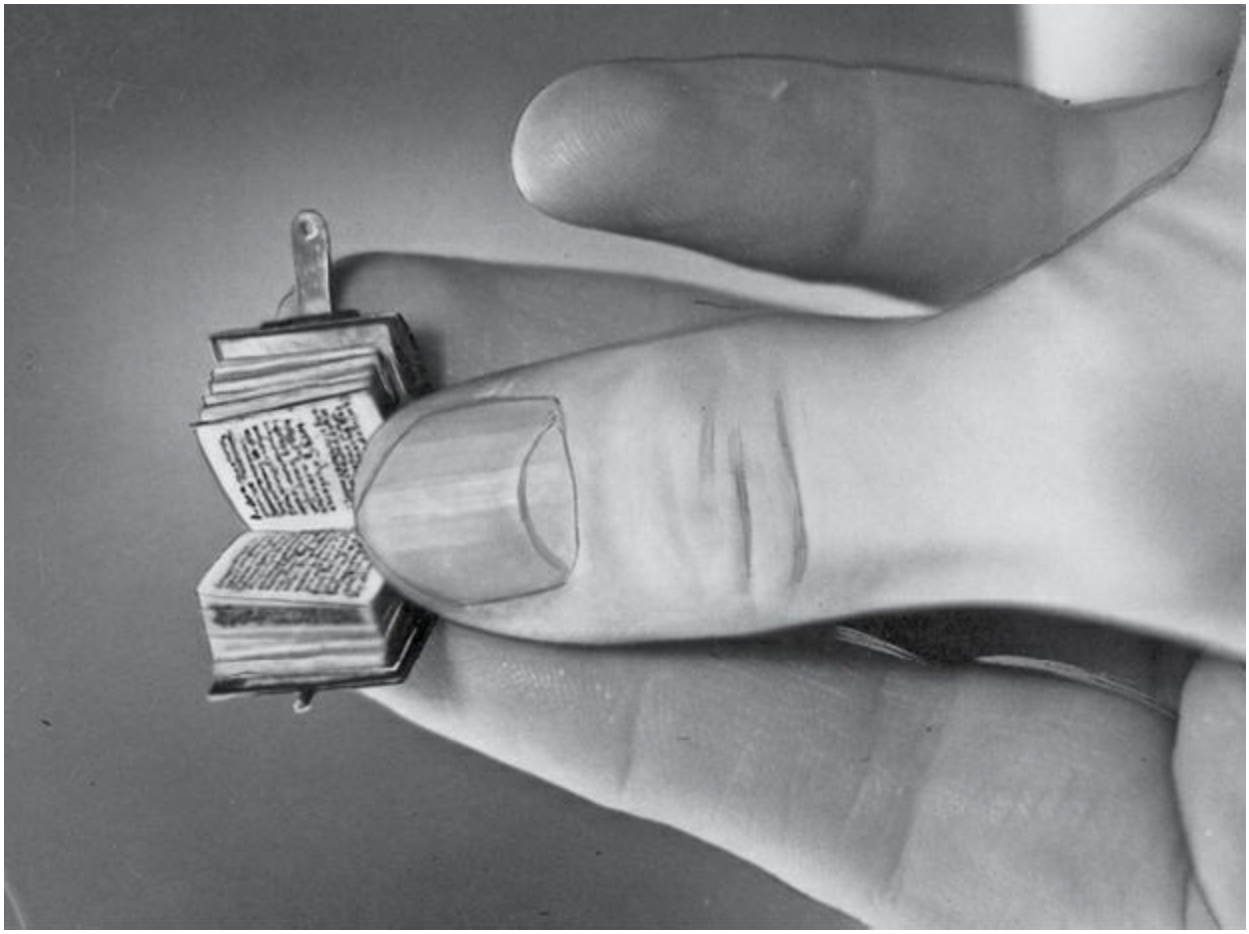

Oprawiony w srebrną okładkę unikalny egzemplarz Konstytucji RP z 1935 roku o mikroskopijnych wymiarach (8 × 10 × 5 mm).

Gdy dodać do tego liczne nowelizacje ustaw, które z prawa czynią łamigłówkę niezrozumiałą dla szarego człowieka, nietrudno zrozumieć, że „z wysokiego piedestału korektora życia prawo spada w oczach ludności do roli bezużytecznego kuglarstwa”[201].

Administracyjnych rozporządzeń i nakazów, którymi obkłada się polskich obywateli, jest całe mnóstwo. Oto przykład – na wschodzie kraju w dniu święta narodowego każdy sklepikarz ma obowiązek wystawić w witrynie sklepowej portrety „ojców narodu”. A zatem administracja nie tylko zmusza właściciela sklepiku, aby takie obrazy zakupił, lecz także nakazuje mu w wybrane dni je eksponować. Dysponuje więc właściciel sklepu dwoma obrazami Marszałka Piłsudskiego, dwoma – prezydenta, dwoma – Rydza-Śmigłego, a na dodatek jeszcze portretem świętej pamięci ministra Bronisława Pierackiego. W dniu święta policjant zjawia się w sklepie przed godziną dziewiątą rano i jeśli z witryny nie wygląda na ulicę Marszałek wespół z panem ministrem, właściciel może mieć z tego powodu spore nieprzyjemności.

SŁAWOJKI

Z wprowadzania dużej ilości biurokratycznych i niekiedy dość kontrowersyjnych przepisów zasłynie zwłaszcza minister spraw wewnętrznych Felicjan Sławoj-Składkowski. To właśnie on, pragnąc poprawić złą sytuację sanitarną polskiej wsi, zainicjuje akcję stawiania zabudowanych ustępów na każdej działce. Żartowano, że cały pomysł wziął się z niechęci ministra do załatwiania potrzeb fizjologicznych w szczerym polu i tylko z tego powodu chłopi zostali zmuszeni do budowy tak zwanych sławojek. Minister nie zwykł przejmować się docinkami opozycji, jednak jego pomysł nie spotykał się także z entuzjazmem mieszkańców prowincji, przyzwyczajonych do tego, że „te” sprawy załatwia się pod krzaczkiem za stodołą. Ostatecznie chłopi postawią wygódki obok domów, ale wielu z nich zabije

drzwiczki gwoździami, aby – jak będą tłumaczyć – nikt im w środku nie nabrudził.

Temat toalet w tamtym czasie ekscytuje nie tylko ministra spraw wewnętrznych. Na dowód przytoczę fragment sprawozdania warszawskiej rady miejskiej, która poruszyła temat kobiet zatrudnionych w szaletach miejskich. Poruszyła, dodajmy, w sposób dość obcesowy.

„Radny ks. Hilchen (OZN) domagał się, aby w miejskich szaletach nie zatrudniać kobiet, gdyż jest to dla mężczyzn krępujące. W odpowiedzi zabrał głos dyrektor ZOM płk Meyer[202], który stwierdził, że wydział personalny przyjmuje do tej pracy tylko kobiety stare i brzydkie”[203].

Stare i brzydkie już mężczyzn nie krępują… Co innego powabne, młode, całkiem jeszcze do rzeczy – przy takiej nie sposób.

KTO KOMU SŁUŻYĆ POWINIEN?

Nos dla tabakiery, nie tabakiera dla nosa. Z tego założenia wychodzą w przedwojennej Polsce rozmaite instytucje – państwowe, a niekiedy i prywatne. Przykład idzie z góry, ot choćby ze strony urzędników gminnych, reprezentujących bądź co bądź majestat Rzeczpospolitej w mniejszych miejscowościach. Cóż, że szary obywatel żyje tam zazwyczaj w ubóstwie, a płacąc podatki, dźwiga na plecach ciężar nieudolnie prowadzanych rządów w gminie – dla pana wójta i wielu jego urzędników jest nikim.

„Paszoł won!” – takimi słowy pożegna pewien urzędnik petenta w urzędzie gminnym w Falenicy, potem złapie biedaka za kołnierz i wyrzuci za drzwi na zbity pysk. Śmiał prostaczek prosić o audiencję u pana wójta, śmiał dopominać się załatwienia sprawy. Miał czelność wymagać. A pan wójt zajęty. Nie raczy przyjmować interesantów. O godzinie pierwszej po południu udaje się na obiad.

Do podobnych zdarzeń dochodzi w tym czasie nie tylko w Falenicy, w wielu miejscach Polski chłop jest zmuszony

wykazać się anielską cierpliwością, co oznacza godziny spędzone na mrozie i deszczu w oczekiwaniu na to, aż szanowny pan urzędnik zlituje się nad biedakiem i raczy zaprosić go do gabinetu.

ŚWIĘTY BIUROKRACY

Warszawski „centralizm” i posunięta do granic absurdu biurokracja spędzają sen z powiek obywatelom Drugiej Rzeczpospolitej. Nie daj Boże na przykład, aby krewny mieszkający za granicą zechciał przesłać nam upominek. Ot, choćby w postaci małej skrzyneczki doskonałych owoców. Sympatyczny prezent i dowód pamięci bliskich rychło może się zmienić w pasmo udręk, o czym przekona się emerytowany sędzia Sądu Najwyższego w Krakowie, pan Wilhelm Binder.

W czerwcu 1925 roku państwo Binderowie otrzymują list z zawiadomieniem informującym o przesyłce od przyjaciela z zagranicy zawierającej dziesięć kilogramów jabłek. W związku z tym adresatów poproszono o osobiste stawienie się w urzędzie celnym, tam zaś poinformowano, że do odebrania przesyłki niezbędne jest przedłożenie pozwolenia na przywóz wydanego przez Ministerstwo Handlu i Przemysłu w Warszawie. W Krakowie nikt takiego papieru wydać nie może, zatem – aby odebrać skrzyneczkę jabłek – emerytowany sędzia jest zmuszony wysłać do stolicy prośbę o wystawienie niezbędnego dokumentu. Ministerstwo Handlu i Przemysłu odpowiada po jakimś czasie, że owszem, pozwolenie wyda, lecz wpierw należy uregulować opłatę manipulacyjną w wysokości jednego złotego w kasie urzędu celnego w Warszawie. Pan Binder walczy dzielnie o swe zagraniczne jabłka i przesyła przekazem pocztowym złotówkę urzędowi celnemu w stolicy, a potem donosi uniżenie o spełnieniu wszystkich warunków Ministerstwu Handlu i Przemysłu. Pół roku później (!) otrzymuje wreszcie zaświadczenie umożliwiające odebranie z urzędu pocztowego w Krakowie skrzynki jabłek.

System działa zatem bez zarzutu. Ministerstwa, urzędy celne, poczta – każdy zna swoje miejsce w szeregu, każdy wie, kto w tej hierarchii najważniejszy. Tylko o człowieku, zdaje się, zdarzy się niekiedy urzędnikom zapomnieć.

Najlepiej wiedzą o tym w Łodzi, o której mówi się niekiedy, że wisi na biurokratycznym haku lub klęczy przed świętym Biurokracym. Tutaj każdy jest zmuszony wciąż o coś prosić i coś pisać – a to memoriały, a to protokoły, a to odwołania, podania, wyjaśnienia i rekursy, nic zatem dziwnego, że jak grzyby po deszczu powstają kolejne biura próśb i podań, zakładane zresztą nie zawsze przez ludzi godnych zaufania.

Jedyną zaletę biurokracji stanowi jej niedorzeczność. Rozrywka to jednak dość osobliwa, dostarczająca uciechy zwykle tym, którzy zasiadają w drugim rzędzie. Weźmy taki jednopiętrowy dom przy ulicy Grochowskiej 189a. Wybudowany przed wieloma laty stoi w części na terenie miasta Warszawy, a w części na terenie powiatu. Łączą się z tym nie byle jakie przyjemności. U właściciela budynku o podatek upomina się zarówno warszawski urząd skarbowy, jak i ten obsługujący powiat, mieszkańcy nie wiedzą zaś, czy powinni być zameldowani w stolicy, czy może w gminie wawerskiej. Z kolei kiedy pewnej mieszkającej tu rodzinie urodzi się syn, ojciec – aby ustalić, w której parafii i w którym urzędzie stanu cywilnego powinien ubiegać się o metrykę – przejdzie przez biurokratyczne piekło.

NONSENSY CELNE

„Kto nie widział celnika polskiego przy robocie, nie potrafił sobie wyobrazić geniusza, mającego na celu zniszczyć za jednym zamachem wyniki propagandy najdroższej na świecie. […] Polacy uzbrojeni od stóp do głów wymachują latarkami, zapędzają panów i panie”[204].

Urzędy celne dostarczają w dwudziestoleciu międzywojennym wielu powodów do drwin. Oczywiście zdarza się, że nadgorliwość celników jest uzasadniona, bo przemyt to

intratne zajęcie i wielu się nim w tym czasie zajmuje. Jesienią 1924 roku celnicy pracujący w Dziedzicach złapią na gorącym uczynku pana Rosenberga z Wiednia, który dwa gumowe rulony o długości dziewięciu centymetrów, z których w sumie ukryto 4550 dolarów, spróbuje przemycić w… odbycie.

Z reguły wygląda to jednak tak, że szajki przemytnicze hasają bezkarnie, bez większych problemów wyprowadzając w pole władze, a zwykłych obywateli pociąga się do tak zwanej odpowiedzialności celnej z byle powodu, zazwyczaj na ich życzenie, gdyż lojalnie okazują „skarby" wwożone do kraju.

Większość stroi sobie z tego żarty, ale śmiesznie przestaje być wtedy, kiedy ponury celnik przydybie kogoś z nas, jak wspomnianego pana Bindera z paroma kilogramami zagranicznych jabłek. Z pewnością nie do śmiechu będzie też pewnemu dżentelmenowi, który przywiezie z Francji albumik z kartkami pocztowymi o wartości jednego złotego i zostanie zobligowany do uiszczenia za niego opłaty celnej w wysokości dziesięciu złotych.

A już zupełnie rozkłada na łopatki przypadek krakowskiego klubu piłkarskiego. Nie jestem pewny, czy chodziło o Wisłę, czy o Cracovię, w każdym razie jeden z tych zasłużonych dla polskiego futbolu klubów podczas wizyty w czeskiej Pradze otrzyma pamiątkowy proporzec, który – jak okaże się w urzędzie celnym – również podlega ocleniu. Urzędnicy zażyczą sobie za niego sześciuset złotych, a kiedy klub wniesie w tej sprawie odwołanie, wniosek zostanie odrzucony, a krakowska drużyna zostanie skierowana do Ministerstwa Skarbu w Warszawie, aby wyjaśnić sprawę. Nic w tym zresztą dziwnego, skoro polscy celnicy nie zamierzają w roku 1924 przymknąć oka nawet na puchary, którymi polscy sportowcy zostali obdarowani w Sztokholmie w trakcie igrzysk olimpijskich.

O władzy dzierżonej w rękach celników przekona się też pewien korespondent „Ilustrowanego Kuryera Codziennego", na stałe mieszkający w Niemczech. Pan redaktor zatęskni za ojczyzną i pewnego dnia postanowi wyskoczyć do Polski na

wakacje. Granicę przekracza w Kończycach na Górnym Śląsku i co znamienne – załatwienie formalności z niemieckim celnikiem zajmie mu minutę, z polskim… nieco dłużej.

Ten drugi niestety słabo zna obowiązujące przepisy, z nastroszoną miną domaga się od podróżnego przedłożenia polskiej wizy, której dziennikarz posługujący się wizą niemiecką nie jest zobowiązany posiadać, a jakby tego było mało, zażąda też opłacenia podatku.

„– Pan zapłaci śląski podatek samochodowy: 58 złotych.

– Jaki podatek?

– No, śląski podatek samochodowy za cały rok, który płaci każdy samochód przebywający w woj. śląskim.

– Kiedy ja na Śląsku nie zabawię ani przez miesiąc, ani nawet przez dzień, a tylko przez dwie godziny. Jadę stąd wprost do Krakowa i Zakopanego. […]

– Widzi pan tę kupkę tryptyków? – powiada – wszystko to zapłaciło śląski podatek samochodowy! Ot, ten tu nie jechał w ogóle do Polski, ale do Pragi, przez Śląsk. Ten znowu jechał z Danii do Budapesztu. Nigdzie żadnych podatków nie płacił, ale u nas na Śląsku takie jest prawo i koniec”[205].

Jak koniec, to koniec. Wytarguje pan redaktor zniżkę i zapłaci jedynie za pół roku. Dobre i to, gdy trzeba zmierzyć się z polskim celnikiem.

A walka z nim jest nierówna i z reguły przyprawia o ból głowy. Wspomina się w tamtym czasie o przypadku kobiety, która pod koniec lat dwudziestych w czeskim Cieszynie zakupiła za czterdzieści groszy piętnaście pieczonych kasztanów. Na swoje nieszczęście niewiasta zdecyduje się na konsumpcję w polskim Cieszynie, a łupiny schowa w torebce.

Teraz do akcji przystępuje polski urzędnik celny. Jego nie oszukasz. Niejedno już widział. Tym zaś razem zauważy *corpus delicti* ukryty przez okiem sprawiedliwości w kieszeni, ujrzy więc zbrodnię w całej okazałości. Panna ląduje w urzędzie celnym, gdzie urzędnik nakazuje jej zapłacić – 35 groszy tytułem cła i 50 groszy opłaty manipulacyjnej, łącznie 85 groszy – za kasztany

o wartości czterdziestu groszy, za kasztany zjedzone w polskim Cieszynie.

PRZEPISY DROGOWE

Na polskich drogach bywa niebezpiecznie już w dwudziestoleciu międzywojennym, a to nie za sprawą samochodów, bo tych wciąż jest niewiele, a przede wszystkim wozów i rowerów.

Dziś, mówiąc o piratach drogowych, mamy zwykle na myśli nieodpowiedzialnych kierowców samochodów osobowych lub ciężarówek, w latach trzydziestych nazywano tak zaś… furmanów. Ci nie dość, że zupełnie nie przejmują się obowiązującymi przepisami, to na domiar złego zazwyczaj bywają dojmująco złośliwi wobec pozostałych uczestników ruchu drogowego. W 1937 roku Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wraz z Ministerstwem Komunikacji zorganizuje w związku z tym specjalną policję drogową składającą się ze stu funkcjonariuszy wyposażonych w motocykle.

Dzięki nim bezpiecznie ma być odtąd na polskich drogach, te zaś, nawiasem mówiąc, w drugiej połowie lat trzydziestych wciąż prezentują się marnie (na tak zwaną twardą nawierzchnię, do której zaliczono również kocie łby, składa się w Polsce zaledwie sześćdziesiąt tysięcy kilometrów), żeby więc zrekompensować lata zaniedbań na tym polu, władza opowiada się za budową nowych dróg, a jednocześnie zachęca obywateli do nabywania automobili.

W chwili gdy polska prasa woła: „Nabywca samochodu spełnia najpilniejszy obowiązek wobec kraju”, w Ministerstwie Komunikacji powstaje projekt zakładający, że na każdego obywatela zarabiającego powyżej przeciętnej (to jest powyżej tysiąca złotych miesięcznie) powinien spaść obowiązek (!) zakupu jednego polskiego samochodu. W ten sposób, o czym ministerstwo jest przekonane, zapewni się rozwój polskiemu przemysłowi samochodowemu. Niestety, pomysł przymusowej motoryzacji kraju spalił na panewce, z dwudziestu pięciu tysięcy

obywateli, którzy przyznali się do tak wysokich zarobków, większość w tym czasie miała już samochody.

Przedstawiciele władzy nie ustają jednak w wysiłkach mających na celu poprawę sytuacji na drogach, a że głowy mają pełne pomysłów, wciąż czymś zaskakują. W pierwszej połowie lat trzydziestych postanawiają nauczyć obywateli… właściwego przechodzenia na drugą stronę ulicy. Teraz już nie będzie można, jak komu wygodnie i szybciej, teraz wyłącznie według regulaminu. W całej Polsce odbywa się, nie po raz pierwszy zresztą w historii II RP, nauka chodzenia.

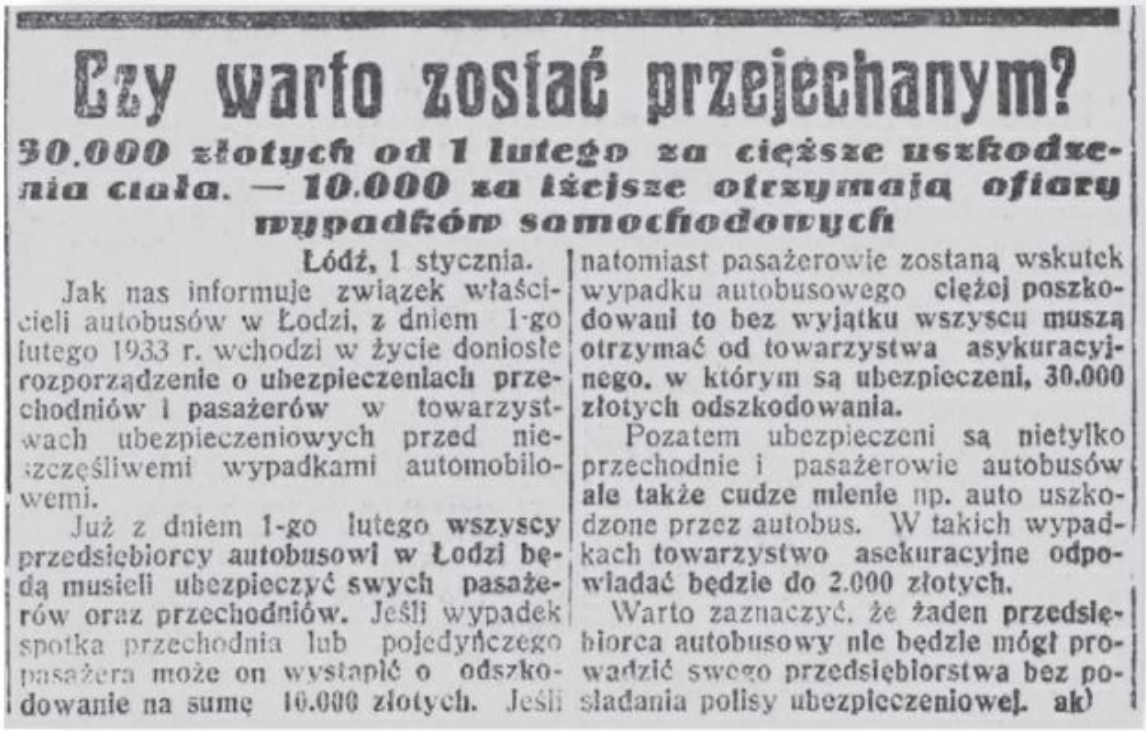

Czy warto zostać przejechanym?

30.000 złotych od 1 lutego za cięższe uszkodzenia ciała. — 10.000 za lżejsze otrzymają ofiary wypadków samochodowych

Łódź, 1 stycznia.

Jak nas informuje związek właścicieli autobusów w Łodzi, z dniem 1-go lutego 1933 r. wchodzi w życie doniosłe **rozporządzenie o ubezpieczeniach przechodniów i pasażerów** w towarzystwach ubezpieczeniowych przed nieszczęśliwemi wypadkami automobilowemi.

Już z dniem 1-go lutego **wszyscy przedsiębiorcy autobusowi w Łodzi będą musieli ubezpieczyć swych pasażerów oraz przechodniów.** Jeśli wypadek spotka przechodnia lub pojedyńczego pasażera może on wystąpić o odszkodowanie na sumę 10.000 złotych. Jeśli natomiast pasażerowie zostaną wskutek wypadku autobusowego **ciężej poszkodowani to bez wyjątku wszyscu muszą otrzymać od towarzystwa asykuracyjnego, w którym są ubezpieczeni, 30.000 złotych odszkodowania.**

Pozatem ubezpieczeni są nietylko przechodnie i pasażerowie autobusów **ale także cudze mienie** np. auto uszkodzone przez autobus. W takich wypadkach **towarzystwo asekuracyjne odpowiadać będzie do 2.000 złotych.**

Warto zaznaczyć, że **żaden przedsiębiorca autobusowy nie będzie mógł prowadzić swego przedsiębiorstwa bez posiadania polisy ubezpieczeniowej. ak)**

Warto być przejechanym?... „Express Wieczorny Ilustrowany” z 1933 roku.

Na ulice największych miast, Warszawy czy Łodzi, wychodzą stróżowie porządku czyhający na najmniejszy błąd szarego obywatela. A każdy słono kosztuje – płaci się za niego złotówkę. Dużo wody upłynie w Wiśle i sporo kwitów wypiszą policjanci, zanim pojmie Polak, że w „tym" miejscu przebiegać przez ulicę nie wolno, a „tam" droga wolna.

Podobne manewry uliczne przeprowadza się w Łodzi już w połowie lat dwudziestych, chociaż samochodów jest tu w tym czasie znacznie mniej niż w stolicy. Ćwiczenia trwają do skutku, z czego kpi łódzka prasa: „Na jezdnię schodzić nie wolno, nie uda ci się iść dokładnie po wytyczonej linji, to posterunkowy pięć razy każe ci się wrócić, krzycząc: ćwicz! […]

Przechodzą dwie panie z jednej na drugą stronę ulicy!

Wiedziały, iż mają obowiązek patrzeć raz w lewo, raz w prawo i nie bać się! – Biedaczki już w środku ulicy zapomniały, w którą stronę mają się patrzeć – a widząc obserwującego ich policjanta – umknęły z powrotem!"[206].

PROJEKT

W 1934 roku kapitan rezerwy Stanisław Michalski przesyła Ministerstwu Spraw Wewnętrznych, a potem też innym urzędom, projekt własnego autorstwa, projekt – dodajmy – wypieszczony, któremu poświęcił aż dwanaście miesięcy ciężkiej pracy.

Rzecz wywołuje spore poruszenie wśród decydentów, a i prasa ma z niej używanie. Pan kapitan dowodzi bowiem, że obecny rozkład dnia (praca w godzinach 7.00–16.00), wedle którego funkcjonują przecież niemal wszystkie urzędy, szkoły czy sklepy, jest dalece niedoskonały, zmusza bowiem człowieka, aby najlepsze godziny w ciągu dnia spędzał nie na świeżym powietrzu lub jakowyś przyjemnościach, ale w dusznym biurze, urzędzie czy szkolnej klasie.

Proponuje zatem pan Michalski, by praca i nauka trwały odtąd od godziny piątej rano do dziesiątej. Po pięciu godzinach pracy przewiduje cztery godziny przerwy (lub jeśli ktoś woli –

sjesty), podczas których pracownik lub uczeń miałby sposobność odetchnąć świeżym powietrzem, pospacerować nad brzegiem Wisły (lub nad jakimś innym zbiornikiem wodnym; może być kanał). Wracałby o godzinie drugiej po południu i trwał na stanowisku do siedemnastej.

Podkreśla pan Michalski, że w ten sposób najprzyjemniejszą porę dnia spędzimy nie na pracy, ale odpoczynku, co więcej dzięki nowemu systemowi Polacy wcześniej poczną kłaść się do łóżek, a tym samym państwo zaoszczędzi na energii.

PODATKI I KOMORNIK

Z kim jak z kim, ale z urzędnikiem skarbowym w Polsce nie ma żartów. Podpadną państwo panu urzędnikowi, pan urzędnik wyśle ludzi, a ci opieczętują meble. A gdyby komuś przyszło do głowy walczyć z systemem i dowodzić swoich racji w siedzibie urzędu – niech pamięta, że to walka z wiatrakami. Zwykle interesanta odsyła się z kwitkiem, bo ten nie ma ze sobą paszportu, potem, bo nie zgadzają się zaświadczenia, papiery i stemple. Krąży nieszczęsny od domu do urzędu, od urzędu do domu, uzupełniając teczkę o kolejne niezbędne dokumenty, o których – nie wiedzieć czemu – urzędnik nie potrafi poinformować podczas pierwszego spotkania. Nie jest to być może reguła, ale zdarza się tak w Polsce przedwojennej nader często.

Wyświechtana prawda mówiąca o tym, że w życiu pewne są tylko śmierć i podatki, jako żywo pasuje do przypadku Jadwigi Sawickiej. Kobieta od lat mieszka w Poznaniu, ale magistrat miasta Gniezna niewiele sobie z tego robi i wzywa ją do zapłacenia podatku za prowadzenie interesu, który – nawiasem mówiąc – sprzedała dawno temu. Cierpliwość pani Sawickiej jest w związku z tym wystawiona na ciężką próbę, na szczęście złość znajduje ujście w poezji. Zamiast bowiem przeklinać absurdalne żądania gnieźnieńskiego magistratu, zamiast tracić nerwy, pani Sawicka adresuje do gnieźnieńskich radnych wiersz, który potem opublikuje również prasa.

Magistracie!
By cię zbudzić, do zdrowego powołać myślenia
Podaję w tej z rozmysłu oryginalnej szacie
Słowa protestu i oburzenia.

Z racji Nakazu Płatniczego, który ślę z powrotem
Boś powinien wiedzieć Magistracie o tem,
Że w lutym roku ubiegłego
Sprzedałam sklep przy ulicy Chrobrego.

I osiadłam na łasce przy boku swej matki
Nie mogąc nawet skromnej otrzymać posadki
Wniosek już prosty więc z tego wynika
Magistracie! Nie możesz mieć we mnie za ten rok płatnika[207].

Z tego wierszyka skarbówka zapewne niewiele sobie robiła, bo na żartach to się ona znała słabo. Znacznie lepiej na inwigilacji. W Warszawie pod koniec lat dwudziestych pewien inżynier zakupi w sklepie trzy kapelusze – jeden dla siebie, pozostałe dwa dla synów – a ta transakcja nie umknie urzędowi skarbowemu. Wkrótce na adres pana inżyniera zostanie wysłane pismo, w którym będzie się go wzywać do rychłego odwiedzenia najbliższego urzędu skarbowego i przedłożenia… patentu przemysłowego, czyli zezwolenia na handel hurtowy.

Uważać powinni również restauratorzy, o czym przekona się znany w stolicy pan Albrecht, właściciel popularnej warszawskiej kawiarni. Ten z kolei zorganizuje w tłusty czwartek promocję polegającą na tym, że w niektórych jego pączkach zostaną umieszczone monety dziesięciozłotowe i z tego właśnie tytułu zostanie pociągnięty do odpowiedzialności karnej z artykułu 114 ustawy o loterii państwowej za przeprowadzenie bez niezbędnego zezwolenia imprezy loteryjnej. W 1937 roku grozi za to kara grzywny w wysokości od 500 do 2000 złotych.

Nic to jednak w porównaniu z historią mieszkających w Łodzi braci Kordela, którzy całe życie pracują uczciwie i oszczędzają każdy grosz, aby nabyć kawałeczek ziemi. Pewnego dnia ich marzenie się ziści, na zakupionym placyku przy ulicy Marysińskiej 39 wybudują piękny dom, ich radość okaże się jednak przedwczesna, bo zmąci ją sąsiad, pan Grzybowski, woźny sądowy, człowiek uparty i niezbyt przy tym sympatyczny. Ustala on, że kawałek domu braci (dokładnie łokieć i 18 cali) stoi na jego gruncie, a w związku z tym zażąda, aby sąsiedzi skrawek tej ziemi niezwłocznie mu zwrócili. Sprawę z początku bracia próbują załatwić polubownie, a w ramach zadośćuczynienia proponują woźnemu za ten wąski pasek ziemi o wartości najwyższej trzystu złotych kwotę w wysokości półtora tysiąca złotych. Ten jednak zwleka z odpowiedzią, straszy procesem, ogólnie rzecz ujmując, sprawia wrażenie człowieka czerpiącego niezdrową przyjemność z zatruwania życia zrozpaczonym sąsiadom.

Sprawa trafia najpierw do sądu grodzkiego, który nakazuje stronom załatwić spór na drodze polubownej, a potem do sądu okręgowego. Ten ostatni po przeprowadzeniu wizji lokalnej zasądzi nakaz zwrotu zagarniętej ziemi. Koniec końców przy Marysińskiej 39 zjawi się więc komornik w asyście brygady osiłków, skreśli kredą wąski pasek wzdłuż ściany o szerokości jednego łokcia i osiemnastu cali, a potem nakaże robotnikom… rozpocząć rozbiórkę oznaczonego fragmentu. Oczywiście budynku nie sposób pokroić jak kawałka chleba, nie dewastując przy tym jego konstrukcji, dlatego owocem tej niezwykłej egzekucji jest nie tylko zniszczenie jednej ściany szczytowej, lecz także zepsucie dachu, a w gruncie rzeczy i zdemolowanie domu.

Panu woźnemu gratulujemy, postawił wszak na swoim. Odzyskał też bezcenny łokieć ziemi. A bracia? Bracia zapewne zalali się łzami.

Z komornikami nie ma zatem w przedwojennej Polsce żartów. W 1937 roku w Parku Helenów w Łodzi podczas koncertu orkiestry Karola Namysłowskiego na estradzie zjawi się

komornik i oświadczy zgromadzonym, że z powodu długów Namysłowskiego saksofonisty Hirszla jest zmuszony zarekwirować instrumenty, a muzycy po tych słowach rzucą się do ucieczki. W nie mniej enigmatycznym momencie inny komornik zarekwiruje taśmę filmową z obrazem *Ada, to nie wypada*! i to tuż przed zaplanowanym seansem w warszawskim kinie Apollo. Widzowie zgromadzeni w sali kinowej najpierw obejrzą reklamy, po nich zaś nastąpi kilkunastominutowa przerwa, podczas której Konrad Tom wyjaśni zebranym: „Proszę państwa, bardzo przepraszamy, ale spowodu defektu w aparaturze… przerwa potrwa jeszcze dziesięć, może piętnaście minut”[208]. Tymczasem kierownictwo kina toczy pertraktacje z komornikiem, czyniąc starania o uwolnienie taśmy filmowej spod kurateli urzędników. A wszystkiemu winny producent filmu, który zadłużył się do tego stopnia, że jeszcze przed premierą sąd – czyniąc zadość roszczeniom wierzycieli – nakazał film zarekwirować.

Kiedy komornikowi uda się już dokonać zajęcia, następuje licytacja. I tutaj bywa niekiedy ciekawie, zwłaszcza gdy urzędnik podchodzi do swych obowiązków z gorliwością. Do historii przejdzie zwłaszcza słynna licytacja, do której doszło w połowie lat trzydziestych w Sosnowcu. Dzięki niej skarb państwa wzbogacił się o bajeczną kwotę w wysokości piętnastu groszy, wystawiono na niej bowiem ¾ kilograma soli i młotek zajęte przez komornika.

Ciekawe typy spotkamy również w tak zwanych lotnych urzędach miar i wag, które pojawiają się na prowincji bez zapowiedzi i w każdym z miasteczek zobowiązują handlarzy do sprawdzenia wag i odważników. Kto się temu obowiązkowi nie podda – płaci karę w wysokości trzystu złotych. Zresztą i ci, którzy podporządkują się nakazowi i odwiedzą urząd, z reguły gorzko potem żałują.

Urzędnikowi chodzi bowiem przede wszystkim o własny zarobek. Rzuca taki okiem na przyrząd przyniesiony przez biednego sklepikarza i wyjaśnia, że waga jest zepsuta, że źle

działa, a naprawa będzie kosztować 30 złotych. A to kiepski interes, zważywszy, że koszt nowej to 40 złotych. Podobne argumenty nie przekonują jednak panów legalistów, a by komuś nie przyszło przypadkiem do głowy pracować na tych nieprzepisowych wagach, urzędnik rozbija je w drobny mak.

POEZJA URZĘDOWEGO STYLU

Dbają też polscy urzędnicy, aby obywatel życie miał zawsze przyjemne i możliwie ułatwione. W tym celu służą pomocą, a gdy sprawa tego wymaga – ślą wiadomości. Jak zarząd miejski w Białymstoku, który w drugiej połowie lat trzydziestych wysyła do obywateli pismo w sprawie zaległej opłaty w wysokości 17 złotych i 50 groszy. Stanowi ono bez wątpienia kwintesencję urzędowego stylu:

„Tytułem podatku inwestycyjnego za rok 1937/38, stanowiącego 22,5% kwoty, przypadającej na rzecz miasta, tytułem 32,5-procentowego dodatku komunalnego do państwowego podatku od nieruchomości, obliczonego w stosunku do 7%-wej podstawy wymiaru, stanowiącego 30% kwoty, przypadającej na rzecz miasta tytułem 30%-go dodatku komunalnego do ceny świadectwa przemysłowego, stanowiącego 45% kwoty, przypadającej na rzecz miasta tytułem 30%-go dodatku komunalnego do ceny świadectwa przemysłowego”[209].

Zdolnych ludzi nie brakuje również w polskim sądownictwie. Na dowód próbka możliwości tej instytucji cieszącej się powszechnym szacunkiem: „Korneliusz Stecejko, urodzony 10 października 1898 w Poddębcach jako ruski w r. 1919, zachorował na tyfus i leżał w szpitali w Żmercynce, poczym zaginął. Celem uznania go za zmarłego, wzywa się go, aby do roku od dnia ogłoszenia zgłosił się lub udzielono wiadomości o nim sądowi. Sąd okręgowy cywilny, oddział VII. Lwów, dnia 24 grudnia 1928”[210].

Aby nie było, że piękny styl urzędowy to wyłącznie domena ludzi z dyplomem, na sam koniec przytoczę przykład folkloru

podhalańskiego, a ściśle rzecz ujmując, ogłoszenie zredagowane przez miejscowego urzędnika i wywieszone na stacji kolejowej:

„Obwieszczenie

Polskie Koleje Państwowe

Dyrekcyja Kraków

Zaniecczęszczenie pocekalń, rzucanie od patków od jedzenia, skorupow zjaj, pomarajcow itd.

Nie wolno zruwać P.T. ogłosyn ze ścianow ani targać rozkładow jazdy.

Kogo się ułapi, tego sie pociongnie do od powiedzialności.

Jest surowo zbronione!

Naczelnik stacyji”[211].

Końskim zdrowiem i nerwami ze stali musieli się cieszyć nasi przodkowie, skoro nie dawali się byle urzędasowi „ułapić” i jakimś sposobem potrafili się odnaleźć w całym tym rozpasanym biurokratyzmie.

* * *

ROZDZIAŁ XVIII

W OPARACH ABSURDU… NIEDORZECZNOŚCI, EKSCENTRYCY, DZIWY

S t r a s z n a, a s k a n d a l i c z n a k a t a s t r o f a w S o s n o w c u

Z Sosnowca telefonuje (H): W piątek wieczór zdarzyła się w Sosnowcu skandaliczna katastrofa. Stało się to w domu Nr 7 przy ul. Grochowej, w domu należącym do piekarza Józefa Tepera. Oto w piątek wieczorem wpadła do dołu kloacznego 38-letnia Stanisława Ormanowa, żona policjanta. Na jej krzyk pospieszyła z pomocą żona właściciela domu Józefa Teperowa, którą spotkał ten sam los. Na wołanie kobiet pospieszyli mężowie Teper i Orman, którzy zdołali wydobyć na powierzchnię Teperową, ale podczas ratowania obaj wpadli do dołu. Na ich krzyk pospieszyli ludzie i policja z pomocą, po wyciągnięciu jednakowoż Tepera, Ormana i Ormanowej okazało się, że już nie żyją. Teperową przywrócono do życia.

Skandaliczny ten fakt wywołał wielkie oburzenie wśród okolicznych mieszkańców[212].

* * *

PRZYPADKI ROZMAITE

Zabrzmi to idiotycznie, ale ustępy to w przedwojennej Polsce zabójcy wręcz seryjni. W Kielcach z podobnym przypadkiem zetknięto się w 1935 roku. Zaginie tam pewnego dnia w tajemniczych okolicznościach niejaki pan Różyc i dopiero po kilku dniach policja odnajdzie zwłoki mężczyzny w dole kloacznym nieopodal restauracji, w której to widziano go żywego po raz ostatni. Policjanci zdołają ustalić, że feralnej nocy zamroczony alkoholem człowiek stracił równowagę, runął do głębokiego dołu i utonął.

Z podobnymi absurdami w przedwojennej Polsce zetkniemy się nieraz, zdarza się, jak w przypadku pana Różyca, iż kończą się one tragicznie, częściej jednak nie są tak dojmująco ostateczne. Rozmaite niedorzeczności dnia codziennego upodobają sobie zwłaszcza Julian Tuwim i Antoni Słonimski, nie od rzeczy będzie zatem polecić państwu lekturę ich wspólnego dzieła zatytułowanego *W oparach absurdu*, którego fragmentów nie przytaczam, jako że tę pozycję znajdą państwo w polskich bibliotekach. Zabawne nonsensy międzywojnia, opisane przez znanych Skamandrytów na łamach gazet czy książek, to jedynie czubek góry lodowej, bo przebierać w niedorzecznościach lat dwudziestych i trzydziestych można bez końca.

Ówczesna prasa rozpisuje się o dziwakach mających potrójny rząd zębów w dolnej szczęce, urzędniku pocztowym, który przylepił rekordową liczbę znaczków, szewcu biegającemu przez półtorej doby wokół placu Saskiego czy damie mającej imponującą liczbę flakoników po perfumach[213]. Wspomni i o gołębiu, którego ukatrupią w lutym 1935 roku w sochaczewskiej bożnicy miejscowi Żydzi. Na ich obronę należy dodać, że ptak był komunistą i to agitatorem, w dodatku przerwał uroczystość poświęcenia sztandaru, gdy wleciał do świątyni z uwiązaną do nóżki szarfą z napisem „Precz z faszyzmem, niech żyje rząd robotniczo-chłopski”.

Cieszące się złą sławą szczury są bez wątpienia mniej sympatycznymi stworzeniami od gołębi, a zatem nic dziwnego, że gdy na początku lat trzydziestych podłe gryzonie rozpanoszą

się w Łodzi, magistrat wyda na wojnę z dokuczliwą plagą aż kilkanaście tysięcy złotych. Łódzki szczur to jednak nie byle jaki szczurek, drwi sobie z preparatów chemicznych i trutek, zmuszając łodzian do przedsięwzięcia bardziej radykalnych środków. Członkowie Stowarzyszenia Właścicieli Nieruchomości w związku z sytuacją ponoć poważnie rozważali pomysł wyznaczenia nagrody za każdy szczurzy ogon, przebąkiwano nawet w Łodzi o założeniu specjalnej komisji, do której obowiązków miało należeć weryfikowanie ogonów, liczenie ich i – jak można domniemywać – wypłacanie wynagrodzenia łowcom.

A skoro jesteśmy już w Łodzi, pozwolę sobie wspomnieć o rzadkim okazie dziwoląga urbanistycznego, czyli tunelu przy ulicy Zagajnikowej (dzisiaj Kopcińskiego), łączącym ulicę Przejazd (Tuwima) z Dzielną (Narutowicza). Mieszczący się przy przejeździe kolejowym tunel wybudowano tak dziwacznie (czy bardziej – nieudolnie), że dorosły człowiek, przechodząc nim na drugą stronę, aby nie zawadzić głową o strop, był zmuszony się pochylić. Na domiar złego wewnątrz tunelu panowały egipskie ciemności, wobec czego ci, którzy pokonywali go codziennie, wyruszali w drogę uzbrojeni w przenośne lampy. Z tego samego powodu przy wylocie tunelu grupka młodzieńców otworzy w pewnym momencie osobliwy interes polegający na przeprowadzaniu mniej zorientowanych na drugą stronę.

Absurd natury budowlanej zaserwują swoim mieszkańcom w 1934 roku również dwaj właściciele domów przy ulicy Marszałkowskiej w Warszawie – tego oznaczonego numerem 44 należącego do pana Zajdenbeutla i sąsiadującego z nim, a oznaczonego numerem 46, budynku będącego własnością pana Jabłkowskiego. Pan Zajdenbeutl za namową właścicieli zakładu fryzjerskiego zamuruje bramę wejściową do swego budynku (widać z jakichś względów się to opłacało) i podpisze umowę z sąsiadem na korzystanie z jego bramy. Zdaje się, że jakiś czas później między panami doszło do konfliktu, bo kiedy umowa wygasła, Jabłkowski odgrodził się murem od sąsiada, w ten

sposób całkowicie odcinając od świata lokatorów domu przy Marszałkowskiej 44. Zabarykadowanym mieszkańcom z pomocą pospieszy dopiero policja, która wybije dziurę w murze.

Po Łodzi i Warszawie czas zawitać na Kresy, gdzie dziwolągów budowlanych znacznie mniej, za to emancypacja pełną gębą. We Włodzimierzu Wołyńskim rządzą kobiety, rządzą może jeszcze nieoficjalnie, ale w pewnych kwestiach ich głos jest tu bardzo ważny. Niektórzy odnoszą wrażenie, że ważniejszą funkcję od starostwa pełni tu Koło Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet pod przewodnictwem pani starościny. Sprawa się skomplikuje, gdy starostę odwołają ze stanowiska, a wraz z nim Włodzimierz Wołyński opuści jego żona, zwalniając etat szefowej koła. Zapewne stanowisko to obsadziłaby żona nowego starosty, pana Stępkowskiego, niestety to kawaler, a na czele koła stać musi kobieta. Nikt inny.

We Włodzimierzu Wołyńskim wrze jak w ulu, biedny starosta jest zmuszony wysłuchiwać utyskiwań zdesperowanych pań, w końcu jedna z nich pójdzie po rozum do głowy i przewodniczącą mianuje… starostę. A ponieważ (skaranie boskie z tymi facetami) starosta to mężczyzna w każdym calu, panie z Koła Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet wymuszą na nim, aby odtąd podpisywał się jako… starościna Stępkowska.

Nielekkie życie ma starosta, ale i tak lepsze to, niż zostać strażakiem na prowincji. Kiedy pewnego dnia dzielni strażacy na wieść o pożarze szalejącym we wsi Podlipki stawią się na miejscu zdarzenia, okoliczni chłopi uniemożliwią im rozpoczęcie akcji ratunkowej, na domiar złego stłuką ich na kwaśne jabłko i zniszczą sprzęt gaśniczy. Za tym absurdalnym zachowaniem wieśniaków stoi popularny w okolicy przesąd, który mówi, że gdy płomień trawi chałupę, a w tym czasie dom okrąży trzykrotnie baba z książeczką do nabożeństw, pożaru gasić nie wolno, sprowadzi to bowiem nieszczęście na całą wieś. I tak zdarzy się w tym właśnie przypadku, podczas pożaru jakiś źle życzący pewnemu gospodarzowi babsztyl okrąży jego chałupę,

a że zauważą to ludzie, za nic w świecie nie pozwolą strażakom interweniować.

SZKOŁA BEZ UCZNIÓW

I w szkole bywa wesoło, a niekiedy to nawet strasznie. Z nietypowym problemem borykają się na przykład studenci akademii medycznych w Polsce – otóż, jak donosi prasa: „polskim uniwersytetom brakuje trupów”[214]. Jakże w takim razie uczyć, jakże szkolić? Ta sytuacja w latach trzydziestych tak mocno daje się we znaki adeptom sztuki lekarskiej, że wydział medyczny rozważa propozycję pewnego przedsiębiorcy (tak nazywa go prasa), gotowego podjąć się misji dostarczenia trupów dla wszystkich medycznych fakultetów w Polsce.

Trupy te sympatyczny przedsiębiorca sprowadza z Rosji Sowieckiej, gdzie – jak wiadomo – nigdy ich nie brakuje i skąd – jak informują żurnaliści – eksportuje się zwłoki między innymi do wydziałów medycznych uniwersytetów na Dalekim Wschodzie.

W uniwersytetach medycznych brakuje zwłok, z kolei w niektórych szkołach państwowych brakuje nawet uczniów. W Sarnach na Polesiu istnieje państwowa szkoła rolnicza, szkoła – dodajmy – znakomicie wyposażona, posiadająca na swój użytek aż czterdzieści pięć hektarów ziemi i wykwalifikowany personel – tylko uczniów nikt tu od dawna nie widział.

„Czy jest możliwem, aby istniała tego rodzaju szkoła, utrzymywana ze skarbu Państwa?” – pyta retorycznie prasa, zauważając przy tym, że sowicie opłacana dyrekcja szkoły nie potrafi zachęcić młodzieży do rozpoczęcia nauki w swojej placówce; młodzieży bądź co bądź mieszkającej w regionie Polski utrzymującym się głównie z rolnictwa. „Zdarzają się za granicą szkoły o dwóch lub jednym uczniu (we Francji było takie gimnazjum), ale szkoła bez ucznia, to zdaje się nasz monopol”[215] – podsumuje gorzko dziennikarz.

CIAŁO

Szewcowi Sanderowi przybyło siwych włosów, a słabe ręce nie miały już siły łatać dziurawych butów, nic zatem dziwnego, że gmina żydowska zapewnia mu miejsce w przytułku, gdzie starzec zamierza dożyć swych lat w spokoju. W rzeczonej placówce panują jednak dziwne porządki, a ponieważ pan Sander nie przywykł do złego traktowania, co rusz dochodzi do scysji, czym emerytowany szewc nie zaskarbia sobie sympatii kierownictwa. Dyrekcja domu dla starców nie zamierza patrzeć przez palce na niesubordynację podopiecznego, stwierdza zatem, że sposobem na pozbycie się go będzie śmierć. Uchwała to uchwała, nie Sanderowi z tym polemizować, a chociaż nikt rzecz jasna nie zamierza mordować starego szewca, jej wypełnienie można przyspieszyć, umieszczając go w kostnicy cmentarnej i zamykając tam na klucz. Co rusz któryś z pracowników zakładu zagląda do Sandera i sprawdza, czy już się namyślił i wykonał w końcu uchwałę dyrekcji, ten jednak – czy to ze złośliwości, czy też z innej przyczyny – ani myśli wybierać się na tamten świat. Z niewoli cmentarnej wyzwoli go dopiero, całkiem dla wszystkich niespodziewanie, jakiś krewny z Ameryki, który prześle zza oceanu plik dolarów. Sender bez dolarów, a Sender z dolarami w kieszeni to przecież zupełnie inny człowiek.

Problem nieco innej natury wyniknie na początku lat trzydziestych z związku z przypadkiem Wincentego Marchwickiego ze Zgierza. Człowiek ten zaginął jeszcze w 1906 roku, a ponieważ przez całe ćwierćwiecze nikt o nim nie słyszał, nic dziwnego, że rodzina postanowi w maju 1931 roku uregulować formalności spadkowe. Wtedy jednak w sądzie okręgowym w Łodzi zjawi się starszy szpakowaty mężczyzna, który oświadczy, że to on jest zmarłym Marchwickim i w związku z tym domaga się prawa orzeczenia w sprawie własnego spadku. Nagłe pojawienie się pana Marchwickiego uczyni na zebranych wielkie wrażenie, jeszcze większe zrobi postawa sędziego, który odmówi mu żądnego prawa, jako że takowe zmarłym w Polsce nie przysługuje. Cóż bowiem z tego, że człowiek oddycha i mówi całkiem jak żywy, skoro w papierach

stoi czarno na białym, że to nieboszczyk. Zwraca się wobec tego nieszczęśnik do znanego w Łodzi adwokata, pana Fichny, którego zadaniem będzie teraz przywrócić go do życia.

Z tymi niedoszłymi nieboszczykami to zawsze kłopot, o czym przekona się na własnej skórze pewien mieszkaniec Warszawy, pan Toruńczyk, który dowiaduje się pewnego dnia, że jego żona Chaja wyskoczyła z czwartego piętra domu przy ulicy Franciszkańskiej 29. Pogrążony w żałobie wdowiec udaje się zatem do słynnej Ostatniej Posługi pana Pinkerta i tam za czterdzieści złotych zamawia trumnę, „śmiertelną" koszulę i karawan, po czym zawiadamia rodzinę o terminie pogrzebu. Kilka godzin później, kiedy opłacony karawan stoi już przed szpitalem, okaże się, że lekarze nadludzkim wysiłkiem przywrócili panią Toruńczyk do życia. Na wieść o tym mąż… ponownie wpada w czarną rozpacz i to bynajmniej nie dlatego, że źle życzył żonie, ale z powodu wydanych niepotrzebnie pieniędzy. Pan Pinkert, słynny „król nieboszczyków", nie zamierzał co prawda zwracać zainkasowanych czterdziestu złotych, niemniej wychodząc naprzeciw oczekiwaniom mężczyzny ubolewającego nad stratą, obiecał, że pieniądze zwróci, jeśli pani Toruńczyk nie umrze w trakcie najbliższych dwunastu miesięcy. Ładnie z pana strony, panie Pinkert, bardzo ładnie.

Co zaś do zgonów, chociaż nie jest to fortunny temat do żartów, to i takie okoliczności – trzeba przyznać – bywają niekiedy w dwudziestoleciu międzywojennym wielce osobliwe. Mówiło się swego czasu o nieszczęśniku, który zachłysnął się wodą w szklance, o młodzieńcu, który zmarł od klepnięcia dłonią w policzek, czy też o pewnym trzydziestoletnim mocno podchmielonym jegomościu z Małopolski, który podczas powrotu do domu zamoczył nogi w niewielkim stawie. Na jego nieszczęście hodowano tam pijawki, które w ciągu kilku godzin wyssały z jego nóg tyle krwi, że biedak zmarł na miejscu.

EKSCENTRYCY I WARIACI

W przedwojennej Polsce oryginałów tyle, że można by nimi obdzielić kilka epok. O legendarnym Franciszku Fiszerze, miłośniku literatury, dobrej kuchni i filozofii, jak i o kartografie Bacewiczu w binoklach, chodzącym po mieście w długiej pelerynie i słynącym ze swoich długich wąsów, powiedziano i napisano dotąd wiele. Nie od rzeczy będzie wspomnieć więc w tym miejscu o innych ekscentrykach, z którymi nasza pamięć obeszła się mniej życzliwie.

Czy wiedzą państwo, że zaszczyt oglądania oblicza monarchy, Najjaśniejszego Pana Rzeczpospolitej, dany jest warszawianom jeszcze na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych? Pan Zygmunt Wilski zapewnia wszystkich, że jest odsuniętym od tronu królem Polski Zygmuntem IV, a chociaż przed majestatem monarchy nikt w stolicy na kolana nie pada, niezrażony tym władca zasypuje redakcje i rozmaite urzędy orędziami, a ósmego maja przesyła na adres wybrańców dyplomy opatrzone pieczęcią królewską.

Przypadkiem Wilskiego zajmują się znani w Warszawie psychiatrzy, jego nazwisko znają w szpitalu Jana Bożego, znają i w Tworkach. Wszyscy są zgodni co do tego, że mężczyzna jest chory psychicznie, wszyscy poza doktorem Czesławem Ottonem.

„Jako internista, nie zgadzam się z wnioskami zawartemi w orzeczeniu pozostałych panów biegłych, wychodząc z założenia, że cała akcja Wilskiego, która wywołała badania jego władz umysłowych, jeśli ściśle polityczna i wynika z restytuowanego Królestwa Polskiego, a nie powołania do życia nowego, przedtem nieistniejącego państwa, czyli związana jest ze zwołaniem Sejmu ustawodawczego, z czynnościami władzy rządowej, z wypadkami majowymi z 1926 r., z pociągnięciami politycznymi Marsz. Piłsudskiego po wypadkach majowych i z akcją polityczną p. Prez. Mościckiego”[216].

Nie wiadomo zatem, kto był większym wariatem – czy Jego Królewska Mość, czy może jego nadworny lekarz.

O nałogowych pijakach i narkomanach rozwodzić się nie będę, bo chociaż nie brak tu oryginałów, dworować z nich nie

sposób. Zrobię jednak wyjątek dla pani Janiny Prosowskiej, która nałogowo… znieważa sądy. Nie sposób wytłumaczyć powodów tej osobliwej przypadłości (uczulenie na sędziowską togę?), w każdym razie gdy kobieta staje przed obliczem sprawiedliwości, emocje biorą górę nad dobrymi manierami. Pani Prosowska rzuca się z pięściami na sędziów, opluwa stół sędziowski, drze na kawałeczki akta sprawy, na koncie ma też pobicie stróża porządku.

Skoro zaszliśmy już do sali sądowej, godzi się w tym miejscu wspomnieć o niezwykłym sędzim sądu otwockiego, panu Jungwicu. Cóż to za pyszny człowiek, nic tylko jeść łyżkami. Ponieważ pan sędzia nie lubi tłoku, ma w zwyczaju instruować woźnego: „Po co tutaj siedzą na sali? Wziąć wszystkich za kołnierz. Otworzyć wentylator. Niech się przeziębiają!”[217].

Nie przebiera też w słowach, gdy zwraca się do świadków. „Czy pan zbaraniał?”[218] – rzuci w stronę pewnego dżentelmena, który przyparty do muru chwilowo zapomni języka w gębie. „Mogłaby pani sobie te usteczka zamknąć”[219] – przerwie innym razem pewnej składającej zeznania rozgadanej damie. Zdarzy się też, że sędzia Jungwic podpisze wyrok i to zanim pełnomocnik oskarżonego zdąży wygłosić mowę końcową, a innym razem po orzeczeniu winy w jakiejś nadzwyczaj skomplikowanej sprawie ryknie i to zaledwie kilka sekund po zakończonym posiedzeniu, gdy sala wciąż jest pełna: „W zasadzie powinienem go uniewinnić”[220]. Szczególną niechęcią darzą go miejscowi adwokaci, a to zapewne dlatego, że sędzia ze znanych tylko sobie powodów w pierwszej kolejności rozpatruje sprawy przyjezdnych prawników.

Na osobliwe indywidua natkniemy się również w łódzkiej palestrze, nie godzi się przy tej okazji nie wspomnieć o jednym z najsłynniejszych łódzkich adwokatów przedwojennej Polski, Stefanie Kobylińskim, o którym mówiło się, że byłby chlubą adwokatury, gdyby nie był jej zakałą. Pan adwokat gwiżdże na tak zwane aspekty moralne sprawy i to, po czyjej stronie jest racja. Reprezentuje w sądzie interesy pokrzywdzonych

i oszukanych, reprezentuje morderców i kanciarzy, za każdym razem w genialnie szachując rywali, a bywa że i samego sędziego, niesłychaną umiejętnością interpretowania prawa.

W międzywojennej Łodzi o jego popisach krążą legendy, zdarzy się na przykład, że zjawi się Kobyliński w sali sądowej na takim rauszu, że przez pomyłkę przez wiele minut będzie bronił racji powoda, chociaż w tej akurat sprawie reprezentował interesy pozwanego. Kiedy jeden z jego kolegów zwróci mu uwagę na fatalną pomyłkę, Kobyliński zakończy wywód, a potem oznajmi osłupiałemu ze zdziwienia sędziemu: „Gdybym reprezentował interesy powoda, to tak bym właśnie powiedział, ale że występuję w sprawie pozwanego, będę mówił tak…" – i rozpocznie imponującą polemikę, mistrzowsko zbijając argumenty, za którymi sam opowiadał się jeszcze chwilę wcześniej.

Słynie również pan Kobyliński z odwlekania orzeczeń sądowych, jedną z takich spraw za pomocą rozmaitych wybiegów zdoła ciągnąć przez dziesięć lat (sprawa dotyczyła upadłości, a w takiej sytuacji bankruta mogło uratować jedynie przeciąganie procesu w nieskończoność), wskazując przy tym coraz to nowe błędy proceduralne. Pewnego zaś dnia, gdy sytuacja wyda się beznadziejna, wyśle nawet depeszę zawiadamiającą sędziego o… własnej śmierci.

Uratuje również pan Kobyliński przed odsiadką w więzieniu syna słynnego łódzkiego fabrykanta Oskara Kohna, który zostanie przyłapany na próbie przemycenia do Sopotu czterdziestu tysięcy dolarów. Za przestępstwo zwane dewizowym grożą w tym czasie poważne konsekwencje, a sytuacja syna przemysłowca jest tym gorsza, że sprawę tę ma rozpatrywać nieprzychylny Kohnowi sąd na Wybrzeżu. I z tym jednak poradzi sobie Kobyliński, który wpadnie na pomysł tyleż nieprzyzwoity, co genialny. Nakaże on bowiem oświadczyć fabrykantowi, że syn ukradł mu te czterdzieści tysięcy dolarów, a ponieważ zmienia to kwalifikację czynu (zyskującego w ten sposób status przestępstwa karno-skarbowego), sprawa musi

zostać zgodnie z prawem rozpatrzona w miejscu, gdzie dokonano kradzieży, a zatem w Łodzi. Potem Oskar Kohn odmówi zeznań, jego syn zostanie zwolniony z aresztu za kaucją, a wkrótce również oczyszczony z zarzutów. Genialne, nieprawdaż?

Przeciwieństwem Kobylińskiego jest inny słynny łódzki prawnik, pan Piotr Kon, człowiek o nieposzlakowanej opinii, który wedle plotek krążących wówczas po Łodzi reprezentował interesy wyłącznie ludzi niesłusznie oskarżonych i pokrzywdzonych. Ale i w związku z tym dochodzi do absurdalnych sytuacji, zdarzy się bowiem, że sędzia uwolni z zarzutów pewną kobietą tylko dlatego, że Piotr Kon zaręczy za nią słowem honoru. A skoro Kon daje słowo, sędzia nie ma wątpliwości – kobieta musi być niewinna.

* * *

ROZDZIAŁ XIX
SAMOBÓJCY, SENSACJE, ZAPOMNIANE AFERY

Odebrał sobie życie, bo nie otrzymał gwiazdki

18-letni Kazimierz Markiewicz (Stawki 15) pracował od 3-ch lat jako uczeń w fabryce wyrobów srebrnych i emaliowanych p.f. „W. Krupski i J. Matulewicz”. Na święta Bożego Narodzenia nie otrzymał ze wspomnianej firmy „gwiazdki”, gdyż – jak mówił domownikom – miał jakoby zatarg ze współwłaścicielem firmy Krupskim. Od tego czasu Markiewicz był smutny i silnie zdenerwowany.

Do siostry Walerii i narzeczonej Markiewicz mówił: „Ja mu za to zrobię kawał”. Do słów tych siostra i narzeczona nie przywiązywały żadnej wagi.

Tymczasem w czwartek rano Markiewicz zdobywszy cyjanek potasu otruł się w zakładzie.

Niezwłocznie wezwano lekarza prywatnego oraz księdza, lecz trucizna spowodowała natychmiastową śmierć chłopca. Denat nie pozostawił żadnego listu[221].

* * *

SALA SAMOBÓJCÓW

Plaga samobójstw, która spada na przedwojenną Polskę, to kiepski temat do żartów, bo jakże drwić z nieszczęśników, których do desperackiego kroku popychają bieda, bezrobocie, alkoholizm, choroby umysłowe i zawody miłosne. W 1927 roku popularny „Ikac" donosi, że „od dłuższego już czasu jakby się rozpoczął u nas jakiś sezon samobójstw. […] Ludzie się trują, wieszają, skaczą z mostów do rozmaitych rzek, strzelają, wyskakują z okien na bruk […]"[222].

A zatem liczba desperatów rośnie, w roku 1923 zanotowano w Polsce 3200 samobójstw, w roku 1924 prawie 3500, a w 1925 już 3900. Dochodzi do nich najczęściej w Warszawie, ponadto z tą plagą zmagają się województwa łódzkie i śląskie.

Temat, jako się rzekło, niezbyt sprzyja dowcipom, niemniej i wśród takich desperatów trafiają się indywidua zabawne. Przewodzi im mieszkaniec Warszawy, Tomasz Karaśkiewicz, bez wątpienia najgorszy samobójca w kraju. Nie ma miesiąca, aby nie próbował odebrać sobie życia, szczęście w nieszczęściu jest jednak w tych próbach wielce nieskuteczny, zapewne dlatego, że za każdym razem decyduje się popełnić samobójstwo pod wpływem alkoholu. Po butelce wódki trudno poderżnąć sobie żyły czy zażyć truciznę, dlatego kolejne podejmowane przez niego próby kończą się fiaskiem, a niedoszłego samobójcę znają we wszystkich szpitalach i pogotowiach ratunkowych.

Nasz desperat nie jest sam, ma liczne grono naśladowców, należą do niego między innymi państwo Dąbrowscy, którzy w 1937 roku postanawiają popełnić samobójstwo z powodu problemów finansowych. Do pierwszej próby – przez powieszenie – dochodzi w pokoju hotelowym, na czas zareaguje jednak służba i zdoła zapobiec nieszczęściu. Nie powiedzie się również Dąbrowskim plan z zażyciem trucizny, który w porę udaremni portier. Niezrażeni niepowodzeniem małżonkowie wybiegają z hotelu i postanawiają rzucić się pod koła nadjeżdżającego autobusu, tym jednak razem drogę zagrodzą im przechodnie, a nieszczęśnicy zamiast przed sędzią najwyższym wylądują w najbliższym komisariacie.

Niektórych życie uczepia się w sposób doprawdy nieznośny. Skończyć ze sobą pod koniec lat trzydziestych postanowi również mieszkaniec stolicy, niejaki Czajkowski, załamany niepowodzeniami rodzinnymi. Sądnego dnia desperat wyskakuje z drugiego piętra kamienicy przy ulicy Nowolipki 92, traf jednak chce, że zamiast zlecieć na sam dół i roztrzaskać się o ziemię, wyląduje nieszczęśnik… na balkonie mieszkania znajdującego się piętro niżej. Niedoszły samobójca z trudem podniesie się na nogi i skonstatuje ze smutkiem, że jego próba samobójcza zakończyła się niepowodzeniem, a jakby tego było mało, w tym samym momencie przyuważy go z ulicy jakiś przechodzień i biorąc za złodzieja, pocznie wzywać policję. Podczas przesłuchania w komisariacie Czajkowski będzie się zarzekać na wszystkie świętości, że złodziejem nie jest, a jedyne, o czym marzy, to szybka i stosunkowo bezbolesna śmierć.

Odejście z tego świata nie powiedzie się również ślusarzowi warsztatów kolejowych mieszkającemu pod Pruszkowem. Ten niespełna rozumu mężczyzna najpierw poderżnie sobie gardło, potem, gdy to nie przyniesie skutku, rzuci się przez okno z pierwszego piętra na bruk, a gdy i po tym nie wyzionie ducha, skoczy pod rozpędzony pociąg. Poza ranami głowy i bolesnymi okaleczeniami kończyn nic mu się nie stanie.

Trafi się jednak i taki, który swój cel osiągnie, chociaż nie wszystko pójdzie po jego myśli. Pewien bezrobotny mieszkaniec podsosnowieckiego Zagórza, jak doniesie potem prasa: „oblał się benzyną i podpalił, poczem powiesił się na szelkach. Gdy nie mógł znieść bólu, zerwał się z szelek i rozbił sobie głowę o ścianę”[223].

Wśród jednych samobójcy wywołują politowanie, wśród innych – odrazę, a trafią się i tacy, którzy tym gatunkiem są wyraźnie zafascynowani. Do tych ostatni należy 28-letni Leon Dąbrowski, który ani myśli żegnać się z tym światem, zapragnie natomiast na własnej skórze przekonać się, jakie uczucia towarzyszą wisielcowi tuż przed śmiercią.

„Urządził się więc w ten sposób, że nastawił budzik tak, ażeby zadzwonił trzy minuty po jego powieszeniu się. Tak się też stało. Dzwonek zegara obudził domowników, którzy zawczasu zdjęli Dąbrowskiego ze stryczka”[224] – doniesie prasa kilka dni później o tym absurdalnym przypadku.

AFERY I SKANDALE ZAPOMNIANE

O skandalach towarzyskich i największych aferach dwudziestolecia międzywojennego przeczytają państwo w książkach innych autorów, w związku z tym nie ma sensu przytaczać ich na łamach tej publikacji. Co innego drobne skandaliki i dawno zapomniane afery, które, prawda, odeszły w niepamięć, lecz swego czasu przykuwały uwagę opinii publicznej, również ze względu na ich pewnego rodzaju niedorzeczność.

Niezła heca wiąże się chociażby z działalnością powstałej w połowie 1932 roku Unii, czyli zrzeszenia oficerów, legionistów i inwalidów wojennych, mającego siedzibę w Warszawie w lokalu przy ulicy Kredytowej 16, a prowadzonego przez podpułkownika w stanie spoczynku, pana Krzyżanowskiego.

Działalność zrzeszenia ogranicza się do pobierania składek od członków oraz prowadzonej przez dwóch cwaniaczków zatrudnionych przez pana Krzyżanowskiego akwizycji książek i broszur wydawanych przez organizację. Nie są to jednak wydawnictwa autorskie, w tym bowiem przypadku rozmaite wysoko postawione osobistości zakupują od wysłanników Unii bezwartościowe książki znajdowane przez członków zrzeszenia w wojskowych koszarach.

Specjalnością Unii staje się również organizacja balów, między innymi na początku maja 1933 roku postanawia urządzić pod patronatem samego ministra Zarzyckiego bal w Ministerstwie Rolnictwa i Reform Rolnych. Sęk w tym, że minister nic o imprezie nie wie, a na zaproszeniu sygnowanym jego nazwiskiem widnieje adres nie ministerstwa, ale maleńkiego pokoiku, w którym podobna impreza

z pewnością nie mogłaby się nigdy odbyć. Unia prowadzi swą podejrzaną działalność przez dłuższy czasu, w końcu jednak Krzyżanowski za rozmaite oszustwa trafi za kratki.

To zaś kolejny przykład na to, że w międzywojennym środowisku wojskowym, cieszącym się notabene zasłużonym szacunkiem, trafiają się czarne owce. Niektórzy panowie oficerowie, zdaje się, uważają, że ze względu na mundur wolno im wszystko, co skutkuje tym, że prasa co rusz donosi o kolejnych przypadkach tak zwanej oficerskiej samowoli. Na przykład w 1926 roku w Łodzi dwóch podpitych oficerów zażąda od motorniczego, odpoczywającego w zajezdni przed kolejnym kursem, aby nie zważając na rozkład jazdy, czym prędzej zawiózł ich tramwajem do centrum miasta. Na nic zdadzą się tłumaczenia i odwoływanie się do regulaminu – wojskowi wpadają do wagonów, włączają prąd, opornemu motorniczemu zaczynają ubliżać, a gdy i to nie poskutkuje, obcinają mu szablą kawałek ucha.

Wszędzie może się trafić zakała, nie tylko w wojsku. W 1936 roku władze śledcze wpadną na ślad wyjątkowo wyrafinowanej afery szantażowej „na tle orderomanii, ofiarą której to afery padło wiele firm przemysłowych stolicy”[225]. Sprawa ma swój początek kilka miesięcy wcześniej i jest łączona z planowaną wówczas wizytą w Warszawie papieskiego nuncjusza, kardynała Marmaggiego. Niebywały pomysł Marka Fainbeina polega na składaniu wizyt wpływowym osobistościom i wysokim urzędnikom państwowym, podawaniu się za członka komitetu powitalnego nuncjusza i oferowaniu, w zamian za wypełnienie kwestionariusza, prestiżowego orderu papieskiego. Pokusie ulegnie wielu, co później pan Fainbein – podający się za niejakiego Tadeusza Skibińskiego – skrzętnie wykorzysta do ukartowania intrygi i wyłudzenia od przemysłowców kilku tysięcy złotych.

W tym samym roku wychodzi na jaw afera z warszawskimi listonoszami. A ściśle rzecz biorąc, tymi spośród nich, którzy handlują tak zwanymi rejonami. Gra jest warta świeczki,

listonoszom zależy na dobrym rejonie, a najlepszy to taki, w którym mieszkają majętniejsi obywatele stolicy, co staje się okazją do inkasowania większych napiwków, chociażby w postaci noworocznych datków. Okaże się wkrótce, że osoby odpowiedzialne za wyznaczanie rejonów dorabiają na boku, pobierając od pracowników poczty sowite wynagrodzenie za życzliwą rejonizację, część zaś listonoszy niezgadzających się na takie traktowanie i niezamierzających brać udziału w procederze zostaje sterroryzowana przez nasłanych zbirów, zdarza się nawet, że i uzbrojonych w rewolwery.

Dzisiaj zapewne takim ptaszkom w celu udowodnienia winy założono by podsłuch, wówczas jednak wskutek mało jeszcze zaawansowanej techniki radzono sobie inaczej. Czy oznacza to, że w przedwojennej Polsce nie podsłuchiwano? Bynajmniej. Taka chociażby tradycja podsłuchiwania w warszawskich restauracjach sięga właśnie dwudziestolecia międzywojennego. Oczywiście podsłuchujący nie mają w tym czasie do dyspozycji specjalistycznej aparatury, ale i bez niej radzą sobie znakomicie. W 1934 roku głośno jest na przykład o aferze związanej ze sprzedażą warszawskiemu antykwariuszowi z ulicy Świętokrzyskiej, Rafaelowi Kleinsingerowi, cennego obrazu pędzla holenderskiego artysty. Nieuczciwy handlarz dziełami sztuki postanowi wymusić od wspomnianego antykwariusza podwójną zapłatę, a żeby to udowodnić, pokrzywdzony zastawi na cwaniaczka pułapkę w popularnej kawiarni Ziemiańska.

„Przy sąsiednim stoliku oczekiwał inżynier siedzący dla niepoznaki w towarzystwie damy. Gdy tylko Meisner z Kleinsingerem otworzyli usta, inżynier wyjął bloczek i starannie zapisywał każde słowo. W ten sposób zdobyto ważny dowód przeciwko Meisnerom”[226] – wyjaśni kilka dni później prasa.

Afera podsłuchowa, na samą myśl o której cierpnie zapewne skóra przedstawicielom pewnej partii politycznej, nie jest zatem niczym nowym, zresztą i afery korupcyjne w polskim futbolu to też nie wyłącznie domena czasów współczesnych, okazuje się

bowiem, że zdarzały się już przed wojną. W 1936 roku temat przekupstwa w piłce nożnej wypływa na zachodzie kraju, a dotyczy klubu Dąb, którego kierownictwo, chcąc zapewnić sobie pomyślny rezultat w jakimś szczególnie prestiżowym meczu, postanowi przekupić bramkarza drużyny K.S. Śląsk, któremu zaoferuje trzysta złotych w zamian za wpuszczenie kilku goli. Co ciekawe, bramkarz o tej nieuczciwej propozycji poinformuje władze swojego klubu, te zaś doniosą o sprawie Polskiemu Związkowi Piłki Nożnej.

Osobliwy skandalik z futbolem w tle wydarzy się także w drugiej połowie lat trzydziestych, gdy czterem piłkarzom warszawskiej Legii – olimpijczykowi i reprezentantowi Polski Henrykowi Martynie, a poza nim również Cebulakowi, Nawrotowi i Drabińskiemu – sprzykrzy się gra w piłkę na ojczystej ziemi, a w związku z tym w Gdyni przedostaną się podstępem na statek Batory i wyruszą w rejs do Stanów Zjednoczonych, gdzie – jak twierdziła prasa – zamierzali znaleźć nową pracę. Piłkarze zaplanowali ucieczkę w tajemnicy przed klubem, a ponieważ nie figurowali na liście pasażerów, a w związku z tym nie mogliby zejść na amerykański ląd, kapitan statku zdecyduje się przeflancować ich na… członków załogi. I tak jeden z najlepszych wówczas polskich obrońców Henryk Martyna zostanie kucharzem, Cebulak – bufetowym, a Nawrot i Drabiński przemienią się w stewardów.

Włodarze warszawskiego klubu na wieść o wyczynie swoich gwiazd dostaną szewskiej pasji, dość powiedzieć, że na specjalnie zorganizowanej konferencji prasowej jeden z przedstawicieli potępi „występek uciekinierów”[227], zapowie śledztwo w tej sprawie i rychłe usunięcie futbolistów ze składu Legii. Piłkarze tymczasem wzmocnią w Nowym Jorku załogę Batorego, która rozegra tam mecz piłkarski z reprezentacją polsko-amerykańskiego klubu sportowego. Słynny Henryk Martyna ostatecznie powróci do kraju, w Legii jednak nigdy nie zagra, zasili za to drużynę lokalnego rywala „wojskowych” –

Warszawianki, której barwy będzie reprezentować aż do wybuchu wojny.

Nie wiem, czy ostatecznie piłkarz wyciągnął do klubowych sterników rękę w geście zgody. Jeśli nie, niech wie, że w przedwojennej Polsce grozi to więzieniem, choć wyłącznie w przypadku, gdy ręki nie zechcemy podać staroście reprezentującemu majestat Rzeczpospolitej. W drugiej połowie lat trzydziestych przekona się o tym na własnej skórze adwokat Jursz, skazany przez sąd na miesiąc aresztu z zawieszeniem na trzy lata tylko dlatego, że gdy starosta Świątkiewicz wyciągnął w jego stronę rękę na powitanie, adwokat kiwnął głową, ale swoją dłoń ostentacyjnie cofnął. A to w opinii sądu znieważyło starostę w czasie sprawowania urzędu (potem sąd zmienił kwalifikację czynu i występek uznał za… obrazę godności osobistej). Na usprawiedliwienie pana Jursza dodam, że jego zachowanie nie wynikało bynajmniej ze złego wychowania, trzeba bowiem wiedzieć, że to właśnie na mocy decyzji starosty znalazł się wcześniej adwokat w Berezie Kartuskiej.

W 1935 roku w równie absurdalnych okolicznościach sąd skaże na wysoką grzywnę, a potem na piętnaście dni aresztu księdza Sylwestra Korytkę świadczącego duchowną posługę na prowincji w okolicach Przemyśla. Czym zawinił ksiądz? Otóż pozwolił sobie najpierw w obecności komendanta policji, a potem sędziego sądu uderzyć ręką o stół, a czyn ten, przez tego drugiego, został zakwalifikowany jako… obraza sądu.

Ksiądz Korytko tłumaczył się, że uderzył w stół tylko dlatego, aby zademonstrować sędziemu, w jaki sposób uczynił to wcześniej w obecności komendanta, sędzia jednak podobnemu zachowaniu pobłażać nie zamierzał, zwłaszcza że – jak wyjaśnił – wskutek uderzenia kałamarz aż podskoczył. Na takie zaś wyskoki w obecności przedstawiciela władzy sądowniczej pozwolić sobie nie można.

OSTATNIA POSŁUGA

W 1934 roku stolica żyje wielką aferą związaną z fałszowaniem dokumentów przez właściciela zakładu pogrzebowego Ostatnia Posługa, mieszczącego się na przy ulicy Grzybowskiej 21. Pan Mordka Pinkert zwany w Warszawie królem nieboszczyków przez lata dopuszczał się fałszowania aktów zgonu mieszkańców prowincji oraz bogatych Żydów (aby nie podlegali przewidzianej prawem sekcji zwłok), czerpiąc z tego tytułu spore zyski.

W trakcie rewizji przeprowadzonej w siedzibie firmy policjanci odnajdą trzydzieści jeden sfałszowanych dokumentów, ustalą również, że w procederze pomagał Pinkertowi doktor Kustin wystawiający świadectwa zgonu z datą, godziną i przyczyną zejścia. Wskazywał w nich fikcyjne przyczyny śmierci – a to utonięcie w wannie, a to chorobę serca, a to wreszcie zapalnie płuc, samobójstwo lub przypadkowy postrzał z rewolweru. Doktor Kustin przyzna potem, że takich fałszywych świadectw śmierci wydał Pinkertowi około stu, inkasując za nie łącznie pięćset złotych.

„W czasie przesłuchania p. Pinkert oświadczył na swą obronę, iż padł ofiarą… nieboszczyków, nikt bowiem nie oskarża go ani nawet nie posądza by pochował człowieka żywego. «Chowałem tylko nieboszczyków» – zakończył p. Pinkert”[228].

Sprawa trafi do sądu w 1937 roku, wtedy też okaże się, że z Pinkertem współpracowało w podobny sposób trzech lekarzy, a on sam dysponował pieczątką Zakładu Medycyny Sądowej oraz blankietami warszawskiego prosektorium, dzięki czemu miał sposobność fałszowania zaświadczeń składanych w komisariacie policji, zwłaszcza wtedy, gdy rodzinie zmarłego zależało, aby nie przeprowadzano sekcji zwłok.

* * *

ROZDZIAŁ XX
Z FARTEM

S p a d ł z 3 - e g o p i ę t r a i n i c.

N i e z w y k ł e s z c z ę ś c i e r a d j o t e c h n i k a

Kraków. 3.11. Niezwykły upadek z 3-go piętra wydarzył się wczoraj rano na ul. Tadeusza Kościuszki. Na jednym z domów przy wspomnianej ulicy zakładał antenę radjotechnik Piotr Siatkowski, lat 24. W pewnym momencie Siatkowski stracił równowagę i runął z 3 piętra na dół.

Jakimś niezwykle szczęśliwym zbiegiem okoliczności – upadł tak, że nie doznał poważniejszych obrażeń. Oszołomiony upadkiem zerwał się na równe nogi, a czując dotkliwy ból głowy, otarł ją ręką. Wtedy skonstatował, iż jest ranny, wobec czego zdecydował, iż potrzebna mu pomoc pogotowia ratunkowego.

Ponieważ jednak był w roboczem ubraniu, uznał, iż tak na pogotowiu nie może się pokazać, wobec czego poszedł pieszo do swego domu przy ul. Spadzistej 15, tam przebrał się w porządniejszy garnitur i dopiero – również pieszo – udał się na pogotowie”[229].

* * *

LOTERIA

Loteria Państwowa to szansa na diametralną zmianę stylu życia. Któż zaprzeczy? Jeden los potrafi uczynić z biedaka szanowaną personę. Będą się z nią liczyć, bo ma szczęście i pieniądze.

Szkopuł w tym, aby wybrać właściwe liczby. Mieszkańcy przedwojennej Polski dostają na punkcie loterii bzika. Powstają systemy gry nawiązujące do kabały, Biblii, układu planet i wiedzy jasnowidzów – oczywiście każdy jest zdaniem jego twórcy niezawodny i prędzej czy później zapewni wygraną.

Jedni przekonują, że szczęśliwego losu nie sposób kupić u katolika, drudzy – że nie trafiają się takie u Żydów. Kolektury prześcigają się w pomysłach na przyciągnięcie klienteli żądnej fortuny, w czym celuje zwłaszcza kolektura A. Wolańska mająca oddziały w Wilnie i Warszawie.

Ogłoszenia reklamowe publikowane przez tę firmę w codziennej prasie to perełki przedwojennego marketingu, nawet jeśli dzisiaj brzmią nieco absurdalnie. Odwołują się niemal do wszystkiego. Jest fachowość („któż jej nie ceni?") i ogłoszenie przekonujące, że owszem, fachowość jest ważna zawsze i wszędzie, ale to, na co fachowiec pracuje całe życie, można zyskać w mgnieniu oka – wystarczy kupić los (oczywiście tylko w odpowiedniej kolekturze). Podobnie ma się rzecz w przypadku „zdolności", „pracowitości" czy „punktualności". Wielu na świecie utalentowanych, ale cóż z tego, skoro całe życie upływa im na ciężkiej pracy. A na loterii, jak zapewnia „związana ze szczęściem" kolektura A. Wolańska, wystarczy kupić los.

Wizyta w odpowiedniej kolekturze to jednak tylko połowa sukcesu, wytrawny gracz zdaje sobie sprawę, że należy spełnić jeszcze mnóstwo innych warunków. Powstają setki systemów. Są tacy, którzy hołdują zasadzie – szczęśliwe liczby muszą dzielić się przez „3" lub „8" albo mieć „0" na końcu. Inni przekonują o sile „siódemki", odwołują się do dat ważnych w historii kraju, numerów ulic, rekordów lekkoatletów, wyników piłkarskich, notowań na giełdzie i numerologii, rzekomo zaklętej w polskiej literaturze. W prasie ogłaszają się różnego rodzaju jasnowidze, którzy za drobną opłatą są gotowi przesłać pod wskazany adres szczęśliwe liczby. Myli się ten, który sądzi, że ich skrzynki pocztowe pozostają puste.

Dla wielu naszych rodaków żyjących w latach dwudziestych i trzydziestych już samo odczytywanie w porannej gazecie tabelek z wylosowanymi liczbami urasta do rangi ceremoniału. Niektórzy, a mowa tu o tych zamożniejszych, uważają na przykład, że wygranej sprzyja udział w loteryjnym rytuale osób trzecich, najlepiej służby, i dlatego często to właśnie pokojówka lub kucharka zostaje oddelegowana do odczytania z gazety szczęśliwych numerów.

Wybrańcy losu, którzy wygrywają na Loterii Państwowej, zachowują się niekiedy dość osobliwie, ale na samą myśl o takiej fortunie może się pomieszać w głowie. Na przykład łódzka pracownica biurowa z fabryki włókienniczej, która wygra aż sto tysięcy złotych, nagrodę odbierze dopiero miesiąc po losowaniu, czym da – jak napisała prasa – „dowód wielkiej flegmy”[230].

„Sto tysięcy złotych – to wielkie pieniądze. Nie chciałam rozporządzać niemi pod wpływem podniecenia, jakie wywołała u mnie wiadomość o wygranej. Chcę działać z rozwagą i namysłem. Dziś już oswoiłam się z myślą, że jestem bogata, i dlatego zgłosiłam się po gotówkę”[231] – wyjaśnia w rozmowie z dziennikarzem szczęśliwa łodzianka.

Loteria Państwowa cieszy się więc w przedwojennej Polsce szalonym wręcz powodzeniem, ciekawe, czy podobną rzeszę zwolenników zyskałby podobny pomysł, na który wpada w drugiej połowie lat dwudziestych Wojciech Gałka. 20 listopada 1928 roku ten mieszkaniec Stanisławowa składa w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych podanie o zezwolenie zorganizowania niezwykle osobliwej loterii.

Pan Gałka zamierza puścić w obieg trzydzieści tysięcy biletów – dwa złote za sztukę. W założeniu losy te mogłyby nabywać wyłącznie kobiety (pan Gałka jest dżentelmenem, a zatem wiek, uroda, wyznanie czy narodowość nie mają tu żadnego znaczenia), samo zaś losowanie odbywałoby się w obecności władz, duchownego i notariusza.

Szczęśliwa zwyciężczyni wygrałaby projektodawcę loterii, innymi słowy – wylosowałaby pana Wojciecha Gałkę we własnej

osobie, który jak donosiła prasa: „Ożeni się z nią bez względu na to, czy jest piękna, czy brzydka, stara czy garbata. W ten sposób będzie miał posag, uszczęśliwi wybrankę losu i wszyscy będą zadowoleni”[232].

Pomysłodawca zachęcał ministerstwa do rozpatrzenia pomysłu, który według niego miałby kapitalne znaczenie dla rozwiązania problemu starych panien i posagów. Słuszna koncepcja, wszak czy miłość to tak naprawdę nie jest loteria?

Swoją drogą z tym szczęściem, nie tylko zresztą w miłości, różnie bywa, a przekona się o tym na własnej skórze pewien warszawski kupiec. Co tu kryć, pan Symcha Bot nie miał ostatnio najlepszej passy. Prowadzony przez niego interes idzie słabo, on sam zmaga się z problemami zdrowotnymi, a na koncie PKO od lat przy jego nazwisku figuruje skromna kwota opiewająca na 11 złotych i 80 groszy. I zapewne już dawno konto by zlikwidował, gdyby nie to, że kupiec z kontem, nawet martwym, to zawsze brzmi lepiej niż kupiec bez konta.

Cierpliwość zostaje niespodziewanie nagrodzona na początku 1935 roku, gdy pan Bot otrzymuje powiadomienie o niespodziewanej wpłacie na jego konto kwoty 685 złotych. Okazuje się, że pieniądze przelał 85. Pułk Piechoty Strzelców Wileńskich i chociaż pan Symcha Bot nie potrafi wyjaśnić tej nieoczekiwanej troski polskiego wojska, rad jest jej bardzo. Humor poprawia mu się jeszcze bardziej trzy dni później, gdy tym razem 6. Dywizjon Artylerii wpłaca na jego konto 815 złotych, a po upływie dwóch kolejnych dni kilkaset złotych przekazuje 5. Dywizjon Taborów stacjonujący w Bochni. Życzliwość polskiego wojska nie zna granic, przez dwa kolejne miesiące konto żydowskiego kupca jest zasilane następnymi kilkusetzłotowymi wpłatami. Pan Bot zdąży w międzyczasie podjąć osiem tysięcy złotych, wyleczy się z gruźlicy i postanowi zainwestować pieniądze w jakiś „pewny” interes, niestety, wkrótce w jego mieszkaniu zjawi się policja, oskarży kupca o przywłaszczenie i osadzi w areszcie. Czar pryska, fortuna

odwraca się plecami i pokazuje nieszczęśnikowi, sami państwo wiedzą co.

Kończąc wątek pana Bota, wspomnę jedynie, że za wszystkimi tajemniczymi wpłatami stał nierozgarnięty urzędnik, którego fatalna pomyłka sprawiła, że formacje wojskowe wpłacające pieniądze na Wojskowy Fundusz Kwaterunkowy całkiem nieświadomie przekazały panu Botowi kilkanaście tysięcy złotych.

TO SIĘ NAZYWA SZCZĘŚCIE…

Szczęście na loterii – bez względu na to, czy wygraną stanowi sto tysięcy złotych, czy też pomysłowy pan Wojciech Gałka – na pewno jest cenne, ale prawdziwym farciarzem okaże się ten, kto zdoła oszukać śmierć.

O Piotrze Siatkowskim, który spadł z trzeciego piętra, lecz nie doznał poważnego uszczerbku na zdrowiu, przeczytali już państwo na wstępnie tego rozdziału, nie jest to bynajmniej jedyny taki przypadek, a pozwolę sobie wspomnieć o dwóch innych.

18 listopada 1935 roku mieszkańcom wsi Owińska pod Poznaniem włos zjeżył się na głowie. Wszyscy widzieli, jak ćwiczebny samolot przelatuje nad ich chatami, potem wpada w korkociąg, a wreszcie rozbija się na podwórzu pana Bauma. Baby szlochają, chłopi wznoszą ręce ku niebu, skąd spadło nieszczęście, a w tym czasie obaj piloci – porucznicy Ścibor i Jankowski – wyskakują ze zmasakrowanego kadłuba aeroplanu, otrzepują spodnie z kurzu i uśmiechają się pobłażliwie w stronę osłupiałego tłumu.

To dopiero cud! Boskim zrządzeniem losu samolot runął na ziemię tak szczęśliwie dla lotników, że lewe skrzydło zatrzymało się na dachu oberży, a prawe oparło się o dach chlewu, a chociaż oba finalnie się urwały, kadłub, już ze znacznie mniejszą siłą, osiadł na wozie z sianem stojącym na środku podwórza. Jakby szczęścia było mało, na zwykle pełnym ludzi podwórzu pana Bauma w tym momencie akurat nikt nie stał.

Cóż w tym jednak dziwnego. Skoro polski wojak zwykle jest ze śmiercią po imieniu, to i kostucha bywa dla niego życzliwa. Co nieco na ten temat mógłby powiedzieć szeregowiec z posterunku straży granicznej we wsi Adamowo w rejonie Michniewicz. Wiosną 1933 roku podczas służby grzmotnie w niego piorun, a dokładnie rzecz ujmując – grzmotnie w jego karabin, roztrzaskując zresztą kolbę na małe kawałki. Co prawda broń należy spisać na straty, ale szeregowiec – o czym przekonywała prasa – poza drobnym wstrząsem, wyszedł z opresji bez szwanku.

Cud jakich mało, niech się chowa zwycięzczyni loterii i otoczony troskliwą opieką wojska pan Bot. To się nazywa szczęście, to jest dopiero fart.

* * *

ROZDZIAŁ XXI

W POZNANIU, WARSZAWIE, ŁODZI I NA KRESACH

„O b y w a t e l u – t y, k t ó r y z ł a m a ł e ś t o d r z e w k o, z a s ł u ż y ł e ś n a m i a n o z b r o d n i a r z a”.

N i e p o t r a f i m y u s z a n o w a ć w s p ó l n e g o d o b r a

Warszawa się emancypuje. Codziennie można znaleźć w prasie wzmianki o budowie nowych, wspaniałych gmachów szkolnych i państwowych, o projekcie założenia nowego zieleńca, parku lub ogródka dla dzieci, o regulacji wybrzeża Wisły, nowym kanale, asfaltowaniu i brukowaniu ulic na przedmieściach.

Niestety z emancypacją zewnętrznego wyglądu stolicy nie idzie w parze emancypacja jej mieszkańców. Rażący brak kultury i troski o wygląd ulic, placów i miejsc publicznych, który zależy przecież w dużej mierze od nas samych, przejawia się na każdym kroku. Charakterystyczne obrazki naszego niechlujstwa są nader liczne[233].

* * *

STEREOTYPY POZNAŃSKIE

Niechęć do mieszkańców innych dzielnic jest doskonale znana w przedwojennej Polsce. Goszczącego w Poznaniu przybysza z Warszawy wielu miejscowych traktuje z absurdalną protekcjonalnością. „Z Kongresówki!” – wytyka się za plecami

takiego, przypominając na każdym kroku: „Tu nie warszawski bałagan, tu Poznań”. Wykpiwany jest gość ze stolicy nawet za to, że jako jedyny nie zamówił w restauracji młodej gąski, wszakże „swój” zawsze o pieczyste w Wielkopolsce prosi. O posuniętej do granic absurdu stygmatyzacji dzielnicowej można się przekonać, słuchając starszych poznaniaków przekonujących: „Prawdziwy poznaniak musi być blondynem”. A brunet? Brunet to najpewniej ze stolicy.

Poznaniacy kpią zatem z warszawiaków. Warszawiacy śmieją się z krakusów, którym wypominają rzekome skąpstwo (z Krakowa, a zatem „centuś”). Lwów kłóci się z Górnym Śląskiem, a Wilno o obłudę oskarża resztę kraju. I tylko Łódź nie wchodzi z nikim w polemikę, bo nikt z nią wchodzić w takową nie zamierza.

OSOBLIWOŚCI WARSZAWSKIE

Zapewne podobnego banału nie godzi się powtarzać, niemniej przypomnijmy – stolica lat dwudziestych i trzydziestych to nie tylko Mała Ziemiańska, Adria, gmach sejmu, Łazienki, rewie, teatry, Wieniawa, modne saloniki mody i popularne knajpy z morzem alkoholu.

Z tym upojeniem, i to bynajmniej nie strofami Tuwima, rzeczywiście jest w Warszawie kłopot. Dyrekcja państwowego monopolu spirytusowego ma na to koronny dowód – dane statystyczne z 1929 roku, potwierdzające, że stolica pije najwięcej w kraju, a jeden mieszkaniec Warszawy spożywa w ciągu roku średnio aż 5,7 litra spirytusu.

Na ten rekordowy wynik z pewnością zapracowali przyjezdni, bo Warszawa cieszy się powodzeniem wśród turystów. Któż nie chciałby jej poznać, któż nie chciałby dowiedzieć się, o co tyle hałasu. Oczywiście czynnikiem zachęcającym bywają muzea i wystawy, ale według ankiety przeprowadzonej w 1936 roku przez Związek Propagandy Turystycznej większość ludzi odwiedza Warszawę w celach rozrywkowych, skupiając się na centrum miasta. A stolica to przecież nie tylko Śródmieście.

Na Czerniakowie życie, zwłaszcza w weekend, toczy się leniwie. Przed małymi domkami z charakterystycznymi niskimi oknami gromadzą się kobiety, rozprawiające z sąsiadkami o tym, w którym sklepie najlepszy cukier, a w którym mąka. Co charakterystyczne dla Czerniakowa, to kury. Wszędzie ich pełno, spacerują między domkami, włażą w każdy kąt. Nie ma ich chyba tylko na Cmentarzu Czerniakowskim, za to ludzi jest tam zawsze wielu. Rozmawiają o tych, którzy odeszli, i – to dość dziwaczny zwyczaj – odczytują na głos nagrobne wierszyki. Osobliwą rozrywką stają się także spacery wzdłuż trasy kolejki wilanowskiej, cała zaś sztuka polega na tym, aby maszerująca po szynach elegancko ubrana panienka nie straciła równowagi.

Spacerują i mieszkańcy Woli, lecz ci najczęściej w kaloszach. Wiosną w okresie obfitych opadów ulice Gniewkowska, Sowińskiego i Jana Kazimierza zamieniają się w rwące potoki. Na ulicy Grodziskiej zostaje wybudowany rodzaj mostku pontonowego, tylko dzięki niemu mieszkańcy mogą przedostać się do domów. Zarząd Miejski, XXII Komisariat i Biuro Melioracji robią dobrą minę do złej gry, jednak pomóc nie potrafią. Ktoś złośliwy wypomni włodarzom miasta, że kiedy mówi się o „Warszawie przyszłości w kwiatach i zieleni", a premier Składkowski zwraca uwagę pewnemu gospodarzowi na stóg siana stojący na jego podwórzu (wszak stóg siana na granicy „wielkiej Warszawy" nie licuje z powagą stolicy), zalewająca Wolę gnojówka nikomu specjalnie nie przeszkadza.

Warszawa to bowiem w dwudziestoleciu międzywojennym miasto paradoksów z centrum tętniącym życiem i przedmieściami przypominającymi ubogie wsie. Tam, choć to wciąż stolica, nie brakuje chat ze słomianymi strzechami i bydła pasącego się na łące.

MIASTO BEZ KONSEKWENCJI

Stołeczna ulica huczy, aż głowa boli. Na nieznośny ryk klaksonów, na krzyki, na dzwonki tramwajów, na turkot wozów przewalających się po drodze skarży się tu niemal każdy.

Zwłaszcza wozy rzeźnickie wyposażone w żelazne poręcze i pędzące na złamanie karku po spadzistej drodze powodują harmider wprost nie do opisania. Prasa wspomina w połowie lat trzydziestych, że istnieją w Warszawie miejsca, w których z powodu hałasu nie sposób normalnie funkcjonować. Na przykład na ulicy Hożej w jednym budynku mieszczą się żydowski dom modlitwy, warsztat kotlarski i zajezdnia wozów mleczarskich, co po skumulowaniu krzyków, łoskotu i turkotu kół po kocich łbach powoduje taki hałas, że okoliczni mieszkańcy przez połowę dnia, a niekiedy i pół nocy, są zmuszeni chodzić z uszami zatkanymi watą. Cóż z tego, że z czasem zakaże się używania sygnałów dźwiękowych na skrzyżowaniach, a ręczne wózki poleci się zaopatrzyć w gumowe amortyzatory, skoro i tak stolica od świtu do nocy dalej gra swą kocią muzykę. W połowie lat trzydziestych ktoś nawet wpadnie w związku tym na pomysł zorganizowania tygodnia ciszy, ale koncepcja chyba nie zyskała aprobaty decydentów, bo cisza kosztuje, a hałas przynosi pieniądze.

A jeśli już mowa o pieniądzach, to te tradycyjnie łączy się z czasem. Warszawa o tym wie, ale jakoś niewiele sobie z tego robi. Nie, nie chodzi wcale o to, że jest leniwa i co rusz ma przerwę, problemem z czasem dotyczy ustalenia, która właściwie jest teraz godzina. Nawet zegary w zakładzie zegarmistrzowskim chodzą każdy swoim tempem. Czy jest za dwadzieścia siódma, czy może już za dziesięć, nie sposób ustalić. Opowiadali starszy warszawianie, jak pewnego razu, a było to zdaje się w połowie lat trzydziestych, pewien dżentelmen wsiadł do „czternastki” o piątej po południu, a gdy przesiadał się do innego tramwaju, zainstalowany zegar pokazywał… kwadrans po czwartej. Jedni wciąż się przez to spóźniają, inni pojawiają się na miejscu zbyt wcześnie.

Kiedy zdołamy ustalić godzinę, należy jeszcze dotrzeć pod wskazany adres, a to – zwłaszcza jeśli znajdujemy się w centrum miasta – prawdziwa droga przez mękę. Po zatarasowanych chodnikach przewala się iście żółwim tempem ludzka masa, co

gorsza, niektórzy mają w zwyczaju chadzać w równych szeregach, na przykład po cztery osoby. Ominiesz jedną taką zaporę, zaraz wyrasta przed tobą kolejna. Są też inne przeszkody w postaci rozgadanych paniuś, które akurat w godzinach szczytu urządzają sobie ploteczki na środku ulicy.

Niebezpieczeństwo czyha na przechodnia nie tylko na lądzie, lecz także w powietrzu. Ileż to gustownych garniturów zaleje woda skapująca na głowę z kwiatków podlewanych na balkonie, ileż to zapaskudzi uliczny kurz tylko dlatego, że jegomość machający miotłą zgarnia śmieci, nie bacząc na przemykających obok przechodniów. Szczególnym rodzajem katastrofy może się zakończyć przechadzka pod mostem Poniatowskiego, tutaj bowiem trafiają się i tacy, którzy nie uznając za stosowne skorzystać z miejskich szaletów, oddają mocz wprost na głowy przechodniów.

Ponadto Warszawa to miasto drogiego gazu, drogiej elektryczności i drogich tramwajów. W roku 1937, w przeliczeniu na złotówki, bilet do metra paryskiego kosztuje piętnaście groszy, bilet tramwajowy w Madrycie osiem groszy, a w polskiej stolicy – aż dwadzieścia groszy[234]. A ponieważ, w porównaniu do innych ówczesnych stolic europejskich, życie w Warszawie jest drogie, wielu jej mieszkańców oszczędza na wszystkim – oszczędza wręcz absurdalnie. Cóż bowiem z tego, że w mieszkaniu pana Nowaka jest woda, prąd i gaz, skoro pan Nowak, obawiając się wysokich opłat, kąpie się raz na kilka dni, a światło włącza tylko w niedzielę. To, co – jak wspominał pisarz i dziennikarz Ksawery Pruszyński – jest na zachodzie Europy domeną ludności robotniczej, w Polsce uchodzi za przywilej inteligencji. „Prosperity to nie szampan, ale szampon z czarną główką”[235] – stwierdzi, a Antoni Słonimski doda: „Warszawa jest typowym miastem bez konsekwencji”[236].

Kończąc wątek plag warszawskich, trzeba powiedzieć, że poza hałasem i zakorkowanymi trotuarami należą do nich kurz, brud i panujące nocą (wyłączając centrum) egipskie ciemności. W niektórych miejscach, zwłaszcza tych nieco oddalonych od

centrum, z zalanych nieczystościami rynsztoków wydobywa się potworny odór, na przykład na początku pozbawionej kanalizacji ulicy Puławskiej w spływającym otwartym ścieku mieszają się fekalia, odpady z pobliskiej fabryczki i wylewana wprost na ulicę brunatna breja z pobliskiej jadłodajni, co przyprawia o mdłości przechodniów zmierzających w stronę śródmieścia.

Spuśćmy na ten widok zasłonę milczenia albo i zasłonę nocy, bo w jej trakcie i tak nie zobaczysz w Warszawie czubka własnego nosa. Panujące tu ciemności to kolejna z osobliwości. Miasto – chociaż wchłania kolejne tereny podmiejskie – sukcesywnie zmniejsza ilość prądu elektrycznego zużywanego na oświetlenie ulic i placów. W 1928 roku zużywa na ten cel 2825 tysięcy kWh, a w 1934 roku już tylko 2568 tysięcy kWh. Logiki w działaniach stołecznego magistratu doszukać się tu trudno.

Czy przedwojenna Warszawa traci coś przez wszystkie swoje niedorzeczności, niekonsekwencje i dziwactwa? Odrobinę z pewnością, ale… tylko odrobinę.

MIASTO NIEDOCENIANE

(ale ukochane przez autora, a zatem traktowane przez niego na specjalnych warunkach)

Nielubiana przez władze, niedoceniana i niedofinansowana. Chociaż pracowita, chociaż wiecznie się gdzieś śpiesząca, wciąż w dwudziestoleciu międzywojennym traktowana przez resztę kraju jak niekochany krewny. Czym tłumaczyć sobie tę niechęć do miasta włókniarzy?

W Krakowie czy Warszawie mawia się w tym czasie – łodzianie bywają niegrzeczni. I chyba jest w tym trochę prawdy. „Publiczność łódzka, o której mówią na ogół, że nie posiada taktu, w stosunku do siebie wymaga zawsze bardzo wiele grzeczności i jest ambitna. Odpowiada nieraz grubiańsko, oburza się jednak, gdy otrzyma odpowiedź wypowiedzianą w tonie niegrzecznym”[237] – stwierdza, siląc się na obiektywizm, pewien łódzki policjant.

Przedwojenna Polska nie rozczula się nad Łodzią, nie próbuje jej poznać, zbywa ją z reguły ogólnikami, sami zaś łodzianie, wiecznie czymś zajęci, nie mają czasu tłumaczyć i stanąć w jej obronie. Rzadko się zdarza, aby ktoś zechciał się jej przyjrzeć uważnie. W 1928 roku wysiłek taki podejmuje dziennikarz „Ilustrowanego Kuryera Codziennego". On dostrzeże w szaleńczym łódzkim pędzie swoisty urok. A że Łódź dymi i to dymi tak, że nie widać kopuł kościołów, a niekiedy i czubka własnego nosa? Cóż, dymi, bo pracuje – skonstatuje pan redaktor.

Ten jeden z największych w Polsce ośrodków przemysłowych, o którym jako o „polskim Manchesterze" mówi się w tamtym czasie za granicą, a o którym stolica mówić z reguły nie chce, okradziony przez Niemców w trakcie wojny i odcięty od Rosji, czyli tradycyjnego rynku zbytu, przekazuje spore sumy z podatków do kasy państwowej. W zamian niestety otrzymuje niewiele.

Złośliwi mawiają, że mieszkańcy wszystkich miast są równi – mieszkańcy Warszawy najrówniejsi, a mieszkańcy Łodzi najmniej równi[238]. Przykłady można mnożyć, wspomnę jedynie, że gdy o fundusze na budowę gmachów sądowych ubiegało się w tym samym czasie kilka miejscowości – Tarnów otrzymał od władz 500 tysięcy złotych, Rawa Ruska 200 tysięcy, Łódź zaś (wraz z Pieczeniżynem) – zaledwie 100 tysięcy.

Miasto, które jako pierwsze wprowadziło powszechny obowiązek szkolny, nie doczeka się w dwudziestoleciu międzywojennym ani jednej wyższej uczelni, wyjąwszy z tego nieoficjalny, a jeden z najlepszych w Europie „uniwersytet złodziejski", w którym „wykładały" takie sławy jak słynny opryszek Menachem Bornsztajn zwany Ślepym Maksem.

Miasto kominów, w którym na nędzy robotników zbudowano niejedną fortunę, nie może z braku pieniędzy wybudować kanalizacji. A chociaż wszyscy rzucają Łodzi kłody pod nogi, ta nie przestaje marzyć – nie tylko o kanalizacji, lecz także o zieleni, drapaczu chmur, podziemnych szosach, nawet o metrze. Prawda, że skończy się na marzeniach, bo trudno myśleć o budowie

metra, gdy miasta nie stać nawet na oświetlenie ulic, na przykład na ulicy Różanej na przestrzeni trzystu metrów nie ma ani jednej latarni, a co za tym idzie, nie ma też ani jednej nocy, aby nie dochodziło tam do awantur, napadów i kradzieży.

Z tym oświetleniem miasta nocą to swoją drogą nader ciekawy przykład łódzkiej niedorzeczności. Borykający się z pustą kasą magistrat czyni oszczędności na każdym kroku i w związku z tym dla świętego spokoju na jego polecenie rozwiesza się nad niektórymi ulicami drut z lampą o mocy zaledwie dwustu świec. Podobna moc wystarcza na oświetlenie mieszkania, ale jezdni i ulicy tak nikła poświata rozjaśnić nie zdoła.

Radzą sobie mieszkańcy, jak potrafią, nie przejmując się przy tym krążącymi po Polsce docinkami na swój temat. Zakasują rękawy i biorą się do pracy. Legalnej i nielegalnej. Na Bałutach, jak napisze w swojej powieści Konrad Lewandowski, handełesy i drobni przedsiębiorcy, „wnioskując z ich zapewnień, gotowi byli, gdyby tylko trafił się klient, podjąć się budowy Titanica i na poczekaniu zwodować go w Łódce”[239]. Na Starym Rynku handlują pestkami dyni, pierzem, gotowanym grochem, sznurowadłami, muchołapkami, środkami antykoncepcyjnymi i miłością. Tutaj można spotkać słynnych łódzkich tragarzy, którzy – gdy wymaga tego sytuacja – dźwigają trzymetrowe piramidy paczuszek. Tutaj też natkniemy się na doktora filozofii, prowadzącego wielogodzinne dyskusje z napotkanymi łodzianami. „Ziemia obiecana”, jej aspiracje i proza życia…

KRAKOWSKI KOREK I KRESOWE NIEDOMAGANIA

Mieszkańcy Krakowa w drugiej połowie lat dwudziestych podnoszą rwetes w sprawie alei 3 Maja. Po dziurawej drodze, nadgryzionej zębem czasu, zgodnie z przepisami mogą się przemieszczać tylko dorożki i to wyłącznie stępem. Posterunkowy pilnuje, aby rumaki pomykały z przepisową prędkością i by na przejażdżkę nie wybrał się tędy jakiś zbłąkany posiadacz automobilu. Miłośnicy czterech kółek mają zakaz

wjazdu, magistrat krakowski dba bowiem o płuca mieszkańców i nie pozwoli żadnemu z nich na wdychanie tumanów kurzu unoszących się w powietrzu. Tym, że w ten sposób jedyna droga do Bielan i Woli Justowskiej jest stale zakorkowana, nikt się nie przejmuje. Zdawałoby się, że zakaz powinno się znieść, a aleję 3 Maja doprowadzić do porządku i tym samym uwolnić miasto od nieznośnego zatoru. Na to jednak brakuje środków, smołowanie drogi jest przecież kosztowne, a krakowskich urzędników nie przekona do powzięcia odpowiednich kroków nawet to, że wiele dróg na zachodzie Europy smołuje się za pomocą teru sprowadzanego ponoć właśnie z Małopolski.

Problemy Krakowa są jednak niczym, gdy porównać je z tymi, z którymi borykają się Kresy, a chociaż niektórzy wciąż przypominają słowa Marszałka Piłsudskiego (te o obwarzanku i o tym, że najlepsze w Polsce pochodzi z obrzeży), życie nie szczędzi trosk mieszkańcom wschodniej Polski.

Oczywiście nie na wszystko godzi się narzekać. Kornel Makuszyński stwierdzi kiedyś, że Lwów to takie dziwne miasto, w którym – gdy przyjeżdża się na cztery dni – powitanie trwa tydzień, pożegnanie dwa tygodnie, a na załatwienie sprawy zostaje godzina. Każdy z przyjaciół pragnie cię ugościć, a żeby podołać lwowskim obiadom, trzeba by siedmiu żołądków. Słynne są też lwowskie przyjęcia, na których wina nie uświadczysz, ale wódki i piwa jest tyle, że można by nimi obdzielić kilka warszawskich wieczorów (swoją drogą Kresy przodują w ilości spożywanego denaturatu). Lwowscy przyjaciele nieba ci przychylą, nie pozostawią bez opieki nawet na minutę i oddadzą ostatnie pieniądze, bylebyś zabrał ze sobą najmilsze wspomnienia. Bo jeśli lwowiak kocha, to – jak twierdzi pisarz – „jest to tajfun, burza, katastrofa, trzęsienie ziemi”[240].

Kresy to jednak nie tylko Lwów (a i to miasto, jak każde inne, zmaga się ze swymi bolączkami). O tym, że na wschodzie II RP rozmaitych niedorzeczności można spotkać nie mniej niż w Krakowie, Łodzi czy Warszawie, przekonamy się na Wołyniu,

przeżywającym w latach trzydziestych kryzys, którego genezy należy szukać jeszcze w czasach panowania carskiego zaborcy.

Wołyńskie absurdy wylicza w jednym ze swych reportaży pisarz i dziennikarz Ksawery Pruszyński, który wspomina o urzędnikach samorządowych stawiających pomnik kamienny swojemu wojewodzie; o cieszącym się w przeszłości poważaniem Liceum Krzemienieckim, na którego czele zamiast profesora stoi były starosta; o średniowiecznym zamku w Łucku, służącym straży pożarnej do ćwiczeń[241]; o słynnej sali lustrzanej w Wiśniowcu, wydzierżawionej jakiemuś Żydowi i zmienionej w kino; czy cieszącej się uznaniem porcelanie wołyńskiej, którą wyrabia się nie na Wołyniu, ale w Warszawie, a to dlatego, że słynna fabryka porcelany w Korcu splajtowała. Pisze też Pruszyński o niszczejących zabytkach – byłej siedzibie Wiśniowieckich i Mniszchów, którą po wojnie nabędzie starosta i powiesi w reprezentacyjnym miejscu tablicę na swoją cześć (chociaż wkrótce jego nazwisko znajdzie się również w policyjnej kartotece); o Krzemieńcu, w którym ktoś wpadnie na pomysł zamalowania w gmachu uczelni zabytkowych fresków jezuickich (na szczęście zdołano temu zapobiec); i o zamczysku w Starym Oleksińcu, należącym do Lasów Państwowych, gdzie dopuszczono do zawalenia się wielkiej bramy wjazdowej, a piękną barokową salę zamku zamierzano przerobić na… salę gimnastyczną.

* * *

ROZDZIAŁ XXII
AJ WAJ!

W a l k a n a l a s k i, t o r e b k i d a m s k i e i p u d e r

S k a n d a l i c z n e z a j ś c i e w b o ż n i c y w S o s n o w c u

Sosnowiec, 7 lutego (Bs). Dziś w godzinach rannych bożnica w Sosnowcu przy ul. Dekerta była widownią niesłychanej bójki, jaka rozegrała się w świątyni tej między sjonistami i mizrachistami z jednej, a ortodoksami i chasydami z drugiej.

Tło sprawy jest następujące. Od dłuższego czasu w Sosnowcu panował antagonizm między rabinem Hagerem (mizrachistą) a rabinem Englertem (chasyd). Antagonizm powiększył się w bież. tygodniu, kiedy Englert zatrzymany został przez władze w związku z ukrywaniem swego syna przed wojskiem. Zwolennicy Englerta zaczęli podejrzewać sjonistów o denuncjację, nic dziwnego, że między oboma obozami nienawiść zaczęła się pogłębiać. W dniu dzisiejszym w świątyni w pewnym momencie jeden z mizrachistów nastąpił na stopę chasyda, a ten niewiele myśląc, wymierzył mu za to policzek. W świątyni zakotłowało się. Poszły w ruch laski, torebki damskie itp. Jedna z chasydek zaczęła atakować przeciwników… pudrem.

Obaj rabini przerwali modły i zachęcali zwolenników do dalszej walki (?), wykrzykując „Voraus” (naprzód). Zapasy trwały około pół godziny[242].

* * *

PRZECIW NOWOCZESNEJ MODZIE

Semicka mniejszość stanowi na początku lat trzydziestych niespełna dziesięć procent mieszkańców Polski (w samej Warszawie żyje ponad trzysta pięćdziesiąt tysięcy Żydów), tworząc najliczniejszy niechrześcijański związek religijny. Gdy przybliża się rozmaite kurioza i dziwne przypadki dwudziestolecia międzywojennego, nie godzi się w związku z tym zapomnieć o polskich Żydach, tym bardziej że wielu spośród nich dołożyło wszelkich starań, aby dołączyć do naszego korowodu osobliwości.

Z pewnością miejsce w nim należy się Żydom z Wosina pod Siedlcami, wśród których wielkie poruszenie potrafi wywołać nawet damski manicure. A wszystkiemu winna żona kupca, która podczas krótkiego pobytu w Warszawie ulegnie gorszącej modzie i pomaluje paznokcie na czerwono. Zauważy to w wosińskim domu modlitwy pewna matrona i narobi takiego rabanu, że strwożeni chasydzi pomyślą z początku, że się gdzieś pali. Nie ogień to jednak, lecz palący kolor paznokci uczyni na wszystkich potworne wrażenie. Zgromadzeni Żydzi na czele z rabinem oświadczą mężowi niewiasty, że manicure jest nieprzyzwoity, stanowi poważne wykroczenie przeciw pobożnym obyczajom, a co za tym idzie, powinien zostać natychmiast zdrapany.

Niezłego hopla na punkcie obyczajnego stroju dam mają zatem w tym czasie Żydzi, dość powiedzieć, że w lutym 1926 roku podczas zjazdu rabinów w Warszawie poruszony zostanie temat gorszącej nowoczesnej mody, wtedy również powstanie specjalna komisja „antydekoltowa”. Uchwali ona regulację, na mocy której Żydówkom zakazuje się odkrywania choćby centymetra dekoltu. Kobietom wyznania mojżeszowego, które by się do tego przepisu nie zastosowały, grożą najsurowsze kary, włącznie z zakazem wstępu do bożnicy.

Pobożny Żyd nie tylko stoi na straży obyczajności, ale przede wszystkim dba o odpowiednie koszerne menu. Tak jak zubożały kamienicznik Josek Szklarek, który nie mając gdzie się podziać

na stare lata, znajduje schronienie u córki. Niestety, córka zaczyna w tym czasie ulegać wpływom postępowych współbraci w wierze, asymilujących się z resztą polskiego społeczeństwa. Starzec może i przymknąłby na to oko, ale gdy kobieta zacznie raczyć go a to prosięciem z kaszą, a to golonką z grochem, a to schabowym z kapustą, miarka się przebierze, bo co jak co, ale jadać świniny to się pobożnemu Żydowi nie godzi.

Na nic awantury, na nic wspomnienie nauk Talmudu. Córka i jej mąż ani myślą rezygnować z trefnej kuchni, więc postawiony pod ścianą starzec decyduje się opuścić dom, a wkrótce zapuka do drzwi znajomego prawnika. Sprawa trafia do sądu, pozywa bowiem pan Szklarek własną córkę z powodu niekoszernej kuchni, a sędzia, powołując się na konstytucję (i zapis o obrazie uczuć religijnych jednostki), przyznaje mu rację. Pogodzona z losem córka musi nie tylko przeprosić ojca i przyjąć go z powrotem do domu, lecz także złożyć obietnicę, że nigdy w jego obecności nie zaserwuje już wieprzowiny.

Cudotwórca z Czortkowa, rabin Izrael Friedmann (to ten z siwą brodą) wraca z Karlsbadu owacyjnie witany w Krakowie. Maj, rok 1931.

Z tymi świątobliwymi Żydami to niekiedy – jak mawiał klasyk – „czysta desperacja”. Tragarz, pan Moszek Rubinstein, to człek pobożny, tak pobożny, że chyba bardziej się nie da. Sęk w tym, że w parze z tą godną szacunku bogobojnością nie idzie rozum, kiedy więc siedmioletnia córka Moszka podczas zabawy na podwórzu upadnie na kamień, przerazi się ojciec nie na żarty, że jego ukochana jedynaczka w wyniku niefortunnego zdarzenia… straciła dziewictwo. Sprawa nie daje spokoju panu Rubinsteinowi do tego stopnia, że udaje się do rabinatu przy ulicy Grzybowskiej w Warszawie i prosi uczonych w piśmie Żydów wpierw o zbadanie córki, a potem o wydanie odpowiedniego zaświadczenia.

Po przeprowadzonych przez lekarza badaniach, a potem kilku godzinach burzliwych obrad, uczeni w piśmie rabini sporządzą dokument o następującej treści: „Zawiadamia się wszystkich, których to obchodzić będzie i dziś i jutro i za lat dziesięć i jeszcze dalej, że ta 7-letnia Mirla Rubinstein uległa nieszczęśliwemu wypadkowi, co jednak nie przeszkadza jej, ani nikomu, że jest ona dziś […] porządną i czystą córką żydowską”[243].

Uradowany uchwałą rabinatu Moszek natychmiast kilkanaście odpisów tegoż oświadczenia prześle rodzinie, a jeden zawiesi nawet na bramie swojego domu przy ulicy Stawki 15. Aby każdy wiedział…

W głowie się nie mieści, tak jak nie mieści się i to, że można zamordować syna tylko dlatego, że ten w szabas zapalił papierosa. Za taką zbrodnią stoi pobożny Żyd ze wsi Sokołowce pod Kosowem, który długo upominał potomka, aby w soboty nie raczył się tytoniem, a gdy ten zignorował ojcowskie prośby i groźby, potraktował go żelaznym łomem. W imię pobożności.

CERTYFIKAT KOSZERNOŚCI

Stereotyp przedstawiający pazernego Żyda i jego rzekome zamiłowanie do wszystkiego, co brzęczy, to temat dyskusyjny, a jego ocena wcale nie jest – jak mi się zdaje – oczywista.

Szczegółową analizę tego zjawiska pozostawiam bardziej kompetentnym ode mnie – historykom i znawcom stosunków polsko-żydowskich, sam natomiast pozwolę sobie uraczyć państwa taką oto historią, która wydarzyła się w pierwszej połowie lat trzydziestych, gdy znana w całej Polsce łódzka fabryka wędlin koszernych Diszkina postanowiła otworzyć filię w stolicy, a konkretnie na Nalewkach w Pasażu Simonsa. Oczywiście nie o kiełbasie Diszkina, która swoją drogą należy do najprzedniejszych w owym czasie, będzie tu mowa, lecz o ludzkiej chciwości.

Członkowie żydowskiego związku masarskiego, miejscowi robotnicy, a nawet rabinat od momentu powstania warszawskiej filii patrzą na przedsięwzięcie z dużą dozą sceptycyzmu. Nie podoba się Żydom w Warszawie, że Diszkin w stołecznym oddziale firmy zatrudnia pracowników ściągniętych z Łodzi, ktoś nawet rozpuszcza plotkę, że kiełbasa Diszkina nie spełnia wymogów prawa żydowskiego, innymi słowy, że nie jest – jak chwali się producent – koszerna. A stąd już tylko krok do katastrofy.

Warszawski rabinat ani myśli ignorować plotek i wszczyna śledztwo, wkrótce też (tu was mamy, gagatki!) zażąda od właściciela firmy kilkunastu tysięcy złotych w zamian za religijny nadzór nad wyrobami wędliniarskimi.

Na to nikt z firmy Diszkina zgodzić się nie zamierza i rabinat zostaje odprawiony z kwitkiem. Mszcząc się na krnąbrnym przedsiębiorstwie, rzuca klątwę na kiełbasę. Podaje się do wiadomości wszystkich Żydów, że kto pobożny, ten wędliny Diszkina do ust nie weźmie, a rabinat nie bierze odpowiedzialności za zbawienie duszy tych, którzy jednak w kiełbasie Diszkina smakować będą dalej. Z czym jak z czym, ale z klątwą Diszkin sobie nie poradzi, nic zatem dziwnego, że wkrótce z Pasażu Simonsa zniknie znany w Polsce szyld.

Zaskakująco często łączą się w przedwojennej Polsce kwestie żydowskiej pobożności i pieniędzy. Weźmy chociażby znanego w latach trzydziestych cadyka z Radzymina. Żyd to zasłużony dla

społeczności, bardzo bogaty i o czym przekonywać chyba nie trzeba, wielce pobożny. Pracującej u niego w roli gosposi Masi Kudelskiej wynagrodzenia co prawda nie wypłaca, ale obiecuje, że po śmierci kobieta trafi do nieba. Transakcja należy może do nieco osobliwych, ale w dłuższej perspektywie jest bez wątpienia opłacalna.

Kudelska na swój raj będzie pracować długo i uczciwie, kiedy jednak cadyk umrze, stwierdzi, że zbawienie zbawieniem, ale i resztę życia na ziemskim padole warto by spędzić w sympatycznych okolicznościach. Zgłasza się więc do spadkobierców z żądaniem wypłacenia zaległych pensji, a trzeba przyznać, że to niemała sumka, bo przez lata uzbierało się około dziesięciu tysięcy złotych. Niestety, spadkobiercy poinformowani o rzeczonej umowie ani myślą zwracać kucharce należności, tłumacząc, że zgodnie z kontraktem Kudelska na pieniądze nie może co prawda liczyć, ale za to ma zapewnione miejsce w raju.

Warto przy okazji dodać, że zmarły cadyk zostawił spadkobiercom pokaźny majątek w postaci rezydencji, papierów wartościowych i pół miliona złotych w gotówce, jednak obdarzył ich również niewielkim długiem, o który upomną się oprócz gosposi także inni wierzyciele.

A ponieważ spadkobiercy nie poczuwają się do obowiązku, zrozpaczeni wierzyciele będą od tego momentu wznosić przy grobie modły, błagając duszę zmarłego w dzień i w nocy o „zmiękczenie serc spadkobierców”[244]. Trwałyby te modły mącące wieczny odpoczynek zmarłego jeszcze wiele tygodni, gdyby nie wyznawcy cadyka z Radzymina, którzy – zażenowani zachowaniem rodziny – postanowili z własnej kieszeni pokryć wszystkie długi. Dusza zmarłego wreszcie zaznała spokoju.

LICZY SIĘ SZTUKA

Gmina żydowska robi wszystko, co w jej mocy, aby nauczyć wyznawców pobożności. W tym celu zaleca Żydom odprawianie modlitwy wieczornej w bożnicy, aby jednak ta była zgodna ze

wszystkimi przepisami rytuału, musi w niej uczestniczyć co najmniej dziesięciu wiernych.

A ponieważ Żydzi mieszkający na warszawskiej Pradze nie kwapią się na wieczorne modły, zastępca rabina z pobliskiej bożnicy staje w bramie przy ulicy Stalowej i zaciąga przechodzących nieopodal do synagogi. W ten sposób zdoła zwerbować ośmiu starozakonnych, ale że do rzeczonego minimum brakuje wciąż jednego, a biedny Szames Srul Chaim Szyle czuje na sobie presję gniewnego rabina, udaje się ponownie na ulicę i zauważywszy mężczyznę z piękną brodą, także jego mimo protestów zaciąga siłą do bożnicy.

Modły można więc rozpocząć, chwilę jednak po tym, jak w domu modlitwy przy ulicy Stalowej rozlega się rzewna melodia hebrajskiego psalmu, ostatni ze zwerbowanych poczyna krzyczeć wniebogłosy: „Gdzie mnie Żydy zaciągnęły? Co ja tu robię?”.

Okazuje się, że złapanym na ulicy wiernym numer dziesięć jest katolik, niejaki pan Kozłowski, który tyle tylko ma z Żydami wspólnego, że nosi podobną jak oni długą brodę. Bezradny pan Srul wziętego w niewolę chrześcijanina wypuszcza na wolność. Tego wieczoru modlitwy niestety nie będzie.

ŚLUB PO ŻYDOWSKU

Mają Żydzi problem ze swymi córkami. Zwłaszcza gdy Bóg pokarze ich więcej niż jedną. Uchronić taką przed wpływem postępowców to jedno, ale wydać dobrze za mąż, to niekiedy trudniejsza sztuka. Kiedy więc w 1930 roku w Pińsku gruchnie wieść, że do miasta z Ameryki przyjechał bogacz i że szuka dla syna żony, zakotłuje się we wszystkich domach, bo wydać córkę za takiego majętnego człowieka zechce każdy ojciec.

Trudniący się swataniem miejscowi szadcheni przedstawiają kolejne kandydatki na żonę, ostatecznie przystanie przybysz zza oceanu na propozycję ojca czterech niezwykle urodziwych córek, a wybór padnie na najmłodszą, czarnooką Lusię, co jednak nie

w smak jest jej ojcu, bo jakże to tak, aby najmłodsza wychodziła za mąż, skoro na wybranka nadal czeka najstarsza.

W dniu uroczystości młodzi stają pod baldachimem, rabin udziela ślubu, jakież jest jednak zdziwienie pana młodego i jego ojca, gdy okazuje się, że za welonem nie kryje się czarnooka Lusia, lecz najstarsza z córek, niebieskooka Róża.

Za tą sprytną zamianą stał oczywiście ojciec dziewczyny i niewykluczone, że po prędko zaaranżowanych zaręczynach i ślubie nastąpiłby równie szybki rozwód, gdyby nie postawa świeżo upieczonego małżonka, który – jako że Róża nie ustępowała urodą młodszej siostrze – narzekać nie zamierzał.

Kiedy córka długo nie potrafi znaleźć męża, to jeszcze nie taki dramat, gorzej, gdy zajdzie w ciążę bez ślubu. Niektórzy ojcowie nawet w takich momentach nie tracą zimnej krwi i znajdują rozwiązanie. W Białymstoku w 1935 roku jeden z takich ojczulków wynajmie kilku zbirów, którzy zaczają się pewnego dnia na Bogu ducha winnego młodzieńca, siłą zaciągną go do piwnicy, a tam pod przymusem i w obecności sprowadzonego na gwałt rabina, ożeniony zostanie nieborak z nieznaną sobie ciężarną dziewczyną. Trzymany na muszce chłopak włoży pannie obrączkę i wymamrocze rytualną formułkę, po wszystkim jednak będzie się domagać rozwodu.

Koniec końców zdoła młodzieniec uwolnić się od małżeńskiej przysięgi, szczęśliwego zakończenia los niestety poskąpi innej parze, która pobierze się w warszawskim rabinacie jesienią 1929 roku. Już podczas uroczystości córkę bogatego kupca ogarnie niepokój, bo jej przyszły małżonek (zgodnie ze zwyczajem młoda para poznała się dopiero na ślubie) zachowuje się co najmniej dziwnie. Dyskretnie przytrzymywany za ramiona przez dwóch wujów wytrwa co prawda do końca uroczystości, ale gdy nowożeńcy udadzą się do zamkniętego pokoju, do gości weselnych po kilku minutach dotrą głośne krzyki przerażonej kobiety.

Po chwili weselnicy ujrzą zakrwawione ciało pana młodego i jego przerażoną, świeżo upieczoną małżonkę stojącą na

parapecie okna. Dopiero wtedy prawda wyjdzie na jaw i okaże się, że młodzieniec cierpiał od dłuższego czasu na poważną chorobę psychiczną, a jego rodzina postanowiła zaaranżować małżeństwo, bo jak przekonywał rabin: „Po ożenku chłopakowi wróci rozum".

Cóż, widać nie wrócił.

KURIOZA ANTYSEMITYZMU

Nie mniej zabawnie bywa po drugiej stronie barykady i nie mam tu na myśli antysemityzmu *sensu stricto* (który sam w sobie nie powinien być powodem do żartów), a jego niekiedy dość kuriozalne przejawy w przedwojennej Polsce.

Jeden z nich stanowi akcja „odżydzania" warszawskich ulic, której patronuje wytrwale nieukrywająca antysemickich przekonań gazeta „ABC: Nowiny Codzienne". „ABC walczy z żydami, z komuną, z sanacją i z masonerią" – to treść ulotki propagandowej rozdawanej przez pracowników gazety mieszkańcom Warszawy w drugiej połowie lat trzydziestych, a więc w czasie, gdy redakcja rozpocznie zdecydowaną ofensywę skierowaną przeciw mniejszości żydowskiej w Polsce.

Wrogów panoszenia się „żydostwa" w Polsce irytuje niemal wszystko – rzekoma żydowska pazerność, żydowska kultura, żydowskie zwyczaje. Złoszczą ich nawet nazwy stołecznych ulic, konotujące w ich mniemaniu żydowskie skojarzenia.

„Aleje Jerozolimskie też mogą być. I niechby sobie były. Byle w innej stronie miasta, tam, gdzie byłyby na swoim miejscu, w Moszkopolii. Ale tu? W centrum, przy samym wyjeździe? Wstyd panowie rodaki! Nie wypada panowie Rada. Nie uchodzi!"[245] – stwierdzi w swoim artykule Adolf Nowaczyński. Autora tych słów niestety muszę rozczarować, bo nawet osiemdziesiąt lat później, chociaż Polską zdążyli rządzić już i ci z lewej, i ci z prawej strony, Aleje wciąż pozostają Jerozolimskimi. I nie chce być inaczej.

Nasza sympatyczna redakcja ma w zanadrzu jeszcze kilka niespodzianek, ot chociażby dział zatytułowany „Ochrona

nazwisk polskich", na którego łamach w drugiej połowie lat trzydziestych redaktorzy będą publikować dane osobowe Żydów składających w urzędzie podania o zmianę nazwiska. W jakim celu informuje się czytelników o takich błahostkach? Ano po to, będzie tłumaczyć redakcja, aby każdy Polak wiedział, z kim ma do czynienia. Podjętym na tym polu staraniom wspomnianej redakcji dzielnie sekundują inne czasopisma o podobnej linii programowej. „Pod Pręgierz" donosi na przykład o obywatelach, którzy mimo prowadzonej akcji bojkotu sklepów żydowskich wciąż do nich zaglądają. W 1938 roku dziennikarz związany z tym pismem poinformuje czytelników, że pani Biernacka, akuszerka zamieszkała przy ulicy Ciemnej, 12 kwietnia na placu Jagiellońskim kupiła od Żyda „za 1,20 zł majtki koloru blado niebieskiego"[246]. A zatem nic się nie ukryje przed czujnym okiem pana redaktora – ani łamiąca zakaz pani Biernacka, ani nawet jej majtki koloru bladoniebieskiego bezwstydnie zakupione u Jojne czy innego Moszka.

Czymże są jednak nazwy ulic i majtki pani Biernackiej wobec proweniencji pracowników urzędów w mniejszych miejscowościach i wynikającego z tego zagrożenia. Bije się zatem na alarm, że w Podhajcach Żydem jest lekarz powiatowy, kierownik Funduszu Pracy, instruktor straży pożarnej, sekretarz magistratu, prokurent u notariusza, komornik, adwokat, a nawet weterynarz. „Jak na jeden powiat żydów na posadach bezwzględnie za dużo"[247] – stwierdzi przytomnie dziennikarz.

Dzwonią na trwogę obywatele nieprzychylni wyznawcom judaizmu, że nie tylko handel czy adwokatura znajdują się w rękach żydowskich, ale nawet literatura, teatr i film. Dostanie się przy okazji jednemu z najlepszych polskich filmów tamtego okresu, słynnej adaptacji powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza pod tytułem *Znachor*. Dostanie się, i to jeszcze przed premierą.

„Nie wiem jak wypadnie film. Sądzę, że samo nazwisko reżysera Miszki Waszyńskiego, znanego z wielu kiczy pseudokomediowych już daje gwarancję partactwa. Żal mi tylko, że artyści tej miary, co Junosza-Stępowski, czy Barszczewska

muszą poddawać się wskazówkom żydowskich mniejszości seksualnych, i dziwię się p. Mostowiczowi, że mogąc, jako jeden z najbardziej poczytnych autorów, stawiać swoje warunki, oddaje swe powieści w ręce żydowskich partaczy”[248].

Śpieszę donieść panu redaktorowi, a zarazem pragnę go uspokoić, że artyści tej miary, co Junosza-Stępowski i Barszczewska nie zawiedli, a i sam film, gdy porównać go do wielu nakręconych w tamtym czasie polskich dramatów, wciąż wytrzymuje próbę czasu. A zatem nie takie znowu partactwo.

Coś jednak z pewnością musiało być na rzeczy, bo „Goniec Warszawski” donosił w 1938 roku, że prowadzone przez Żyda kino w Brześciu „przyciąga, jak umie publiczność polską niskimi cenami i dobrą jakością programów”[249], co oczywiście zakrawa na skandal, bo niskie ceny to jedno, ale że śmie jeszcze sprytny „Żydek” serwować widzom dobre filmy, to już gruba przesada i nietakt z jego strony.

W każdym razie ziarno pada na podatny grunt i komu się potem dziwić, że pewne działające w Małopolsce stowarzyszenie młodzieżowe zorganizuje pierwsze nieoficjalne mistrzostwa w tenisie stołowym pod wiele mówiącym hasłem: „Ping-pong bez Żydów”. Pierre de Coubertin[250] byłby z pewnością wzruszony.

W tym całym antysemityzmie nietrudno się zagalopować, czego dowodem niech będzie artykuł zamieszczony w dziesiątym numerze organu „Zbudzona Polska” z 1937 roku, gdzie znajdziemy informację o rzekomym przepisie Talmudu, zinterpretowanym przez dziennikarza następująco: „Wszystko, co mężczyzna (żyd) może czynić z kobietą, jest mu dozwolone. Może postępować z nią jak z kawałkiem mięsa, przyniesionym od rzeźnika. Można ją jeść surowo, pieczoną, gotowaną albo duszoną”[251].

Pies antysemita.

(x) 19-letni Chaim Padomski, mieszkaniec domu przy ulicy Brzezińskiej 57, przechodząc przez podwórze domu przy ulicy Wolborskiej 33, został dotkliwie pogryziony przez psa, będącego własnością mieszkańca tegoż domu Chaima Wróblewskiego.

Padomski odniósł ranę nogi i ręki. Wróblewskiego pociągnięto do odpowiedzialności sądowej.

O „psie antysemicie” pisało m.in. „Łódzkie Echo Wieczorne” w 1925 roku.

Jeśli jesteśmy już przy temacie zwierząt, zdaje się, że także im udziela się w dwudziestoleciu międzywojennym niechęć do Żydów, co rusz bowiem donoszą gazety o kolejnych ekscesach, na przykład z „koniem antysemitą" w roli głównej. „Ilustrowany Kurier Pałucki" informuje, że rozdrażniony koń, który „widocznie nie znosił Żydów chwyciwszy Knopfa za brodę, pokiereszował mu twarz. Ubawieni tą przygodą upartego Żyda ludzie znosili koniowi kostki cukru"[252]. Zwierzęta wiedzą zatem, co w trawie piszczy. Jeden z dzienników w drugiej połowie lat trzydziestych wspomni przypadek krowy, która zdechła na widok Żyda, inny będzie z kolei przestrzegać przed przyjmowaniem Żydów na noc i przypomni przykry wypadek, do którego doszło w powiecie gostyńskim, gdzie w jednej ze wsi piorun uderzył w zagrodę gospodarza udzielającego schronienia Żydom.

Gwoli ścisłości należałoby dodać, że nie wszystko przeszkadza przedstawicielom środowisk nieprzychylnych wyznawcom judaizmu w „zażydzonej" przedwojennej Polsce. Pocieszenia należy szukać na prowincji, bo tam widać ludzie przytomniejsi i znacznie bardziej od stołecznych mieszczuchów zdeterminowani. Opuśćmy zatem Warszawę, wsiądźmy do samochodu i udajmy się w pięciogodzinną podróż, a gdy znajdziemy się w okolicach Kalisza, skręćmy do Liskowa. Tutaj nikt z „ABC" czy z „Orędownika" nie narzeka, wręcz przeciwnie – chwalą panowie redaktorzy wieś, że czysta, że schludna, że równiuteńka szosa wybrukowana kostką, że piękne domki z czerwonej cegły.

W Liskowie wiele jest rzeczy, które chwytają za serce, ale czy można się temu dziwić, skoro znajduje się tu posąg postawiony w 1935 roku na pamiątkę… opuszczenia wsi przez ostatniego Żyda. Tym właśnie tłumaczą niektórzy to szalone powodzenie Liskowa.

* * *

ROZDZIAŁ XXIII
W WOLNYM CZASIE

„Głodomor” w cyrku w Warszawie przerwał głodówkę, zawiadomiony przez radjo z Berlina o przewrocie w Warszawie.

Alfred Morano, zamknięty we środę 12 b.m. w specjalnie zbudowanym szklanym pawilonie na arenie cyrku warszawskiego w czwartek 13 b.m. otrzymał przed radjoaparat wiadomość z Berlina o zajęciu Pragi i mostów przez wojska Marszałka Piłsudskiego.

Gdy wieczorem tego samego dnia zagrały armaty, w cyrku zjawił się dyr. Goldberg w celu porozumienia się z głodomorem.

P. Alfred Morano zażądał zwolnienia go z klatki.

Odbyło się to przy udziale komisji lekarskiej.

P. Morano zamieszkał w gmachu cyrku. Przygotowuje się on nadal do głodowania i przeprowadza niezbędną djętę.

Ponowne zamknięcie głodomora odbędzie się w nadchodzącą sobotę[253].

* * *

PRZECINAĆ GO BĘDĄ NA PÓŁ

Ewolucje na wrotkach, żonglerka, powietrzne akrobacje na trapezie, komicy-parodyści i tresowane słonie. Cyrkowe atrakcje cieszą się w przedwojennej Polsce niesłabnącym powodzeniem. Gdy tylko cyrk przybędzie do miasta, wiadomo już, że zabawa

będzie przednia. A kiedy sprzykrzą się państwu powtarzane po wielokroć gagi błaznów, cała nadzieja w połykaczach gwoździ, łyżek, noży, szpilek i szpad. Spotkają ich państwo w cyrku, spotkają na jarmarkach i odpustach.

„Połykacze gwoździ, widelców i noży produkują przed zdumionemi oczyma prowincjonalnej ludności swoje sztuki, zbierają pieniądze – a potem kładą się na szereg tygodni do łóżka i czekają cierpliwie, aż połknięte «smakołyki» opuszczą organizm”[254].

Niekiedy i cierpliwość nie wystarcza, co najczęściej kończy się długim pobytem w szpitalu. Znany sztukmistrz Józef Juraczek aż pięciokrotnie wyląduje w latach trzydziestych na stole operacyjnym, a po jednym z jego występów w Łodzi, który o mały włos nie okazał się ostatnim, chirurg usunie z jego żołądka 580 kawałków szkła, 270 agrafek, 211 gwoździ i 110 szpilek.

Zainteresowanie szeroko pojętą egzotyką i orientem odbija się na programach cyrków krążących po Polsce, a to w postaci jakiegoś Araba tańczącego z szablą, a to Indianina połykacza ognia ubranego w pióropusz. W Krośnie występ jednego z takich orientalnych sztukmistrzów anonsowano na rozlepionych w całym mieście afiszach: „Znakomity mistrz fakir wiedzy indyjskiej działa cuda. Człowiek bez kości, na ciele fakira najostrzejsze narzędzia tępić się będą, palił się będzie w ogniu, a ogień mu się imać nie będzie, przecinać go będą na pół, wejdzie głową w kajdany chińskiej szubienicy, pożerał będzie groźne jego życiu potrawy, a szkodzić mu nie będzie”[255]. Panu fakirowi współczujemy, nie dość, że jegomość „bez kości” to jeszcze poddawać go będą najokrutniejszym torturom. I to w imię gminnej rozrywki.

W latach dwudziestych szczególnym powodzeniem cieszą się również zamykani w klatkach „głodomorzy”. Przyznam, że nie potrafię państwu wyjaśnić, na czym polegał ten fenomen, zdaje się, że publiczność podziwiała ich za wytrwałość i hart ducha, wszakże to nie przelewki wytrzymać bez śniadania, obiadu,

kolacji i to nie jeden dzień, ale dni wiele. Gra była warta świeczki, najlepsi zgarniali za swoje popisy niezłe pieniądze, ale wiązała się także ze sporym ryzykiem, na przykład w Bytomiu w 1926 roku jeden z takich artystów umrze z powodu wycieńczenia organizmu.

„Głodomorzy" bywają atrakcją nie tylko cyrków, lecz także wesołych miasteczek. Na przykład łodzianin, pan Kriese (ponoć nabył niezbędną wiedzę u samych mnichów tybetańskich), będzie gwoździem programu jednego z lunaparków. Uwięziony w oszklonej szafie nie spożywa żadnych pokarmów, pije natomiast wodę sodową i pali dziennie dwadzieścia papierosów. „Czuję się doskonale. Głoduję już dwadzieścia osiem dni i zamierzam pobić rekord światowy należący do pewnego Włocha. Jestem pod opieką lekarzy, schudłem dotąd sześć kilogramów, a w międzyczasie zabawiam widzów sztuczkami fakirskimi"[256] – wyjaśni w rozmowie z dziennikarzem w listopadzie 1929 roku.

Co ciekawe, pan Kriese po zakończeniu głodówki w wesołym miasteczku zamierzał poddać się kolejnemu eksperymentowi polegającemu na zakopaniu żywcem na czterdzieści osiem godzin. Podobną próbę, niestety zakończoną niepowodzeniem, podejmie w 1933 roku podczas tournée objazdowego po prowincji inny łódzki sztukmistrz, Bolesław Świderek. Licznie zgromadzona publiczność była świadkiem, jak Świderek z własnej woli położył się w głębokim półtorametrowym dole, a potem przy akompaniamencie orkiestry został zasypany ziemią. Artysta zapewniał, że po trzydziestu minutach ukaże się szanownej publiczności cały i zdrowy, lecz tknięci złym przeczuciem ludzie odkopali go przed upływem rzeczonych dwóch kwadransów. Niestety, był już martwy.

„DZIWNE SZTUKI WYCZYNIAMI"

Na podwórzach dużych miast, a także mniejszych miasteczek, swoje talenty demonstrują uliczni akrobaci, żonglerzy i ekwilibryści. Od bramy do bramy, od ulicy do ulicy krąży ten

oryginalny pochód indywidualności. Wśród nich: siłacz, który na barkach dźwiga kilka osób, połykacz ognia i człowiek mucha, który bez pomocy lin skacze po dachach kamienic, a pewną łódzką gazetę o swoim występie powiadomi, wspinając się na drugie piętro budynku, gdzie mieści się redakcja.

„Szanowne państwo, proszę patrzcie i podziwiajcie, co się tu na dole dzieje. Dziwne sztuki wyczyniami, taki już nasz fach” – wołają uliczni artyści, wśród których spotkać można siłaczy, połykaczy żelastwa i treserów… foksterierków. Warszawa, kwiecień 1931 roku.

„Szanowne państwo, proszę patrzcie i podziwiajcie, co się tu na dole dzieje. Dziwne sztuki wyczyniami, taki już nasz fach”[257] – wołają uliczni artyści, a gawiedź podziwia ich popisy, stojąc na ulicy bądź zerkając z okien wychodzących na podwórze. Niekiedy brzęknie o bruk moneta, niekiedy nagrodzą gromkimi brawami dziewczynę pląsającą w rytm tanga czy żonglujących kulami, którzy zabawiają ludzi przez dwadzieścia minut, a potem kłaniają się nisko, zwijają manatki i ruszają w kierunku kolejnej bramy. Oczywiście ulica to nie cyrk, zamiast lwów i słoni widz podziwia tutaj zręczność… foksterierków.

Podobne widowiska, chociaż na znacznie mniejszą skalę, można również zobaczyć na zaaranżowanych scenach w sklepach. Odbywają się w dni wolne od handlu, bilet wstępu kosztuje zaledwie dziesięć groszy, a miejsca są stojące z wyjątkiem „loży” umieszczonej przy oknie wystawowym. Na takiej scenie zachwyci występem człowiek żaba wyczyniający na niewielkim stoliku rozmaite łamańce, magik wyciągający z ucha damy pierścionek oraz komik, obdarzony zazwyczaj dyskusyjnym poczuciem humoru.

A jeśli sprzyja nam szczęście, natrafimy również na jeden z największych fenomenów polskiego przemysłu rozrywkowego – nieposkromionego gadułę. To Romuald Piątkowski z Bydgoszczy, „król mówców parlamentarnych”, który zapewnia, że zdoła zastąpić cały Reichstag (notabene w Berlinie przemawiał bez przerwy trzydzieści godzin, póki nie wyniesiono go na noszach). Stołeczna prasa donosi na początku czerwca 1933 roku, że „człowiek gramofon rozpoczął przemowę wczoraj o godz. 8-ej wieczorem w sali Philippsa przy ul. Mazowieckiej 10 i mówił bez przerwy całą noc, pod kontrolą specjalnej komisji, składającej się z ośmiu notablów stołecznego miasta Warszawy”[258].

Nieposkromiony gaduła opowiada w trakcie swych wielogodzinnych wystąpień o podróżach do różnych krajów, polityce i naukach przyrodniczych. Co ciekawe, aby nie zemdleć

z przemęczenia czy głodu, co pięć godzin zjada dwa jajka i wypija kubek wody emskiej.

Spotkanie „człowieka gramofonu” na ulicy, „głodomora” w lunaparku czy połykacza żelastwa w cyrku, to rozrywka od święta. Na co dzień ludzie uprzyjemniają sobie czas mniej wyrafinowanymi atrakcjami. Na przykład w Łodzi, na Wodnym Rynku, zbierają się w soboty miłośnicy hazardu. Tutaj grywa się w trzy karty, kości, podobną do bilardu dyrdymałkę czy w cieszącego się coraz większą popularnością madżonga. Osobliwym rodzajem rozrywki jest też łowienie wędką pustych butelek. Zwycięzca w takim konkursie zgarnia kwit na flaszkę wódki w pobliskiej knajpie. A zatem, co kto lubi.

PODWÓJNY NELSON LEONA PINECKIEGO

„Cała Warszawa jest podniecona do ostateczności”[259] – podnosi temperaturę prasa, a chociaż zawody rozpoczynają się dopiero późnym wieczorem, już o godzinie jedenastej przed południem wszystkie bilety są sprzedane. Amfiteatr przy ulicy Ordynackiej wypełnia się po brzegi. Pierwsze rzędy zajmują zwykle przedstawicielki płci pięknej rozkochane w doskonale zbudowanych herosach. Każda ma swojego faworyta i w podnieceniu wyczekuje na pojawienie się zawodników. Wreszcie wychodzą…

Piękny jak posąg z brązu czarnoskóry Siki. Przystojny Steker o „herkulesowej piersi” i niewymownym czarze. Dalej niepozorny siłacz Garbowienko i pupil żydowskiej części miasta – olbrzym Poschoff, obrzucony niegdyś przez publikę butelkami po piwie i wodzie sodowej. Jest wielki jak góra Leon Grabowski, jest jego imiennik, ulubieniec Woli, Czerniakowa i przedmieść stolicy, specjalista od podwójnego nelsona, „olbrzym z Wielkopolski” Leon Pinecki. Jest młody student z Pragi Krost Stibor i wreszcie nie pierwszej już młodości, ale będący wciąż w formie Zbigniew Cyganiewicz, jak głosi plotka, pokonany dotąd tylko dwukrotnie – po raz pierwszy przez hindusa Gamę, a po raz drugi przez własną żonę, o czym publiczność dowie się podczas

sprawy rozwodowej. Nie może również zabraknąć „Czarnej Maski”, który ogłasza podczas swojego premierowego występu, że odsłoni twarz, gdy zostanie pokonany.

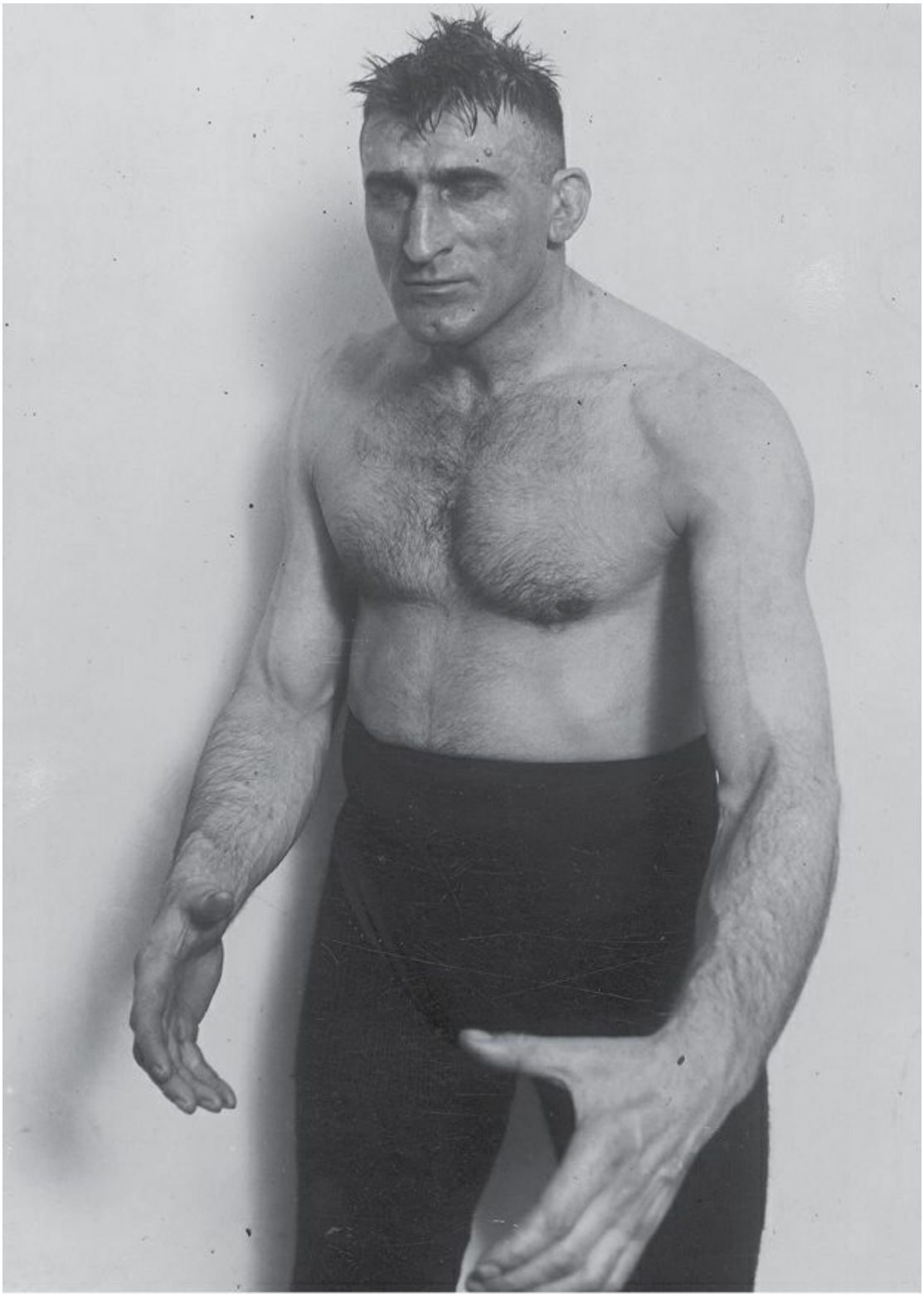

Ulubieniec przedmieść stolicy, „król podwójnego nelsona”, „olbrzym wielkopolski” – zapaśnik Leon Pinecki. Trzykrotny mistrz świata i pięciokrotny mistrz Europy. Rok 1931.

Przepisy walk zwanych francuskimi są proste: zabronione jest wyrywanie włosów, wsadzanie palców do oka, bicie pięścią, kopanie i wykręcanie palców, poza tym – wszystkie chwyty dozwolone. Spektakl, rozpoczynający się dopiero o godzinie dziesiątej wieczorem, poprzedza uroczysta defilada zawodników, skojarzenia ze starożytnymi walkami gladiatorów są tu więc jak najbardziej na miejscu.

Prasa rozpisuje się o tych rozpalających do czerwoności pojedynkach, doprawdy rzadko zdarza się w trakcie sezonu, aby któryś z dzienników nie poświęcił zapaśnikom jednego czy dwóch artykułów w tygodniu. Zresztą trudno się temu dziwić, bo zawody cieszą się wręcz szaloną popularnością, zdarza się nawet, że trybuny pękają w szwach, a na zewnątrz na wejście oczekują trzy tysiące osób.

Wiele lat po wojnie redaktor Adam Ochocki zdradzi, jak to naprawdę z tymi zawodami zapaśniczymi bywało. Wspomni wówczas, że swego czasu otrzymał zadanie redagowania sprawozdań z walk, a kiedy pewnego dania zmuszony wyjechać z miasta oznajmił przełożonemu, że tego wieczoru nie zdoła napisać relacji, ten uśmiechnął się pod nosem, kazał mu przysiąść do biurka, po czym podyktował z głowy treść całego artykułu. W ten sposób, na sześć godzin przez rozpoczęciem pierwszej walki, redaktor Ochocki pozna nazwiska zwycięzców, przegranych, a nawet dokładny przebieg walk. Zdarzy się nawet, że innego dnia przez pomyłkę przekaże gazetom swoje sprawozdanie zbyt wcześnie, a czytelnicy o walkach, które miały się odbyć dopiero wieczorem, przeczytają rano, kilka godzin przed ich rozpoczęciem. Przebieg starć reżyserowano niekiedy w najdrobniejszych szczegółach, a zapaśnicy, którzy na arenie ostentacyjnie okazywali sobie wrogość, prywatnie pozostawali przyjaciółmi. Ponieważ jednak należało zachować pozory, po zakończeniu widowiska każdego z nich odwożono na dworzec lub do hotelu osobną dorożką.

O tym, że pojedynki są ustawiane, szepce się niekiedy za kulisami, co jednak nie ma wpływu na ogromne zainteresowanie

publiczności. Panowie rozsiadają się na swych miejscach, komentując ze znawstwem poczynania ulubionych zawodników, nierzadko też stawiając na szali ciężko zarobione pieniądze; panie zaś upajają się widokiem męskich muskułów i… zupełnie tracą głowę. W kwietniu 1926 roku pewna dwudziestoletnia miłośniczka talentu „Czarnej Maski" wskoczy na scenę, wyzna ulubieńcowi miłość, po czym wykona dziwaczny taniec, powalając przy okazji kilku pracowników cyrku próbujących zaprowadzić porządek. Kres jej wygłupom położy dopiero policja wezwana przez organizatorów.

Warto wspomnieć, że w dwudziestoleciu międzywojennym na arenie walczyli nie tylko mężczyźni. W Tabarinie, popularnym w Łodzi nocnym lokalu, do którego prowadziła wówczas obskurna ścieżka znana doskonale łodzianom, jako że jeszcze kilkanaście lat temu ta sama wiodła do kina Bałtyk, urządzano walki francuskie pań. Sędzią tych zawodów, w trakcie których trykoty pękały w szwach, zresztą podobnie jak trybuny, został człowiek pełniący na co dzień stanowisko woźnego w redakcji „Expressu Wieczornego Ilustrowanego". Pan woźny nie miał co prawda pojęcia o zapasach, niemniej brak wiedzy ani jemu, ani widzom zupełnie nie przeszkadzał. Któż by bowiem zwracał uwagę na takie szczegóły, gdy na arenie dwie kuso ubrane panienki okładają się po głowach?

TANIEC BEZ KOŃCA

Gdy znudzą się już cyrk, walki francuskie, wyścigi konne organizowane na Polu Mokotowskim, zoo, a nawet lunapark, niechaj wybiorą się państwo na maraton tańca, który wywołuje w przedwojennej Polsce tyleż podziwu, ile obrzydzenia. Zabawa jest, trzeba przyznać, dość osobliwa – mdlejący, na wpół przytomni, a niekiedy i śpiący na stojąco tancerze pląsają do melodii walców, fokstrotów i oberków. Pląsają, póki im sił starcza, ci bowiem, którzy wytrzymają na parkiecie najdłużej, zgarniają pieniądze i zyskują sławę.

Zdarzy się nawet, że takie zawody przerwie policja. Widać ktoś tego wieczoru nie wytrzymał widoku na wpół śpiących entuzjastów długodystansowego tanga lub bostona i zaalarmował stróżów porządku. Nie wytrzymuje zresztą niekiedy także sama publiczność i ucina sobie na boku drzemkę, co niezbyt się opłaca, jako że takie spanie podczas maratonu tańca słono kosztuje. Prasa wspomina, że „[…] w cyrku istniał dziwaczny zwyczaj budzenia widzów przez tancerzy. Gdy ktoś w krzesłach zasnął, tancerze budzili go przeraźliwym wrzaskiem i utarł się zwyczaj płacenia kary za zaśnięcie. Snujące się cienie tancerzy nie płaciły natomiast kar za ospały taniec…”[260].

Maratony tańca, choć powszechnie krytykowane, organizuje się przed wojną w wielu miastach Polski. W Łodzi jeden z takich konkursów odbędzie się w sali Filharmonii, gdzie na co dzień grywali tej sławy wirtuozi co Bronisław Huberman czy Artur Rubinstein, a gdzie pewnego wieczoru tancerze długodystansowcy powalczą o 150 złotych. I podczas tych zawodów tancerki będą mdleć po trzech godzinach nieustannych tanów, zaalarmowane pogotowie pośpieszy z pomocą opadłym z sił, a orkiestra nawet na chwilę nie przestanie rzępolić rzewnego tanga. Uczestnikom zabawy pozwala się w trakcie tych dziwacznych zawodów jedynie na krótką kilkusekundową przerwę (łyk wody), a jeśli przerwa w tańcu trwa dłużej – następuje dyskwalifikacja.

Co ciekawe, w 1934 roku w Warszawie wybuchnie afera związana z maratonem tańca, a światło dzienne ujrzą nieznane fakty zza kulis konkursów. Okaże się wtedy, że niektórzy zawodnicy wspomagają się środkami podniecającymi (ściśle rzecz ujmując, kokainą), a chociaż nie zdołano ustalić dokładnej liczby naszprycowanych tancerzy, ponoć liczono ich w dziesiątkach.

Prawdą jest zatem, że przedwojenna Polska przejawia słabość do rozmaitych rekordów, a w związku z tym organizuje się konkursy dość dziwaczne z dzisiejszej perspektywy. Na przykład w 1930 roku w Bydgoszczy będzie się można wybrać na turniej

wytrzymałości gry na instrumentach muzycznych. W tej dziedzinie sztuki nie ma sobie równych w owym czasie orkiestra Resursy Kupieckiej pod batutą Begera. 20 czerwca 1930 roku prasa poinformuje, że orkiestra gra już od czterdziestu godzin, w trakcie których wykonała dwieście czterdzieści utworów, i ani myśli przestawać, co zresztą spotyka się z aplauzem rodaków, oznacza bowiem, że ustanowiony rok wcześniej przez orkiestrę bawarską rekord „wytrzymałości muzycznej” jest poważnie zagrożony.

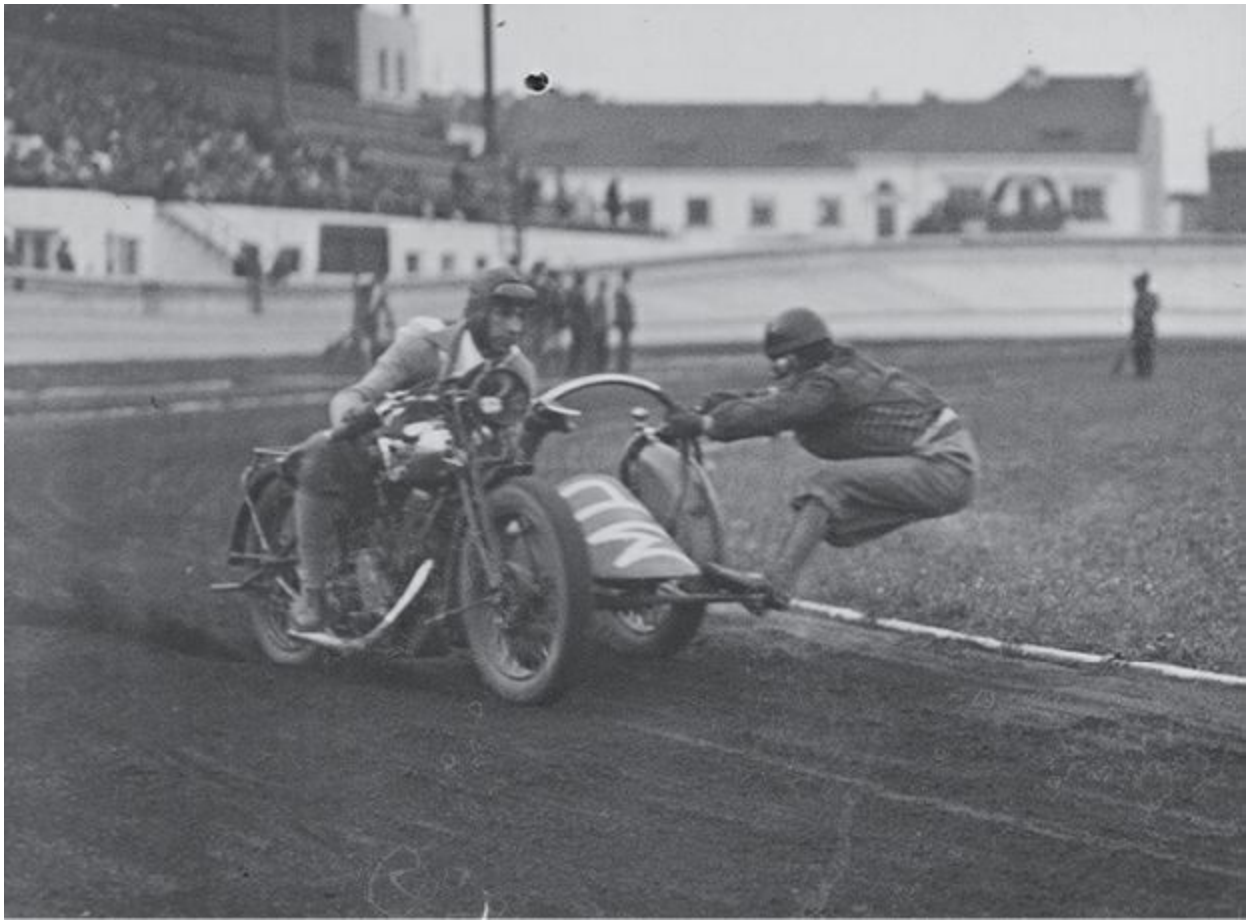

W wolnym czasie obywatele II RP odwiedzają cyrki, areny zapaśnicze, wyścigi konne, a także stadiony. Na zdjęciu uczestnik rozegranego na stadionie Legii wyścigu Warszawa kontra Łódź. Sierpień 1931 roku.

NIE TYLKO WIENIAWA

Tych, którzy łakną obcowania z poważniejszą sztuką, pragnę zaprosić na wystawę. Może nie będą to bardzo estetyczne przeżycia, ale warte uwagi, łączą się bowiem bezpośrednio z innego rodzaju rozrywką, cieszącą się – co tu dużo mówić – tak w przedwojennej Polsce, jak i dzisiaj sporym powodzeniem.

W Miejskim Muzeum Przemysłu Artystycznego we Lwowie w 1932 roku Związek Kas Chorych organizuje wystawę przeciwalkoholową. Jeśli ktoś wątpi jeszcze, że alkohol to zguba ludzkości, niech nie zwleka i obejrzy tablice, wykresy i obrazy przygotowane przez znanego propagatora trzeźwości, doktora Duchowicza.

„Modele i rysunki anatomiczne okazują przerażające zmiany w mózgu, płucach, sercu, wątrobie, pod wpływem działania alkoholu. Wymowne ryciny przedstawiają karambole uliczne, wypadki podczas pracy, katastrofy, zbrodnie, którym winien kieliszek. Tuła się po ulicy nieszczęsna kobieta z dziećmi, ofiara męża alkoholika; w szynku podniecony wódką awanturnik zatapia nóż w piersi towarzysza hulaki; nieszczęsny skazaniec wyciąga przed trybunałem bezradnie dłonie: «Nie wiem, wysoki sądzie. Byłem pijany!»”[261].

Największe wrażenie robią jednak (i teraz nie będzie już nam do śmiechu) dane statystyczne, okazuje się bowiem, że w 1928 roku Polacy przepijają miliard czterysta czterdzieści cztery miliony złotych (jak ktoś przytomnie zauważy, to równowartość trzystu pięćdziesięciu domów), co zaś najgorsze, wśród spożywających nie brakuje młodzieży.

Kolejny dowód na zgubny wpływ nadużywania alkoholu to przedstawiony na wystawie „rodowód” pewnej anonimowej pijackiej rodziny: „W czterech pokoleniach naliczono 5 pijaków, 3 idiotów, 4 epileptyków, 2 obłąkanych, 3 histeryczki, 4 złoczyńców, 4 wodogłowych, a zaledwie jednego zdrowego potomka”[262] – informuje jedna z tablic.

Tydzień pijaństwa, jak donosi przedwojenna prasa, zaczyna się w dużych miastach w czwartek, a kończy w niedzielę. W poniedziałek zdarzy się komuś wypić coś na tak zwanego klina, a zatem wtorek to dzień bolących głów i podkrążonych oczu. Ktoś nawet stwierdzi, że Polska trzeźwa jest tak naprawdę tylko w środę, i chociaż sporo w tym przesady, spostrzeżenie ukazuje skalę problemu, nie ma co bowiem ukrywać – nasi przodkowie za kołnierz nie wylewali.

Na dno kieliszka zaglądają zwykli ludzie: „Pijak sterroryzował artystkę i orkiestrę" – donosi prasa o kolejnym przypadku podpitego klienta jednej z popularnych warszawskich restauracji, który na co dzień jest szanowanym obywatelem, ale gdy w czasie wolnym wypije ciut za dużo, zmienia się nie do poznania. W tym wypadku rzeczony klient zrobi karczemną awanturę w restauracji i to dlatego, że orkiestra nie zechce spełnić jego życzenia i nie zagra ulubionego szlagieru pod tytułem *Zakochany złodziej*.

Pije margines, pije klasa średnia i piją robotnicy. Pije inteligencja i piją artyści. Szczególnie dla tych ostatnich czysta stanowi artykuł pierwszej potrzeby. Jan Marcin Szancer wspomni po latach, jak pewnego razu w krakowskim lokalu przy ulicy Pawiej jego znajomy, znakomity rzeźbiarz Jacek Puget zwany Baronem, stanął przed kontuarem bez butów z nogami owiniętymi gazetami.

„Ten idiota nie może zrozumieć, że sprzedałem buty, aby się napić wódki. Wódka była mi dzisiaj o wiele bardziej potrzebna"[263] – oświadczy Puget w odpowiedzi na pytający wzrok barmana. O alkoholowych ekscesach Tuwima, Słonimskiego, Lechonia, Gombrowicza czy Witkacego powiedziano już chyba wszystko, warto zatem wspomnieć o innych. Chociażby o politykach, sięgających po kieliszek przy niemal każdej okazji. Podczas uroczystości związanej z uruchomieniem kolejki linowej na Kasprowy Wierch wiceminister Bobkowski upije się do tego stopnia, że do wagonika wniosą go na rękach.

Piją niestety także kierowcy. Nie jest to zatem wyłącznie domena naszych czasów, a z plagą zawianych szoferów zmagano się już przed wojną. Na szosie między Warszawą a Konstancinem dochodzi w dwudziestoleciu międzywojennym do scen z pogranicza grozy i groteski, w czym spory udział mają rozmieszczone po drodze liczne knajpki, szynki i restauracje. Widywano w tamtych latach auta, które zajeżdżały do stolicy tyłem, widywano i takie, które wtaczały pod dom właściciela ciągnięte przez konie lub holowane przez karawan. Inne lądowały w rowach i na lipach pamiętających czasy króla Jana III Sobieskiego.

Piją duchowni. Taki chociażby proboszcz parafii Piaski w Łukowskiem potrafi pochłonąć każdą ilość alkoholu i nigdy po nim nie poznasz, że jest pijany. Do kolacji, świadkiem był Zdzisław Czermiński, ksiądz wypija dwie karafki wódki, trzy dzbany piwa, do tego nieco trójniaku i szklaneczkę wiśniówki. Co godne podkreślenia, proboszcz nigdy nie spóźni się na mszę, nie zaniedba również żadnego ze swych obowiązków, a każdego ranka po wypiciu dwunastu kieliszków wódki do śniadania udaje się w odwiedziny do parafian.

Legendarna firma J.A. Baczewski przed każdymi świętami miała w zwyczaju przesyłać na adres lwowskiego komisariatu skrzynkę z najprzedniejszymi wódkami, śliwowicami i jałowcówkami.

Pije wreszcie nawet policja. Legendarna lwowska firma Baczewskiego przed każdymi świętami w związku z tym przesyła na adres miejscowego komisariatu skrzynkę z próbkami produktów, do których należą najprzedniejsze wódki, śliwowice i jałowcówki. Kiedy komisarz, człowiek poczciwy, choć bardzo gorliwy, obawiając się, że podarek może stanowić formę łapówki, pewnego dnia zakaże podopiecznym sięgania do skrzynki, odtąd oprócz codziennego meldunku dotyczącego inwentarza wyznaczony policjant będzie miał obowiązek informować o jednej, nienaruszonej skrzynce wódki. Dowie się o tym minister Składkowski i w Wigilię wyśle do komisariatu telefonogram o następującej treści: „Natychmiast doręczyć adresatom próbki wódek Baczewskiego, podpisał Sławoj-Składkowski, generał, minister spraw wewnętrznych”[264].

Policjanci nie posiadają się z radości, a skrzyneczka szybko zostanie opróżniona. Od tego dnia ukuje się zresztą wśród stróżów prawa we Lwowie zwyczaj wznoszenia toastów „pod tego Składkowskiego”.

NIE NALEŻY DEPTAĆ LEŻĄCYCH

A kiedy znudzą się nam atrakcje miejskie, warto udać się na prowincję i zażyć nieco świeżego powietrza. Sezon wyjazdowy rozpoczyna się już w kwietniu, a żeby odpocząć, nie potrzeba wcale uciekać w góry czy nad morze, bo już kilka kilometrów za Warszawą czy innym dużym miastem gotowe ugościć nas podmiejskie letniska oferują wszystko, czego dusza zapragnie – radio, pożywienie, parki, rzeczki, las i tenis.

Mieszkańcy Warszawy wywodzący się z tak zwanej klasy średniej wybierają Świder (około 5 złotych za dzień) lub Podkowę Leśną (tu drożej, od 7 do 10 złotych), bogatsi – wille w Józefowie lub Miedzeszynie. Przymknąć oko można nawet na to, że w ogłoszeniu stoi czarno na białym, że letnisko czy pensjonat znajdują się pięć minut spacerkiem od stacji, gdy tymczasem podróż trwa niekiedy i minut dwadzieścia. To jednak szczegół, niewielu się tym przejmuje.

Jeśli jednak człowieka stać, niech śmiało wybiera góry i to zarówno w lecie, jak i zimą. W miesiącach ciepłych zaleca się wycieczki górskie, chociaż prasa i lekarze ostrzegają, aby nie narażać organizmu na zbytnie wyczerpanie, wszak – jak przekonuje specjalista – „człowiek niezaprawiony w turystyce nie powinien wybierać się na wycieczki dłuższe, niż 2–3-dniowe”[265].

Z kolei zimą w popularnych górskich kurortach ogarnia turystów białe szaleństwo, co niestety staje się powodem licznych wypadków na stokach narciarskich. Z Kasprowego Wierchu każdego dnia zwozi się po kilkunastu rannych, a osobliwym powodem wielu połamanych nóg, rąk i porozbijanych czaszek okazują się tęgie i słabo poruszające się po stoku miłośniczki sportu.

„Stare, potwornie grube baby w portkach jeżdżą też i wybijają, padając, potworne doły, prawdziwe pułapki na najsprawniejszych narciarzy. Z jednej nogawki portek np. Pani Schwanzenbachowej, siostry Składkowskiego, można by zrobić 2 pary kompletnych spodni dla mnie”[266] – zapisze w swym dzienniku Kordian Józef Zamorski.

Miłośnikom morza, jezior, rzek i kąpieli słonecznych, których również nie brakuje w przedwojennej Polsce, przypomina się z kolei o stworzonych z myślą o nich siedmiu przykazaniach, które humorystycznie ukazują część prawdy o zachowaniu się ówczesnych plażowiczów podczas wypoczynku. Pozwolę je sobie w tym miejscu powtórzyć, bo mimo upływu lat zmieniło się niewiele.

„1. Biegając po plaży, nie należy deptać leżących: robi to na nich przykre wrażenie.

2. Jeśli spotkasz znajomego, który opalając się, śpi na słońcu, nie rób mu na brzuchu krzyża czarną kredą.

3. Jeśli przypadkowo uratowałeś z wody bliskiego krewnego twego przyjaciela, nie przepraszaj go za to.

4. Nie rób nowych dziur w kabinach. Używaj tych, które wydłubali twoi poprzednicy.

5. Nie żądaj natrętnie pożyczki, jeśli jesteś w kostiumie kąpielowym. Pamiętaj, że tamten drugi ma na sobie trykot.

6. Nie zatapiaj głową pod wodę ludzi, którzy nie zostali ci przedstawieni.

7. Nie wyzyskuj faktu, że tych, których ci przedstawiono, możesz zatapiać głową pod wodę”[267].

KARNEGO STRZELĘ W SIEDZENIE!

Piłka nożna nie jest jeszcze w Drugiej Rzeczpospolitej nazywana sportem narodowym, ale grono sympatyków ma już ogromne. Panowie regularnie odwiedzają stadiony, na których mecze rozgrywają ich ulubione drużyny: raz – bo widowisko przednie, a dwa – po całym tygodniu ciężkiej pracy można tu dać upust emocjom.

Amatorów przeżywania spektaklu futbolowego w ciszy znajdą tu państwo niewielu, a gdy któryś zbyt natarczywie upomina się o spokój, reszta towarzystwa, zazwyczaj w mało parlamentarnych słowach, przywołuje go do porządku. Stadionowego porządku, bo na trybunach przeżywa się każde zagranie i krzyczy głośno. Komu się to nie podoba, niech wraca do domu, włączy radio lub zajmie się dziećmi.

Jedną z takich kłótni zarejestruje dziennikarz pewnej warszawskiej gazety.

„Kapeluszem uszy pan sobie zapchaj. Watę pan sobie kup. Bilet prawidłowo kupiłem, to prawo głosu mam. […] A w ogóle odczep się tatku jakiś, bo ci nos zlutuje, a potem karnego strzelę w siedzenie, aż się panu sędzia przyśni!

„ILUSTROWANY KURYER CODZIENNY" — Nr. 268. Czwartek 29 września 1927 r.

Z rozgrywek o mistrzostwo Polski.

Mecz piłki nożnej „Wisła"—„I. F. C." (Katowice).

Pluton policji na środku boiska interwenjuje po przerwaniu meczu wskutek zejścia z boiska drużyny I. F. C.

„Pluton policji na środku boiska interwenjuje po przerwaniu meczu wskutek zejścia z boiska drużyny I.F.C.” Awantura w trakcie meczu piłkarskiego Wisła Kraków – 1. FC Katowice, rok 1927.

– Znakiem tego pan do mnie z groźbami wyjeżdżasz i powiadasz, że krzyk uskuteczniać będziesz?

– A może mi pan zabronisz, co?

– Widzisz pan te ferajne? Morowe chłopaki są!

– Patrz się pan, żebyś się po meczu w drobny mak nie rozleciał! […] Panie, przymknij pan swoją jadaczkę, bo cuchnie! A onych frajerów wypchaj pan blazą, żebym mógł kopania uskutecznić!

– Jadaczka ci się moja nie podoba, ty żałosny mule, to ja ci zaraz twoją upiększę”[268].

O tym, że polski kibic krewki, że dla swojej drużyny gotów na wiele, świadczy chociażby wydarzenie, do którego dochodzi pod koniec maja 1927 roku w Łodzi. Jeden z najstarszych polskich klubów ŁKS Łódź rozgrywa mecz z Garbarnią Kraków, a że kibicom gospodarzy rozkochanym w dumie miasta Łodzi nie w smak są kontrowersyjne decyzje sędziego, pana Glinki, dochodzi do awantury. Kiedy wyrzucony przez arbitra napastnik Edward Miller schodzi z murawy, na boisko wbiegają gromadą kibice i doprawdy marny los spotkałby sędziego, gdyby piłkarze ŁKS-u i stróżowie porządku nie wkroczyli do akcji i nie uratowali rozjemcy futbolowego spotkania przed zbiorowym linczem. Tego dnia po zakończonych zawodach sędzia opuści stadion pod eskortą policji.

Edward Miller (po lewej) i Władysław Szumilas podczas meczu ŁKS – Wisła Kraków rozegranego w 1935 roku w Łodzi. Miller był ulubieńcem łódzkich kibiców, gdy więc pewnego razu sędzia wyrzucił go z boiska, sympatycy najstarszego łódzkiego klubu omal nie zlinczowali arbitra.

Sport zaczyna w dwudziestoleciu międzywojennym odgrywać w życiu Polaków coraz większą rolę, jedni interesują się nim ze względu na ograniczony dostęp do innych gałęzi szeroko rozumianej kultury, inni – i ci są w większości – z powodu towarzyszących mu emocji. Język sportu i związana z nim ekscytacja są przecież uniwersalne, do ich zrozumienia nie potrzeba dyplomów czy dobrej pracy. Sport demokratyzuje, nic więc dziwnego, że boks, piłka nożna czy lekkoatletyka cieszą się wśród naszych przodków ogromnym zainteresowaniem, nic też dziwnego, że powstają czasopisma w całości poświęcone zagadnieniom sportowym.

Warto zatem w tym miejscu wspomnieć o języku sportowym, bo to rzecz ciekawa i dość z dzisiejszego punktu widzenia zabawna. Język ten zaskakuje a to literackimi metaforami, a to uroczą niezdarnością. „Drugim zawodnikiem, który robił wagę, był Falkiewicz. Wypocił ją jednak nie sztucznie, ale drogą naturalną – w małżeństwie”[269], napisze o polskim zapaśniku, który stracił kilka zbędnych kilogramów, redaktor „Przeglądu Sportowego”, czym rozbawi łakomych na takie kąski żartownisiów z „Wiadomości Literackich”, i ten fragment trafi do słynnego cyklu *Camera obscura*. Z pewnością na podobne wyróżnienie zasługuje również dziennikarz „Głosu Polskiego”, autor relacji z meczu ŁKS Łódź vs. Siła Łódź rozegranego 9 lipca 1921 roku i wygranego przez ełkaesiaków 8:1: „[…] Lewy obrońca (Czekalski), biegając po całem boisku – robił co umiał, ale ponieważ nic nie umiał, więc też i niczego nie zrobił”[270]. Piękne, nieprawdaż?

Znany pisarz Ferdynand Goetel, który – z czego wielu nie zdaje sobie sprawy – piastował przez pewien czas stanowisko redaktora naczelnego „Przeglądu Sportowego”, propaguje takie wyrażenia jak „spalony” i „centra”, natomiast jest przeciwny używaniu słowa „bramka” (autorowi *Samuela Zborowskiego* kojarzy się ono z budowlą z drzewa) i proponuje, aby w jego miejsce stosować słowo „gol”. Do gustu nie przypadnie mu również „dryblowanie” i „gaszenie piłki”.

Z biegiem lat powstają nowe zwroty i pojęcia oddające ducha gry. Piszący o sporcie słuchają, co mówi ulica, nadstawiają uszu podczas spotkań piłkarskich, a potem zgłaszają swoje uwagi. Język jest żywy, wciąż zmienia się i wzbogaca, raz pożyczając słowa na przykład z angielskiego, innym razem z nich rezygnując. Ktoś zaproponuje, aby w miejsce angielskiej „robinsonady" używać „padu", komuś innemu nie spodoba się „strzał do bramki" (ten dziennikarz postulował używanie zwrotu „rzut do bramki"), a „drybling" będzie chciał zastąpić „wózkowaniem"[271].

Futbol to jednak na razie rozrywka przede wszystkim dla mas. Arystokracja, jak to arystokracja, bawi się po swojemu i sportem nazywa strzelanie, lecz nie do bramki, tylko do hasającej po lesie zwierzyny. Nie wiedzieć czemu, świadomość rozstrzelania kilku bezbronnych zwierzątek sprawia szlachetnie urodzonym mnóstwo uciechy.

W 1937 roku w Starym Sielcu w powiecie radzyńskim w majątku księcia Olgierda Czartoryskiego ożenionego z córką arcyksięcia Karola Habsburga z Żywca odbywa się wielkie polowanie. Nie zabraknie na nim najświetniejszych nazwisk – Potockich, Radziwiłłów, Czartoryskich i Habsburgów, zjawi się nawet ambasador Polski w Berlinie Józef Lipski.

Trudno w to uwierzyć, ale cała ta śmietanka towarzyska II RP w ciągu zaledwie jednego (!) dnia polowania ustrzeli 1437 zajęcy, 565 bażantów, 294 króliki i 925 kuropatw. Z takim osiągnięciem nie zdołają konkurować nawet krwawe filmy Quentina Tarantino.

Zresztą upodobanie do osobliwych widowisk przejawia w tym okresie nie tylko socjeta. Atrakcją dla mieszkańców Polski potrafi stać się nawet powódź. Niedzielna wycieczka w gronie rodzinnym do zalanych miejsc, to trzeba przyznać już bardzo wyrafinowany sposób spędzania czasu wolnego, ale w latach trzydziestych i tym ludzie urozmaicają sobie prozę życia. A niektórzy nawet na tym zarabiają, bo w takich miejscach natychmiast pojawiają się a to fotografowie uliczni gotowi

uwiecznić wiekopomną chwilę, a to sprzedawcy obwarzanków, napojów lub lodów. A zatem rzeka zalewa stojące nad brzegiem budynki, a państwo z bezpiecznej odległości podziwiają siłę żywiołu, wcinając przy tym pierniki i popijając wodę podwójnie gazowaną. W czasie wolnym.

* * *

ZAMIAST ZAKOŃCZENIA

Zastanawiałem się, jak zakończyć tę osobliwą opowieść o dwudziestoleciu międzywojennym, a że nie chciałbym męczyć państwa tanim sentymentalizmem, miast ckliwego pożegnania pozwolę sobie zaserwować garść dość oryginalnych ciekawostek dotyczących końca lat trzydziestych i stolicy. Naszą wyrywkową podróż po niedorzecznym międzywojniu rozpoczęliśmy w Warszawie, sądzę więc, że nie od rzeczy będzie ją także tutaj zakończyć. Czy wiedzą państwo, że w Warszawie:

– na dziesięć tysięcy mieszkańców na Woli trzydziestu trzech umiera na gruźlicę, a przy placu Napoleona jedynie jedenastu;

– pod koniec lat trzydziestych każdego dnia zostaje zawartych około dwudziestu małżeństw;

– jest 15 228 latarń;

– 98 tysięcy mieszkańców powyżej dziesiątego roku życia nie potrafi czytać i pisać;

– spala się rocznie 2 500 000 000 zapałek;

– 500 900 osób rocznie gra na wyścigach konnych;

– w hotelach znajdują się w sumie 3444 łóżka;

– rocznie wypija się 95 milionów litrów mleka;

– jest 9022 koni i około 12 000 psów;

– 54 procent domów jest pozbawionych kanalizacji;

– w szaletach miejskich jest zatrudnionych w sumie 85 pracowników, w tym trzech tak zwanych umysłowych;

– nieco ponad 60 procent robotników zarabia mniej niż 40 złotych tygodniowo;

– 4390 dzieci w wieku szkolnym nie chodzi do szkoły;

– w 1937 roku na świat przyszło 1540 nieślubnych dzieci;

– rocznie koneserzy tytoniu puszczają z dymem około 58 milionów złotych;

– w 1937 roku Teatr Polski odwiedziło 228 700 osób, ogród zoologiczny – 385 000, a stadiony sportowe – 395 000;

– w 1937 roku zanotowano 30 409 przestępstw (w tym 69 morderstw i 17 420 kradzieży);

– w 1937 roku ukarano za opilstwo 12 933 osoby;

– według szacunkowych obliczeń mieszkańcy w 1937 roku posiadają w sumie 40 480 000 zębów, w związku z czym na jeden warszawski ząb przypada 0,00003 dentysty;

– magistrat na utrzymanie jednego łabędzia wydaje rocznie 26 złotych i 26 groszy;

– na jednego mieszkańca przypada odpowiednio: 0,002 lekarza, 0,006 łóżka szpitalnego, 2 m^3 miejsca na cmentarzu, 0,033 drzewa na placach i ulicach, 1000 papierosów rocznie, 7,6 egzemplarza druków nieperiodycznych rocznie, 29 m^3 wody rocznie, 54,7 kilograma mięsa i 0,005 ławki w parkach. Z kolei na jednego psa żyjącego w Warszawie przypada 0,01 weterynarza[272].

KONIEC

ŹRÓDŁA

PRASA POLSKA Z LAT 1918–1939

„ABC”
„ABC: Nowiny Codzienne”
„Bunt młodych”
„Czas”
„Dziennik Bydgoski”
„Dziennik Kujawski”
„Dziennik Ostrowski”
„Dziennik Poznański”
„Dzień Pomorski”
„Echo”
„Express Wieczorny Ilustrowany”
„Express Poranny”
„Gazeta Lwowska”
„Gazeta Szamotulska”
„Głos Poranny”
„Głosy z nad Odry”
„Goniec Częstochowski”
„Goniec Warszawski”
„Hasło Łódzkie”
„Ilustrowany Kuryer Codzienny”
„Ilustrowana Republika”
„Kino”
„Kobieta w Świecie i w Domu”
„Kobieta Współczesna”
„Kurjer Lwowski”

„Kurjer Ostrowski”
„Kurjer Poranny”
„Kurjer Warszawski”
„Łódzkie Echo Wieczorne”
„Moja Przyjaciółka”
„Mucha”
„Nowiny Codzienne”
„Orędownik. Codzienne ilustrowane pismo narodowe i katolickie”
„Pokrzywy”
„Polonia”
„Polska Zbrojna”
„Pręgierz Poznański”
„Prosto z Mostu”
„Przegląd Sportowy”
„Szczutek”
„Świat”
„Światowid”
„Tajny Detektyw”
„Wiadomości Literackie”
„Wróble na Dachu”

KSIĄŻKI, DOKUMENTY I PROGRAMY

…A Banda się śmieje!: program gwiazdkowy Kabaretu Komików, Wydawnictwo Programów Widowiskowych „Program”, Warszawa 1931.

Jan Stanisław Bystroń, *Komizm*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1960.

Jerzy Cegielski, *Stosunki mieszkaniowe w Warszawie w latach 1864–1964*, Arkady, Warszawa 1968.

Piotr Choynowski, *Rzeczy drobne i zabawne*, Gebethner i Wolff, Warszawa 1930.

Zdzisław Czermiński, *Kolorowi ludzie*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1966.

Marek S. Fog, *Absurdy Polski międzywojennej*, Vesper, Poznań 2008.

Andrzej Garlicki, *Piękne lata trzydzieste*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2008.

Aleksander Ivanka, *Wspomnienia skarbowca 1927–1945*, PWN, Warszawa 1964.

Kazimierz Krukowski, *Moja Warszawka*, Filmowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1957.

Andrzej Kuśniewicz, *Mieszaniny obyczajowe*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1988.

Jerzy Kwiatkowski, *Dwudziestolecie międzywojenne*, PWN, Warszawa 2012.

Konrad Lewandowski, *Perkalowy dybuk*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2009.

Maja i Jan Łozińscy, *W przedwojennej Polsce. Życie codzienne i niecodzienne*, PWN, Warszawa 2012.

Mały rocznik statystyczny 1938, Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 1938.

Leopold Marschak, *Byłem przy tym… Wspomnienia 1914–1939*, Czytelnik, Warszawa 1973.

Moja droga do dziennikarstwa. Wspomnienia dziennikarzy polskich z okresu międzywojennego (1918–1939), PWN, Warszawa 1974.

Na rogu świata i nieskończoności. Wspomnienia o Franciszku Fiszerze, oprac. Roman Loth, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1985.

Adam Ochocki, *Reporter przed konfesjonałem, czyli jak się w Łodzi przed wojną robiło gazetę*, Wydawnictwo Literatura, Łódź 2004.

Monika Piątkowska, *Życie przestępcze w przedwojennej Polsce*, Dom Wydawniczy PWN, Warszawa 2012.

Prosto z Wiejskiej. Sejm i Senat II Rzeczypospolitej w karykaturze i satyrze, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, Wrocław–Warszawa–Kraków 1990.

Ksawery Pruszyński, *Podróże po Polsce. Podróże po Europie*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1966.

Rocznik statystyczny Warszawy 1936 i 1937, Zarząd Miejski w m.st. Warszawie, Warszawa 1938.

Stanisław Maria Saliński, *Long-play warszawski*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1966.

Felicjan Sławoj-Składkowski, *Kwiatuszki administracyjne i inne*, Wydawnictwo LTW, Łomianki 2005.

Antoni Słonimski, *Kroniki tygodniowe 1927–1931*, Wydawnictwo LTW, Warszawa 2001.
Antoni Słonimski, *Kroniki tygodniowe 1932–1935*, Wydawnictwo LTW, Warszawa 2001.
Antoni Słonimski, Julian Tuwim, *W oparach absurdu*, Iskry, Warszawa 2008.
Sprawozdanie Stenograficzne z 215 Posiedzenia Sejmu Ustawodawczego z dnia 4 marca 1921 roku.
Jan Marcin Szancer, *Curriculum vitae*, Oficyna Wydawnicza G&P, Poznań 2015.
Julian Tuwim, *Polski słownik pijacki i antologia bachiczna*, Czytelnik, Warszawa 1959.
Jerzy Urbankiewicz, *Sukiennice nad Łódką*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1968.
Jerzy Urbankiewicz, *Za płotem Paradyzu*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1960.
Władysław Władyka, *Krew na pierwszej stronie. Sensacyjne dzienniki Drugiej Rzeczypospolitej*, Czytelnik, Warszawa 1982.
Ryszard Wolański, *Eugeniusz Bodo. „Już taki jestem zimny drań…”*, Rebis, Poznań 2012.
Kordian Józef Zamorski, *Dzienniki 1930–1938*, Wydawnictwo LTW, Warszawa 2011.
Andrzej Zawada, *Dwudziestolecie literackie*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2005.

INTERNET

Jak śledzić uciekającego sterowcem?, tajnydetektyw.blogspot.com, http://tajnydetektyw.blogspot.com/2011/05/jak-sledzic-uciekajacego-sterowcem.html [dostęp: 12.05.2016].
Kamil Janicki, *Jak sto lat temu reklamowano w Polsce prezerwatywy*?, Ciekawostki historyczne, http://ciekawostkihistoryczne.pl/2015/05/26/jak-sto-lat-temu-reklamowano-prezerwatywy [dostęp: 23.06.2016].
Janusz R. Kowalczyk, *Najpiękniejsze reklamy przedwojennej Polski*, Culture.pl, http://culture.pl/pl/artykul/najpiekniejsze-reklamy-przedwojennej-polski [dostęp: 23.06.2016].

Agnieszka Niemojewska, *Jak się żyło przed wojną*, Uważam Rze Historia, http://www.historia.uwazamrze.pl/artykul/1087565 [dostęp: 5.07.2016].

Igor Rakowski-Kłos, *Tu się przyjmuje i reperuje członki. Reklama w dawnej Łodzi*, wyborcza.pl, http://lodz.wyborcza.pl/lodz/1,35153,19397264,tu-sie-przyjmuje-i-reperuje-czlonki-reklama-w-dawnej-lodzi.html#ixzz49aEbbGfO [dostęp: 24.05.2016].

RetroPRESS.pl – Artykuły dawnej prasy, http://retropress.pl [dostęp: 24.05.2016].

Retro Reporter, http://www.retroreporter.pl [dostęp 25.05.2016].

Przemysław Semczuk, *Zapomniany jubileusz TVP*, „Newsweek Polska" nr 35 z 2009, [w:] Rafał Kuzak, *Już przed wojną mieliśmy w Polsce telewizję, czyli tele-superheterodyna z okiem elektrycznym*, Ciekawostki historyczne, http://ciekawostkihistoryczne.pl/2011/06/26/prawdziwe-poczatki-telewizji-w-polsce-czyli-tele-superheterodyna-z-okiem-elektrycznym/ [dostęp: 25.05.2016].

Narcyz Witczak-Witaczyński, *Sprawa zabójstwa wachmistrza Jana Bujaka*, Rocznik Mińsko Mazowiecki 18, s. 119–123, http://mazowsze.hist.pl/19/Hacked_By_Ali_ShadowDz/436/2010/15407 [dostęp: 17.06.2016].

TEMATYCZNE STRONY NA PORTALU FACEBOOK

Café Bodo II RP, https://www.facebook.com/cafebodo2rp.gj

Dwudziestolecie międzywojenne, https://www.facebook.com/Dwudziestolecie-międzywojenne-1725307490943293/

Małopolska Biblioteka Cyfrowa, https://www.facebook.com/malopolska-bibliotekacyfrowa/

Polskie Kino Lat 30, https://www.facebook.com/PolskieKinoLat30/

Przedwojenna Łódź. Najpiękniejsze fotografie, https://www.facebook.com/PrzedwojennaLodz/

Przedwojenna Polska, https://www.facebook.com/PrzedwojennaPolska

Przedwojenna reklama i ogłoszenia 1918-1939, https://www.facebook.com/Przedwojenna-reklama-i-ogłoszenia-1918-1939-686413288087144/

Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łodzi, https://www.facebook.com/Wojewódzka-Biblioteka-Publiczna-im-Marszałka-Józefa-Piłsudskiego-w-Łodzi-222287637949745/

ŹRÓDŁA ZDJĘĆ

OKŁADKA: Adolf Dymsza w filmie *Dwanaście krzeseł* w reżyserii Michała Waszyńskiego i Martina Friča, 1933; produkcja Polska/Czechosłowacja
Fot. Filmoteka Narodowa

WEWNĄTRZ KSIĄŻKI:

Narodowe Archiwum Cyfrowe: 33, 137, 139, 141, 143 (L. Oberhardt), 183, 205, 251, 287 (Foto Ruan), 291, 295 (Jan Ryś), 296, 300 (Jan Ryś), 302, 311, 287, 376, 393, 396, 405, 401 (Jan Binek), 411 (Foto-Ross)

Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie:

„ABC Nowiny Codzienne" nr 58 z 24.02.1935 [s. 2] 279; nr 71 z 8.03.1935 [s. 3] 186; nr 334 z 23.11.1935 [s. 4] 21

„Ilustrowana Republika" nr 46 z 15.02.1933 [s. 5] 128

„Ilustrowany Kuryer Codzienny" nr 8 z 8.01.1926 [s. 7] 161; nr 9 z 9.01.1926 [s. 1] 222; nr 223 z 15.08.1926 [s. 7] 217; nr 2 z 2.01.1927 [s. 15] 89; nr 147 z 30.05.1927 [s. 15] 81; nr 176 z 28.06.1927 [s. 9] 61;nr 268 z 29.09.1927 [s. 9] 409; nr 332 z 30.11.1928 [s. 2] 44; nr 33 z 2.02.1929, [s. 13] 97; nr 352 z 29.12.1930 [s.11] 306; nr 1 z 1.01.1931 [s. 3] 261; nr 32 z 1.02.1931 [s. 7] 191

„Łódzkie Echo Wieczorne" nr 160 z 25.07.1925 [s. 5] 386

„Nowiny Codzienne", nr 358 z 24.12.1934 [s. 3] 195

Jagiellońska Biblioteka Cyfrowa: „Gazeta Lwowska" nr 194 z 26.08.1932 [s. 7] 47

Biblioteka Cyfrowa Regionalia Ziemi Łódzkiej przy Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Łodzi: „Express Wieczorny Ilustrowany" nr 1 z 1.01.1933 [s. 3] 320

Kujawsko-Pomorska Biblioteka Cyfrowa: „Gazeta Sępoleńska” nr 6 z 19.01.1938 [s. 3] 12

PRZYPISY

[1] Andrzej Zawada, *Dwudziestolecie literackie,* Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2005, s. 17–18.

[2] *Pijany zdemolował restaurację a trzeźwi uciekli nie płacąc*, „ABC: Nowiny Codzienne", nr 12 z 12.01.1938, s. 5.

[3] *Czarne listy darmozjadów zaprowadzą restauracje społeczne*, „ABC: Nowiny Codzienne", nr 167 z 13.06.1935, s. 4.

[4] Kazimierz Krukowski, *Moja Warszawka*, Filmowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1957, s. 37.

5 *10 przykazań o higjenie dla pracowników piekarskich,* „ABC: Nowiny Codzienne", nr 88 z 24.03.1936, s. 4.

[6] *Czy pan (i) widział (a) ducha? Zagadkowe „zegarki"*, Kurjer Metapsychiczny „Dziwy Życia", dodatek do nr. 123 „Ilustrowanego Kuryera Codziennego", nr 19 z 7.05.1929.

[7] Aby poznać przyszłość, wizyta u wróżki nie jest konieczna, wystarczy udać się na pierwszy lepszy jarmark, gdzie podejrzane indywidua z papugą na ramieniu, nieodzownym akcesorium, sprzedają za złotówkę tak zwane planety. Z ich treści, czyś Rak, czyś Skorpion, wyczytasz, co czeka cię w najbliższym czasie.

[8] *Wstrząsająca tajemnica domu w którym straszy*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny", nr 291 z 22.10.1927, s. 5.

[9] Antoni Słonimski, *Kroniki tygodniowe 1927–1931*, Wydawnictwo LTW, Warszawa 2001, s. 21.

[10] *Człowiek przenikający ludzkie tajemnice powędrował do więzienia*, „Dzień Pomorski", nr 11 z 15.01.1930, s. 6.

[11] *Panopticum. Z astrologji,* „Prosto z Mostu", nr 33 z 11.08.1935, s. 8.

[12] *Hipnotyzujący gramofon p. Radwana. Płyta, która wywołuje… jasnowidzenie*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 262 z 14.09.1935, s. 4.

[13] *Czy pan (i) widział (a) ducha?. Wrażliwe medjum*, Kurjer Metapsychiczny „Dziwy Życia”, Dodatek do nr. 56 „Ilustrowanego Kuryera Codziennego”, nr 9 z 26.02.1929.

[14] *Telegraf i małpa których nie było. Dziwne zjawiska w domu nawiedzonym w Warszawie*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 93 z 29.03.1936, s. 11.

[15] *Wstrząsająca tajemnica domu w którym straszy*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 291 z 22.10.1927, s. 5.

[16] *Współczesne zabobony i przesądy*, Kurjer Metapsychiczny „Dziwy Życia”, dodatek do nr. 329 „Ilustrowanego Kuryera Codziennego”, nr 4 z 27.11.1928.

[17] *Tajemnica 13 par uszu ludzkich wyjaśniła się. Uszy z gumy dla celów ortopedycznych*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 145 z 2.06.1930, s. 14.

[18] *Poradnia przedślubna w Łodzi rozszerza swą działalność – Coraz więcej osób korzysta z usług tej instytucji*, „Express Niedzielny Ilustrowany”, nr 133 z 14.05.1933, s. 3.

[19] Obecnie: Uniwersytecki Szpital Kliniczny im. Norberta Barlickiego w Łodzi.

[20] Ogłoszenie opublikowane w „Kurierze Czerwonym”, nr 231 z 1937.

[21] *Camera obscura*, „Wiadomości Literackie”, nr 45 z 9.11.1924, s. 5.

[22] *Uciekli na dach przed żonami*, „Express Wieczorny Ilustrowany”, nr 202 z 22.07.1933, s. 3.

[23] *Rozum i warszawianka*, „Nowiny Codzienne”, nr 5 z 5.01.1934, s. 4.

[24] *Królowa piękności z hotelu „Pod Globusem” i jej dwunastu kawalerów*, „Nowiny Codzienne”, nr 12 z 11.01.1934, s. 4.

[25] *Uwodził majstrowi żonę i żądał odszkodowania za wydalenie*, „Nowiny Codzienne”, nr 263 z 21.09.1934, s. 2.

[26] *Statystyka rozwodowa naszego miasta*, „Dzień Pomorski” nr 8 z 11.01.1930, s. 3.

[27] *Jak wyjść zamąż lub ożenić się? Cenne wskazówki dla nieuświadomionych*, „Nowiny Codzienne”, nr 7 z 8.01.1934, s. 3.

[28] Tamże.

[29] Tamże.

[30] *Dzikie namiętności i dołek w brodzie. Co każda panna wiedzieć powinna*, „Nowiny Codzienne”, nr 70 z 12.03.1934, s. 2.

[31] *Szczęście do kobiet*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 349 z 21.12.1920, s. 3.

[32] *5 wskazówek dla panów, czyli jak zdobyć ukochaną kobietę*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 35 z 4.02.1939, s. 3.

[33] Tamże.

[34] Tamże.

[35] *50 tysięcy listów wysyła dziennie Łódź*, „Express Wieczorny Ilustrowany”, nr 9 z 9.01.1933, s. 3.

[36] *Za 100 koron sprzedał żonę*, „Nowiny Codzienne”, nr 43 z 13.02.1934, s. 4.

[37] *Dzieje kobiety zabójczej. O „nabieraniu”, kreacji i czarnej zazdrości*, „Nowiny Codzienne”, nr 176 z 28.06.1934, s. 2.

[38] Jeśli to, co za chwilę państwo przeczytają, trąci stereotypami, a kobieta jawić się będzie wyłącznie jako *puste* pudełeczko służące do zaspakajania męskich ambicji i pragnień, niech pokutują za to ówcześni, do głowy by mi nie przyszło w sprawie maczać palców.

[39] *O modzie*, „Gazeta Lwowska”, nr 2 z 3.01.1932, s. 6.

[40] *Przepis na szczęśliwą żonę*, „Kobieta w Świecie i w Domu”, nr 20 z 15.10.1935, s. 21.

[41] Źródło nieustalone. Fragment artykułu pochodzi prawdopodobnie z „Ilustrowanego Kuryera Codziennego”.

[42] *Walka o dessous i pończoszki. Stoczył ją kupiec częstochowski z wesołą warszawianką, która w tajemniczy sposób zniknęła z gabinetu restauracyjnego*, „Ilustrowana Republika”, nr 14 z 10.08.1925, s. 2.

[43] *O modzie*, „Gazeta Lwowska”, nr 2 z 3.01.1932, s. 6.

[44] *Kobieta może być brzydka lecz musi być estetyczna i ujmująca*, „Wieczór Warszawski”, nr 68 z 8.03.1930, s. 6.

[45] *W jaki sposób można zaokrąglić swe kształty?*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 107 z 11.04.1936, s. 9.

[46] Na podst. *Szprynca Warszawska, klejnoty i kryminał*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 151 z 2.06.1928, s. 6.

[47] *Gotowanie w kuchni – to przeżytek czasów jaskiniowych*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 119 z 2.05.1927, s. 4.
[48] *Artykuł na temat zawsze aktualny*, „Moja Przyjaciółka”, nr 14 z 25.07.1936, s. 291.
[49] *Co wypada a co nie? Uczmy się rozmawiać*, „Moja Przyjaciółka”, nr 3 z 10.02.1938, s. 56.
[50] *Sensacyjna sprawa honorowa*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 175 z 27.06.1927, s. 6.
[51] Zdzisław Czermiński, *Kolorowi ludzie*, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1966, s. 218.
[52] Antoni Słonimski, dz. cyt., s. 5.
[53] *Sprawa Słonimskiego (dokończenie ze str. 1-ej)*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 24 z 23.01.1938, s. 3.
[54] *Kronika wojskowa. Pojedynek gen. Szeptyckiego z posłem Miedzińskim*, „Polska Zbrojna”, nr 70 z 11.03.1924, s. 4.
[55] Na podst. Andrzej Kuśniewicz, *Mieszaniny obyczajowe*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1988, s. 166.
[56] *Nauka grzeczności w tramwajach*, „Nowiny Codzienne”, nr 244 z 2.09.1934, s. 2.
[57] Kazimierz Krukowski, dz. cyt., s. 34.
[58] Kornel Makuszyński, *Moje listy (VII). List z Warszawy*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 48 z 18.02.1929, s. 2.
[59] *Moja droga do dziennikarstwa. Wspomnienia dziennikarzy polskich z okresu międzywojennego (1918–1939)*, PWN, Warszawa 1974, s. 236.
[60] Stanisław Maria Saliński, *Long-play warszawski*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1966, s. 125.
[61] Tamże, s. 129.
[62] Wszystkie wymienione tytuły pochodzą z: „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 36 z 3.02.1938, s. 2.
[63] Ksawery Pruszyński, *Podróże po Polsce. Podróże po Europie*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1966, s. 71.
[64] *Moja droga do dziennikarstwa…*, s. 19.
[65] Jan Marcin Szancer, *Curriculum vitae*, Oficyna Wydawnicza G&P, Poznań 2015, s. 124.

[66] Leopold Marschak, *Byłem przy tym… Wspomnienia 1914–1939*, Czytelnik, Warszawa 1973, s. 280.
[67] *Z urzędów*, „Kurier Ostrowski", nr 5 z 11.01.1933, s. 4.
[68] Julian Tuwim, *Wesołe archiwum*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny", nr 64 z 6.03.1929, s. 2.
[69] *Ryby mają głos*, „Nowiny Codzienne", nr 55 z 25.02. 1934, s. 4.
[70] *Czy można kiwać palcem w bucie? Sprawunki i życie wytworne*, „Nowiny Codzienne", nr 71 z 13.03.1934, s. 2.
[71] *Kronika łódzka. Czas z tym skończyć!*, „ABC: Nowiny Codzienne", nr 156 z 1.06.1939, s. 5.
[72] Na podst. *Praktyczna szkoła cierpliwości. Za pół godziny pracy 3 grosze…*, „ABC: Nowiny Codzienne", nr 206 z 20.07.1935, s. 5.
[73] *W walce z biedą*, „Nowiny Codzienne" nr 169 z 21.06.1934, s. 2.
[74] *Zabawki*, „Kurier Warszawski", nr 350 z 21.12.1934, s. 11.
[75] *„Pensjonaty dla warjatów"*, „Express Wieczorny Ilustrowany", nr 129 z 10.05.1933, s. 6.
[76] *System Bolesława Wikła*, „Nowiny Codzienne", nr 72 z 14.03.1934, s. 2.
[77] *Z papierkami w zębach gonią po urzędach*, „ABC: Nowiny Codzienne", nr 204 z 13.07.1938, s. 3.
[78] *Człowiek, który nie narzeka!…*, „Express Wieczorny Ilustrowany", nr 256 z 14.09.1933, s. 3.
[79] Adam Ochocki, *Reporter przed konfesjonałem, czyli jak się w Łodzi przed wojną robiło gazetę*, Wydawnictwo Literatura, Łódź 2004, s. 22.
[80] *Jak zebrać 100 milionów złotych?*, „ABC: Nowiny Codzienne", nr 335 z 22.11.1936, s. 9.
[81] *Balowy tramwaj i woda sodowa. Szaleństwo anemicznego karnawału*, „Nowiny Codzienne", nr 45 z 15.02.1934, s. 5.
[82] Aleksander Ivanka, *Wspomnienia skarbowca 1927–1945*, PWN, Warszawa 1964, s. 179.
[83] *Wyrafinowany pomysł z rafinadą. Jak kartel cukrowniczy wyzyskał zniżkę cen cukru*, „ABC: Nowiny Codzienne", 21 IX 1936, nr 271, s. 3.
[84] *Walka z kartelami handlowemi. Rząd walczy z wyzyskiem konsumenta*, „ABC: Nowiny Codzienne", nr 341, 1935.

[85] *Rzuca się pod samochód by dostać się do szpitala*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 317 z 6.11.1935, s. 2.
[86] *Melduję posłusznie że dokonałem kradzieży…*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 36 z 2.02.1935, s. 4.
[87] *Boso przyszedł do aresztu by znaleźć ciepłe schronienie*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 18 z 17.01.1935, s. 3.
[88] *Dzieci w rynsztokach*, „Express Wieczorny Ilustrowany”, nr 130 z 11.05.1933, s. 4.
[89] „Ilustrowany Kuryer Codzienny” z 1925 roku (dokładne źródło nieznane).
[90] *Czy tylko zupa żółwiowa?*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 151 z 26.05.1939, s. 4.
[91] *Kleksy. Reklama*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 44 z 10.02.1935, s. 8.
[92] Tamże.
[93] *Kiedy grozi nam łysina*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 18 z 18.01.1931, s. 15.
[94] Tamże.
[95] *Jak wyleczyłem cierpienia nóg po 20 latach okrutnych cierpień*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 39 z 7.02.1936, s. 2.
[96] *W jaki sposób Rudolf Valentino stał się sławnym?*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 270 z 1.10.1926, s. 5.
[97] Antoni Słonimski, dz. cyt., s. 344.
[98] Na podst. *Ludzie nerwowi umierają młodo*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 41 z 9.02.1936, s. 5.
[99] *Kobiety!… znalazłam Nowy Rodzaj Pudru do twarzy*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 99 z 4.04.1935, s. 6.
[100] Tamże.
[101] *…taka wspaniała, a jednak tania superheterodyna*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 333 z 17.10.1937, s. 10.
[102] *Czarna magja*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 172 z 24.06.1927, s. 4.
[103] *Stereotypowy polski morderca… reklamą dla plastra od nagniotków*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 25 z 30.01.1930, s. 5.

[104] *Czego uczy karnawał*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 32 z 1.02.1931, s. 7.
[105] Tamże.
[106] Na podst. „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 168 z 20.06.1931, s. 6.
[107] Na podst. tamże.
[108] *3 koszule w wianie*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 349 z 24.12.1930, s. 4.
[109] Niewykluczone, że ten popularny slogan reklamował inną markę.
[110] „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 37 z 6.02.1926, s. 12.
[111] *Precz z prezerwatywą!*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 268 z 28.09.1931, s. 18.
[112] *Największa przyjemność…*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 113 z 18.04.1935, s. 3.
[113] *Nałóg trudno rzucić, łatwiej sposób zmienić*, „Nowiny Codzienne”, nr 251 z 9.09.1934, s. 5.
[114] Tamże.
[115] *Uwaga, panowie kupcy! Za ładny szyld – premja…*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 132 z 6.05.1936, s. 4.
[116] Tamże.
[117] Igor Rakowski-Kłos, *Tu się przyjmuje i reperuje członki. Reklama w dawnej Łodzi*, wyborcza.pl, http://lodz.wyborcza.pl/lodz/1,35153,19397264,tu-sie-przyjmuje-i-reperuje-czlonki-reklama-w-dawnej-lodzi.html#ixzz49aEbbGfO [dostęp: 24.05.2016].
[118] *Łódź pobiła rekord! Gęsi i lwy na pstrokatych szyldach*, „Echo”, nr 137 z 17.05.1936, s. 5.
[119] *… A Banda się śmieje!: program gwiazdkowy Kabaretu Komików*, Wydawnictwo Programów Widowiskowych „Program”, Warszawa 1931, s. 16.
[120] Tamże, s. 26.
[121] Tamże, s. 32.
[122] *Na balu maskowym…*, „Kurjer Warszawski”, nr 29 z 30.01.1938, s. 16.
[123] *Symfonia łódzkiego podwórka. Nie ma już kataryniarzy… Miejsce ich zajęły zespołowe orkiestry, grupujące zredukowanych muzyków*, „Express

Wieczorny Ilustrowany", nr 164 z 14.06.1933, s. 3.

[124] *Zmierzch „czerwonej czapki". Coraz mniej posłańców w Warszawie*, „ABC: Nowiny Codzienne", nr 53 z 21.02.1936, s. 4.

[125] *Z glancem, z pucem, z błyskiem. Buciczki szanownemu panu oczyścić?*, „Nowiny Codzienne", nr 137 z 20.05.1934, s. 5.

[126] Julian Tuwim, *Wesołe archiwum*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny", nr 64 z 6.03.1929, s. 2.

[127] *Zdegradowany zawód. Dorożkarz warszawski*, „ABC: Nowiny Codzienne", nr 314 z 1.11.1936, s. 2.

[128] *Warszawscy klakierzy są niezadowoleni*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny", nr 288 z 17.10.1932, s. 11.

[129] Tamże.

[130] *Naganiacz*, „Kurier Warszawski: wydanie wieczorne", nr 300 z 31.10.1934, s. 9.

[131] *„Szklanka twarda, jak serce kobiety!"... Jak reklamują towar uliczni handlarze?*, „Express Wieczorny Ilustrowany", nr 215 z 4.08.1933, s. 3.

[132] Tamże.

[133] Kazimierz Krukowski, dz. cyt., s. 26.

[134] „Nasz Przegląd", nr 287 z 1928 [dokładne źródło nieustalone].

[135] *Trzeci kat w Polsce*, „Nowiny Codzienne", nr 2 z 2.02.1934, s. 2.

[136] *Więcej „wynalazków" – mniej patentów. Co czwarty wynalazek coś wart*, „ABC: Nowiny Codzienne", nr 299 z 20.10.1935, s. 5.

[137] *O wynalazcy na przedmieściu*, „Express Wieczorny Ilustrowany", nr 214 z 3.08.1933, s. 3.

[138] Tamże.

[139] *Ten, który przywraca młodość. Sensacyjna metoda odmładzania systemu dra Jaworskiego*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny", nr 9 z 9.01.1926, s. 5.

[140] Tamże.

[141] *Proszę mię obudzić za 5 minut...*, „ABC: Nowiny Codzienne", nr 74 z 10.03.1935, s. 7.

[142] *Telefoniczna dziewica nr 554-40 wymawia po francusku i robi błędy w czasie*, „Nowiny Codzienne", nr 149 z 1.06.1934, s. 4.

[143] *Flirt i interes. Czy można zatelefonować?*, „Nowiny Codzienne", nr 151 z 3.06.1934, s. 4.

[144] *Czarodziejski seans telewizyjny*, „Nowiny Codzienne”, nr 115 z 28.04.1934, s. 2.

[145] *Stacja telewizyjna w stolicy*, „Dziennik Ostrowski”, nr 207 z 10.09.1938, s. 3.

[146] Przemysław Semczuk, *Zapomniany jubileusz TVP*, „Newsweek Polska” nr 35 z 2009, [w:] Rafał Kuzak, *Już przed wojną mieliśmy w Polsce telewizję, czyli tele-superheterodyna z okiem elektrycznym*, Ciekawostki historyczne, http://ciekawostkihistoryczne.pl/2011/06/26/prawdziwe-poczatki-telewizji-w-polsce-czyli-tele-superheterodyna-z-okiem-elektrycznym/ [dostęp: 25.05.2016].

[147] *„Taka sama jędza jak moja żona”. Sugestywna gra Malickiej wyprowadziła z równowagi filozofa*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 301 z 23.09.1937, s. 2.

[148] *Właściciel masarni p. Zajączek pisze listy miłosne i posiada kilka wierszy „własnego wyrobu”*, „Express Niedzielny Ilustrowany”, nr 343 z 10.12.1933, s. 3.

[149] Tamże.

[150] Tamże.

[151] Tamże.

[152] Antoni Słonimski, dz. cyt., s. 295–297.

[153] A. Chojecki, *Miesiące*, F. Hoesick, Warszawa 1936, [w:] *Panopticum*, „Prosto z Mostu”, nr 8 z 23.02.1936, s. 8.

[154] Tadeusz Nowacki, *Na papierowych szynach*, Warszawa, s. 8, 99, 217 i 252, [w:] *Panopticum*, „Prosto z Mostu”, nr 12 z 22.03.1936, s. 8.

[155] *Oklaski w kinach*, „Kino”, nr 5 z 6.04.1930, s. 9.

[156] *Siedem plag miłośników kina*, „Kino”, nr 20 z 20.07.1930, s. 3.

[157] *Echa wielkomiejskie*, „Kino”, nr 10 z 1931, s. 8.

[158] *Reportaż „Kina” o kinie*, „Kino”, nr 6 z 1931, s. 9.

[159] *Trzeci reportaż „Kina” o kinie*, „Kino”, nr 15 z 1931, s. 7.

[160] *Czem chcielibyście być*, „Kino”, nr 16 z 16.04.1933, s. 8.

[161] *Gdybym nie był aktorem*, „Kino”, nr 43 z 24.10.1937, s. 7.

[162] *Adolf Dymsza odpowiada na piętnaście niedyskretnych pytań*, „Kino”, nr 2 z 14.01.1934, s. 7.

[163] *Szczepko i Tońko mówią o filmie „Wyzwolone serce”*, „Kino”, nr 50 z 15.12.1935, s. 5 i 13.
[164] *Arcyzabawna historja pewnej walizy*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 49 z 17.02.1936, s. 5.
[165] *Fizjognomja u przestępcy*, „Tajny Detektyw” nr 1 z 1.01.1933, s. 10.
[166] Tamże.
[167] Tamże.
[168] Tamże.
[169] *Złodziejka o niesamowitych oczach*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 180 z 26.06.1935, s. 5.
[170] *Salon, ozdobiony dywanami i obrazami. W wyschniętym kanale, nad brzegiem Wisły*, „Ilustrowana Republika”, nr 30 z 28.08.1925, s. 6.
[171] *Złodziejska bezczelność*, „Ilustrowana Republika”, nr 31 z 29.08.1925, s. 8.
[172] *Złodziej z „sumieniem”*, „Kurier Warszawski”, nr 50 z 19.02.1922, s. 15.
[173] *Pana złodzieja…*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 1 z 1.01.1931, s. 3.
[174] *Technika służby obserwacyjnej i wywiadowczej*, „Tajny Detektyw”, nr 45 z 22.11.1931. *Jak śledzić uciekającego sterowcem?*, tajnydetektyw.blogspot.com, http://tajnydetektyw.blogspot.com/2011/05/jak-sledzic-uciekajacego-sterowcem.html [dostęp: 12.05.2016].
[175] *Słynny przodownik Cezak który sam siebie zaprzysiągł i przesłuchał*, „Nowiny Codzienne”, nr 119 z 2.05.1934, s. 3.
[176] *Sprzedał warszawski dworzec na… dancing*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 283 z 19.10.1930, s. 8.
[177] *Nowe tricki oszustów warszawskich*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 23 z 23.01.1931, s. 7.
[178] Tamże.
[179] Piotr Choynowski, *Rzeczy drobne i zabawne*, Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1930, s. 31.
[180] *Na otwarcie sejmu…*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 345 z 2.12.1936, s. 6.
[181] Na podst. *Prosto z Wiejskiej. Sejm i Senat II Rzeczypospolitej w karykaturze i satyrze*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław–Warszawa–Kraków 1990, s. 35.

[182] *„Był, ale wyszedł – przyszli, ale wyszli”*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 12 z 12.01.1929, s. 8.

[183] *O protekcjach dla aktorek, krótkich spódniczkach i erotyzmie mówiono na komisji budżetowej*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 327 z 28.11.1926, s. 9.

[184] Tamże.

[185] *Sejm chce pobić rekord*, „Ilustrowana Republika”, nr 47 z 16.02.1933, s. 3.

[186] *Prosto z Wiejskiej. Sejm i Senat II Rzeczypospolitej w karykaturze i satyrze*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław–Warszawa–Kraków 1990, s. 26, 27.

[187] Jerzy Urbankiewicz, *Za płotem Paradyzu*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1960, s. 45, 46.

[188] Więcej na ten temat w: Narcyz Witczak-Witaczyński, *Sprawa zabójstwa wachmistrza Jana Bujaka*, Rocznik Mińsko-Mazowiecki 18, s. 119–123, http://mazowsze.hist.pl/19/Hacked_By_Ali_ShadowDz/436/2010/15407 [dostęp: 17.06.2016].

[189] *Burdy w czerwonym magistracie. Prezydent Wapiński bije radnego*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 179 z 24.06.1939, s. 2.

[190] Aleksander Ivanka, dz. cyt., s. 221.

[191] Felicjan Sławoj-Składkowski, *Kwiatuszki administracyjne i inne*, Wydawnictwo LTW, Łomianki 2005, s. 20.

[192] Tamże.

[193] Ozon, czyli Obóz Zjednoczenia Narodowego.

[194] *Mimochodem…*, „Kurier Warszawski: wydanie wieczorne”, nr 301 z 2.11.1922, s. 5.

[195] *Kogo wybrać do Sejmu?*, „Głosy z nad Odry”, zeszyt 3/4, wrzesień 1922, s. 2.

[196] *Ludzie, czyście poszaleli? Zmieniać słowa „Jeszcze Polska” na „aktualne”?…*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 85 z 21.03.1935, s. 3.

[197] *Tak się wybiera miss Polonję a nie hymn narodowy!*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 91 z 27.03.1935, s. 3.

[198] *„Zmienił” granice państwa*, „Express Wieczorny Ilustrowany”, nr 260 z 19.09.1933, s. 3.

[199] *Przeszło 250.000 złotych wynoszą nadużycia w urzędzie skarbowym w Olkuszu*, „Nowiny Codzienne”, nr 349 z 15.12.1934, s. 2.

[200] Ksawery Pruszyński, dz. cyt., s. 44–45.

[201] *Pod ciężarem 40.000 stronic*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 245 z 26.08.1936, s. 3.

[202] Podpułkownik inżynier Kazimierz Józef Meÿer w 1939 roku został dyrektorem Zarządu Oczyszczania Miasta. Jego pracę oceniano bardzo wysoko. On też po wkroczeniu Niemców uratował obraz *Bitwa pod Grunwaldem*. Zginął podczas Powstania Warszawskiego.

[203] „Goniec Warszawski”, nr 107 z 1939, [w:] *Camera Obscura*, „Wiadomości Literackie”, nr 20 z 7.05.1939, s. 11.

[204] *Gruby piwosz francuski, celnik polski – i co z tego spotkania wynikło*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 330 z 28.11.1928, s. 3.

[205] Tadeusz Heller, *Na marginesie. Dziwny podatek i proszę o przyjemną minę*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 205 z 2.08.1930, s. 3.

[206] *Ulice w kratki*, „Łódzkie Echo Wieczorne”, nr 180 z 19.08.1925, s. 4.

[207] *Poezja w podatkach czy podatek w… poezji*, „Nowiny Codzienne”, nr 20 z 21.01.1934, s. 5.

[208] *Komornik zajął „Adę”*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 335 z 22.11.1936, s. 4.

[209] „Kurier Polski”, nr 298 z 1937 [dokładnego źródła nie ustalono].

[210] Julian Tuwim, *Wesołe archiwum*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 72 z 14.03.1929, s. 2.

[211] Jan Stanisław Bystroń, *Komizm*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1960, s. 99.

[212] *Straszna, a skandaliczna katastrofa w Sosnowcu*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 155 z 8.06.1926, s. 5.

[213] Piotr Choynowski, dz. cyt., s. 18.

[214] *Eksport trupów z Rosji Sowieckiej*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 18 z 17.01.1935, s. 8.

[215] *Szkoła, która nie ma ani jednego ucznia*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 136 z 20.05.1929, s. 8.

[216] *„Król” i jego warszawski „lejbarzt”*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 87 z 2.04.1930, s. 7.

[217] *Otworzyć wentylator. Niech się pozaziębiają!*, „ABC Nowiny Codzienne”, nr 303 z 22.10.1936, s. 4.
[218] Tamże.
[219] Tamże.
[220] Tamże.
[221] *Odebrał sobie życie bo nie otrzymał gwiazdki*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 1 z 1.01.1938, s. 12.
[222] *Ucieczka od życia*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 198 z 20.07.1927, s. 1.
[223] *Oblał się benzyną i podpalił, a potem powiesił*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 117 z 28.04.1928, s. 6.
[224] *Powiesił się na trzy minuty, aby opisać swe wrażenia*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 165 z 16.06.1933, s. 16.
[225] *Niebywały pomysł Marka Fainbeina*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 291 z 10.10.1936, s. 2.
[226] *Podsłuch w cukierni Ziemiańskiej*, „Nowiny Codzienne”, nr 185 z 6.07.1934, s. 1.
[227] *Legia potępia „uciekinierów” którzy jutro zagrają w Nowym Yorku*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 314 z 1.11.1936, s. 9.
[228] *Zawierucha w bractwie pogrzebowym. Fałszywe akty zejścia z podpisem lekarza*, „Nowiny Codzienne”, nr 232 z 21.08.1934, s. 1.
[229] *Spadł z 3-ego piętra i nic. Niezwykłe szczęście radjotechnika*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 315 z 4.11.1935, s. 2.
[230] *Dowód zimnej krwi*, „Nowiny Codzienne”, nr 168 z 20.06.1934, s. 3.
[231] Tamże.
[232] *„Genjalny” projekt loterji małżeńskiej w Stanisławowie*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 324 z 22.11.1928, s. 10.
[233] *„Obywatelu – ty, który złamałeś to drzewko zasłużyłeś na miano zbrodniarza” Nie potrafimy uszanować wspólnego dobra*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 266 z 18.09.1935, s. 4.
[234] Na podst. Ksawery Pruszyński, dz. cyt., s. 66.
[235] Tamże, s. 67.
[236] Antoni Słonimski, dz. cyt., s. 3.

[237] *Pan policjant ma głos! Spiesz się powoli! radzi stróż bezpieczeństwa nerwowej łódzkiej publiczności*, „Ilustrowana Republika”, nr 42 z 9.09.1925, s. 6.

[238] Jerzy Urbankiewicz, *Sukiennice nad Łódką*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1968, s. 49.

[239] Konrad Lewandowski, *Perkalowy dybuk*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2009, s. 107.

[240] Kornel Makuszyński, *Moje listy (VIII)*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 55 z 25.02.1929, s. 2.

[241] Według innych źródeł wieże zamkowe straż pożarna wykorzystywała do obserwacji okolicy.

[242] *Walka na laski, torebki damskie i puder. Skandaliczne zajście w bożnicy w Sosnowcu*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny”, nr 40 z 9.02.1931, s. 14.

[243] *„Mirla Rubinstein jest dziewicą”. Niezwykle obwieszczenie na bramie domu*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 332 z 19.11.1936, s. 5.

[244] *Przy grobie nieboszczyka dopominają się wierzyciele o spłatę długu*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 87 z 23.03.1935, s. 4.

[245] Adolf Nowaczyński, *Jak długo jeszcze Aleje „Jerozolimskie”?*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 99 z 27.03.1937, s. 8.

[246] „Pod Pręgierz”, nr 17 z 1938, [w:] *Camera obscura*, „Wiadomości Literackie”, nr 23 z 29.05.1938, s. 7.

[247] *Najazd żydowski na Podhajce. Żydzi obsadzili urzędy*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 113 z 11.04.1937, s. 12.

[248] *Nowe partactwo żydowskie „polski” film „Znachor”*, „ABC: Nowiny Codzienne”, nr 286 z 9.09.1937, s. 4.

[249] „Goniec Warszawski”, nr 39 z 1938, [w:] *Camera obscura*, „Wiadomości Literackie”, nr 8 z 20.02.1938, s. 7.

[250] Pierre de Coubertin – założyciel Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego [przyp. red.].

[251] „Zbudzona Polska”, nr 10 z 1937, [w:] *Camera obscura*, „Wiadomości Literackie”, nr 6 z 7.02.1937, s. 8.

[252] „Ilustrowany Kurier Pałucki”, nr 96 z 1938, [w:] *Camera obscura*, „Wiadomości Literackie”, nr 37 z 4.09.1938, s. 8.

[253] *„Głodomor" w cyrku w Warszawie przerwał głodówkę, zawiadomiony przez radjo z Berlina o przewrocie w Warszawie*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny", nr 136 z 19.05.1926, s. 7.

[254] *Połykacze szpilek i gwoździ*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny", nr 49 z 23.02.1930, s. 6.

[255] *Camera obscura*, „Wiadomości Literackie", nr 34 z 13.8.1939, s. 8.

[256] Na podst. *28 dni bez pożywienia*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny", nr 248 z 11.11.1929, s. 8.

[257] *Komedianci z podwórek Warszawy*, „ABC: Nowiny Codzienne", nr 203 z 12.07.1938, s. 4.

[258] *Nieposkromiony gaduła*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny", nr 150 z 01.06.1933, s. 3.

[259] *W cyrku i w życiu*, „Ilustrowany Kuryer Codzienny", nr 13 z 13.01.1929, s. 2.

[260] *Maraton taneczny z kokainą. Proces o podniecanie tancerzy i tancerek*, „Nowiny Codzienne", nr 151 z 3.06.1934, s. 5.

[261] *Alkoholizm w obrazach i cyfrach*, „Gazeta Lwowska", nr 17 z 22.01.1932, s. 8.

[262] Tamże.

[263] Jan Marcin Szancer, *Curriculum vitae*, Oficyna Wydawnicza G&P, Poznań 2015, s. 91.

[264] Felicjan Sławoj-Składkowski, dz. cyt., s. 365.

[265] *Rozwód na cztery tygodnie i ucieczka od miejskich przyzwyczajeń*, „Nowiny Codzienne", nr 191 z 12.07.1934, s. 5.

[266] Kordian Józef Zamorski, *Dzienniki 1930–1938*, Wydawnictwo LTW, Warszawa 2011, s. 443.

[267] *7 przykazań dla plażowiczów*, „Kino", nr 33 z 14.08.1938, s. 11.

[268] *Kibic piłkarski*, „ABC: Nowiny Codzienne", nr 136 z 11.05.1939, s. 2.

[269] *Czołem panie poruczniku! Schweikert perłą drużyny zapaśników Berlina*, „Przegląd Sportowy", nr 104 z 10.12.1936, s. 3.

[270] „Głos Polski", nr 190 z 13.07.1921, s. 7.

[271] Władysław Władyka, *Krew na pierwszej stronie. Sensacyjne dzienniki Drugiej Rzeczypospolitej*, Czytelnik, Warszawa 1982, s. 272.

[272] Informacje za: „Wiadomości Literackie”, nr 52/53 z 25.12.1938, s. 40; *Mały rocznik statystyczny 1938*, Nakładem Głównego Urzędu Statystycznego, Warszawa 1938; *Rocznik statystyczny Warszawy 1936 i 1937*, Zarząd Miejski w m.st. Warszawie, Warszawa 1938.